

Wilhelm Busch

JEZUS NASZYM PRZEZNACZENIEM

Szkola Biblijna Hosanna

Rokitno Szlacheckie 2012

Autor: Wilhelm Busch

Tytuł: Jezus naszym przeznaczeniem

Tłumaczenie: Wanda Malicka

Korekta: Przemysław Goła

Wydawca:

Fundacja Szkoła Biblijna „Hosanna”

Świerczewskiego 42

42-450 Rokitno Szlacheckie

www.protestanci.org/sbh

hosanna@protestanci.org

(+48) 530 066 317

© Wydawnictwo Ewangeliczne, Poznań 1990

© Fundacja Szkoła Biblijna „Hosanna”, Rokitno Szlacheckie 2012

Książka nie na sprzedaż!

JEZUS NASZYM PRZEZNACZENIEM

"Jezus naszym przeznaczeniem" – oto był wybrany przez pastora Buscha temat wiodący wielkiej ewangelizacji, którą przeprowadził w Essen, w 1938 roku.

Z wielką radością pełnił służbę duszpasterską wśród młodzieży w Essen, ale jako zapalony kaznodzieja wiele podróżował, głosząc wszędzie Ewangelię. W niezliczonych odczytach wzywał do Jezusa – w miastach i po wsiach, na Wschodzie i Zachodzie, w Europie i na całym świecie.

Jakże był uradowany, gdy ludzie spieszyli, aby usłyszeć jego zwiastowanie! Był przekonany, że Ewangelia o Jezusie jest najwspanialszą, zapierającą dech w piersiach Nowiną wszechczasów.

Tysiące przychodziły, aby go posłuchać. A jednak prawdziwym duszpasterzem był tylko w osobistej rozmowie w cztery oczy. Była to szczególna właściwość jego zwiastowania. Niech w tej książce słowami, które zostały utrwalone na taśmie magnetofonowej, nadal rozmawia z każdym z osobna – jako posłaniec Jezusa Chrystusa, Ukrzyżowanego i Zmartwychwstałego.

"Jezus naszym przeznaczeniem" – to główny temat całego jego zwiastowania. Czy chcecie usłyszeć to poselstwo? Możecie to zrobić! Usiądźcie w wyobraźni pod kazalnicą, a szybko się przekonacie, że temat "Jezus naszym przeznaczeniem" jest głównym tematem dla świata i dla naszego życia.

KARL-HEINZ EHRING

BÓG – OWSZEM, ALE PO CO JEZUS?

Widzicie, taki stary pastor jak ja, który całe życie działał w wielkim mieście, słyszy bez przerwy te same slogany. Jeden z nich brzmi: "Jak Bóg może dopuszczać do takich rzeczy?" Drugi: "Kain i Abel byli braćmi. Kain zabił Abła. Skąd Kain wziął żonę?" A najulubieńszy slogan brzmi: "Panie pastarze, pan ciągle mówi o Jezusie. Przecież to fanatyzm. Czyż nie jest obojętne, jaką religię się wyznaje? Ważne jest uczucie czci dla Najwyższego, Niewidzialnego".

Jakie to przekonywujące! To samo powiedział już mój wielki rodak, Goethe, który też pochodził z Frankfurtu: "Uczucie jest wszystkim; miano – dym to i mara". Czy więc mówimy Allah, Budda, los, czy "Istota Wyższa" – jest to obojętne. Ważne jest, abyśmy w ogóle w coś wierzyli. A precyzowanie naszej wiary – to już fanatyzm. Pięćdziesiąt procent spośród was, którzy mnie słuchacie, również tak myśli, prawda? Widzę jeszcze przed sobą starszą panią, która stwierdziła: "Och, panie pastarze, pan ciągle tylko mówi o Jezusie i o Jezusie! A czy Jezus nie powiedział sam: "W domu Ojca mego wiele jest mieszkań?" Wszyscy się tam zmieszczą!" Moi przyjaciele, to jest jedno wielkie oszustwo!

Byłem kiedyś w Berlinie na lotnisku "Tempelhofer Feld". Przed wejściem do samolotu musieliśmy raz jeszcze przejść kontrolę paszportów. Przede mną stał wysoki, barczysty pan, taki, wiecie, dwa metry na dwa, z wielkim pledem podróżnym przewieszonym przez ramię. Ten pan szybkim ruchem podał swój paszport i już postawił nogę na schodku. A tu urzędnik mówi: "Chwileczkę. Pański paszport jest już nieważny!" Pan odpowiedział: "Niechże pan nie będzie tak drobiazgowy. Najważniejsze, że mam paszport!" "O nie, – odpowiedział zdecydowanym tonem urzędnik – najważniejsze jest, by ten pański paszport był ważny!"

Dokładnie tak samo jest z wiarą. Nie chodzi o to, bym miał w ogóle jakąś wiarę, jakąkolwiek wiarę. Każdy człowiek w coś wierzy. Niedawno ktoś mi powiedział: "Wierzę, że z dwóch kilogramów wołowiny będzie dobra zupa". To również jest wiara, choć – jak sami

rozumiecie – dosyć mało ważna! Tak więc, nie o to chodzi, aby mieć jakąkolwiek wiarę. Chodzi o to, by mieć taką wiarę, która pomaga żyć nawet w głębokich mrokach, która daje oparcie w chwili wielkiej pokusy i próby, wiarę, za którą można umrzeć. Śmierć jest wielką próbą prawdziwości naszej wiary!

Istnieje tylko jedna prawdziwa wiara, z którą można prawdziwie żyć i umrzeć: jest to wiara w Pana Jezusa Chrystusa, Syna Bożego. Jezus sam powiedział: "W domu Ojca mego wiele jest mieszkań". Ale do tych mieszkań Bożych prowadzą tylko jedne drzwi: "Ja jestem drzwiami; jeśli kto przeze mnie wejdzie, zbawiony będzie".

Jezus jest drzwiami! Wiem, ludzie nie chcą tego słuchać. O Bogu można dyskutować godzinami. Jeden wyobraża sobie Boga tak, a drugi zupełnie inaczej. Ale Jezus nie może być przedmiotem dyskusji. I mówię wam: tylko wiara w Jezusa, Syna Bożego, jest ratującą i zbawiającą wiarą, z którą można żyć i umrzeć!

Jak śmieszna wydaje się ta wiara różnym ludziom, pokazuje takie małe wydarzenia, z którego spokojnie możecie się pośmiać. Przed laty szedłem sobie raz w Essen przez miasto. Na rogu ulicy stało dwóch mężczyzn wyglądających na górników. Kiedy przechodziłem, jeden z nich zawołał: "Dzień dobry, panie pastorze!" Podeszedłem bliżej i pytam: "Czy my się znamy?" A on śmieje się i mówi do drugiego: "To jest pastor Busch. Bardzo przyzwoity chłopak!" "Dziękuję", – powiadam, a on mówi dalej: "Tak, ale niestety ma bzika!" Oburzyłem się: "Co takiego? Ja mam bzika? Co to ma znaczyć?" A on powtarza: "No naprawdę, pastor jest bardzo fajny, ale cóż – ciągle mówi o Jezusie!" "Człowieku! – krzyknąłem uradowany – to nie jest bzik! Za sto lat znajdzie się pan w wieczności. I wtedy wszystko będzie zależało od tego, czy poznał pan teraz Jezusa. Od tego zależy, czy znajdzie się pan w piekle, czy w niebie! No niech pan powie: zna pan Jezusa?" A on roześmiał się i powiedział do kolegi: "No widzisz? Znowu zaczyna!".

Teraz też chcę od tego zacząć. Chcę zacząć od słów Biblii: "Kto ma Syna, ma żywot". Chodziliście kiedyś do szkoły niedzielnej i uczyliście się o Jezusie, ale nie macie Go. "Kto ma Syna – uważajcie:

kto "MA"! – ma żywot" – tu i w wieczności. "Kto nie ma Syna Bożego, nie ma żywota". Tak mówi Słowo Boże! Jest takie powiedzenie: "Kto ma, ten ma!" I to właśnie znaczą powyższe słowa z Biblii. Ze względu na was chciałbym was po prostu namówić – przyjmijcie Jezusa i oddajcie mu swoje życie! Bo bez Niego życie to jest żałosne.

A teraz chcę wam powiedzieć, dlaczego Jezus jest wszystkim i dlaczego wiara w Jezusa jest jedynie słuszną wiarą. A może, jeśli pozwolicie, powiem wam to w sposób bardzo osobisty: powiem wam, dlaczego ja muszę mieć Jezusa i dlaczego w Niego wierzę.

1. JEZUS JEST OBJAWIENIEM BOŻYM

Kiedy ktoś mi mówi: "Ja wierzę w Boga. Ale po co mi Jezus?", to odpowiadam: "To jest bzdura! Bóg jest Bogiem ukrytym i bez Jezusa nic o Nim nie wiemy!"

Ludzie mogą sobie wprawdzie wymyślać jakiegoś Boga, np. "kochanego Pana Boga", który nie opuści porządnego człowieka, jeżeli ten będzie wypijał dziennie tylko pięć kufla piwa. Ale to przecież nie jest Bóg! Tak samo Allah czy Budda – to są projekcje naszych pragnień. Ale Bóg? Bez Jezusa nic o Bogu nie wiemy. Jezus jest Objawieniem Boga. Bóg przyszedł do nas w Jezusie.

Wyjaśnię to wam obrazowo. Wyobraźcie sobie, że stoicie przed ścianą gęstej mgły. Za nią ukryty jest Bóg. Ludzie nie mogą żyć bez Boga i zaczynają Go szukać. Próbują się przedostać przez tę mgłę. Usiłują to zrobić wszystkie religie, bo wszystkie religie są poszukiwaniem Boga. I wszystkie one mają jedną wspólną cechę: błądzą we mgle i nie znajdują Boga.

Bóg jest Bogiem ukrytym. Zrozumiał to pewien mąż imieniem Izajasz i wołał z głębi serca: "Obyś rozdarł niebiosy i zstąpił!" Obyś rozdarł zasłonę z mgły i przyszedł do nas! I pomyślcie tylko: Bóg usłyszał ten krzyk! Rozdarł zasłonę z mgły i przyszedł do nas w Jezusie. Przyszedł, gdy chóry anielskie śpiewały na polach betlejemskich: "Dziś narodził się wam Zbawiciel! Chwała na

wysokościach Bogu!" A teraz Jezus mówi: "Kto mnie widział, widział Ojca".

Bez Jezusa nic nie wiedziałbym o Bogu. To jest jedyne źródło, z którego można czerpać, które może upewnić nas o Bogu. I jak można powiedzieć: "Mogę obyć się bez Jezusa!"?

Mówię to wszystko w wielkim skrócie i wiele muszę pominąć, choć mógłbym wam tyle opowiedzieć o Jezusie. Ale wymienię tu najważniejsze punkty dotyczące pytania: "Po co Jezus?"

2. JEZUS JEST RATUJĄCĄ MIŁOŚCIĄ BOŻĄ

Muszę wam to wytłumaczyć. Niedawno udzielałem wywiadu pewnemu dziennikarzowi, który m.in. postawił mi pytanie: "Dlaczego właściwie wygłasza pan takie odczyty?" "Dlatego – odpowiedziałem – że boję się, iż ludzie pójdą do piekła. Dziennikarz uśmiechnął się: "Przecież piekła nie ma!" "No – powiedziałem – niech pan trochę poczeka. Za sto lat będzie pan już wiedział, kto miał rację, pan czy Słowo Boże. Ale proszę mi powiedzieć, czy zna pan uczucie lęku przed Bogiem?" "Nie, – odparł – przecież kochanego Pana Boga nie trzeba się bać!" "I tu jest pan w błędzie. Kto ma choćby najślabsze przeczucie, jaki jest Bóg, ten musi pojąć, że nie ma nic straszliwszego niż On, święty i sprawiedliwy Bóg, jako Sędzia osądzający nasze grzechy. Sądzi pan, że On będzie milczał widząc pańskie grzechy? Mówi pan o "kochanym Panu Bogu"? Biblia tak o Nim nie mówi. Biblia mówi: "Straszna to rzecz wpaść w ręce Boga żywego".

Czy zdarzyło się wam już odczuwać lęk przed Bogiem? Jeżeli nie, to znaczy, że jeszcze nawet nie zaczęliście pojmować całej rzeczywistości świętego Boga i waszego grzesznego życia. Gdy jednak zaczniecie lękać się Boga, to spytacie: "Jak mogę ostać się przed Bogiem?". Sądzę, że największa głupota naszych czasów polega na tym, że ludzie nie boją się już gniewu Bożego; jeżeli jakiś naród nie bierze poważnie żywego Boga i Jego gniewu z powodu grzechów, jest to oznaką straszliwego otepienia.

Profesor Karl Heim opowiadał kiedyś o swojej podróży do Chin,

podczas której odwiedził również Pekin. Zaprowadzono go tam na wzgórze, na którego wierzchołku stał "ołtarz niebios". Wyjaśniono mu, że podczas "nocy pojednania" na wzgórze przychodzą setki tysięcy ludzi niosących lampiony, a cesarz (bo było to w czasach, gdy Chinami rządził cesarz) składa na ołtarzu ofiarę pojednania za swój lud. Opowiadając to, profesor Heim dodał: "Ci poganie zdawali sobie sprawę z gniewu Bożego i wiedzieli, że człowiek potrzebuje pojednania".

A wykształcony Europejczyk sądzi, że można mówić o "kochanym Panu Bogu", który jest bardzo szczęśliwy, jeżeli ludzie punktualnie płacą podatek kościelny! Lepiej zacznijmy znowu bać się Boga! Wszyscy bowiem zgrzeszyliśmy! Wy nie? Ależ oczywiście, że tak!

A kiedy nauczymy się na nowo bojaźni Bożej, wtedy spytamy: "Gdzież jest ratunek przed gniewem Bożym? Co może nas uratować?". I wtedy otwierają się nam oczy: Jezus jest ratującą miłością Bożą. Bóg chce, "aby wszyscy ludzie byli zbawieni", ale nie może być niesprawiedliwy. Nie może pomijać milczeniem grzechu. I dlatego dał Syna swego jako ratunek, jako pojednanie.

Przenieśmy się na chwilę do Jerozolimy. Jest tam takie wzgórze przed miastem. Ponad głowami wielotysięcznego tłumu wznoszą się trzy krzyże. Ten człowiek wiszący na lewym krzyżu i ten na prawym, to grzesznicy tacy jak my. Ale ten pośrodku! Spójrzcie na Niego, na tego Człowieka z koroną cierniową na głowie, na Syna Boga żywego!

"O jakże zniekształcone szlachetne rysy Pana, przed którym świat ten w drodze padnie na kolana i szczeźnie, gdy wybije godzina".

Dlaczego On tam wisi? Ten krzyż jest ołtarzem Boga. A Jezus jest Barankiem, który gładzi grzech świata, który jedna z Bogiem.

Widzicie, dopóki nie znaleźliście Jezusa, jesteście pod gniewem Bożym, nawet jeśli tego nie zauważacie, nawet jeśli temu zaprzeczacie. Tylko ten bowiem, kto przyszedł do Jezusa, ma pokój z Bogiem. "Pokój mamy z Bogiem przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa."

Pozwólcie, że przytoczę tu taki zupełnie niemądry przykład. W

czasie pierwszej wojny światowej byłem artylerzystą. Mieliśmy armaty z tarczami ochronnymi. Kiedyś staliśmy bez piechoty na wysuniętych do przodu stanowiskach i zaatakowały nas czołgi – nazywaliśmy je wtedy "tankami" – a za nimi szła ich piechota i strzelała. Kule biły jak grad w tarcze naszych armat, ale te tarcze były takie mocne, że byliśmy za nimi bezpieczni. Myślałem sobie wtedy: "Gdybym wystawił poza tarczę tylko samą dłoń, to podziurawiliby mi ją jak sito i musiałbym umrzeć z samego upływu krwi. Ale za tarczą jestem bezpieczny!"

I widzicie, taką tarczą stał się dla mnie Jezus. Wiem, że bez Niego przepadłbym na Sądzie Bożym. Bez Jezusa w sercu moim nie byłoby pokoju, choćbym nie wiadomo co robił. Bez Jezusa umierałbym w śmiertelnym lęku. Bez Jezusa byłbym na wieki potępiony. Bo istnieje wieczne potępienie, poczekajcie, a sami zobaczycie! Ale za krzyżem Jezusa jestem bezpieczny, jak za tarczą. I wiem: On mnie pojednał z Bogiem, On jest moim Wybawcą. Jezus jest ratującą miłością Bożą!

Posłuchajcie: Bóg chce, "aby wszyscy ludzie byli zbawieni". Dlatego dał swego Syna, aby zbawił, aby pojednał. Dał Go również dla was.

Nie spoczywajcie więc, dopóki nie osiągniecie pokoju z Bogiem, dopóki nie będziecie uratowani!

Po co Jezus?

3. TYLKO JEZUS MOŻE UPORĄĆ SIĘ Z NAJWIĘKSZYM PROBLEMEM NASZEGO ŻYCIA

Czy wiecie, co jest największym problemem naszego życia? Och, ludzie starsi pomyślą oczywiście o swojej wątrobie albo nerce, czy co tam im akurat dokucza. Niewiarygodne problemy! U młodych z kolei będzie to "dziewczyna" albo "chłopiec". Każdy ma jakiś swój problem. Ale wiercie mi, największym problemem naszego życia jest nasza wina przed Bogiem!

Przez wiele lat pełniłem służbę wśród młodzieży. Szukałem wtedy coraz to nowych sposobów wytłumaczenia młodym ludziom, o co tu

chodzi. Kiedyś użyłem takiego porównania: "Wyobraźcie sobie – powiedziałem – że przychodzimy na świat z żelaznym łańcuchem na szyi. Za każdym razem, gdy grzeszymy, do łańcucha przybywa nowe ogniwo. Mam brudne myśli – nowe ogniwo. Jestem bezczelny w stosunku do mojej matki – nowe ogniwo. Mówię źle o innych ludziach – następne ogniwo. Dzień przeżyty bez modlitwy, tak jakby Boga nie było – jeszcze jedno ogniwo. Nieuczciwe postępowanie, kłamstwa – ogniwo za ogniwo".

Zastanówcie się teraz, jak długi jest ten łańcuch, który ciągniemy za sobą! Pomyślcie, że jest to łańcuch naszych grzechów! I chociaż niewidoczny, to jednak realny przed Bogiem. Zadaję sobie nieraz pytanie, dlaczego ludzie nie są tak naprawdę radośni i szczęśliwi. Nawet ci, którym powodzi się dobrze. A wy, czy jesteście szczęśliwi? Nie, nie możecie być szczęśliwi, nie możecie, ponieważ ciągniecie za sobą ten łańcuch win! I nie może wam go odjąć ani kaznodzieja, ani ksiądz, ani nawet anioł. Bóg również nie może was od niego uwolnić, bo jest sprawiedliwy: "Co człowiek sieje, to i żąć będzie".

Ale oto przyszedł Jezus! Ten jeden Jedyne, który może rozwiązać największy problem naszego życia. On bowiem umarł za moją winę. Umierając zapłacił za nią. I dlatego jest w stanie zdjąć ze mnie ten łańcuch grzechów. Tylko On jeden może tego dokonać!

Chciałbym zapewnić was z własnego doświadczenia: świadomość, że przebaczone mi są moje winy, jest prawdziwym wyzwoleniem. Jest to największe wyzwolenie w czasie, gdy żyjemy, a coś dopiero w godzinie śmierci! Słuchajcie, ludzie starzy – możecie umierać mając przebaczenie grzechów albo odchodzić do wieczności dźwigając brzemień win! Czy to nie straszne?

Znam ludzi, którzy przez całe życie mówili: "Ja jestem dobry. Postępuję słusznie". A potem leżą na łożu śmierci i nagle widzą: ich okręt odpływa na mrocznych falach w wieczność, ku Bogu. Nic nie mogli wziąć ze sobą: ani domku, ani konta w banku, ani książeczki oszczędnościowej, nic, oprócz własnej winy. Tak staje się przed Bogiem. Straszne! Jednakże tak właśnie ludzie odchodzą. I jeżeli powiecie: "Tak umierają wszyscy", to będziecie mieli rację! Ale Wy

nie musicie tak umierać! Jezus przebacza grzechy. I to jest największe wyzwolenie, jakiego możemy dostąpić już teraz.

Jako osiemnastoletni chłopiec doświadczyłem, czym jest przebaczenie grzechów: krępujący mnie łańcuch spadł! Jest taka pieśń: "Grzech zniewalał mnie, lecz Jezus wolność dał..." Życzę wam, byście również tego doświadczyli! Przyjdźcie do Jezusa. Jeszcze dziś. On czeka na was. I powiedzcie Mu: "Panie, moje życie jest chybione i pełne winy. Przemilczałem to i zawsze mówiłem o sobie dobrze. Ale teraz wyznaję Tobie wszystko. Wierzę, że Twoja krew zgładziła moją winę". Tak, przebaczenie grzechów jest czymś wspaniałym!

W siedemnastym wieku żył w Anglii pewien człowiek. Nazywał się Bunyan. Spędził on wiele lat w więzieniu, cierpiąc za swoją wiarę. Takie rzeczy zdarzają się we wszystkich stuleciach. Obok Słowa Bożego więzienia są najbardziej stabilną rzeczą, jaką posiada ludzkość. Ten Bunyan napisał w więzieniu przepiękną książkę, która do dziś jest aktualna. Opisuje w niej życie chrześcijanina jako bardzo niebezpieczną, pełną przygód wędrówkę. Zaczyna to się tak: ktoś żyje w wielkim, pełnym światowego zgielku mieście. Nagle ogarnia go niepokój i mówi sobie: "Coś tu jest nie w porządku. Jestem smutny i nieszczęśliwy. Powinienem stąd odejść!". Rozmawia o tym z żoną, która uważa, że mąż jest przemęczony, zdenerwowany i potrzebuje odpoczynku. Ale odpoczynek nie pomaga mu. Niepokój się wzmacnia. I pewnego dnia człowiek ten postanawia opuścić to miasto. Odchodząc zauważa, że na plecach niesie wielki ciężar. Chce go zrzucić, ale nie może. Im dalej idzie, tym cięższe jest jego brzemień. Uświadamia sobie, że ciężar ten przygniatał go zawsze, ale dopóki żył w świecie, nie odczuwał tego tak bardzo. Tam ciężar ten wydawał się rzeczą naturalną. A teraz ledwo może go udźwignąć. Wąską ścieżką wędruje pod górę, upadając pod ciężarem. I nagle za zakrętem widzi krzyż. Nieprzytomny ze zmęczenia pada przed krzyżem na kolana, obejmuje go ramionami i spogląda w górę. I w tej samej chwili czuje, jak ciężar z niego spada i z hukiem toczy się w przepaść.

Cudowny symbol tego, co człowiek może przeżyć pod krzyżem Jezusa Chrystusa. "Ujrzałem w duchu Baranka Bożego, jak za mnie

umierał na krzyżu, krwią zalany. I pełen skruchy wyznałem u stóp Jego, że jest to miłości Bożej cud świetlany, że On – niewinny, umarł – za winnego".

Tak, przebaczenie moich grzechów, za które zapłacił Zbawiciel. Jestem uwolniony z łańcucha win. Nic już na mnie nie ciąży. Przebaczenie grzechów, które może nam ofiarować tylko Jezus!

Muszę tu jeszcze coś dodać, żebyście zrozumieli, dlaczego wierzę w Jezusa.

4. JEZUS JEST DOBRYM PASTERZEM

Każdy z was doświadczył już chyba uczucia samotności i pustki w życiu. Człowiek czuje nagle: czegoś mi brakuje. Ale czego? Powiem wam: brakuje wam żywego Zbawiciela!

Mówiliśmy przed chwilą, że Jezus umarł na krzyżu, aby zapłacić za nasze grzechy. Zapamiętajcie dobrze to zdanie: "Ukarany został dla naszego zbawienia". Potem złożono Go do skalnego grobu, do którego wejście zostało przywalone ciężkim kamieniem. Na wszelki wypadek namiestnik rzymski położył na nim pieczęć i postawił przed grobem wartę, rzymskich legionistów. Wyobrażam sobie, że byli to wspaniali żołnierze, mężowie, którzy walczyli we wszystkich krajach świata: w Galii (dzisiejsza Francja), w Germanii (dzisiejsze Niemcy), w Azji i w Afryce. Chłopcy ci pokryci byli bliznami. I oto stoją tam o świcie trzeciego dnia, tarcza na ramieniu, oszczep w prawej ręce, na głowie hełm. Rzymski legionista stał na warcie i można było na nim polegać. I nagle robi się zupełnie jasno. W Biblii czytamy: "...Anioł Pański zstąpił z nieba i przystąpiwszy odwalił kamień..." I Jezus wyszedł z grobu. Było to tak wstrząsające, że żołnierze zemdleli. W kilka godzin później Jezus spotkał dziewczynę, o której Biblia mówi, że miała w sobie siedem demonów, które Jezus z niej wypędził. Ta dziewczyna stała u grobu i płakała, a gdy zobaczyła Jezusa, wcale nie zemdleła, wprost przeciwnie – gdy poznała, że to jest Pan zmartwychwstały, uradowała się i zawołała: "Nauczycielu!" Była pełna radości, bo zrozumiała, że Jezus, dobry Pasterz, żyje i jest przy niej.

I, widzicie, ja dlatego pragnę mieć Jezusa, bo potrzebuję kogoś, kogo mogę trzymać za rękę. Bywałem w życiu na dnie mrocznych przepaści. Za moją wiarę siedziałem w więzieniach hitlerowskich. I były takie godziny, w których myślałem: "Tylko jeden krok dzieli mnie od obłędu, z którego nie ma powrotu". I wtedy przychodził do mnie Jezus. I już wszystko było dobrze. Takie świadectwo mogę tu dziś przed wami złożyć.

Przeżyłem w więzieniu taki jeden wieczór, podczas którego rozpętało się tam piekło. Przywieziono transport ludzi, którzy mieli być odesłani do obozu koncentracyjnego. Ludzi, którzy nie mieli już żadnej nadziei. Byli wśród nich kryminaliści, byli ludzie niewinni, byli Żydzi. I tego sobotniego wieczoru ogarnęła ich wszystkich rozpacz. We wszystkich celach ludzie zaczęli krzyczeć, wyć, walić w ściany i w drzwi. Nie wyobrażacie sobie, co to było! Więzienie pełne oszalałych ludzi w celach. Zdenerwowani strażnicy zaczęli strzelać w sufit, miotali się po korytarzach, kogoś zbili. A ja siedziałem w celi myśląc, że tak będzie w piekle. Trudno opisać to, co wtedy przeżyłem. I nagle przyszło mi na myśl, że przecież jest Jezus. Zacząłem cicho, zupełnie cicho szeptać: "Jezu! Jezu! Jezu!": I w przeciągu trzech minut zrobiło się cicho. Pomyślcie tylko: siedząc sam w swojej celi wzywałem Go szeptem, nikt tego nie słyszał, tylko On – i demony musiały ustąpić, zacząłem wtedy głośno śpiewać (co było surowo zabronione): "Jezu, ma radości, duszy mej miłości, drogi Jezu mój! Kiedyż, kiedyż, Panie, tęsknić już przestanę, głos usłyszę Twój? Tyś jest mym schronieniem, pod Twych skrzydeł cieniem nie zatrzwożę się. Niech pękają skały, drży krąg ziemi cały – Jezus chroni mnie!" Strażnicy nic nie powiedzieli na ten mój głośny śpiew. O, moi drodzy, wtedy poczułem, co to znaczy mieć żywego Zbawiciela.

Mówiłem już o tym, że kiedyś wszyscy musimy przejść przez trudne doświadczenie – przez śmierć. Ktoś mi kiedyś zarzucił: "Wy, księża, napędzacie ludziom strachu przed śmiercią". Odpowiedziałem: "Nie muszę nikomu napędzać strachu, bo wszyscy boimy się śmierci". Ale jeżeli umierając będę mógł trzymać za rękę dobrego Pasterza! Ale potem ktoś mi powiedział – miał słusność – że dzisiejszy człowiek

bardziej boi się życia niż śmierci, bo życie jest przerażające, gorsze od śmierci. I właśnie, moi drodzy, chodzi o to, aby żyjąc mieć Zbawiciela!

Muszę powiedzieć wam historię, którą często przytaczam. Brzmi ona niewiarygodnie, ale jest prawdziwa. Poznałem kiedyś w Essen pewnego przemysłowca, jednego z tych, co to są zawsze w dobrym humorze. I on mi powiada: "Panie pastorze, to takie miłe, że pan nakłania dzieci do dobrego. Proszę, oto sto marek na ten cel". A ja mu na to: "No, a pan sam?". "Nie, nie, panie pastorze, ja, wie pan, mam już swój własny światopogląd..." Rozumiecie: chłop dobry z kośćcami, a tak daleki od Boga, jak Księżyc od Syriusza. Pewnego dnia miałem dawać ślub... W takim ogromnym pustym kościele jest czasem nieprzytulnie, gdy obecni są tylko nowożeńcy i może z dziesięć innych osób. Wszyscy czują się trochę zagubieni. Świadkiem młodej pary był ten mój zadowolony z siebie przemysłowiec. Bardzo elegancki, we fraku i z cylindrem w dłoni. I nagle zrobiło mi się szczerze żal tego człowieka: oto w ogóle nie wiedział, jak należy zachować się w kościele. Widać było, że nie ma pojęcia, czy teraz należy uklęknąć, czy w tym momencie ma się przeżegnać, a w innym wstać itd. Pomogłem mu trochę zabierając i odkładając na bok cylinder. Potem śpiewaliśmy pieśń, której on oczywiście w ogóle nie znał, ale robił minę, że też śpiewa. Możecie go sobie wyobrazić? Prawdziwy światowiec, który chce się dopasować do obowiązujących w kościele zwyczajów. A potem zdarzyło się coś bardzo osobliwego. Otóż panna młoda pomagała w prowadzeniu nabożeństwa dla dzieci i na jej ślubie śpiewało 30 małych dziewczątek. Stojąc na galerii śpiewały słodkimi głosami tę prostą pieśń dziecięcą, którą może znacie: "Owieczką jam Jezusa, On dobry Pasterz mój. Uwielbia Go ma dusza, bo dał mi żywot swój..." Spojrzałem na przemysłowca i przestraszyłem się: "Co mu jest – myślę – zachorował?". A on siania się na nogach, zakrył twarz rękami i cały drży. Byłem już zdecydowany wezwać pogotowie, ale nagle zrozumiałem: ten człowiek płakał... Dziewczątka zaśpiewały ostatnią strofkę pieśni: "Owieczką jam Jezusa, On dobry Pasterz mój. W Nim mam ja pokrzepienie i żywej wody zdroj. Na pasze wciąż

zielone, na żywe błonia sam prowadzi moją duszę, da wieczny pokój tam". Dzieci śpiewają, a ten wielki przemysłowiec siedzi i płacze! Wiecie, co stało się w wielkim, pustym kościele? Ten człowiek pojął: "Dzieci mają coś, czego ja nie mam – mają dobrego Pasterza. A ja jestem samotny i zgubiony".

Drodzy moi, bracia i siostry, nie możecie osiągnąć w życiu niczego, co można by porównać ze szczęściem dzieci, które mówią: "Należę do owczarni Jezusa Chrystusa i mam dobrego Pasterza". Nic nie może się z tym równać! Dążcie więc do tego, abyście również mogli tak powiedzieć!

Dlaczego wierzę w Jezusa? Bo jest On dobrym Pasterzem, najlepszym Przyjacielem, moim żywym Zbawicielem.

Po co Jezus? Powiem wam coś jeszcze na zakończenie.

5. JEZUS JEST KRÓLEM ŻYCIA

Przed laty prowadziłem obóz letni dla młodzieży w Böhmerwald. Po zakończeniu obozu wszyscy się rozjechali, a ja zostałem, czekając na samochód, który miał przyjechać po mnie następnego dnia. Ulokowano mnie na noc w starym pałacyku myśliwskim, który należał kiedyś do jakiegoś króla. Obecnie mieszkał w nim leśniczy. Pałacyk był bardzo zapuszczony, i nie było w nim elektryczności. W dużym pokoju gościnnym był za to kominek, w którym rozpalano ogień. Ktoś przyniósł mi lampę naftową i zostałem sam. Za oknami szalała burza. Gwałtowna ulewa szumiała wśród otaczających dom sosen. Taka sceneria, wiecie, jak w bajce o rozbójnikach. Wyjątkowo nie miałem przy sobie nic do czytania, ale na gzymsie nad kominkiem znalazłem jakąś broszurkę. Usiadłem więc i przy świetle naftowej lampy zacząłem czytać. Czegoś równie strasznego nie czytałem jeszcze nigdy. Autorem był lekarz, który w tej książeczce dawał wyraz niepohamowanej furii, do jakiej doprowadziła go śmierć pacjenta. Pisał mniej więcej tak: "Śmierci, ty wrogu ludzkości! Cały tydzień walczyłem o życie ludzkie i już sądziłem, że człowiek ten jest uratowany. I nagle zjawiłaś się szczerząc zęby w uśmiechu, stanęłaś

przy łóżku i wszystko przepadło! Leczę ludzi i wiem, że to daremne, bo zawsze kiedyś przychodzisz i wyciągasz po nich swoją rękę kościotrupa. Ty oszuście, ty wrogu!" I tak strona po stronie, nic, tylko nienawiść do śmierci. A potem te najstraszniejsze słowa: "Ty, śmierci, która jesteś kropką, wykrzyknikiem na końcu życia! Do diabła, żebyś była tylko wykrzyknikiem! Ale gdy patrzę na ciebie, zamieniasz się w znak zapytania. I pytam sam siebie: czy śmierć jest końcem wszystkiego? Czy po niej jest coś jeszcze? Śmierć – ten podły, nikczemny znak zapytania!"

Otóż to właśnie! A ja mówię wam, że śmierć nie jest końcem wszystkiego! Jezus, który wie najlepiej, powiedział: "...Szeroka jest brama i przestronna droga, która wiedzie na zatracenie (...). A ciasna jest brama i wąska droga, która prowadzi do żywota...". Wszystko rozstrzyga się tu, na ziemi! A ja cieszę się, że mam Zbawiciela, który już daje życie, który sam jest żywotem i prowadzi do żywota. Dlatego z taką radością Go zwiastuję.

W czasie pierwszej wojny światowej byłem pod Verdun, gdzie toczyły się wielkie bitwy. Trwały one przez długie tygodnie. Naokoło leżały stosy trupów.

Od tamtego czasu aż do dziś prześladowe mnie słodkawa woń śmierci. Gdy przechodzę obok jakiegoś pomnika ku czci poległych za ojczyznę, zawsze czuję ten zapach spod Verdun, zapach trupów. Gdy myślę, że za sto lat nikogo z dziś żyjących nie będzie już na ziemi, zawsze czuję ten straszliwy oddech śmierci. A wy go nie czujecie?

I w tym świecie śmierci jest Ktoś, kto zmartwychwstał! I pomyślcie tylko, ten Ktoś mówi: "Ja żyję i wy też będziecie żyli. Wiercie we mnie. Przyjdźcie do mnie. Nawróćcie się do mnie. Stańcie się moją własnością. Ja poprowadzę was do żywota!" Czy to nie jest cudowne? Jak w tym świecie śmierci można w ogóle żyć bez tego Zbawiciela, który jest życiem i prowadzi do wiecznego życia!

W tych dniach przeczytałem stary list przedrukowany przez profesora Karla Heima. Jest to list żołnierza-chrześcijanina, który poległ w Rosji w czasie drugiej wojny światowej. Ten list brzmiał mniej więcej tak: "Tu jest okropnie. Gdy Rosjanie zaczynają strzelać

ze swoich "organów Stalina", wpadamy w panikę. A to zimno! I śnieg! Straszne! Ale ja się nie boję. Jeżeli polegnę, to w jednej chwili przejdę do chwały. Nawałnica ucichnie, i twarzą w twarz ujrzę mego Pana, opromieni mnie Jego światłość. To będzie cudowne i nie boję się myśli, że mogę tu polec". I, rzeczywiście, żołnierz ten poległ wkrótce po napisaniu tego listu. Czytając jego słowa, nie mogłem oprzeć się myśli: "Jakież to wspaniałe, że młody człowiek nie boi się śmierci, ponieważ poznał Jezusa!"

Tak, Jezus jest Królem życia. I tym, którzy są Jego, daje pewność nadziei na życie wieczne.

Byłem kiedyś w Lipsku podczas Dni Kościoła. Na ratuszu wydano wielkie przyjęcie z udziałem najwyższych władz świeckich i kościelnych. Wygłaszano mowy, na tyle niezobowiązujące, żeby nikt nie poczuł się urażony. Heinrich Giesen, ówczesny sekretarz generalny Dni Kościoła Ewangelickiego w Niemczech, miał wygłosić końcowe przemówienie. Nigdy nie zapomnę jak wstał i powiedział: "Pytacie, moi panowie, jacy z nas są ludzie. Odpowiem jednym zdaniem. Jesteśmy ludźmi, którzy się modlą: 'Dobry Boże, spraw, abym żył jak trzeba i dostał się do nieba'". Po czym usiadł. To było coś niesamowitego, jak zebrani byli wstrząśnięci.

W czasie wojny trzydziestoletniej Paul Gerhardt napisał taki wiersz: "Żyję na tym świecie, więc muszę na nim być, ale jestem obcy i nie chcę tutaj żyć. Wędruję swoją drogą, do mej Ojczyzny bram, by Ojciec mój niebiański pociechę dał mi tam". Życzę wam, abyście też wędrowali taką drogą przez ten świat.

Po co Jezus? Wszystko, ale to wszystko zależy od tego, czy Go poznacie.

PO CO ŻYJĘ?

Tak, o to właśnie chodzi: po co żyję? Po co jestem na tym świecie? Jaki sens ma moje życie?

Pewnego dnia zatelefonował do mnie znajomy przemysłowiec i powiedział zdławionym głosem: "Panie pastorze, niech pan zaraz przyjdzie!" Pobiegłem. Przyjął mnie słowami: "Mój syn zastrzelił się". Znałem tego chłopca. Był studentem. Miał wszystko, czego tylko zapragnął. Był zdrowy, bardzo przystojny, młody i bogaty. Od dawna miał własny samochód. I nie był zaplątany w żadną skandaliczną historię. I ten młody człowiek strzelił sobie w usta! W liście, który zostawił napisał tylko tyle: "Nie wiem, po co miałbym dłużej żyć. Dlatego odchodzę. Moje życie jest pozbawione sensu". Potworne!

Widzicie, pytanie o sens życia jest niesłuchanie ważne. A także ogromnie ważne jest dlatego, że mamy tylko jedno życie! Czy zastanowiliście się kiedy nad tym, co to znaczy mieć tylko jedno jedyne życie?

Będąc w szkole nie miałem zbyt dobrych stopni z matematyki. Nauczyciel po prostu nie miał zrozumienia dla proponowanych przeze mnie rozwiązań. Niekiedy, nie doceniając moich zdolności, potrafił czerwonym atramentem zasmarować połowę rozwiązanych w zeszytcie zadań. Bardzo to brzydko wyglądało. I kiedy już nie mogłem na to patrzeć, wyrzucałem taki zeszyt, nawet jeżeli nie był zapisany do końca, i kupowałem sobie nowy, śliczny i czystutki. Mogłem w nim zacząć wszystko od nowa. Ba, żeby tak można było zrobić z życiem! Wierzcie mi, miliony ludzi myślą w chwili śmierci: "Ach, gdybym mógł raz jeszcze zacząć życie od początku! Postępowałbym zupełnie inaczej!".

Ale zacząć od nowa można tylko nowy zeszyt szkolny. Życia nie, bo mamy tylko jedno życie. Jakie to musi być straszne, to uczucie, że zmarnowaliśmy je! I że jeżeli przegraliśmy nasze jedyne życie, to przegraliśmy je na całą wieczność! Dlatego tak śmiertelnie poważne jest to, co chcę wam powiedzieć.

Dziś rano przed moim hotelem przewędrowało wielkie stado

krów. Byłem właśnie zajęty przygotowywaniem tego odczytu i pomyślałem sobie: "Jakże szczęśliwe są te krowy, że nie zastanawiają się nad tym, po co żyją na świecie. Sprawa jest jasna – dają mleko, a później dostarczają nam wołowego mięsa". Rozumiecie, zwierzę nie musi zastanawiać się nad sensem życia. W tym punkcie człowiek różni się od zwierzęcia. I jest rzeczą straszną, że wielu ludzi żyje i umiera nie zadawszy sobie nigdy tego pytania: "Po co właściwie żyję?". Tacy ludzie nie różnią się niczym od zwierząt. Widzicie, ta granica między człowiekiem a zwierzęciem jest bardzo płynna. Człowiek staje się człowiekiem przez to, że zadaje sobie pytanie: "Po co tu jestem? Po co jestem człowiekiem? Po co żyję?".

1. POWIERZCHOWNE I ZBYT POCHOPNE ODPOWIEDZI

Moi drodzy przyjaciele, na pytanie: "Po co żyję?" istnieje mnóstwo powierzchownych i zbyt pochopnych odpowiedzi. Przed wielu laty zdarzyło mi się usłyszeć większość z nich naraz. Było to w roku 1936, a więc podczas rozkwitu Rzeszy Hitlera. Studenci z Münster poprosili mnie, abym porozmawiał z nimi na temat sensu życia. I dodali, że nie chcą wykładu, tylko dyskusję. "Dobrze – powiedziałem – zaczynajcie! Jaki jest sens mojego życia? Po co żyję?"

Ponieważ było to, jak już wspomniałem, w Trzeciej Rzeszy, więc oczywiście zaraz wstał jeden z młodych ludzi i oznajmił: "Ja żyję dla mojego narodu. To jest tak, jak z liściem i drzewem. Liść nic nie znaczy, ważne jest drzewo. I ja żyję dla drzewa, dla mojego narodu!". Odpowiedziałem na to: "Bardzo ładnie. A po co jest drzewo? Po co jest naród?". Cisza. Tego nie wiedział. Rozumiecie, ta odpowiedź nie była odpowiedzią na pytanie. Była wyminięciem pytania. Powiedziałem więc: "Moi kochani, nie możecie dawać takich odpowiedzi, które rozmiągają się z pytaniem i odsuwają je na bok. Pytam raz jeszcze: Jaki jest sens mojego życia? Po co żyję?".

Tym razem wstał inny młodzieniec i powiedział: "Żyję po to, by spełnić mój obowiązek!". "Człowieku – zawołałem – w tym właśnie cały dowcip! Co mianowicie jest moim obowiązkiem? Ja uważam za

swój obowiązek głosić wam Słowo Boże, a kto inny uważa za swój obowiązek zaprzeczać istnieniu Boga. Co jest więc obowiązkiem?"

Tu mała dygresja. Pewien wyższy urzędnik powiedział mi kiedyś: "Panie pastarze, coś panu powiem w zaufaniu. Siedzę tu i przez cały dzień przeglądam i podpisuję akta, ale gdyby one wszystkie nagle zostały spalone, to świat nie zatrzymałby się w biegu. Bardzo cierpię nad tym, że moja praca jest w gruncie rzeczy pozbawiona sensu". Co to znaczy: obowiązek? Setki tysięcy ludzi zostało w Trzeciej Rzeszy zamordowanych przez członków SS. A ci, postawieni przed sądem stwierdzali: "Spełnialiśmy swój obowiązek. Taki mieliśmy rozkaz". Czy sądzicie, że obowiązkiem człowieka jest zabijanie innych ludzi? Ja tak nie sądzę, więc spytałem moich studentów: "Kto może mi powiedzieć, co jest moim obowiązkiem? Żebyśmy znaleźli się wreszcie na pewnym gruncie".

Młodzi ludzie zaczęli się wreszcie zastanawiać. Potem jeden z nich wstał i dumnie oświadczył: "Pochodzę z bardzo starego szlacheckiego rodu. Mogę wymienić swoich przodków do szesnastego pokolenia. Jest to bardzo długi szereg praojców! Czyż nie jest treścią i zadaniem życia godne kontynuowanie historii rodu?". Mogłem na to odpowiedzieć tylko tyle: "Młody człowieku! Jeżeli nie wie się, po co żyły te pokolenia w liczbie szesnastu, to nie warto dodawać do nich siedemnastego pokolenia!".

Widzicie teraz, ile może być takich powierzchownych i pochopnych odpowiedzi. Nekrologi w gazetach zawierają często taki okropny wierszyk: "Całe życie pracowałeś, nic dla siebie nie żądałeś, o swych bliskich wciąż myślałeś, obowiązki wypełniałeś". Znacie to? Ilekroć czytam taki wierszyk, wpadam w szał. Przecież to jest nekrolog dla konia! No nie? Koń pracuje przez całe życie, ale nie wierzę, żeby człowiek tylko po to żył na świecie, by pracować. To byłoby żalosne. Gdyby sensem naszego życia była tylko praca, to lepiej byłoby popełnić samobójstwo w wieku lat dziesięciu. "Całe życie pracowałeś..." Okropność. Nie, to również nie jest sensem naszego życia.

Był tam jeszcze jeden student, który mi powiedział: "Panie

pastorze, ja chcę zostać lekarzem, chcę ratować życie ludzkie. Czy taki piękny cel nie może być treścią mojego życia?" Odrzekłem mu na to: "No dobrze! Ale jeżeli pan nie wie, po co człowiek żyje, to jakż to ma sens, żeby pan ratował jego życie? Czy nie lepiej dać mu zastrzyk uśmiercający?". Proszę tylko nie zrozumieć mnie źle i nie opowiadać później, że ja zalecam dawanie ludziom uśmiercających zastrzyków! Chciałem tylko powiedzieć, że wypowiedź tego studenta nie była rozstrzygającą odpowiedzią na pytanie o sens życia.

Podczas tego spotkania wstrząsnęło mną uświadomienie sobie, że w naszych czasach nawet ludzie wykształceni – byli to przecież wyłącznie studenci – żyją, nie wiedząc w gruncie rzeczy, po co właściwie są na tym świecie.

Chciałbym tu wtrącić jedną uwagę. Być może drażni was trochę sposób, w jaki tu do was przemawiam. Mógłbym oczywiście używać przesadnie wyczelowanych zdań z mnóstwem wyrazów obcych, ale jestem pewny, że zasnąlibyście wtedy w przeciągu pół godziny. A ponieważ taka perspektywa okropnie mnie przeraża, więc wolę mówić takim zwyczajnym, codziennym językiem. Czy to jasne? Dziękuję!

Po tych wszystkich odpowiedziach, o których przed chwilą wspomniałem, usłyszałem od studentów w Münster jeszcze jedną: "Życie w ogóle nie ma głębszego sensu. To, że się urodziłem, jest czystym przypadkiem. Nie kryje się za tym żaden sens. I dlatego najlepszą rzeczą, jaką możemy zrobić, jest używanie życia na wszelkie sposoby". Takie myśli są być może najcięższą próbą i pokusą, na jaką człowiek może być wystawiony. Cóż mu pozostanie, gdy powie sobie: "Moje życie nie ma sensu. Gdyby moi rodzice nie pobrali się, to w ogóle bym się nie urodził. A ponieważ jest to czysty przypadek, więc całe życie również nie ma sensu". Jeżeli taki człowiek żyje w trudnych warunkach, to w takiej chwili jest bliski samobójstwa. Po co ma żyć dalej? Jeżeli wszystko jest przypadkiem i bezsensem, to lepiej ze sobą skończyć. Czy wiecie, że liczba samobójstw w Niemczech Zachodnich przewyższa liczbę zabitych w wypadkach na drodze? Czy wiecie, że około 50 procent samobójców to ludzie poniżej trzydziestego roku życia? Oto wstrząsająca ilustracja naszych czasów:

przestaliśmy widzieć sens życia!

Często rozmawiałem z ludźmi, którzy skarżyli się, że ich życie nie ma sensu i albo rozmieniali je na drobne, goniąc za rozrywkami, albo myśleli o samobójstwie. Pytałem ich: "A gdyby życie jednak miało sens? Gdyby miało, a pan tu żyje tak, jak gdyby nie miało, to co? Jak będzie pan wyglądał przy końcu takiego życia?"

Są w Biblii takie słowa, które przenikają człowieka do szpiku kości: "Postanowione jest ludziom raz umrzeć, a potem sąd..." Widzicie, te słowa trzeba znać, aby z całą powagą zadać sobie pytanie: "Po co żyję?". Przecież nie możemy umrzeć i stanąć przed sądem Bożym, jeżeli przegapiliśmy sens naszego życia! Czy to jest jasne? Pójdźmy więc krok dalej.

2. KTO MOŻE DAĆ NAM ODPOWIEDŹ?

Któż więc może mi dać odpowiedź na pytanie "po co żyję"? Kto? Kościół? Nie! Pastor? Nie, on jest w takiej samej sytuacji. Profesorowie? Filozofowie? Nie, oni też nie mogą nam na to odpowiedzieć. Powiedzieć nam, po co żyjemy, może tylko Ten, który powołał nas do życia, który nas stworzył – Bóg!

Pozwólcie, że posłużę się tu takim głupim przykładem. Pewnego dnia przyszedłem kogoś odwiedzić i patrzę, w pokoju siedzi bardzo młody chłopiec i coś majstruje. Pełno jakichś drutów, kabli, lampek. Pytam: "Człowieku, co to będzie? Budujesz maszynę piekielną?". Chłopiec z zapalem objaśnił mi wszystko, ale przyznam się, że nic z tego nie zrozumiałem. Pomyślałem sobie jedynie, że tylko ten, kto to robi, wie, jakie to ma być i do czego ma służyć.

To samo jest z naszym życiem. Tylko Ten, który nas stworzył, może powiedzieć, po co nas stworzył. To znaczy, że na pytanie: "po co żyję?" możemy otrzymać odpowiedź tylko przez objawienie. Tylko Bóg może nam to powiedzieć! Gdybym dotychczas nie czytał Biblii, to pytanie "po co żyję" musiałoby mnie skłonić do przeczytania jej. Nie mógłbym żyć dłużej bez dowiedzenia się, po co żyję na tym przekłętym świecie. Uważacie, że wyrażenie "przeklęty świat" jest zbyt

ostre? No cóż, jest to słowo biblijne. A gdybyście tylko przez pół roku towarzyszyli pastorowi podczas jego służby w wielkim mieście, to zrozumielibyście, co mam na myśli: na tym świecie ciąży straszne przekleństwo. I nie mógłbym na nim żyć, gdybym nie otrzymał odpowiedzi w Objawieniu Bożym.

Na nasze pytanie o sens życia Bóg odpowiada w Biblii. I dlatego Biblia jest tak niesłychanie ważna. Znam ludzi, którzy mówią z wyniosłą miną: "Nigdy nie czytam Biblii!". Mogę na to odpowiedzieć tylko tyle: "Mogę się założyć, że jeszcze nigdy nie zastanowiliście się poważnie nad pytaniem: po co żyję?". Jednakże głupota jest chorobą szeroko rozpowszechnioną, a gdyby powodowała bóle, to świat rozbrzmiewałby nieustającym krzykiem. Odpowiedź zawartą w Biblii chcę wam przekazać w jednym zdaniu: Bóg stworzył nas po to, abyśmy stali się Jego dziećmi!

Jak ojciec lubi widzieć swoje odbicie w synu, tak Bóg stworzył człowieka "na podobieństwo swoje". Bóg chce, abyśmy byli Jego dziećmi, które z Nim rozmawiają i z którymi On może rozmawiać, które Jego kochają i które On może kochać. Czy Wy się modlicie? Jakże przykro byłoby ojcu, gdyby jego dziecko przez całe lata z nim nie rozmawiało! A człowiek, który się nie modli, nie rozmawia ze swoim niebiańskim Ojcem! Widzicie, Bóg chce, byśmy byli Jego dziećmi, które z Nim rozmawiają i kochają Go, i które On kocha. Po to jesteśmy na świecie! Proszę, zrozumcie mnie właściwie: nie mówię o Kościele, o dogmatach, o religii itd... Mówię o żywym Bogu, który stworzył ciebie, abyś był Jego dzieckiem. Czy jesteś nim?

Muszę teraz pójść jeszcze dalej: Mamy być dziećmi Bożymi, ale z natury wcale nimi nie jesteśmy. Na początku Biblii czytamy: "I stworzył Bóg człowieka na obraz swój". A dalej Biblia opowiada o strasznej katastrofie. Człowiek został przez Boga obdarzony wolną wolą i oto obrócił się przeciwko Bogu. Zjadł owoc z drzewa poznania dobra i zła, mówiąc przez to: "Chcę być niezależny. Mogę żyć bez Boga!". Rozumiecie – Adam nigdy nie poddawał w wątpliwość istnienie Boga. On po prostu uwolnił się od Niego i chciał sam rządzić swoim życiem.

Muszę wam w związku z tym opowiedzieć pewną historię. Niedawno temu zatrzymał mnie na ulicy jakiś mężczyzna i spytał: "Panie pastorate, pan ciągle mówi o Bogu. Ale ja Go nie widzę. Niech mi pan powie, jak mogę znaleźć Boga?" Odpowiedziałem mu na to: "Niech pan słucha uważnie. Proszę sobie wyobrazić, że wynaleziono maszynę czasu, dzięki której mogę sobie podróżować przez stulecia naprzód i wstecz. Za pomocą tej maszyny cofam się aż do prapoczątków historii ludzkości. Pewnego wieczoru spaceruję sobie po raju. Pan zna zapewne historię upadku pierwszego człowieka? No właśnie, więc spaceruję sobie i nagle za jakimś krzakiem spotykam Adama, pierwszego człowieka. "Dobry wieczór, Adamie!" "Dobry wieczór, pastorate Busch!" "Dziwisz się zapewne, że mnie tu widzisz? – powiadam – znalazłem się w raju przez nieuwagę, coś tam przesunęło się za kulisami teatru świata." "Aha, – mówi Adam – a dlaczego jesteś taki zamyślony?" "Bo, widzisz, zastanawiam się nad pytaniem, które zadał mi pewien człowiek, a mianowicie: jak mogę znaleźć Boga?" Na to Adam roześmiał się głośno i powiedział: "Problem nie leży w tym, jak mogę znaleźć Boga. Przecież On jest tutaj! Niech pan przyzna uczciwie, panie pastorate, wam chodzi raczej o to, jak się Jego pozbyć! Ale cała trudność polega na tym, że nie można Go się pozbyć!"

Adam ma rację. Bóg jest! I można Go znaleźć. Ale pozbyć się Go nie można! Patrząc na historię myśli ludzkiej ostatnich trzystu lat, widzimy te usiłowania, by pozbyć się Boga. Ale to się nam nie udało. Moi drodzy, Wy wszyscy w gruncie rzeczy wierzycie, że Bóg istnieje, ale nie należycie do Niego. Postępujecie tak, jak większość ludzi: zagadnienie Boga odkładacie na bok. Nie zaprzeczacie, że istnieje, ale też nie należycie do Niego. Nie jesteście wrogami Boga, ale nie jesteście też Jego przyjaciółmi. I w ten sposób najważniejszy problem waszego życia pozostaje nie rozwiązany.

Pewien lekarz szwajcarski stwierdza w swojej książce: "Jeżeli człowiek nie rozwiązuje ważnych problemów swojego życia, to w duszy jego powstaje rana, uraz". I dodaje: "My na Zachodzie jesteśmy chorzy na Boga. Nie zaprzeczamy Jego istnieniu, ale nie należymy też

do Niego, po prostu Go nie chcemy. Dlatego jesteśmy chorzy na Boga". Tak, ja też w to wierzę!

Jeżeli słyszę zewsząd: "Człowiek współczesny nie interesuje się Bogiem!", to mogę powiedzieć tylko tyle: "W takim razie bardzo źle jest ze współczesnym człowiekiem. Ja jestem również człowiekiem współczesnym, a interesuję się Bogiem. I nie uważam, abym był przestarzały. Jeżeli jednak współczesny człowiek rzeczywiście nie interesuje się swoim zbawieniem, to jest z nim bardzo niedobrze". Posłużę się tu takim głupim przykładem. Wyobraźcie sobie młodego kuchcika, który jest na praktyce w restauracji. Pewnego dnia szef stwierdza: "Ten chłopak w ogóle nie interesuje się gotowaniem". "A czym się interesuje?" – pytam. "Płytami i dziewczętami" – odpowiada szef. "No – mówię – to powinien pan być bardziej wyrozumiały i rozmawiać z nim tylko o płytach i o dziewczętach." "O, nie! – odpowiada szef – Jeżeli ten facet nie interesuje się gotowaniem, to po prostu minął się z powołaniem."

Naszym powołaniem jest stać się dziećmi Bożymi. A jeżeli współczesny człowiek nie interesuje się tym, to znaczy, że minął się z powołaniem na człowieka. I nie ma sensu rozmawiać z nim o wszelkich możliwych – i niemożliwych! – rzeczach, które go być może interesują. Ja będę mu powtarzał bez przerwy: Zaczynasz być człowiekiem dopiero wtedy, gdy staniesz się dzieckiem żywego Boga!

3. ODPOWIEDŹ BOŻA NA TO NAJWAŻNIEJSZE PYTANIE

Powtarzam raz jeszcze: z natury swojej nie jesteśmy dziećmi Bożymi, ale żyjemy na tym świecie po to, by stać się nimi. Dlatego w naszym życiu musi coś się zmienić. Celem mojego odczytu jest przyczynienie się do tej zmiany. Nie jestem tu po to, by was trochę rozerwać. Nie, przyszedłem po to, by tym kilkorgu ludziom, którzy otworzą swoje serca, dopomóc – ach, gdyby mi się to udało! – w odnalezieniu sensu życia.

A więc: nie jesteśmy dziećmi Bożymi, nie kochamy Boga, przekraczamy Jego przykazania, nie interesujemy się Nim i nie

modlimy się – chyba że bieda nas przyciśnie, to wtedy pociągamy ten hamulec bezpieczeństwa. Ale dlatego właśnie, że tacy jesteśmy, najważniejszym pytaniem jest: "Jak mogę stać się dzieckiem Bożym?". Najchętniej rozdałbym wam teraz papier i ołówki z prośbą, byście napisali, jak to sobie wyobrażacie: jak można stać się dzieckiem Bożym. Zapewne dostałbym takie odpowiedzi: "Trzeba być dobrym człowiekiem", "trzeba wierzyć w Boga" itd. Ale to jest za mało. To nie są odpowiedzi na pytanie, jak mogę stać się dzieckiem Bożym.

Odpowiedź na to najważniejsze pytanie mogę otrzymać tylko przez objawienie. Tylko Bóg może mi powiedzieć, w jaki sposób mogę zostać Jego dzieckiem. Sam tego nie wymyślę, chociaż jestem pastorem. Ale Biblia daje nam jasną i wyraźną odpowiedź: tylko przez Jezusa! Moi drodzy, gdy zaczynam mówić o Jezusie, serce mi bije przyspieszonym rytmem, bo to jest temat mojego życia. Jeżeli chcę być dzieckiem Bożym, to może się to stać tylko przez Jezusa!

Są takie słowa w Biblii, które można przetłumaczyć dosłownie: "Jezus przyszedł na ten świat ze świata Boga". Bez przerwy słyszy się dzisiaj, że w Biblii przedstawiony jest przestarzały obraz świata: w górze niebo, na dole ziemia. Jest to bzdurne gadanie. W Biblii wcale nie ma takiego obrazu świata. Biblia mówi o Bogu: "Ogarniesz mnie z tyłu i z przodu..." A to jest zupełnie co innego. Rozumiecie: gdybym schował się pod ziemią, to Bóg też tam będzie. Biblijny obraz świata moglibyśmy określić we współczesnym języku jako "obraz świata w jego różnych wymiarach". My żyjemy w świecie trzech wymiarów: długość, wysokość, szerokość. Ale jest więcej wymiarów. I Bóg istnieje w innym wymiarze. Jest zupełnie blisko nas, tuż obok. Widzi was, jak krocycie bezbożnymi drogami! My jednak nie możemy przebić tej ściany, która dzieli nas od tego innego wymiaru. Tylko Bóg może to zrobić. I Bóg przebił tę ścianę i przyszedł do nas w Jezusie Chrystusie!

W Nowym Testamencie powiedziano o Jezusie: "Do swej własności przyszedł," – świat należy wszakże do Niego! – "ale swoi Go nie przyjęli". I ta historia Ewangelii powtarza się do dnia

dzisiejszego: Jezus przychodzi, a człowiek zamyka przed Nim drzwi. "Do swej własności przyszedł, ale swoi Go nie przyjęli..." Właściwie w tym miejscu historia Boga z ludźmi powinna się zakończyć. Ale, o dziwo, nie kończy się, tylko idzie dalej: "Tym zaś, którzy Go przyjęli, dał prawo stać się dziećmi Bożymi". A więc dzieckiem Bożym można się stać, przyjmując Jezusa! Czy otworzyliście już drzwi swego życia, aby Go przyjąć? "Tym zaś, którzy Go przyjęli, dał prawo stać się dziećmi Bożymi..."

W czasie pierwszej wojny światowej byłem młodym oficerem i byłem daleko od Boga. I wtedy zdarzyło się to, odkryłem te słowa, otworzyłem swoje życie dla Jezusa i przyjąłem Go. Był to wielki przezwrot w moim życiu. Ale ani przez chwilę nie żałowałem tego. Z powodu tej decyzji wiele musiałem wycierpieć, byłem wtrącany do więzienia i przeżyłem ciężkie chwile. Ale gdybym miał sto razy przeżyć moje życie, od pierwszej chwili trzymałbym się tych słów: "Tym zaś, którzy Go przyjęli, dał prawo stać się dziećmi Bożymi". Gdy zostałem dzieckiem Bożym, życie moje nabrało sensu. Wszystko jedno kim jestem – pastorem czy zamiataczem ulic, dyrektorem generalnym czy ślusarzem, gospodynią domową czy nauczycielką, życie moje nabiera sensu z chwilą, gdy stałem się dzieckiem Bożym. A więc: musicie przyjąć Jezusa! Wtedy odnajdziecie sens życia. Wtedy i tylko wtedy!

Bardzo interesującą rzeczą jest studiowanie życia ludzi Nowego Testamentu. Jest tam na przykład pewna kobieta, której życie było zupełnie pozbawione sensu: Maria Magdalena. W Biblii mówi się lakonicznie, że Jezus "wypędził (z niej) siedem demonów". Ba, znam ludzi opętanych przez dwanaście demonów! Życie jej musiało być straszne, zniewolone przez zmysły. Musiała bardzo cierpieć, że było tak pozbawione sensu. A potem przyszedł Jezus, Zbawiciel, Syn Boży, i wypędził z niej demony. On może to zrobić i robi. Od tej chwili kobieta ta była własnością Jezusa i życie jej nabrało sensu. Ale Jezusa przybito do krzyża i umarł. Kobietę ogarnęło przerażenie, że znowu zacznie się to życie bez sensu. Trzeciego dnia po ukrzyżowaniu Jezusa klęczała w ogrodzie przy Jego grobie i płakała: kamień był odwalony,

a grób pusty, nie było nawet ciała. Dlatego płakała. Jak dobrze rozumiem tę kobietę! Gdybym dziś utracił Jezusa, to moje życie runęłoby w przepaść bezsensu istnienia. Wiem, co myślała: "Zbawiciel zniknął i moje życie znowu straciło sens". I nagle usłyszała głos: "Mario!" Odwróciła się i ujrzała Jego, Jezusa Zmartwychwstałego. Widzę po prostu, jak po twarzy jej płyną łzy szczęścia i radości, przemieszane ze łzami niedawnej rozpacz: "Rabbuni!" Nauczycielu!

Przykład tej kobiety ukazuje wyraźnie, że nie trzeba być wielkim filozofem, by otrzymać odpowiedź na pytanie o sens życia. Najprostszy człowiek zadaje sobie pytanie: "Po co żyję?" I najprostszy człowiek może otrzymać odpowiedź. W chwili, gdy Maria Magdalena przyjęła Jezusa, zagadnienie sensu życia zostało dla niej rozwiązane. Stała się dzieckiem żywego Boga, a życie jej rozjaśniła światłość.

Dlatego proszę was: przyjmijcie Jezusa! On na was czeka. Idźcie do domu i porozmawiajcie z Nim. On jest zupełnie blisko was. Jakie to byłoby cudowne, gdyby ktoś z was po raz pierwszy zawołał: "Panie Jezu! Moje życie nie ma sensu. Przyjdź do mnie, jak przyszedłeś do Marii Magdaleny!"

Oczywiście, gdy przyjmujemy Jezusa, w życiu naszym następuje wielka rewolucja. On daje mi udział w swojej śmierci, i mój stary człowiek umiera. Zmartwychwstaję z Nim razem do zupełnie nowego życia jako dziecko Boże. On daje mi swego Ducha, abym w jednej chwili zaczął inaczej myśleć i abym zmienił swoje upodobania. Ale sami to wszystko przeżyjecie, gdy przyjmiecie Jezusa! Teraz powiem wam tylko jedno: przyjęcie Jezusa oznacza zupełnie nowe życie. Stając się dzieckiem Bożym nie tylko zmieniamy sposób myślenia, ale zaczynamy zupełnie nowe życie.

W zeszłym stuleciu żył w Westfalii pewien szewc nazwiskiem Rahlenbeck. Nazywano go "pietystycznym księdzem", ponieważ ogromnie serio traktował naśladowanie Jezusa. Był to błogosławiony mąż wielkiego formatu. Pewnego dnia odwiedził go młody pastor. Rahlenbeck powiada: "Panie pastorze, to, że ukończył pan studia teologiczne, nie oznacza jeszcze, że jest pan dzieckiem Bożym. Pan

musi przyjąć Zbawiciela." Pastor odpowiedział: "Ależ ja mam Zbawiciela. Jego obraz wisi u mnie w gabinecie." "Ha – powiada stary Rahlenbeck – Zbawiciel na ścianie wisi sobie cicho i spokojnie. Ale gdy pan Go przyjmie do swego serca i życia, to dopiero będzie hałas!"

Życzę wam, abyście doświadczyli tego wspaniałego hałasu w waszym życiu, kiedy stary człowiek w was umrze i będziecie sławili Ojca w niebie jako Jego dzieci, wiedząc po co żyjecie na ziemi i chwając Go myślą, słowem i uczynkiem.

Zrozumcie, że to, o czym mówię, nie jest jakimś religijnym hobby, nie jest wymysłem pastora. Od tego zależy wasze życie i śmierć, wieczne życie i wieczna śmierć.

Jezus powiedział: "Oto stoję u drzwi i kołaczę; jeśli ktoś usłyszy głos mój i otworzy drzwi, wstąpię do niego..." Dziś Pan Jezus to samo mówi do nas: "Spójrz, stoję przed drzwiami twego życia. Otwórz mi. Chcę nadać sens twojemu życiu".

Pewnego razu przyszedł do mnie na rozmowę stary górnik. Miał lat 70. Oto co mi powiedział: "Gdy miałem siedemnaście lat, poszedłem raz na zebranie ewangelizacyjne. Usłyszałem to pukanie Jezusa do moich drzwi. Ale powiedziałem sobie: "Człowieku, jeżeli zdecydujesz się otworzyć i przyjmiesz Go, to wszyscy koledzy zaczną się z ciebie wyśmiewać! Nie, to wykluczone". I uciekłem z zebrania. Dziś jestem starym człowiekiem, moje życie przeminęło. I teraz wiem, że moje życie poszło fałszywym torem, ponieważ w tamtej godzinie nie otworzyłem Jezusowi drzwi".

Moi przyjaciele, mamy tylko jedno życie i dlatego pytanie: "Po co żyję?", jest pytaniem pierwszorzędnej wagi. Bóg jasno i wyraźnie odpowiedział na nie w Jezusie, Ukrzyżowanym i Zmartwychwstałym. I teraz ten Jezus stoi przed waszymi drzwiami i puka. Otwórzcie Mu, a nigdy tego nie pożałujecie!

NIE MAM CZASU

Gdy zaprasza się ludzi na moje wykłady, mówiąc: "Niechże pan przyjdzie posłuchać pastora Buscha!", najczęściej słyszy się w odpowiedzi: "Nie mam czasu!"

Pewnego razu przebywałem w sanatorium. Podczas posiłków siedziałem naprzeciw starszego mężczyzny, z którym bardzo miło się rozmawiało. Nieraz myślałem sobie, że wielki z niego smakosz, bo z widocznym zadowoleniem pochłaniał potrawy. Lubił też siedzieć na słońcu i rozkoszować się pięknem krajobrazu. Jednakże rozmowy nasze obracały się zawsze tylko wokół spraw powierzchownych i błahych i z czasem zaczęło mnie to martwić. Czy takie rozmowy są czymś złym? Oczywiście nie, ale jestem przekonany, że prawdziwą rzeczywistością jest Bóg. Pamiętam też, jak zmieniło się moje życie, gdy dowiedziałem się o tym, co uczynił Bóg: "Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny". To jest straszne, gdy człowiek obojętnie przechodzi obok Bożego zbawienia. A mój towarzysz przy stole tak najwidoczniej postępował. Jakże będzie się czuł, gdy przyjdzie mu kiedyś stanąć przed obliczem Boga? Pewnego dnia przy obiedzie wręczyłem mu napisaną przez siebie książeczkę ze słowami: "Proszę, niech pan to przeczyta. Jest tu mowa o doświadczeniach z Bogiem. Z pewnością znajdzie pan wiele materiału do przemyślenia". I co się stało? Pan ten serdecznie mi podziękował i powiedział: "Teraz muszę odpocząć... Ale być może w domu znajdę kiedyś czas, aby przejrzeć coś takiego..." To mówiąc odłożył książkę na bok. Zrobiło mi się trochę smutno. Więcej czasu niż w sanatorium ten człowiek nie będzie miał nigdy. On po prostu nie chciał mieć czasu dla Boga.

Bardzo to niebezpieczne tak postępować z Bogiem. I dlatego muszę tu poruszyć problem braku czasu.

1. OSOBLIWY STAN RZECZY

Dlaczego właściwie nie mamy czasu? Muszę tu zwrócić waszą

uwagę na pewien dziwny fakt, którego nie mogę sobie wytłumaczyć i którego nikt nie umiał mi wyjaśnić.

Pomyślcie tylko: Jeżeli sto lat temu kupiec ze Stuttgartu chciał ubić interes z kupcem w Essen, to musiał jechać 5 dni dyliżansem w jedną stronę i 5 dni w drugą. Razem dziesięć dni zużywał na podróż, ze dwa na załatwienie interesu i tak kosztowało go to prawie pół miesiąca. Dziś handlowiec załatwia sprawę telefonicznie i nawet nie musi czekać na połączenie przez telefonistkę, bo ma automat. Oszczędma więc 12 dni. Kiedy jednak obserwuję dzisiejszych kupców, to widzę, że żaden z nich nie ma na zbyciu dwunastu wolnych dni. Przeciwnie – każdy mówi: "Nie mam czasu!". Jak to się dzieje?

Kiedy jako dziecko jeździłem do moich dziadków w góry, to była to prawie podróż dookoła świata. Dziś można się tam dostać ekspresem w niespełna 5 godzin. Przecież ludzie powinni mieć o wiele więcej czasu! Kiedyś pracowało się 60 godzin tygodniowo albo nawet więcej. Dziś pracuje się najwyżej 40 godzin na tydzień. I co? I nikt nie ma na nic czasu! Jak to się dzieje?

Albo taka sprawa: we wszystkich dziedzinach życia dąży się dziś do uproszczenia wszelkich czynności. Za czasów mojej matki nie było automatycznych pralek ani robotów kuchennych. Matka miała ośmioro dzieci. A te dzieci nie nosiły bielizny z tworzyw sztucznych i wszystkim trzeba było cerować pończochy. Moja matka znajdowała czas, by przeczytać codziennie cztery rozdziały Biblii i pomodlić się za całą rodzinę! Czy Wy macie na to czas? Nie, nie macie! Jak to się dzieje?

Popatrzcie: wszystko nastawione jest dzisiaj na oszczędzanie czasu, a nikt czasu nie ma. Czy możecie to wytłumaczyć? Długo nad tym myślałem. Jest to rzecz, której nie sposób zrozumieć. Istnieje tylko jedno wytłumaczenie, którego ludzie nie chcą wprawdzie przyjąć, ale które uważam za jedyne: za kulisami stoi ktoś, kto nas pogania. Ktoś, kto zajmuje się tym, żeby ludzie nie mieli czasu i trzaskając z bicia jak pogromca dzikich zwierząt w cyrku, bez przerwy zmusza ludzi do pośpiechu. Mówi o tym Biblia – tak, jest taki ktoś! A tym kimś jest diabeł. A teraz pytanie: Czy diabeł istnieje?

Odpowiadam: Tak, diabeł istnieje! Istnieją "władcy ciemności"!

Niedawno rozmawiałem z pewnym mężczyzną, który mi powiedział, że "skończył z chrześcijaństwem". Odpowiedziałem: "Cóż za złudzenia! To diabeł ma pana w swojej mocy i on pana skończy!" Mężczyzna uśmiechnął się: "Diabeł! – powiedział – Czyż diabeł istnieje?"

Jest w Biblii taka historia o tym, jak Jezus kuszony był przez diabła. Wprowadził Go diabeł na wysoką górę i pokazał wszystkie królestwa świata i ich bogactwa, mówiąc: "Dam Ci tę całą władzę i chwałę ich, ponieważ została mi przekazana, i daję ją, komu chcę. Jeśli więc Ty oddasz mi pokłon, cała ona Twoja będzie". Jest to jedno z tych miejsc w Biblii, które przejmują mnie do głębi, bo Pan Jezus nie zaprzeczył, że diabeł ma władzę nad tym światem.

I mówię wam: Kto nie pojmuje, że istnieją władcy i moce ciemności, ten jest ślepy i głupi. Jak bowiem można inaczej wytłumaczyć to, co dzieje się na świecie? Wspomnę tu tylko parę historii.

Na przykład ci wszyscy ludzie (a jest ich wielu), którzy ulegają swoim słabościom i pożądlivościom. Pewnej nocy zjawił się u mnie dyrektor dużego przedsiębiorstwa. Był – jak to się mówi – "na gazie", czyli, wiecie, po dużej ilości alkoholu, ale jeszcze zupełnie przytomny, i mówi do mnie: "Niech mi pan powie. Ja muszę pić, nic nie mogę na to poradzić. Mój ojciec był pijakiem i odziedziczyłem to po nim. Muszę pić!" Czy wiecie, jak wielu ludzi rozpacza w głębi serca: "Ja muszę..."? A któż ich do tego zmusza? Spójrzcie na nędzę i niedolę naszych czasów, a pojmiecie, że Biblia ma rację, że istnieją władcy i moce ciemności!

Dalej – pomyślcie o seksualnej rozwiązłości w naszych czasach. Jest na przykład taki pan, który ma uroczą rodzinę, zachwycającą żonę i nagle pada ofiarą wdzięków urzędniczki swojego przedsiębiorstwa. Idę do niego i mówię: "Mój drogi panie, pan rujnuje własne życie, pan niszczy własną rodzinę, pan stanie się pośmiewiskiem dla własnych dzieci". Widzę go, jak siedzi przede mną, ten wielki przemysłowiec, i mówi: "Panie pastarze, nie mogę odejść od tej dziewczyny. Nie

mogę!" Czyż nie jest to działanie mocy ciemności?

Znany pisarz angielski Somerset Maugham napisał grubą książkę pod tytułem "O zależności człowieka". Jakże ludzie są zależni jedni od drugich! Jak poddają się wpływom! Jak starsze pokolenie niewolniczo słuchało Hitlera! "Uwierzyłem, że dwa razy dwa jest dwadzieścia, bo führer tak powiedział!" Czuje się tu wyraźnie działanie mocy ciemności, działanie diabła!

Wielki poeta niemiecki Goethe napisał potężny dramat – "Fausta". Ponieważ wszyscy tu jesteście ludźmi wykształconymi, więc mogę założyć, że czytaliście to dzieło. Jest tam dziewczyna – Małgorzata, niewinne dziecko, która została uwiedziona. Brat staje w obronie jej czci i zostaje zabity. Chcąc bez przeszkód przyjąć uwodziciela, Małgorzata podaje matce środek nasenny. Matka umiera. A później Małgorzata zabija swoje dziecko, tak jak dziś ludzie zabijają dzieci w łonie matek. Jak straszną obarczają się winą! I ta dziewczyna, która zabiła matkę, brata i dziecko, mówi przy końcu dramatu, że wszystko to, co popchnęło ją do tych czynów, było tak dobre i miłe... Wstrząsające. Goethe nie był taki głupi, pokazując w "Fauście", że w całej tej historii maczał palce diabeł!

Jako pastor w dużym mieście bez przerwy napotykam takie historie. I gdy ktoś przychodzi do mnie, mówiąc: "Diabeł nie istnieje", to mogę go tylko zapytać: "Z jakiej zabitej deski wsi pan właściwie przyjechał?" – chociaż tam prawdopodobnie też dzieją się różne diabelstwa.

Ach, moi przyjaciele, istnienie diabła potwierdza mi również obserwacja prawdziwych chrześcijan, którzy potrafią być tak ślepi w stosunku do własnych błędów. Znam taką pobożną kobietę, która jest wyjątkową egoistką. Zadręcza swoją synową na wszelkie możliwe sposoby, ale nie widzi tego. Pobożna kobieta! O wy, pobożni ludzie, proście Boga, aby uwolnił was spod panowania mocy ciemności.

Widzicie więc, że nie można wytłumaczyć tego, co dzieje się na świecie, nie rozumiejąc, że istnieje diabeł, moce ciemności działające w określonym kierunku i nie pozwalające nam wytchnąć ani przez chwilę. Dlatego nie mamy czasu. Diabeł robi wszystko, abyśmy nie

mieli czasu zastanowić się i zrozumieć, że jest wyzwolenie spod władzy tych mocy ciemności. I teraz muszę powiedzieć wam coś na temat tego wyzwolenia.

2. CUDOWNY FAKT

Istnieje wyzwolenie – to jest ten cudowny fakt! Ach, moi przyjaciele, jaki jestem szczęśliwy, że mogę przekazywać tak piękne poselstwo. W karnawale występują tak zwani żartownisie. Nieraz sobie myślę, jak oni się czują, gdy wieczorem zmyją z twarzy szminkę i siedzą w swoim pokoju. Taki człowiek powinien właściwie pomyśleć wtedy: "Zarabiam pieniądze dzięki temu, że mówię głupstwa i różne brudne dwuznaczniki..." Chyba powinien brzydzić się sobą!

Jaki jestem szczęśliwy, że wolno mi mówić o cudownym fakcie: istnieje wyzwolenie od mocy ciemności!

Apostoł Paweł tak opisał kiedyś nasz stan jako chrześcijan: uczestniczymy w dziedzictwie świętych w światłości, a Bóg nas "wyrwał z mocy ciemności i przeniósł do Królestwa Syna swego umiłowanego, w którym mamy odkupienie"; odkupieni jesteśmy Jego krwią. A więc o tym, czy jesteśmy chrześcijanami, nie decyduje przede wszystkim to, że jesteśmy ochrzczeni, konfirmowani i płacimy składki. Być chrześcijaninem – to znaczy przeżyć odnowę, odmienić swoje życie, zostać wyrwanym z mocy ciemności i zacząć nowe życie pod panowaniem nowego Pana!

Muszę tu opowiedzieć pewną historię, usłyszaną od pastora, który pełnił misję w Berlinie. Miał on pod swoją opieką alkoholika. Ten nałóg jest straszny. Pewnego dnia dowiedział się, że ten człowiek znowu upił się, porozbijał meble i pobił swoją żonę. Poszedł więc do niego. Była piąta po południu. Mężczyzna siedział w kuchni i pił kawę, a na krześle obok siedział jego pięcioletni synek. Pastor przywitał się uprzejmie i pyta: "No i co, znowu się nie udało?" Na to mężczyzna zazgrzytał zębami, zerwał się i bez słowa wybiegł z kuchni. Po chwili wrócił niosąc sznur do wieszania bielizny i nie

mówiąc ani słowa, zaczął przywiązywać swojego synka do krzesła. Pastor patrzył na to z przerażeniem, ale czekał, co będzie dalej. Mężczyzna zawiązał supeł i krzyknął na synka: "Wstań!" Mały zaczął płakać i wołać: "Nie mogę! Tato, przecież nie mogę wstać!" I wtedy ten pijak z rozdzierającym serca wyrazem twarzy zwraca się do pastora i mówi: "Widzi pan – o to właśnie chodzi. Nie może! Ja też nie mogę!" Straszne: "Nie mogę!" A wtedy pastor wyjął z kieszeni scyzoryk i nie bacząc na to, że wyrządza szkodę – przeciął ten śliczny nowy sznur do wieszania bielizny, po czym spokojnie powiedział chłopcu, żeby wstał. Dziecko podniosło się. Pastor zwrócił się do mężczyzny: "No, proszę!" "Ba, – odpowiedział mężczyzna – to łatwe, skoro pan przeciął sznur." A pastor na to: "Niech no pan posłucha, jest Ktoś, kto rozcina więzy, które nas krępują. To Jezus".

Świat pełen jest ludzi, którzy mogą świadczyć:

"Gdy Jezus przychodzi, więzy spadają,

I śmierci kajdany pękają.

Nasz Wybawiciel, Syn Boży, przychodzi,

Człowieka z grzechu i hańby wywodzi,

Jezus, nasz Pan!"

Cudowny fakt: istnieje wyzwolenie z mocy ciemności!

Muszę wam powiedzieć jeszcze trzecią rzecz:

3. ZASADNICZY TEMAT

Mój zasadniczy temat? No cóż, wyzwolenie przychodzi dzięki Jezusowi. Muszę więc teraz mówić o Jezusie. A gdy mówię o Nim, to jestem w samym centrum mojego zasadniczego tematu.

Zaproszono mnie kiedyś w Nowym Jorku do klubu murzyńskiego. Jak wiadomo, w USA są duże napięcia rasowe. A w tym klubie w holu na dole stał na cokole marmurowy posąg białego człowieka. Zdziwiłem się, że Murzyni postawili u siebie pomnik białemu, więc spytałem kręcącego się tam eleganckiego młodzieńca: "Przyjacielu,

czyj to pomnik?" I tu nastąpiła scena, której nigdy nie zapomnę. Młody człowiek stanął przed pomnikiem i oświadczył uroczyście: "To jest Abraham Lincoln, mój wyzwoliciel!" Na długo przed urodzeniem się tego młodego człowieka prezydent Lincoln w straszliwej wojnie wywalczył wolność dla Murzynów. Młodego człowieka nie było wtedy na świecie. Ale to, że może on teraz żyć jako wolny człowiek, zawdzięcza krwawym walkom prowadzonym przez Abrahama Lincolna. Poszedłem schodami na górę, a młodzieniec stał jeszcze przed pomnikiem i mruzczał sam do siebie: "Abraham Lincoln, mój wyzwoliciel!"

Tak ja pragnę stać pod krzyżem Jezusa, mówiąc: "Jezus, mój Wyzwoliciel!"

Jest w Biblii takie zdanie, w którym mowa jest o bardzo osobliwej sprawie: "Bo zakon Ducha, który daje życie w Chrystusie Jezusie, uwolnił cię od zakonu grzechu i śmierci". Istnieją prawa przyrody. Jeżeli upuszczę trzymaną w rękę chusteczkę do nosa, to zgodnie z prawem ciężkości spadnie ona na ziemię. Nie można tego zmienić. Jeżeli jednak spadającą chusteczkę uda mi się złapać, to nie spadnie aż do ziemi. To znaczy, jeżeli zadziała siła większa od przyciągania ziemskiego, to działanie prawa ciężkości zostanie przerwane. Z natury naszej podlegamy prawu grzechu i śmierci. Wszyscy ciężymy ku wiecznej zgubie. To wiemy. I teraz wszystko zależy od tego, czy zadziała siła większa od tego prawa natury i powstrzyma nasz upadek. Tylko to może nas ocalić. I tę siłę dał nam Bóg w Jezusie ku zbawieniu, ku wyzwoleniu! Jezus odebrał diabłu jego moc. A w mocy Ducha Świętego podarowanej nam przez Jezusa możemy żyć nowym, wyzwolonym życiem!

To jest bardzo dziwne, ale świat nie może uwolnić się od Jezusa. Czy możecie to zrozumieć? Ktoś kiedyś powiedział, że Jezus jest obcym ciałem w organizmie świata. Tak jest rzeczywiście. On jest obcym ciałem z nieba. Kim jest ten Jezus? Muszę się przy tym temacie zatrzymać, bo wszystko zależy od tego, czy poznacie Jezusa. Tylko proszę, nie pozwólcie, by pouczyły was o Nim jakieś czasopisma. Nie dajcie się ogłupić ludziom, którzy wcale nie znają Jezusa. Tylko

Nowy Testament daje prawdziwe informacje o tym, kim jest Jezus. Luter tak to na podstawie Biblii sformułował: "Prawdziwy Bóg zrodzony przez Ojca w wieczności, i zarazem prawdziwy Człowiek zrodzony przez Marię Pannę." Bóg i Człowiek! Łączy w sobie w jedno niebo i ziemię.

Jezus jest "prawdziwym Człowiekiem"! On umiał płakać nad grobem Łazarza. A ja myślę sobie, że umiał się też śmiać! Na przykład wtedy, gdy powiedział uczniom: "Spójrzcie na ptaki niebieskie, że nie sieją ani zną, ani zbierają do gumien, a Ojciec wasz niebieski żywi je...". Ach, ja po prostu widzę Go, mojego Zbawiciela, jak mówiąc to, śmieje się: "Te bezczelne wróble! O nic się nie troszczą, a są syte i tłusciutkie!" O, jakim cudownym Człowiekiem jest Jezus!

A ta historia o Nim jak nauczał, a potem nakarmił pięć tysięcy ludzi. Pięć tysięcy mężczyzn "oprócz niewiast i dzieci". Gdybyśmy dziś z naszych chrześcijańskich zebrań odesłali wszystkie kobiety, to któż by pozostał? Cóż to było za potężne zgromadzenie wtedy, przed Panem Jezusem: pięć tysięcy mężczyzn oprócz kobiet i dzieci! A Pan Jezus nie miał mikrofonu. Jakimże cudownie potężnym głosem musiał przemawiać! Ach, to był nadzwyczajny Człowiek.

Jedną z największych scen przedstawionych w Nowym Testamencie jest ta oto:

Prokurator rzymski Poncjusz Piłat kazał Jezusa ubiczować. W koronie cierniowej na głowie, zalany krwią, z ranami na plecach i z oplutą twarzą stanął Jezus przed Piłatem. Ludzki wrak. Piłat spojrzął na Niego, spojrzął na tłum i ukazując na Jezusa powiedział: "Oto człowiek!" Luter tłumaczy to miejsce: "Co za człowiek!" Ale dosłownie powiedziane jest "Oto człowiek!" Piłat mówi tym samym: "Widziałem wiele dwunożnych istot, ale były to głodne wilki, niebezpieczne tygrysy, chytne lisy, próżne pawie, ba – małpy. Ale Jezus jest człowiekiem". Być może Piłat zrozumiał wtedy, że Jezus jest takim człowiekiem, jakim powinien być każdy z nas. Niedawno ktoś mi powiedział: "Jezus był takim samym człowiekiem jak my". Odrzekłem: "Jezus był człowiekiem, ale właśnie nie takim, jakim

każdy z nas jest, ale takim, jakim każdy z nas powinien być". Jezus był takim człowiekiem, jakim Bóg chce widzieć każdego z nas. Jeżeli ktoś wam powie, że Jezus był takim samym człowiekiem jak my – spytajcie go: "Czy jesteś taki jak Jezus?"

A Jezus jest "prawdziwym Bogiem zrodzonym przez Ojca w wieczności".

Mógłbym wam opowiadać o Nim całymi godzinami. Na przykład o tym, jak Jezus z uczniami wypłynął łodzią na jezioro Genezaret i przysłała wielka burza. Fale zalewały łódź, maszt się złamał. Uczniowie z początku przechwalali się przed sobą, że to im nie straszne, bo są przecież doświadczonymi żeglarzami. Ale potem ogarnął ich lęk, po prostu wpadli w panikę i zaczęli krzyczeć: "Gdzie jest Jezus?". A On spał sobie w kajucie. Uczniowie rzucili się do kajuty, gonieni przez fale, i wołali: "Panie, ratuj, giniemy!" I widzę, jak Jezus wychodzi na pokład i staje oko w oko z burzą. My zawsze chcemy zamknąć Jezusa w cichych, spokojnych kościołach. A On wkracza tu w sam środek nawałnicy. Przez chwilę mogłoby się zdawać, że burza Go porwie z pokładu. Ale On wyciąga rękę i nakazuje majestatycznie: "Umilknij! Ucisz się!". I w tej samej chwili ustał wicher, uspokoiły się fale, rozeszły chmury. Gdy opowiadałem tę historię moim dzieciom, gdy były małe, synek mój zapytał: "A grzmoty też ucichły?" "Tak – potwierdziłem – i grzmoty ucichły." Zaświeciło słońce, a uczniowie upadli na kolana: "Kim jest ten mąż? On nie jest takim człowiekiem jak my". Nareszcie zrozumieli, że jest to Bóg, który stał się Człowiekiem!

Ale tak naprawdę zrozumieli to dopiero po Wielkanocy, gdy Jezus wstał z grobu – żywy. Moi przyjaciele, nie opowiadam wam tu żadnych bajek. Nie odważyłbym się stać tu przed wami, gdybym nie wiedział, że prawdą jest, iż w Jezusie Zmartwychwstałym przyszedł do nas żywy Bóg.

Ale najczęściej widzę Go, jak wisi na krzyżu. Tam jest rzeczywiście Bogiem i Człowiekiem. Chciałbym, byście Go tak zobaczyli. Jego, który nosi wprawdzie koronę, ale jest to korona hańby. Jego mocarne dłonie są przybite do krzyża. I nagle skłania

głowę i umiera. "O głowo krwią zbroczona, oplwana, pełna ran!" Spójrzcie na tego Jezusa, stańcie przed Nim i zapytajcie: "Dlaczego On tu wisi?" Pytajcie tak długo, aż znajdziecie odpowiedź: Tu, na tym miejscu wyzwolił mnie spod władzy mocy ciemności. Tu uwolnił mnie spod władzy diabła. Tu zostałem wykupiony, abym mógł stać się wolnym dzieckiem Bożym. Wyobraźcie sobie, że stoicie pod krzyżem wtedy, gdy to się działo i pojmijcie: tu, na tym krzyżu odjęta została diabłu jego moc i już nie musicie być w jego władzy. Jezus jest mocniejszy. Ten Ukrzyżowany wykupił nas, abyśmy byli wolnymi dziećmi Bożymi.

Przestańcie zajmować się głupimi problemami naszych czasów! Zdajcie sobie wreszcie sprawę z prawdziwej rzeczywistości. Możemy i powinniśmy być wolnymi dziećmi Bożymi. Bóg dał ku temu wszystkie możliwości, dał je w Jezusie, który został ukrzyżowany i powstał z martwych – za nas i dla nas.

Wiem, że gdy mówi się o Bogu, to człowiek czuje się bardzo nieswojo. Dlaczego? Widzicie, my wszyscy jesteśmy w sytuacji syna marnotrawnego, o którym mówi Biblia. Odszedł on z domu rodzinnego, od ojca, żył gdzieś daleko i nagle poczuł się bardzo nieszczęśliwy. Powróciłby chętnie, ale bał się, nie mógł się odważyć. Dlaczego? Bo zbyt wiele spraw stało pomiędzy nim a ojcem.

Wielu jest ludzi, którzy nie przychodzą do Boga, bo w głębi serca myślą: "Pomiędzy Bogiem a mną jest tyle różnych spraw, że nie należymy już do siebie". I oczywiście mają rację. Dostali się pod władzę mocy ciemności i nie mogą mieć społeczności z Bogiem. Tak, ale cóż Wy sobie myślicie? Jeżeli Jezus chce nas wyzwolić z mocy ciemności i uczynić z nas dzieci Boże, to przecież chce też usunąć to, co stoi pomiędzy Bogiem a nami! I uczynił to na Krzyżu. Teraz możemy otrzymać od Niego odpuszczenie grzechów. Tak jest: ten ukrzyżowany Zbawiciel wybacza nam nasze grzechy! Zrozumiał to Paweł: Bóg wyrwał nas "z mocy ciemności i przeniósł do Królestwa Syna swego umiłowanego, w którym mamy odkupienie, odpuszczenie grzechów.". Z natury naszej dajemy się powodować diabłu. Ale Jezus, Syn Boży, ratuje nas ofiarowując odpuszczenie grzechów.

A Bóg, moi drodzy, po to dał nam czas tu, na ziemi, abyśmy mogli przyjąć zbawienie w Jezusie.

4. O TAKIM JEDNYM, KTÓRY TEŻ NIE MIAŁ CZASU

Tak, tak, jeszcze nie skończyłem! Chcę wam teraz opowiedzieć o pewnym człowieku, który też nie miał czasu. Jest to historia z Nowego Testamentu. Ten człowiek był rzymskim namiestnikiem, a więc był bardzo ważny, a na imię miał Feliks. Cudowne imię – Feliks, to znaczy "szczęśliwy". Miał on żonę imieniem Druzylla. I miał więźnia, który nazywał się Paweł. Pewnego dnia, gdy namiestnik miał akurat dużo czasu, powiedział: "Przesłuchajmy sobie tego Pawła. Chodź, żono!" I poszli razem do sądu. Zasiedli na wspaniałych krzesłach, a na prawo i na lewo od nich stali legionieści. Przeprowadzono więźnia. "Powiedz no, Pawle, dlaczego zostałeś uwięziony?" – spytał Feliks. I Paweł zaczął swoją potężną mowę. Chciałbym umieć tak przemawiać! Mówił poważnie i coraz surowiej. I nagle wszyscy poczuli, że na sali jest żywy Bóg! Paweł mówił o sprawiedliwości, którą powinien kierować się każdy sędzia. Bardzo to poruszyło Feliksa, który przypomniał sobie wszystkie mętne przypadki, kiedy to brał łapówki. Dalej Paweł mówił o wstrzeźliwości, i tu Druzylla o mało nie spadła z krzesła: "A ten skąd się tu wziął w naszych czasach?" – tak sobie pomyślała. A potem Paweł zaczął mówić o sądzie Bożym i obojgu małżonkom zrobiło się gorąco, gdy usłyszeli, że mogą zostać zgubieni. Feliks zerwał się i powiedział: "Chwileczkę, Pawle! To, co mówisz, jest bardzo ładne i zapewne bardzo ważne. Gdy będę wolniejszy wezwę cię znowu i posłucham. Ale teraz nie mam czasu!" I kazał Pawła wyprowadzić. I nigdy już nie miał dla niego czasu...

Obawiam się, że jeżeli nie będziemy mieli czasu na słuchanie tego, co mówi do nas Bóg o sprawiedliwości, wstrzeźliwości i sądzie, to spotka nas to samo, co Feliksa. Zetknięcie się z Bożą rzeczywistością jest dla nas wstrząsem, prawda? I wtedy czym prędzej biegniemy do kina albo włączamy telewizor. Tu przynajmniej jesteśmy w swojskim otoczeniu i nie musimy się denerwować! I tak

wszystko pozostaje po staremu!

Czy to nie straszne, gdy o czymś życiu musimy powiedzieć: "Wszystko w nim pozostało po staremu – na zawsze"? Syn Boży przyszedł i powiedział: "Oto wszystko nowym czynię". Przebaczam przeszłość. Przez śmierć moją wykupiłem was dla Królestwa Bożego. Daję wam Ducha Świętego, abyście stali się nowymi ludźmi. Tak mówi Jezus, a my odpowiadamy: "Ach, nie!" – i wszystko zostaje po staremu. Są chrześcijanie, których chrześcijaństwo dawno już obumarło, ale oni jeszcze tego nie dostrzegli. Ach, moi drodzy, życzę wam, aby z wami tak nie było. Życzę wam tego, co najwspanialsze: żeby nic w waszym życiu nie pozostało po staremu, ale żeby wszystko nowym się stało przez Jezusa!

5. O TYM, KTÓRY MA CZAS

Na zakończenie muszę wam jeszcze powiedzieć coś bardzo ważnego: jesteśmy zagonieni dopóty, dopóki znajdujemy się pod panowaniem diabła. Ale ja znam Kogoś, kto ma dla każdego z nas czas: Jezus, Zbawiciel, Zmartwychwstały! Żony skarżą się: "Mój mąż nigdy nie ma dla mnie czasu!" Mężowie narzekają: "Moja żona nigdy nie ma dla mnie czasu!" Rodzice oburzają się: "Dzieci nigdy nie mają dla nas czasu!" Dzieci płaczą: "Rodzice nigdy nie mają dla nas czasu!" Posłuchajcie: Jezus ma czas! Jezus ma czas dla nas!

Odkryłem to zupełnie niedawno. W zeszłym tygodniu borykałem się z paroma trudnymi problemami, o których nie będę tu bliżej opowiadał. Człowiek zostaje niekiedy uwikłany w konflikty naszych czasów. Byłem tak przygnębiony, że moja żona powiedziała: "Jesteś po prostu nieznośny, ale mogę to zrozumieć". Wiecie, że się zarumieniłem? I uciekłem do lasu. A tam, w ciszy, porozmawiałem z moim Zbawicielem: "Panie Jezu, muszę Ci wyjaśnić, w jak ciężkim znalazłem się położeniu..." I opowiedziałem Mu wszystko. A On się nie spieszył, mogłem wyjaśnić wszystko szczegółowo. Trwało to dwie godziny. Potem otworzyłem Nowy Testament i każde słowo w nim było odpowiedzią Bożą dla mnie osobiście! Wróciłem do domu pełen

radości. Zrobiłem zupełnie nowe odkrycie: Jezus ma dla mnie czas!

W Nowym Testamencie jest taka cudowna historia. Na ulicy siedzi niewidomy i żebrze. Ma przed sobą dużą drewnianą miskę. Gdy ktoś przechodzi, żebrak wyciąga w jego stronę tę miskę i woła: "Daj mi jałmużnę!" Pewnego razu ulicą idzie wielki tłum. Niewidomy nasłuchuje i myśli: "Co to może być? Procesja czy wojsko?". Wreszcie pyta: "Co się dzieje?", a ktoś z tłumu odkrzykuje: "Jezus tędy przechodzi!" W duszy niewidomego zajaśniało światło. Słyszał już o Jezusie i wierzył, że Jezus jest Synem Bożym. I oto zaczyna wołać: "Jezusie, Synu Dawidowy, zmiłuj się nade mną!" Zdenerwowani ludzie uciszają go: "Nie krzycz tak! Chcemy słyszeć, co Jezus mówi!". Ale niewidomy woła dalej: "Jezusie, Synu Boży, zmiłuj się nade mną!". Teraz ludzie są już wściekli i grożą mu pobiciem, jeśli się nie uspokoi. Taki rozgniewany tłum jest bardzo niebezpieczny. Ale niewidomy nie daje się powstrzymać i dalej woła swoje. Gdybym tam był, postarałbym się wytłumaczyć mu, dlaczego nie powinien krzyczeć: "Posłuchaj – powiedziałbym – musisz zrozumieć. Jezus zmierza ku Golgocie. Chce umrzeć za ten świat. Świat ginie z powodu grzechu, a Jezus chce ten grzech wziąć na siebie, aby ludzie mieli pokój z Bogiem. Potem Jezus chce zmartwychwstać, zwyciężyć śmierć. To są sprawy ogólnoswiatowej wagi, nie możesz teraz przeszkadzać". No, ale mnie tam nie było i niewidomy dalej wołał: "Jezusie, Synu Dawidowy, zmiłuj się nade mną!". I teraz następuje jedna z najpiękniejszych scen Nowego Testamentu: "Wtedy Jezus przystanął..." (Ach, Panie Jezu, kiedy ja mam jakieś ważne posiedzenie, to nie daję się zatrzymywać przez byle kogo!) "Wtedy Jezus przystanął i kazał przyprowadzić go do siebie..." Jezus rozwiązujący problemy całego świata miał czas dla niewidomego żebraka! Taką wartość ma dla Niego człowiek!

I taką samą wartość macie dla Niego Wy. Czy sądzicie, że na całym świecie jest jeszcze ktoś, dla kogo macie tak ogromną wartość? A Wy nie macie dla Niego czasu... Diabeł musiał porządnie was ogłupić!

Słyszałem kiedyś taką niestworzoną historię. Tonie statek i

steward biegnąc korytarzami, krzyczy: "Wszyscy na pokład! Statek tonie!" Przebiega też obok kuchni, gdzie kucharz piecze kurczęta. Słyszając okrzyk stewarda spokojnie robi dalej swoje, mrucząc: "Najpierw muszę spełnić swój obowiązek!" I tonie razem ze swoimi kurczętami. Tak samo postępuje dzisiejszy człowiek: "Jezus? To nieaktualne! To mnie nie interesuje. Nie mam czasu!" I tak świat bez Jezusa jedzie prosto do piekła.

Sądzę, że przede wszystkim powinniśmy zrobić to, co najważniejsze. A najważniejszą rzeczą jest, abyśmy przyjęli ratunek, który ofiarowuje nam Bóg. Chciałbym, byście mogli teraz stanąć pod Krzyżem, mówiąc: "Otom jest, Królu mój, ja oddaję Ci się, w służbie swej użyj mnie, i co mam! Że dobrego nic we mnie nie znajdziesz, to wiem, jeśli Ty nie napełnisz mnie sam. Z duszy mej obmyć chciej wszelki brud swoją krwią, użytecznym narzędziem swym zrób! Duchem swym w sercu mym wyrć racz wolę swą, bym posłusznie szedł śladem Twych stóp!"

UWAGA! NIEBEZPIECZEŃSTWO DLA ŻYCIA!

Jechałem tu do was autostradą i ponieważ cały czas pamiętałem o tym, że mam wygłosić odczyt, więc powtarzałem sobie: "Uwaga! Niebezpieczeństwo dla życia!" Bo widzicie, dzisiaj nie umiera się na ogół w łóżku, kiedy człowiek jest już stary i syty życia. Dzisiaj ulega się nieszczęśliwym wypadkom albo dostaje zawału. Dawniej ludzie dożywali do 90 lat i kładli się do łóżka, aby umrzeć. Dziś to się już prawie nie zdarza. Dziś nad oceanem wybucha bomba w samolocie: 80 ofiar śmiertelnych. Autobus stacza się w przepaść: 60 zabitych. Część fabryki wylatuje w powietrze – mnóstwo ofiar. W kopalniach ciągle zdarzają się śmiertelne wypadki. A co parę dziesiątków lat przychodzi wielka wojna. W jednej giną dwa miliony ludzi, w następnej już pięć milionów. Niebezpieczeństwo czyha ze wszystkich stron.

Kiedy tak się nad tym zastanawiam, to dochodzę do wniosku, że naprawdę nie mamy szans, by spokojnie umrzeć w łóżku. A wyobraźcie sobie, że dziś wieczorem o godzinie dziesiątej ulegacie nieszczęśliwemu wypadkowi. Mogłoby się tak zdarzyć, prawda? I gdzie będziecie o godzinie jedenastej? Co będzie się z wami działo? Czy zastanowiliście się nad tym kiedykolwiek?

I. POWAGA SYTUACJI

Muszę wam opowiedzieć taką ładną historyjkę, którą słyszałem od mojego dziadka. A umiał wspaniale opowiadać. Pewnego razu młody człowiek przychodzi do swego starego wuja i mówi: "Wujku, pogratuluj mi, właśnie zdałem maturę!" "O, to pięknie – opowiada wuj – masz tu 20 marek, kup sobie w nagrodę coś ładnego. Ale powiedz mi, co masz zamiar robić dalej?" "Będę studiował, chcę zostać prawnikiem". "Pięknie – mówi wuj – a co potem?" "No, później będę aplikantem sądowym." "Pięknie – powiada wuj – a potem?" "No, potem może zostanę sędzią." "Pięknie – powtarza wuj – a potem?" "No, wuju, potem rozejrzę się za żoną i założę rodzinę." "Pięknie, a co

potem?" "Potem? – mówi młody człowiek – no, mam nadzieję, że zostanę wielkim człowiekiem, prezesem sądu ziemskiego, a może nawet sądu najwyższego." "Pięknie – ciągnie niezmiernie wuj – a co dalej?" Młody człowiek zaczyna się denerwować: "Kiedyś zestarzeję się i pójdę na emeryturę". "Pięknie, a co potem?" "Przeprowadzę się do jakiejś ładnej miejscowości, zbuduję sobie domek i będę uprawiał truskawki." "Pięknie – nie daje za wygraną wuj – a co potem?" Młody człowiek rozżłościł się: "Potem kiedyś umrę!" "Taaak – powiada wuj – a co potem?" Długie milczenie. "Umrę... i..." "I co???" – pyta wuj. "Wuju – odpowiada młodzieniec przestraszonym głosem – o tym nigdy jeszcze nie myślałem." "Jak to, zdałeś maturę i jesteś taki głupi, że myślisz tylko stąd-dotąd? Czy człowiek obdarzony przez Boga rozumem nie powinien myśleć trochę dalej? Co będzie z tobą po śmierci?" "Wuju – odrzekł żywo młody człowiek – nikt nie wie, co będzie po śmierci". "Nieprawda, mój chłopcze – powiedział wuj poważnym głosem – jest Ktoś, kto wie, co będzie po śmierci. Tym Kimś jest Jezus. A On powiedział, że przestronna jest droga, która wiedzie na zatracenie, a wąska jest droga, która prowadzi do życia wiecznego. Po śmierci następuje Sąd Boży i człowiek albo będzie zgubiony, albo zbawiony".

Chcę wami wstrząsnąć i powiedzieć wam, że nie wystarczy zaplanować sobie życia tylko do momentu śmierci. Trzeba koniecznie postawić sobie pytanie: a co potem?

Pracując z młodzieżą, często używałem takiego przykładu: Jeżeli chcę oddać do naprawy buty, to nie idę z nimi do mechanika samochodowego. Mechanicy samochodowi są bardzo fajni, ale zupełnie nie znają się na butach. Moje buty zanoszę do szewca. Jeśli jednak zepsuje mi się samochód, to nie oddaję go do szewca. Idę do mechanika. Chcąc kupić bułkę, nie idę do rzeźnika, bo chociaż miły z niego człowiek, to jednak absolutnie nie zna się na pieczeniu bułek. Po bułki idę do piekarza. A jeżeli zepsuje mi się kran, to zwracam się o pomoc do hydraulika. A więc – zawsze szukam fachowca! Ale ludzie chcąc dowiedzieć się, co będzie po śmierci, pytają o to Jasia czy Frania albo zdają się na własne mętne wyobrażenia. A czyż właśnie z

tą tak ważną sprawą nie powinniśmy się zwrócić do fachowca? Kto jest tym fachowcem? Istnieje tylko jeden fachowiec. A jest nim Syn Boży, który przyszedł z innego świata i sam był w królestwie umarłych. Umarł na krzyżu i powrócił. On jest Tym, który się na tym zna! I On mówi: Możesz pójść na zatracenie, ale możesz również pójść do nieba! I jeżeli mi dziś 25 profesorów udowodni, że wszystko kończy się wraz ze śmiercią, to odpowiem im: "Z całym szacunkiem dla waszych licznych tytułów muszę stwierdzić, że nie jesteście fachowcami w tej dziedzinie, bo nie byliście tam jeszcze. Ale znam Kogoś, kto tam był: Jezusa. I On mówi coś zupełnie innego".

Ludzie żyją dziś na własne ryzyko, postępując tak, jakby wraz ze śmiercią następował koniec wszystkiego albo jakby oczywiste było, że do nieba pójdzie każdy, kto jest ochrzczony i pochowany przez księdza. W piekle będzie się kiedyś roiło od ludzi ochrzczonych i odprowadzonych do grobu przez księdza. Zrozumcie, że znajdujecie się w poważnym niebezpieczeństwie. Wasze życie jest zagrożone. Wszyscy prędzej czy później staniemy przed Sądem Bożym!

Muszę wam szczerze wyznać, że ta myśl przyczyniła się do tego, że stoję tu dziś przed wami. Jako młody człowiek nigdy nie myślałem, że kiedykolwiek stanę na kazalnicy. Podczas I wojny światowej byłem młodym oficerem, nie lepszym ani nie gorszym niż inni. Nasz oddział poniósł już ciężkie straty. Gdyby mi ktoś wtedy powiedział, że będę kiedyś wygłaszał kazania w kościele, zapewne głośno bym się roześmiał. Bo, muszę tu złożyć świadectwo: byłem bardzo daleko od Boga. Mój ojciec zapytał mnie kiedyś: "Czy ty nie wierzysz w Boga?" Odpowiedziałem mu: "Nie jestem tak głupi, by zaprzeczać istnieniu Boga. Ateizm wymaga tak wielkiej porcji głupoty, że jest to wprost nieosiągalne. Ale ponieważ nie spotkałem Boga, więc nie interesuję się Nim". Wkrótce po tej rozmowie siedziałem z kolegą, porucznikiem jak ja, w okopach pod Verdun. Braliśmy udział w ofensywie na Francję i czekaliśmy na rozkaz wymarszu. Siedząc tak, opowiadaliśmy sobie sprośne kawały – starzy żołnierze wiedzą jak to jest w takiej chwili. Opowiadam więc taki słony dowcip, ale mój kolega nie śmieje się. "Kutscher, – mówię – dlaczego się nie śmiejesz?" W tym

momencie on się przewraca i widzę, że nie żyje. Odłamek granatu trafił go prosto w serce. Stoję nad zwłokami kolegi, mam te moje 18 lat, i na początku nie czuję żadnego wzruszenia: "Bardzo to nieuprzejmie z twojej strony, mój kochany, że wynosisz się, zanim skończyłem opowiadać ci mój kawał!" I w tej samej chwili poraża mnie myśl: gdzie on jest teraz? Widzę siebie stojącego w tych okopach, jak z przeraźliwą jasnością zdałem sobie nagle sprawę, że on stoi właśnie przed świętym Bogiem! I zaraz potem uderzyła mnie następna myśl: gdybym siedział na jego miejscu, to odłamek trafiłby mnie i to ja stałbym teraz przed Bogiem. Nie przed jakimś tam Bogiem, ale przed Tym, który objawił swoją wolę i dał przykazania, z których przekroczyłem niemal wszystkie, jak i Wy przekroczyliście je. Są tacy ludzie, których grzechy wołają o pomstę do nieba, i którzy mimo to mówią: czynię dobrze i nie boję się nikogo! Nie kłamcie tak! Więc w tamtej chwili zdałem sobie sprawę, że przekroczyłem wszystkie przykazania Boże i że jeżeli teraz zostanę zabity, to stanę przed Bogiem. I zobaczyłem jasno, że pójdę wtedy do piekła! I właśnie w tej chwili nadbiegli ordynansi z końmi: "Ruszamy!" Wsiadłem na konia. Mój zabity przyjaciel leżał na ziemi. Złożyłem ręce, po raz pierwszy od wielu, wielu lat, i pomodliłem się krótko: "Dobry Boże, nie pozwól, abym poległ przed upewnieniem się, że nie pójdę do piekła." Muszę wam powiedzieć, że poszedłem później do naszego kapelana i spytałem. "Panie pastarze, co mam zrobić, żeby nie poszedł do piekła?" Otrzymałem na to taką odpowiedź: "Panie poruczniku, najpierw musimy zwyciężyć, zwyciężyć, zwyciężyć!" "A więc pan sam tego nie wie" – odrzekłem. Czy to nie straszne, że tysiące młodych ludzi szły na śmierć i nikt nie umiał im powiedzieć, jak mogą zostać zbawieni? I to w chrześcijańskim narodzie! Wpadłbym wtedy w rozpacz, gdyby nie to, że pewnego dnia – nie będę tu się wdawał w szczegóły, jak to się stało – w moich rękach znalazł się Nowy Testament.

Dobrze pamiętam, jak wyglądała ta chłopska zagroda we Francji, na tyłach frontu, gdzie przebywałem przez jakiś czas. Zaczęłem przegłądać Biblię w nadziei, że jest w niej napisane, jak można unik-

nać zguby, ale nie wiedziałem, gdzie tego szukać. I nagle wzrok mój padł na jedno zdanie: "Chrystus Jezus przyszedł na świat, aby zbawić grzeszników..." Było to tak, jakby uderzył we mnie piorun: "Grzesznik!" Grzesznik to ja! – Czy nie zechcielibyście wreszcie też przyznać przed Bogiem i ludźmi, że jesteście grzesznikami? Skończcie z tym błędnym samousprawiedliwieniem! – Tak więc w tamtej chwili zrozumiałem, że niepotrzebny mi jest duchowny. "Jestem grzesznikiem!" – to było dla mnie jasne. I chciałem zostać zbawiony. Nie wiedziałem dokładnie, co to znaczy. Wiedziałem tylko, że zostać zbawionym, to znaczy znaleźć pokój z Bogiem do wyjścia z tego stanu, w którym "Chrystus Jezus przyszedł na świat, aby zbawić grzeszników". Skoro Jezus może to uczynić, to muszę Go znaleźć! Przez kilka tygodni, szukałem kogoś, kto by mi mógł w tym pomóc. Ale nikt nie umiał mi pokazać Jezusa. I wtedy zrobiłem coś, co chciałbym wam wszystkim zalecić. Byliśmy już znowu w ofensywie, ale zdążyłem jeszcze wślizgnąć się na chwilę do starej chałupy francuskiego chłopca. Była na wpół zrujnowana i splądrowana, ale jeden pokój ocalał, a w jego drzwiach tkwił klucz. Zamknąłem się od środka, upadłem na kolana i powiedziałem: "Panie Jezu! W Biblii napisane jest, że przyszedłeś od Boga, aby zbawić grzeszników. Jestem grzesznikiem i nie mogę Ci nic obiecać na przyszłość, bo mam zły charakter. Nie chciałbym jednak pójść do piekła, jeżeli teraz zostanę zabity. I dlatego, Panie Jezu, oddaję Ci się cały, od stóp do głów. Zrób ze mną co chcesz!". Nie uderzył wtedy grom, ziemia się nie zatrzęsła, ale gdy wyszedłem z tej chałupy miałem swojego Pana, do którego odtąd należę.

Miałem wtedy 18 lat i od tego czasu z każdą chwilą wyraźniej widziałem, w jak wielkim niebezpieczeństwie życia znajduje się większość ludzi. Żyją nie mając wybaczenia grzechów! Wy przecież też nie wiecie, czy wasze grzechy są odpuszczone. I jak chcecie ostać się przed Sądem Bożym? Żyje się nie mając pokoju z Bogiem. Żyje się nie będąc nawróconym. Nasze chrześcijaństwo – to odrobina tynku i farby na wierzchu, a pod spodem żyje w nas nędzne, ubogie, niespokojne, nienawrócone serce! Zrozumcie: Bóg nie chce, abyśmy

poszli do piekła. Bóg tego nie chce. Bóg chce, "aby wszyscy ludzie byli zbawieni i doszli do poznania prawdy". I dlatego posłał swego Syna. Ale, moi drodzy, wobec tego i my musimy przyjść do Jezusa. Musimy do Niego należeć. Nie może dobrze się skończyć to, w jaki sposób chrześcijaństwo w dzisiejszym świecie obchodzi się z Bogiem i zbawieniem przez Jezusa. Ciarki mnie przechodzą, gdy pomyślę, w jak wielkim niebezpieczeństwie życia znajdują się ludzie! Bo wszakże idziemy wszyscy naprzeciw Sądowi Bożemu!

W czasach Rzeszy hitlerowskiej prowadziłem kiedyś grupę młodzieży. Był tam bardzo miły chłopiec, który początkowo przychodził regularnie na nasze godziny biblijne. Potem zmuszono go do uczęszczania na narodowosocjalistyczne kursy szkoleniowe i przestał do nas przychodzić. Długo go nie widziałem, aż pewnego dnia wpadł mi w ręce. "Dzień dobry, Gunterze! – powiadam, a on mi na to: "Heil Hitler!". "Jakże ci się powodzi, dawno cię nie widziałem" – mówię, a on prostuje się i oświadcza: "Moją dewizą jest: czyń dobrze i nie bój się nikogo! A jeżeli w moim życiu coś miałoby być nie w porządku, to jako uczciwy człowiek sam będę za to odpowiadać przed Bogiem. Ale nie potrzebuję żadnego kozła ofiarnego – Jezusa, który by za mnie umarł!" Widzę w duchu miliony ludzi, którzy jak on myślą, że czynią dobrze, nie boją się nikogo i chcą sami odpowiadać przed Bogiem za swoje życie.

Moi drodzy, nie chciałbym przed Bogiem powoływać się na swoje prawa i własną odpowiedzialność, bo wtedy właśnie znalazłbym się w największym niebezpieczeństwie. Możemy być pewni, że wszyscy staniemy przed Sądem Bożym. Ostrzegam was. Gorąco mi się robi, gdy pomyślę o ludziach, którzy w takim stanie zmierzają w kierunku Sądu Bożego!

Ernst Barlach namalował i wyrzeźbił wiele potężnych dzieł. Napisał też sztukę teatralną, w której występuje lubiący sobie popijać właściciel ziemski. Pewnego razu zjadł on w podróży dobry obiad, zakropiony oczywiście alkoholem, i wyszedł na spacer. Był upały. Chodząc po małym miasteczku trafił na rynek i stanął przed kościołem, nad którego drzwiami wyrzeźbione były cztery dmące w

trąby cherubiny. Gdy tak stał i patrzył na nie, wydało mu się, że są one żywe i trąbią wzywając ludzkość na Sąd Boży. Barlach pisze dosłownie: "Zmarli! Wychodźcie z mogił! Nie pomoże wam zasłanianie się rozkładem! Wychodźcie!" I wtedy bohater sztuki zrozumiał nagle: "Nie ujdę przed Bogiem. Przyjdzie czas, że będę musiał stanąć przed Nim w całej mojej nędzy!".

I w gruncie rzeczy – wszyscy wiemy, że nasze samousprawiedliwianie nie zaprowadzi nas daleko. Sąd Boży nadchodzi i własna sprawiedliwość stopnieje jak wosk w ogniu.

Wiem dobrze, że dziś nie słucha się chętnie tego poselstwa. Gdy mówię ludziom, że pójdą do piekła, jeżeli nie nawrócą się do Jezusa, to odpowiadają mi z uśmiechem, że piekło jest pojęciem średniowiecznym i czegoś takiego w ogóle nie ma. Kiedy to słyszę, przypomina mi się zawsze historia, którą muszę wam opowiedzieć.

Było to podczas wojny. Chciałem kogoś odwiedzić i kiedy tam szedłem, zaczął się nalot. Pobiegłem do schronu, aby przeczekać. Kiedy nalot się skończył, ruszyłem dalej i doszedłem do osiedla, w którym byłem umówiony. Stało jeszcze, ale wszystkie domy – a było ich ze dwadzieścia – były zupełnie puste. Myślałem, że śnię – domy stoją, a ludzi nie ma! Nagle zobaczyłem strażnika z obrony przeciwlotniczej, więc pytam go: "Dlaczego nie ma tu nikogo?". A ten nic nie mówi, bierze mnie za ramię i prowadzi do jednego z domów. Podchodzimy do okna, patrzę, a pośrodku wielkiego trawnika, naokoło którego stały te domy, leży ogromna bomba, wielkości kotła lokomotywy. "Aha, niewypał!" – powiadam. "Nieeee, żaden niewypał! – mówi strażnik. – To bomba z czasowym zapalnikiem!" Te bomby były bardzo wyrafinowane. Nie wybuchały przy uderzeniu, tylko w 5 albo i w 20 godzin później.

Ludzie po nalocie wrócili ze schronów i dopiero się zaczęło: "Wszyscy uciekli z powrotem. Słyszysz pan jak to tyka?" Rzeczywiście słyszeć było tykanie zegara w tej bombie. I w każdej chwili mógł nastąpić wybuch. "Chodźmy stąd – powiedziałem do strażnika – niezbyt tu miło!" Odeszliśmy kawałek i zza rogu spojrzałem jeszcze raz na tę bombę. I nagle widzę przekomiczny widok: nadleciała cała gromada

wróbli i rozsiała się na samej bombie. Jeden usiadł nawet z przodu na zapalniku. "Hej, wróble! – zawołałem – to jest niebezpieczne!" I miałem, wiecie, wrażenie, że one mi świergoczą w odpowiedzi: "Ha, ha! My jesteśmy wykształconymi wróblami. Kto dziś wierzy w bomby? Nie ma żadnego niebezpieczeństwa!"

Tak głupio szydzą też ludzie dzisiejsi. Bóg bardzo poważnie przemawia do nas swoim Słowem, przemawiał również sądem, wie o tym nasz naród. Syn Boży przyszedł na świat, zawisł na Krzyżu i zmartwychwstał. I chyba każdy może to pojąć, że Bóg istnieje i jest świętym Bogiem! Ale kiedy ktoś mówi: "Wasze życie jest w niebezpieczeństwie, musicie szukać zbawienia"! – ludzie śmieją się i odpowiadają: "Ha, ha! Kto dziś wierzy w coś takiego!"

Widzicie, Biblia potrafi również wyrażać się szyderczo. O ateizmie, a więc o przeczeniu istnienia Boga, mowa w niej jest tylko jeden jedyny raz, w jednym zdaniu: "GŁUPI rzekł w sercu swoim: Nie ma Boga!" Tak Biblia mówi o ateizmie i więcej się nim nie zajmuje.

2. RATUNEK

Bóg odprawił już kiedyś straszliwy sąd nad światem. Uratował się wtedy tylko jeden człowiek i jego rodzina. Człowiek ten nazywał się Noe. Bóg polecił mu, by zbudował arkę, zanim zacznie się sąd. – Znaście historię o potopie? Jeżeli nie, to wstyďte się i nikomu o tym nie mówcie! – Przed rozpoczęciem sądu Bóg rozkazał Noemu: "Wejdz do arki ty i cały dom twój". Noe posłuchał "i zamknął Pan za nim".

Świat idzie naprzeciw sprawiedliwemu Sądowi Bożemu. Ale istnieje też arka: łaska ofiarowana nam w Jezusie. On przyszedł ze świata Bożego na nasz nędzny świat. On umarł za nas na krzyżu! – Posłuchajcie, bo jeśli nawet nie rozumiecie wiele, to pojmiecie: Jeżeli Bóg każe swemu Synowi umrzeć okrutną śmiercią na krzyżu, to musi ona oznaczać zbawienie, będące ratunkiem dla największego grzesznika! – Potem Jezus zmartwychwstaje. Wzywa nas przez Ducha Świętego. Jezus jest arką. I jak Bóg wtedy powiedział Noemu: "Wejdz

do arki ty i cały dom twój", tak dziś prosi was przeze mnie: Wejdźcie do łaski Jezusa Chrystusa!

Zrób ten krok prowadzący do pokoju z Bogiem! Zerwij ze wszystkim, co Cię od tego powstrzymuje! Powiedz swemu Zbawicielowi: "Tu przychodzi wielki grzesznik". Złóż całą swoją winę pod Jego Krzyżem. Uwierz, że krew Jego popłynęła również za Ciebie. Powiedz Mu, że oddajesz Jemu całe swoje życie. To oznacza wejść do arki.

"Uwaga, niebezpieczeństwo dla życia!" Iluż nas zmierza jeszcze naprzeciw Sądowni Bożemu nie nawróciwszy się, a więc nie mając żadnej ochrony. Ale istnieje łaska. Wierzyć, to znaczy uczynić krok spod Sądu Bożego w łaskę Jezusową. Ten krok nie jest łatwy, ale oznacza ratunek dla tych, których życie jest zagrożone.

Znany misjonarz Albert Hoffmann, pionier misji na Nowej Gwinei, opowiedział mi kiedyś historię, której nie mogę zapomnieć. Zaczęło się od tego, że powiedziałem w jakiejś rozmowie: "Bracie Hoffmann, wciąż muszę walczyć o moją chrześcijańską wiarę. Należenie do Jezusa w świecie, który służy diabłu i śpieszy do piekła, nie jest łatwe nawet dla pastora". "To ja ci coś opowiem – odrzekł. – Na Nowej Gwinei mieliśmy taki zwyczaj, że Papuasi, którzy chcieli zostać chrześcijanami, przychodzili na naukę, aby dobrze poznać Jezusa. Później w którąś niedzielę odbywał się chrzest. To było zawsze bardzo uroczyście obchodzone i nawet poganie przychodzili popatrzeć. Ale decydujący moment miał miejsce wieczorem w dniu poprzedzającym święto. Rozpalaliśmy wielkie ognisko i kandydaci do chrztu podchodzili niosąc wszystko, co im dotychczas służyło do uprawiania bałwochwalstwa: przedmioty magiczne, wizerunki bożków, amulety itp. Kolejno wrzucali w płomień te symbole dawnego życia. Obserwowałem kiedyś młodą kobietę, która miała pełne ręce wizerunków bożków i amuletów. Podeszła do ogniska, ale w chwili, gdy już miała wrzucić wszystko w ogień, zatrzymała się. Po prostu nie mogła tego zrobić. Zapewne pomyślała sobie: te przedmioty należały do moich przodków, cała moja przeszłość jest z nimi związana, nie mogę się z tym wszystkim rozstać... I odeszła parę

kroków od ognia. Ale znowu się zatrzymała, bo zdała sobie sprawę, że jeżeli tego nie zrobi, nie będzie mogła należeć do Jezusa. Podeszła więc znowu do ogniska i znów się cofnęła. Zbliżyłem się wtedy do niej – opowiadał dalej misjonarz – i powiedziałem: 'To jest dla ciebie zbyt trudne w tej chwili. Lepiej będzie, jeżeli jeszcze się zastanowisz. Możesz być przecież ochrzczona następnym razem.' Kobieta pomyślała chwilę, a potem szybkim krokiem podeszła do ogniska, wrzuciła wszystkie rzeczy i upadła zemdlnona." Nie zapomnę, jak misjonarz Hoffman prowadzący zwyczajnie misje w wielu krajach, człowiek, którego twarz przypomina drzeworyt, powiedział na zakończenie tej historii: "Sądzę, że tylko ten, kto przeżył prawdziwe nawrócenie, może zrozumieć wstrząs, jaki przeżyła ta kobieta".

Moi przyjaciele, od arki dzieli nas tylko jeden krok. Z miejsca, gdzie grozi nam niebezpieczeństwo dla życia – prosto w ramiona Jezusa. Ale ten krok trzeba zrobić i nie jest on wcale łatwy. Oznacza zerwanie z całą przeszłością. Jednakże zrozumcie, że za mniejszą cenę nic nie da się zrobić!

Czy wyrażam się jasno? Zawsze jestem wstrząśnięty widząc, ilu ludzi mimo ostrzeżenia pędzi na zatracenie. Bóg tego nie chce! Bóg chce, abyście zostali zbawieni! Dlatego posłał swego Syna, i dlatego ten Syn zapłacił za waszą winę. Musicie teraz tylko uznać swoją winę i przyjąć w wierze Jezusową ofiarę.

Kiedy w Trzeciej Rzeszy wezwano mnie znowu po raz któryś z rzędu do Gestapo, musiałem czekać w pokoju zastawionym szafami, w których piętrzyły się niezliczone teczki z aktami. Na grzbiecie każdej teczki wypisane było imię i nazwisko. Czekając bez końca wśród tych szaf, dziękowałem Bogu, że nie muszę spędzać tu całego życia. Z nudów zacząłem czytać te nazwiska: "Meier, Karl", "Schulze, Friedrich"... i nagle patrzę: "Busch, Wilhelm"! To moje akta! Możecie sobie wyobrazić, że przestałem uważać te szafy z aktami za coś okropnie nudnego! Moje akta! Miałem wielką ochotę wyciągnąć tę teczkę i zobaczyć, co oni tam o mnie powypisywali, ale nie zaryzykowałem. Stałem tylko cały drżący przed szafą, myśląc: "Moje akta!"

Podobne przeżycie miałem – wyobraźcie sobie! – z Krzyżem Jezusa. Był w moim życiu taki okres, że nic nie wydawało mi się nudniejsze od chrześcijaństwa. Nawet badania pana Dujardin nad właściwościami pierwotniaków uważałem za bardziej interesujące. Tak było do chwili, w której po raz pierwszy zobaczyłem naprawdę Krzyż Jezusa: "Tu chodzi o moje akta! A w nich jest mowa o mojej winie i moim zbawieniu!". Od tamtej pory Krzyż Jezusa interesuje mnie najbardziej ze wszystkiego na świecie. O, spójrzcie na tego Człowieka w koronie cierniowej! On jest Tym, który przynosi nam ratunek. Wasze i moje życie zostało uratowane tam, na tym Krzyżu! Może nie wicie jeszcze nic o tym, ale was to również dotyczy. Ach, wiem, że mówię zbyt głośno, powinienem się hamować, ale spróbujcie nie podniecać się, mówiąc o tej Nowinie!

3. ZE ŚMIERCI DO ŻYCIA

"Uwaga! Niebezpieczeństwo dla życia!" Chciałbym pokazać wam jeszcze inny aspekt tych słów. Kiedy tak rozmyślałem nad nimi, chcąc powiedzieć każdemu: "Stop! Człowieku, zawróć! Szukaj swego Zbawiciela!", to nagle przyszła mi do głowy taka myśl: Właściwie w niebezpieczeństwie życia może się znajdować tylko ten, kto żyje! Jeżeli w autobusie, który stacza się w przepaść, siedzą same trupy, to one nie są przecież w niebezpieczeństwie, bo już nie żyją! Rozumiecie, o co mi chodzi? Więc teraz powiem wam to innymi słowami: grozi wam, że nigdy nie będziecie żywi, martwi przejdziecie przez ten świat i martwi zostanieie wyrzuceni w ciemność! Czy wyrażam się dostatecznie jasno? Grozi wam niebezpieczeństwo przegapienia życia! Biblia mówi zupełnie wyraźnie: "Kto ma Syna, ma żywot; kto nie ma Syna Bożego, nie ma żywota".

Niedawno spotkałem pewną młodą damę z Berlina, która jest nauczycielką języków obcych. "Przepraszam, – powiedziałem w rozmowie – pastor może być czasem nieuprzejmy. Mam pytanie: ile pani ma lat?" Oczywiście tak się nie robi, nie pyta się kobiety o jej wiek, ale taki stary pastor może sobie na to pozwolić. A ona

odpowiada mi bez wahania: "Osiem!" "Chwileczkę – zdumiałem się – osiem lat? Naucz pani trzech języków obcych i ma pani osiem lat?" A ona wyjaśnia śmiejąc się: "Przed ośmiu laty znalazłam Jezusa. Od tej chwili zaczęłam żyć, przedtem byłam martwa". "Cóż za niesłychane sformułowanie!" – powiedziałem pełen podziwu. Wtedy ona zacytowała mi Biblię: "Kto ma Syna, ma żywot; kto nie ma Syna Bożego, nie ma żywota". I dodała: "Widzi pan, panie pastorze, dawniej nie miałam Zbawiciela, nie żyłam naprawdę. Zarabiałam tylko pieniądze i bawiłam się, ale to nie było życie".

Czyż to nie śmiałe stwierdzenie? Kto nie zdecyduje się ochoczo oddać swego życia Jezusowi, ten w ogóle nie żyje. Tak, bez Jezusa nie mamy pojęcia, czym jest życie. Tylko ten, kto ma Syna Bożego – ma żywot!

Przed laty przyszedł do mnie młody człowiek. Spytałem go, czego chce. "Sam nie wiem. – odpowiedział – Wiem tylko, że moje życie – to nie jest życie." Wyraziłem zdziwienie: "Jak to? Jako ślusarz masz dobrą pracę i zarabiasz dużo pieniędzy..." A on mi na to: "Przecież to nie jest życie! W poniedziałek, wtorek, środę, czwartek, piątek ślusarstwo, w sobotę piłka nożna, w niedzielę kino i dziewczyna, w poniedziałek, wtorek, środę, czwartek, piątek ślusarstwo, w sobotę piłka nożna, w niedzielę kino i dziewczyna... To nie jest życie!" "Tu masz rację, chłopcze! – odpowiedziałem – I to już jest bardzo dużo, że to zrozumiałeś. To naprawdę nie jest życie! Powiem ci, co jest życiem, bo moje własne gruntownie się zmieniło, gdy znalazłem Jezusa, który za mnie umarł i dla mnie zmartwychwstał. On stał się moim Zbawicielem i pojednał mnie z Bogiem. Kiedy to zrozumiałem, oddałem Mu swoje serce. I pomyśl tylko: od tej chwili zacząłem żyć!"

Ten młody człowiek też odnalazł później prawdziwe życie. Niedawno znowu go spotkałem i pytam: "No i jak tam? Czy teraz to jest życie?" A on przytaknął, cały rozpromieniony. Prowadzi teraz koło młodzieży i prowadzi ludzi do Jezusa. W Jezusie odnalazł życie.

Rozumiecie? Niebezpieczeństwo, zagrażające waszemu życiu, polega na tym, że moglibyście nigdy nie zacząć żyć, że słysząc wprawdzie o chrześcijaństwie, nigdy jednak nie znaleźlibyście

swojego Zbawiciela!

Mam przyjaciela, który jest kupcem. Niedawno był na przyjęciu u pewnego fabrykanta, w pięknej willi położonej w cudownym ogrodzie. Gości było około stu. W gwarze i tłoku mój przyjaciel natknął się nagle na pana domu i powiada z podziwem: "Człowieku, ale z pana szczęściarz! Żyje pan jak król! Taka posiadłość, wielka fabryka, miła żona, uroczę dzieci..." Gospodarz odpowiedział: "Tak, ma pan rację, powodzi mi się dobrze". Ale nagle spoważniał i dodał ze śmiertelną powagą: "Niech pan jednak nie pyta, co dzieje się tutaj..." – i wskazał ręką miejsce, gdzie znajduje się serce.

Chodząc po ulicach myślę sobie nieraz: gdyby ludzie byli szczerzy, to przystanąliby tu wszyscy z krzykiem: "Nie pytajcie, jak tu wygląda, tu, w moim sercu!" W sercu, w którym nie ma pokoju. Jest w nim poczucie winy. Oskarżają ich własne myśli.

Istnieje tylko Jeden jedyny, który może nas uzdrowić. Pomyśleć, że Bóg widzi naszą nędzę! My nie możemy własnym wysiłkiem przyjść do Niego, ale On w swojej niezmierzonej miłości przyszedł do nas w Jezusie. Oto zapierająca dech Nowina, którą wam zwiastuję: "Albowiem tak Bóg umiłował świat..." Ja bym tego świata nie kochał, zniszczyłbym go, rozwalił ten świat pełen śmiecia, złości i głupoty. A Bóg go umiłował! Przecież to jest niepojęte! "...Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny." Powiedzcie mi, co Bóg ma jeszcze dla was zrobić, oprócz oddania swego Syna na śmierć, abyście mieli żywot wieczny?

Na zakończenie opowiem wam piękną historię. Do wielkiego angielskiego kaznodziei Spurgeon przyszedł kiedyś po jego kazaniu młody człowiek i powiedział: "Pan ma rację. Ja też muszę znaleźć tego Męża z Golgoty i muszę stać się dzieckiem Bożym. Pewnego dnia nawrócę się". "Pewnego dnia...?" – spytał Spurgeon. "No tak, później." "Później? A dlaczego nie dzisiaj?" Młody człowiek zmieszał się trochę i wyjaśnił: "Chcę zostać zbawiony i dlatego kiedyś nawrócę się i przyjdę do Jezusa, ale przedtem chciałbym jeszcze mieć coś z życia." Spurgeon wybuchnął śmiechem: "Młodzińcze, jest pan

doprawdy mało wymagający. Chce pan mieć tylko COŚ z życia. Mnie by to nie wystarczyło. Ja chcę mieć nie COŚ, ale wszystko, chcę mieć ŻYCIE. A w mojej Biblii napisane jest (i tu otworzył Biblię): "Ja przyszedłem, aby miały życie i obfitowały".

Wiecie, kiedy taki mój wykład dobiega końca, to mam bardzo niemiłe uczucie, bo myślę sobie, że być może wcale nie powiedziałem tego wszystkiego tak, jak trzeba! Czy wobec tego mogę raz jeszcze krótko powtórzyć? Bóg pozwolił Jezusowi umrzeć na krzyżu za nas, zgubionych i przeklętych grzeszników, abyśmy tu – tu i teraz! – mieli życie. Kiedy budzę się rano, mógłbym śpiewać z radości, że jestem dzieckiem Bożym, bo dzięki temu mam w Nim życie. Zrozumcie: Jezus przyszedł na ten świat, abyśmy już tu mieli życie, abyśmy ostali się przed sądem Bożym i abyśmy mieli żywot wieczny.

Wiedząc to, można radośnie kroczyć swoją drogą.

Pozwólcie, że posłużę się tu takim obrazkiem: jest listopadowy wieczór, pada deszcz ze śniegiem i wieje wiatr. Jest bardzo zimno. Gościńcem wędruje dwóch ludzi. Obaj są bez płaszczy i postawili kołnierze marynarek. Ale jeden z nich idzie opieszalym krokiem, jest mu obojętne, czy zmarznie bardziej czy mniej, może iść tą czy inną drogą, nigdzie mu się nie spieszy. Bo człowiek ten nie ma ojczyzny. Tak większość ludzi wędruje przez świat. Nie mają celu. – A jak jest z wami? Nie mieć celu – to rozpaczliwe! Bezbożny filozof Nietzsche powiedział w którymś ze swoich wierszy: "...Biada temu, kto nie ma ojczyzny!" Czy Wy też nie macie wiecznej Ojczyzny? – Drugi z wędrowców natomiast zachowuje się zupełnie inaczej. Tak samo marznie, przewiany zimnym wiatrem, tak samo moknie na deszczu ze śniegiem, tak samo brnie w błocie, jak ten pierwszy wędrowiec, ale idzie różnym krokiem i gwizdże sobie piosenkę. Dlaczego? Bo w oddali widzi światła swojej ojczyzny. Dąży do domu, gdzie się ogrzeje. Niewiele robi sobie z trudów wędrówki. Tak idą przez świat ludzie, którzy należą do Jezusa i w Nim mają życie tu i w wieczności.

Bóg powiedział Noemu: "Wejdź do arki..." A ja proszę was: udajcie się w jakieś ciche miejsce. Tam jest Jezus i możecie z Nim porozmawiać. Możecie Mu wyznać wszystko. Ktoś spytał mnie: "Pan

nie ma godzin przyjęć?" "Nie, odpowiedziałem – po co? Ludzie nie muszą rozmawiać ze mną. Muszą rozmawiać bezpośrednio z Jezusem!" I proszę was – zróbcie to!

COŻ WIĘC POWINNIŚMY ZROBIĆ?

Moi drodzy, dostaję mnóstwo listów z najróżniejszymi pytaniami. W jednym z ostatnich ktoś pyta: "Czy pan zwiastuje swój własny pogląd, czy też tak naucza pański Kościół?" Mogłem odpowiedzieć tylko tyle: "Tak naucza Biblia". Pomyślałem sobie przy tym, że gdybyście słuchali poglądów pastora Buscha, to byłibyście ludźmi oszukany, bo niewiele by to wam dało. Musicie słuchać głosu Jezusa! Jezus nazwał siebie "dobrym Pasterzem". I musicie słuchać głosu tego dobrego Pasterza"! Ja w słabości swojej mogę tylko trochę dopomóc w usłyszeniu tego głosu Jezusa, dobrego Pasterza naszych dusz.

Będziemy teraz mówili o tym, co powinniśmy zrobić, i jest rzeczą niezmiernie ważną, aby powiedział wam to sam Jezus, abyście usłyszeli głos dobrego Pasterza.

1. SKOŃCZCIE Z TĄ WASZĄ BEZSENSOWNĄ NIEWIARĄ!

Będąc długie lata pastorem w wielkim mieście, słyszałem tak wiele zarzutów w stosunku do biblijnego poselstwa, tak często spotykałem się z banałem niewiary, że przede wszystkim chciałbym was poprosić (a chodzi tu o zbawienie waszych dusz): skończcie z tym bezsensem!

Podczas wojny, oprócz duszpasterstwa dla młodzieży, miałem przez pewien czas duszpasterstwo w dużym szpitalu. Pewnego dnia zaszedłem do części wydzielonej na prywatną klinikę. Stałem przed drzwiami pierwszego pokoju i właśnie miałem zapukać, gdy zobaczyłem, że długim korytarzem biegnie do mnie młoda pielęgniarka. Trochę bez tchu powiedziała: "Panie pastorze, proszę nie wchodzić do tego pokoju!" "Dlaczego?" – pytam. "Bo ten pan bardzo zdecydowanie zastrzegł sobie niewpuszczanie do niego żadnych księży. Pana z pewnością też nie zechce widzieć. On... on wyrzuci pana za drzwi!" To mówiąc pokazała mi wizytówkę na drzwiach, na której widniało nazwisko znanego kupca. "Siostró, – powiedziałem –

ja mam nerwy jak postronki!" – i zapukałem. "Proszę!" – zawołał silny męski głos. Wszedłem i zobaczyłem leżącego w łóżku starszego, siwego pana. "Dzień dobry! – powiedziałem – Jestem pastor Busch." "O, wiele o panu słyszałem. Proszę bliżej, pan może mnie odwiedzić." "Jak to miło" – ucieszyłem się. A on dodał: "Ale niech mi pan da spokój ze swoim chrześcijaństwem!" Roześmiałem się: "Cóż za pech! Właśnie o tym chciałem z panem pomówić". "Wykluczone! – zachnął się – To w ogóle nie wchodzi w rachubę! Skończyłem z tym definitywnie! Widzi pan, gdy byłem chłopcem, wbijano mi do głowy psalmy. Jeżeli się ich nie nauczyłem, dostawałem lanie. Jako dorosły mężczyzna zbudowałem sobie własny światopogląd, którego filarami są Darwin, Hackell i Nietzsche."

Aż mną zatrzęsło, gdy to usłyszałem! Niestety, dość szybko wpadam w złość, więc huknąłem: "Niech no pan posłucha, stary człowieku! Jeżeli szesnastolatek w okresie dojrzewania opowiada mi, że jego prorokiem jest na przykład Nietzsche, to mogę się uśmiechnąć, myśląc: no tak, to zjawisko przejściowe, sam dojdiesz do tego, że współcześni filozofowie sami już nie wierzą w swoich dawnych proroków. Ale gdy taki stary człowiek jak pan, stojący na progu wieczności, mówi mi także rzeczy, to to jest straszne. Przecież pan jest ciężko chory. Czy stojąc już przed Bogiem, też zechce pan wystąpić z takimi bzdurami? No, proszę pana!"

Popatrzył na mnie ze zdumieniem. Widocznie nie był przyzwyczajony do takiego tonu. A ja nagle się opamiętałem: stop! Przecież jestem w szpitalu, nie mogę tak wybuchać! Tu trzeba postępować delikatnie... I poczułem wielkie współczucie dla tego biednego człowieka. Włączyłem więc pierwszy bieg i, mimo że pamiętałem jak się na początku zastrzeżał, zacząłem mu opowiadać o Jezusie, który chce być również jego dobrym Pasterzem. Po chwili westchnął głęboko: "Tak, to byłoby piękne... Ale co ja mam zrobić z moim światopoglądem? Czy to wszystko, w co wierzyłem przez całe życie, mam teraz wyrzucić za burtę?" "Oczywiście! – zawołałem wesoło – Drogi panie! Niech pan wyrzuci wszystko, czego w obliczu wieczności nie będzie pan potrzebował! Niech pan wyrzuci wszystko

za burtę i to raczej dziś niż jutro! Z tą pana bezsensowną niewiarą nie można ani żyć prawdziwym życiem, ani umrzeć błogosławioną śmiercią. A potem niech się pan rzuci w otwarte ramiona Syna Bożego, który za pana umarł i odkupił pana. Ten Zbawiciel chce być również pana Zbawicielem."

W tym momencie weszła siostra. Zdziwiła się, widząc nas pogrążonych w poufnej rozmowie. Ale potem dała mi znak, że powinienem już odejść. Uścisnąłem mocno dłoń starego człowieka i cicho wyszedłem z pokoju. Nie wiem, czy wziął do serca to, co mu powiedziałem. Tej samej nocy umarł.

I, wiecie, wtedy dopiero zacząłem rozumieć – a było to dla mnie wstrząsające odkrycie – jak wielu nawet wykształconych ludzi chodzi po świecie obnosząc się z Darwinem, Haicklem i Nietzschem i tą swoją bezsensowną niewiarą pozbawia się wiecznego zbawienia. I dlatego proszę was nade wszystko: wyrzucicie za burtę te wszystkie banały, którymi uzasadniacie swoją niewiarę! Precz z tym! To nie jest warte złamanego grosza! W Biblii napisane jest: "Jeden jest Bóg, jeden też pośrednik między Bogiem a ludźmi, człowiek Chrystus Jezus".

Pewnego dnia siedziałem naprzeciw takiego ogromnego faceta, wiecie, rozmiarów trzyczęściowej szafy! W myślach nazwałem go panem Kędziorkiem, bo miał na sobie pulower z kręconej wełny, w takie właśnie kędziorki, ale oczywiście nazywał się zupełnie inaczej. Jego żona zginęła pod bombami, a dwaj synowie polegli na wojnie. Biedny człowiek. Przyszedłem go więc odwiedzić. Ale ledwo zdążyłem usiąść, on już zaczął mówić: "Panie pastarze, niech mi pan da spokój z chrześcijaństwem! Przeżyłem tyle, że w nic już nie wierzę. Może mi pan opowiadać, co się panu żywnie podoba. Przeszedłem w życiu tyle, że już w nic nie wierzę". Roześmiałem się i powiadam: "No, nie mogę sobie wyobrazić, że tak jest naprawdę. Niech mi pan powie, panie Kędziorek, – jak wiecie, w rzeczywistości wcale się tak nie nazywał! – czy jeździ pan czasem pociągiem?" "Tak." "Mam więc nadzieję, że zanim wsiądzie pan do pociągu, żąda pan od maszynisty pokazania prawa jazdy?" "Nie – odpowiedział – skądże znowu!

Przecież można zaufać kolei, że jej maszyniści..." "Jak to? – przerwałem mu – Pan wsiada do pociągu nie upewniwszy się przed tym, czy ten gość tam naprzodzie rzeczywiście umie prowadzić lokomotywę? Powierza mu pan swoje życie bez żadnej gwarancji? No, wie pan, panie Kędziorek, to dopiero nazywa się wiara! Powierzać komuś własne życie! Niech pan już nigdy me mówi: w nic nie wierzę. Niech pan mówi: nie wierzę w nic, oprócz kolei państwowej! No dobrze, a niech mi pan powie, chodzi pan czasem do apteki?" "O, tak, – powiada Kędziorek – często chodzę, bo cierpię na bóle głowy. Kupuję w aptece proszki przeciw migrenie." "Ale wie pan, zdarzało się już, że aptekarze przez nieuwagę sprzedawali truciznę. Chyba przed zażyciem daje pan te proszki do analizy?" "Ależ panie pastorze, taki dopuszczony do wykonywania zawodu aptekarz zna się na tym, co robi! Przecież on mnie nie oszuka!" "Jak to? – pytam ze zdumieniem – Pan połyka te proszki bez uprzedniego zbadania ich? Powierza pan swoje życie aptekarzowi? Przyjmuje pan jego lekarstwo, bo mu pan ufa? Tak, to nazywa się wiara! Kochany panie Kędziorek, niech pan nigdy nie mówi: w nic nie wierzę. Niech pan mówi: w nic nie wierzę, tylko w kolej państwową i w aptekarza!"

I tak to szło dalej, bo – rozumiecie – wynajdywałem coraz to coś nowego. A później powiedziałem: "Widzi pan, pewnego dnia spotkałem Kogoś, kto posłany został przez Boga, kto powstał z martwych. Na Jego dłoniach widnieją stygmaty, które świadczą o tym, że On mnie umiłował i poszedł za mnie na śmierć krzyżową. Nikt na świecie nie uczynił dla mnie tak wiele, jak Jezus. I nikt na świecie nie jest tak godny zaufania, jak On! Czy pan sądzi, że Jezus skłamał kiedykolwiek?" "O nie!" "No, proszę, widzi pan, takiego świadectwa nie wystawiłbym nikomu na świecie. Tylko Jezusowi. I kiedy to zrozumiałem, powiedziałem sobie: chcę powierzyć swoje życie Jezusowi!"

Ten człowiek spytał mnie wtedy: "Czy to jest rzeczywiście takie proste?" "Tak, panie Kędziorek – odpowiedziałem – takie proste! Pan wierzy wszystkim naokoło i we wszystko możliwe, a tylko temu Jednemu, któremu naprawdę można wierzyć, temu nie chce pan

uwierzyć! Niechże pan wyrzuci precz tę bezsensowną niewiarę, te wyświechtane argumenty i niech pan odda swoje życie Jezusowi."

Setkom młodych ludzi mówiłem: "Milion marek nagrody dostanie ode mnie ten, kto mi pokaże kogoś, kto żałował, że oddał swoje życie Jezusowi!" Nie miałem wprawdzie nigdy miliona marek, ale mogłem to spokojnie powiedzieć, bo nie ma na świecie takiego człowieka. Poznałem natomiast całe mnóstwo ludzi, którzy żalowali, że tego nie zrobili.

Skończcie więc ze swoją żalowaną, bezsensowną niewiarą! Zawierzcie Temu, który uczynił dla was wszystko. Jest to sprawa między Nim a wami. Musicie tylko usiąść w ciszy i powiedzieć: "Panie Jezu, od dziś chcę należeć do Ciebie".

2. SKOŃCZCIE Z WASZYM NIEWIARYGODNYM SAMOUSPRAWIEDLIWIANIEM

W Biblii napisane jest: "Prawdziwa to mowa i w całej pełni przyjęcia godna, że Chrystus Jezus przyszedł na świat, aby zbawić grzeszników..." – dosłownie: „aby ich uratować". Wielu ludzi oburza się w tym miejscu i mówi: "Ależ ja nie jestem grzesznikiem! Przecież nie jestem przestępcą!". Do tych ludzi mówię teraz: kłamiecie! Gdy przyjdzie dzień, że staniecie przed obliczem Bożym, będziecie musieli powiedzieć: "Nie jestem grzesznikiem. Przestrzegałem wszystkich Twoich przykazań!". Czy rzeczywiście będziecie mogli tak powiedzieć? Och, dajcie spokój z tym niewiarygodnym samousprawiedliwianiem, z wmawianiem sobie, że wszystko Jest w porządku! Nic nie jest w porządku, nic a nic!

Przed laty miałem rozmowę z pewnym dwudziestolatkiem, rozmowę, której nigdy nie zapomnę. Któregoś dnia spotykam go i mówię: "Mój kochany, nie widuję cię więcej ani na naszych godzinach biblijnych, ani na zebraniach młodzieży". A on na to: "Tak, wie pan, panie pastarze, ja przemyślałem sobie to wszystko. Pan ciągle mówi o Jezusie, który umarł za grzeszników. Ale ja nie potrzebuję kozła ofiarnego, który mnie ma zastąpić. Jeżeli zrobiłem

coś złego, to – o ile Bóg istnieje – chcę przed Nim odpowiadać sam za siebie. Przecież to śmieszne żebym miał potrzebować Zbawiciela, który za mnie umarł!". A oto co mu odpowiedziałem: "Dobrze, mój drogi. Chcesz więc stanąć przed świętym Bogiem i powołać się na prawa. To ci oczywiście wolno! Możesz odrzucić Jezusa i powiedzieć, że powołasz się przed Bogiem na prawo. Ale uświadom sobie proszę, że we Francji jest się sądzonym według prawa francuskiego, w Anglii – według prawa angielskiego, a Bóg sędzi według swojego prawa, życzę ci więc, mój kochany, żebyś nigdy nie przekroczył ani jednego przykazania Bożego, bo inaczej będziesz zgubiony. Do widzenia!". "Chwileczkę! – zawołał młody człowiek – Przecież nie będzie się tego brało tak dokładnie!" "Ha! – odpowiedziałem – A jak ty sobie wyobrażasz świętego Boga? Posłuchaj: przypuśćmy, że przez 50 lat prowadziłem porządne i uczciwe życie, a potem coś mnie podkuśliło i ukradłem jakiś drobiazg, co trwało trzy minuty. Złapano mnie na tym i stanąłem przed sądem. Mówię więc sędziemu: 'Panie sędzio, niech pan nie będzie taki drobiazgowy! 50 lat porządnego, niekaralnego życia i trzy minuty błędu, to się chyba wyrównuje! Któż by chciał być tak małostkowy, panie sędzio!' Jak myślisz, co sędzia mu odpowie? Odpowie: 'Ja nie mówię o 50 latach, w ciągu których żył pan porządnie, ale o tych 3 minutach, w ciągu których pan kradł. Prawo oskarża pana o to, co pan zrobił w ciągu tych trzech minut!' Jeżeli ziemski sędzia tak postąpi, to czy nie sądzisz, że Boski Sędzia uczyni tak tym bardziej?"

Czy nie sądzicie, że staniecie przed Bogiem w charakterze oskarżonych? Czy nie uważacie, że potrzebne wam jest odpuszczenie grzechów? Czy nie wiecie, że jesteście grzesznikami? Ach, skończcie z tym niewiarygodnym samousprawiedliwianiem, oj, poszukajcie Pana, który za wasze grzechy umarł na krzyżu i zapłacił za was! Przyjmijcie Go, wyznajcie Mu swoje grzechy i powiedzcie: "Panie, oddaję Ci siebie i wszystkie moje nieprawości. Pragnę Twojej łaski! Oczyszc mnie krwią swoją!".

3. UCZYŃCIE TEN DECYDUJĄCY KROK

Najlepiej będzie, jeśli opowiem wam teraz historię, która zilustruje, co mam na myśli.

Było to na początku istnienia Trzeciej Rzeszy. Miałem coś do załatwienia z jednym z tych wysokich urzędników obwieszonych "lametą". Młodzi ludzie nazywali tak te srebrne i złote blaszki, którymi naziści ozdabiali, jak pawie, swoje marynarki. Szedłem z trwogą i drzeniem, bo pastorki nie byli już wtedy dobrze widziani. Ku mojemu zdumieniu człowiek ten jednak nie tylko nie wyrzucił mnie za drzwi, ale nawet życzliwie wysłuchał. Po zakończeniu mojej sprawy powiedziałem: "Niech pan posłucha. Rzadko mi się zdarza, żeby ktoś na pana stanowisku potraktował mnie tak życzliwie. Chciałbym panu za to podziękować. A ponieważ był pan taki dla mnie miły, chciałbym panu ofiarować podarunek. Chciałbym przekazać panu moje poselstwo: 'Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny'". Spojrzał na mnie i powiedział: "Nie musi pan mówić więcej. Moi rodzice są pobożnymi, wierzącymi ludźmi. Pana zwiastowanie znam od dzieciństwa. Ale..." – tu położył na stole kawałek czystego papieru, narysował na nim ołówkiem krechę i dodał: "Widzi pan, panie pastorku, ja wszystko wiem, i wiem, że gdybym chciał przyjąć to poselstwo, to musiałbym przekroczyć tę granicę, musiałbym zrobić jeden krok na drugą stronę tej narysowanej tu przeze mnie linii. Stoję bardzo blisko – tu zrobił kropkę tuż obok linii – ale musiałbym odważyć się na przejście tej granicy". Przerwał na chwilę i dodał z zażenowaniem: "A na to nie pozwala mi moja społeczna pozycja". Pożegnałem się i poszedłem sobie bardzo zasmucony. Człowiek ten dawno już nie żyje. Jego społeczna pozycja nic mu w wieczności nie pomoże. Rozumiał jednak, że jeżeli chce wejść do Królestwa Niebieskiego, to musi zrobić jeden krok przez granicę.

Czy odważycie się na to? O, to się na pewno opłaci! Jezus oczekuje was z otwartymi ramionami. Zróbcie ten decydujący krok – prosto w Jego otwarte ramiona!

4. ZERWIJCIE Z GRZECHAMI, KTÓRE USWIADOMILIŚCIE SOBIE Z CAŁĄ WYRAZISTOŚCIĄ

Znam pewnego człowieka, który żyje w cudzołóstwie. Wezwałem go na rozmowę i powiedziałem: "Pan żyje w cudzołóstwie. Pan unieszczęśliwia swoją żonę. Pan pójdzie do piekła". Odpowiedział: "To przecież bzdury! Chciałbym panu wytłumaczyć wszystko, moja żona mnie nie rozumie..." I opowiedział mi długą historię. Wiedział jednak dokładnie, że to, co robi, jest grzechem. Są ludzie, którzy żyją skłóceniu i mówią: "To on zaczął!". W ogóle istnieją tylko takie kłótnie, które zaczął ten drugi. Żaden człowiek nigdy jeszcze nie zaczął pierwszy, prawda? Zawsze zaczyna ten drugi. Ale powiem wam jedno: w oczach Boga kłótnia jest równie zła, jak mord! Dlaczego z tym nie skończycie? Pytacie, co macie zrobić? Powiem wam: zerwijcie z grzechami, które uświadamiacie sobie z całą wyrazistością.

Zatrzymajcie się na chwilę i spytajcie samych siebie: co w moim życiu jest nie w porządku? Z czym powinienem skończyć? Z pewnością będziecie mogli dać na to sobie dokładną odpowiedź. A czy sądzicie, że Jezus ześle na was swoją łaskę, jeżeli będziecie nadal grzeszyli z pełną świadomością? W Biblii napisano: "Nawróćcie się!". Syn marnotrawny zerwał ze swoim dawnym życiem. Możecie przyjść do Jezusa tacy, jacy jesteście – obciążeni i niedowierzający. Ale potem musicie skończyć z tym wszystkim, co prowadzi was do zguby, o czym wiecie z całą pewnością, że jest grzechem.

W wielu listach, które codziennie dostaję, ludzie stawiają mi zarzuty: "To zbyt surowe, co pan mówi. Przecież to czy tamto nie jest grzechem". I często wymieniają takie rzeczy, o których wcale nie mówiłem. Czuję wtedy, jak sumienia buntują się przeciwko panowaniu Jezusa Chrystusa w naszym życiu. Słuchajcie, nie możecie mieć żywej wiary i żyć żywą wiarą, jeżeli nie zdobędziecie się na odwagę oddania swego życia Jezusowi, aby skończyć z tym, z czym skończyć trzeba. Zerwijcie z grzechami, które uświadamiacie sobie z całą wyrazistością!

5. ROZMAWIAJCIE Z BOGIEM!

Czy umiecie się modlić? Być może potraficie wymruczeć jakąś wierszowaną modlitwę, ale czy umiecie się modlić? Bo, wiecie, wielu ludzi ma takie pojęcie o tym, co to jest modlitwa, że gdybym miał jeszcze jakieś włosy na głowie, wszystkie stanęłyby mi dęba. Przeszedłem niedawno do pewnego domu i matka mówi: "O tak, my jesteśmy dobrymi chrześcijanami. Chodź tu, Klarciu! Ty już umiesz tak ładnie się modlić. Powiedz panu pastrowi jakąś modlitwę". Dziecko zaczyna, a ja prędko wołam: "Nie! Za skarby świata - nie! Powiedzcie panu pastrowi jakąś modlitwę? Przecież to nie jest modlenie się!". Modlić się – to znaczy rozmawiać z żywym Bogiem, który jest w Jezusie, rozmawiać po to, by otworzyć przed Nim serce. Czy modliliście się już tak kiedykolwiek?

Człowiek nazwiskiem Robinson, angielski biskup, napisał straszną książkę pt. "Bóg jest inny". Píše w niej, że współczesny człowiek nie umie się w ogóle modlić. Ja również tak uważam. Ale to nie świadczy źle o modleniu się, tylko o współczesnym człowieku. Nie uważacie? No, ale ten biskup chce przerobić całe chrześcijaństwo z tego powodu, że współczesny człowiek nie umie się modlić. Ja bym raczej powiedział, że lepiej by było nauczyć tego współczesnego człowieka modlenia się.

Zaryzykujcie po prostu pomodlić się. Powiedzcie tylko: "Panie, pozwól, bym Cię znalazł!". Albo: "Panie, uratuj mnie!". Albo: "Panie, dopomóż mi, abym uwierzył!". Albo: "Panie, wybac mi moje grzechy!". Zaczniście tylko. Nie można od razu modlić się doskonale. Być może, że pastory modlą się doskonale – z książką w rękę, z której czytają głośno. Ale wspaniałe modlenie się wcale nie jest konieczne, jeżeli tylko zaczniemy naprawdę rozmawiać z żywym Bogiem. Zaczniście tylko, a nauczycie się!

Wiara jest relacją Ja-Ty, między moim Panem a mną. A w takim wypadku rozmowa jest konieczna, prawda? Więc ja rozmawiam z Nim, a On mówi do mnie. I w ten sposób doszliśmy do następnego punktu moich rozważań.

6. CZYTAJCIE BIBLIĘ!

Jak Bóg rozmawia z człowiekiem? Mówi do niego słowami Biblii. I dlatego koniecznie musicie zacząć czytać Biblię! "A, któż dziś czyta Biblię?" – myślicie sobie. Tak, niestety. Ktoś wytłumaczył to następująco: Ewangelicy podczas święta Reformacji śpiewają zawsze pieśń Lutra "Warownym grodem..." W ostatniej zwrotce są tam słowa: "Niech Słowo ruszać strzegą się..." No i chrześcijanie wystrzegają się ruszania go z półki, uważają, że to dobre i właściwe miejsce dla Biblii! No, ale Luter nie to miał na myśli!

Często, gdy odwiedzam jakiś dom, ludzie mówią: "Tak, panie pastorate, mamy nawet taką Biblię po prababci. Bardzo stara Biblia, z 1722 roku". I wyciągają z kąta takiego grata, którego na pewno nikt nie czyta! Jestem z wielkim szacunkiem dla starych Biblii, ale mimo to radzę wam: kupcie sobie mały Nowy Testament. Niektóre są mniejsze od mojej dłoni. Niektóre są prześlicznie wydane. I takie nowe wydanie powinniście sobie kupić.

A potem ustalcie sobie jakąś godzinę, o której codziennie będziecie czytali Biblię. Musicie tylko słuchać, bo to Jezus będzie do was mówił.

Być może, że znajdziecie tam miejsca, których nie zrozumiecie. Nie zrażajcie się i czytajcie dalej. Mojej młodzieży dają zawsze taki przykład: pewien farmer z Brazylii kupił kawał ziemi, na którym rosła puszca. Wykarczował kawałek, usunął głązy i wziął się do orania. Ale woły przeszły parę kroków i pług utknął na tkwiącym głęboko w ziemi głązie. Co ten farmer zrobił? Myślicie może, że poszedł do domu, wziął dynamit i wysadził w powietrze ten głąz razem z pługiem i wołami? Nie! Ominął głąz i orał dalej. Wynik był na razie dość mizerny, ale coś tam zasiał i zebrał. Przez cały następny rok karczował drzewa i wyciągał głązy i, kiedy przystąpił do orania, poszło mu o wiele lepiej, a za trzecim razem było już zupełnie dobrze. I tak musicie czytać Biblię. Trzeba tylko zacząć, a jeżeli coś jest dla was niejasne, opuśćcie to i czytajcie dalej. Aż natraficie na Słowo w pierwszym rozdziale Nawego Testamentu: "On zbawi lud swój od

grzechów jego". Powiecie wtedy: "Tak, rozumiem. To dotyczy również mnie". Pozwólcie tylko, by Bóg mówił do was za pośrednictwem Biblii, by mówił do was codziennie. I proście Go przy tym: "Panie, daj mi światło, pozwól, abym zrozumiał. Oświeć moje serce, mój umysł i moją duszę".

I jeszcze jedno: nie dajcie sobie obrzydzić Biblii. Biblia jest wspaniałą Księgą. Nie istnieje aktualniejsza i bardziej emocjonująca księga od Biblii.

Podczas pierwszej wojny światowej byłem młodym żołnierzem i kiedyś pod Verdun siedziałem na punkcie obserwacyjnym. Był wieczór, właśnie zapadał zmierzch. Siedziałem na skraju wąwozu i nagle zobaczyłem, jak przez przesiekę przejeżdża kuchnia polowa nieprzyjaciela; podskakując niemiłosiernie na wybojach, przekradała się do swoich. Trochę się pospieszili z tą kuchnią, bo nie ściemniło się jeszcze zupełnie i dzięki temu odkryliśmy, że tamtędy prowadzi droga dojazdowa na pozycje nieprzyjaciela. Byliśmy przedtem pewni, że przesieka jest nieprzejezdna. A tak to znaczy, że przejdą tamtędy posiłki, piechota i wozy z amunicją. Prosto na pozycje nieprzyjaciela! Jak myślicie, co myśmy wtedy zrobili? Czy pomyśleliśmy, że należy tę przesiekę zostawić w spokoju i nie strzelać? Wprost przeciwnie: przez całą noc trzymaliśmy ją pod ogniem.

I, widzicie, Biblia jest taką drogą dojazdową, którą Bóg dosyła chrześcijanom zaopatrzenie, amunicję i posiłki. A diabeł jest wystarczająco chytry, aby trzymać tę drogę pod nieustającym ogniem. Dlatego Biblia tak jest atakowana. Najgłupszy chłopak mówi: "Phi, taka tam książka!". A najmądrzejsi profesorowie dowodzą, że Biblia jest tylko dziełem ludzi. Rozumiecie? W tym ludzie są zgodni: ogień zaporowy na Biblię! Ale jeżeli jesteście dziećmi Bożymi i chcecie być zbawieni, to nie wolno wam się tym przejmować. Nie dajcie sobie obrzydzić Biblii. W Biblii powiedziane jest, że została ona napisana przez ludzi napełnionych i oświeconych Duchem Świętym. A gdy będziecie ją czytali, zauważycie, że przenika ją Duch Boży.

Ktoś mi się kiedyś skarżył: "Słowo Boże jest dla mnie martwe. Bardzo chciałbym być zbawiony, ale Jego Słowo nic mi nie mówi".

Powiedziałem wtedy: "Niech pan prosi Boga o Ducha Świętego. Niech pan Go prosi nawet przez cały kwartał codziennie: Panie, podaruj mi Ducha Świętego, abym zrozumiał Twoje Słowo, abym ożył w wierze! Niech mi pan wierzy, że Bóg panu z całą pewnością odpowie!".

Na zakończenie chciałbym wam powiedzieć coś jeszcze:

7. CHODŹCIE TAM, GDZIE GŁOSI SIĘ SŁOWO BOŻE

Chodźcie również tam, gdzie można usłyszeć czyste Słowo Boże. Nie waham się powiedzieć, że z niektórych ambon głosi się dziś rozcieńczoną Ewangelię. Tam bym nie chodził, nie interesuje mnie lemoniada. Interesuje mnie za to mocne wino Ewangelii. Sami się zorientujecie, czy zwiastuje się wam Radosną Nowinę, czy też nie. Wszędzie znajdziecie księży, kaznodziei i świeckich, którzy umieją przekazywać Ewangelię. Koniecznie chodźcie tam, gdzie głosi się Słowo Boże. Przyłączcie się do tych, którzy chcą je słyszeć za wszelką cenę. Niedawno ktoś mi powiedział: "Tak, ale wie pan, ja jestem indywidualistą". Mogłem mu tylko odpowiedzieć, że nigdy nie osiągnie żywej wiary, jeżeli nie będzie przebywał wśród innych chrześcijan i nie będzie chodził tam, gdzie głosi się Słowo Boże.

A teraz opowiem wam jeszcze historię o pewnej starej kobiecie, którą kiedyś poznałem. Usłyszałem raz od młodego człowieka: "Niechże mi pan nie opowiada o starych kobietach!". No, ale to było jego prywatne odczucie! Ta stara kobieta odegrała w moim życiu dużą rolę. Zdarzyło mi się spotkać w krótkich odstępach czasu trzech inżynierów, którzy dzięki niej uwierzyli w Jezusa. Zrozumiałem wtedy, że ta kobieta ma w sobie wielką siłę i poszedłem ją odwiedzić, tę wdowę po górniku. Ucieszyła się, że przyszedłem i opowiedziała mi swoją historię przyjścia do wiary.

Mieszkała swego czasu na dalekim przedmieściu Essen, dziś już wchłoniętym przez miasto. Pewnego dnia przeczytała w gazecie, że w kościele św. Pawła wprowadzeni będą na urząd dwaj nowi pastory. W Essen jest to zawsze wielka uroczystość, więc namówiła

przyjaciółki i poszły razem. Wędrowały najpierw polami, a później cały kawał przez miasto. Gdy przyszły, olbrzymi kościół św. Pawła był już pełen po brzegi. Stały więc z tyłu. Na ambonę wszedł Juliusz Dammann, człowiek, który bardzo skutecznie działał w Essen.

"Juliusz Dammann – wspominała stara kobieta wszedł po raz pierwszy na ambonę i przeczytał: 'Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.' A potem pastor pochylił się na prawo i powiedział: 'Spośród setek tysięcy słów Biblii żadne nie napawa mnie taką trwogą, jak słowo "ZGINĄŁ". Można zginąć na wieki, jeżeli Bóg nas opuści. Tym jest piekło.' Byłam wtedy młodą dziewczyną. Te słowa uderzyły we mnie jak grom. Stałam w tym wielkim kościele i nie słyszałam już nic więcej, tylko myślałam: jestem zgubiona, ja również zginę. Nie mam pokoju z Bogiem. Nie mam przebaczenia grzechów. Nie jestem dzieckiem Bożym. Jestem zgubiona. Wracałam do domu jak we śnie. Upłynęły trzy dni. Ojciec spytał: 'Czy jesteś chora?' Próbowałam rodzicom wytłumaczyć, co się ze mną dzieje, ale odpowiedzieli, że mam bzika i chore nerwy."

Nikt nie mógł zrozumieć śmiertelnej trwogi tej dziewczyny, że jest zgubiona. – Życzę wam wszystkiego najlepszego, ale mimo to (a może właśnie dlatego) życzę wam, byście też to przeżyli, poznali rzeczywistość Ducha Świętego i tę trwogę, że jesteście zgubieni. – Kobieta opowiedziała mi, jak przez parę tygodni chodziła zupełnie nieprzytomna, aż któregoś dnia przeczytała, że pastor Dammann znowu będzie miał kazanie. Poszła więc, a po drodze cały czas modliła się. Ale nie mogła sobie przypomnieć nic innego, jak tylko jedną zwrotkę pieśni: "Nam jednego tylko trzeba – Tak Ty, Panie, rzekłeś sam: Dość już troski o kęs chleba, inny cel wskazałeś nam". Całą drogę mówiła sobie te słowa. Kościół św. Pawła znów był przepełniony, więc znowu musiała stać z tyłu. Zaintonowano pieśń i ku jej zdumieniu, była to ta właśnie pieśń: "Nam jednego tylko trzeba..." Pomyślała wtedy, że jeżeli wszyscy w kościele modlą się tymi słowami, to coś się stanie. Pastor Dammann wszedł na ambonę i przeczytał tekst z Ewangelii św. Jana: "Ja jestem drzwiami; jeśli kto

przeze mnie wejdzie, zbawiony będzie..." Amen. Dziewczyna usłyszała te słowa i w tej samej chwili zrozumiała: Jezus Zmartwychwstały jest drzwiami do żywota. Przesła przez nie i weszła do życia.

Często przytaczam tę historię, gdy spotykam ludzi, którzy mi mówią: "Ach, ja nie chodzę do kościoła. Nie mogę znieść tej atmosfery. Wolę pójść do lasu, gdzie śpiewają ptaki, szumią drzewa..." Odpowiadam im na to: Ta kobieta nigdy nie doszłaby do żywej wiary, gdyby nie poszła tam, gdzie głosi się Słowo Boże.

Pytacie, co macie zrobić!? Skończcie z waszą bezsensowną niewiarą! Skończcie z waszym niewiarygodnym samousprawiedliwianiem! Uczynicie ten decydujący krok! Zerwicie z grzechami, które uświadomiliście sobie z całą wyrazistością! Rozmawiajcie z Bogiem! Czytajcie Biblię! Chodźcie tam, gdzie głosi się Słowo Boże!

Miałem odpowiedzieć na pytanie: co powinniśmy zrobić? Dałem wam na to odpowiedź. Ale na zakończenie muszę – bo uważam to za niezmiernie ważne – powiedzieć wam coś najważniejszego: W gruncie rzeczy rozstrzygające jest nie to, co my robimy (choć jest to też ważne!). Rozstrzygające jest to, co Bóg dla nas uczynił w Jezusie. Radosna Nowina, którą mam wam zwiastować, brzmi: "Jezus uczynił wszystko dla wszystkich". Przyszedł do nas, umarł za nas, zmartwychwstał dla nas i wstawia się za nami, siedząc po prawicy Boga. On jest dobrym Pasterzem, który wszystko zrobi dla swoich owiec. W Psalmie 23 psalmista mówi: "Pan jest pasterzem moim, niczego mi nie braknie...", po czym wylicza, co wszystko uczynił dla niego dobry Pasterz.

Życzę wam, abyście również mogli powiedzieć: "Pan jest Pasterzem moim..."

DLACZEGO BÓG MILCZY?

Na świecie dzieją się straszne rzeczy!

Szedłem raz ulicami Essen – było to chyba w 1937 roku – i nagle zobaczyłem idącego mi naprzeciw 16-letniego chłopca. Był strasznie wzburzony. Ponieważ znałem go z mojej pracy z młodzieżą, zatrzymałem się i pytam: "Co ci jest?". Opowiedział mi, że zawleczono go do szpitala i wysterylizowano, ponieważ jego matka była Żydówką. A gdy wrócił do domu, nie zastał już rodziców. Nigdy ich już nie zobaczył. Ojca aresztowano, matkę wywieziono do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Udało mi się przemycić tego chłopca do Holandii, skąd wyjechał do Ameryki. Nigdy jednak nie zapomnę jego wzburzonej twarzy i słów: "Zawlekli mnie do szpitala i wysterylizowali, bo moja matka jest Żydówką. A kiedy wróciłem do domu, moich rodziców już nie było". Takie rzeczy zdarzały się tysiące razy. I człowiek zaczyna pytać: A Bóg? Gdzie jest Bóg? Czy nie ma na to nic do powiedzenia? Dlaczego Bóg milczy?

W Kolonii chory psychicznie wdarł się do szkoły podstawowej i miotaczem ognia zabił dwanaścioro małych dzieci. I znowu musimy zadawać sobie pytanie: A Bóg? Dlaczego Bóg milczy?

Albo ta młoda kobieta, która ma raka. Powoli i w strasznych męczarniach odchodzi od swoich dzieci. Kto to razem z nią przeżywał, ten musi zapytać: A Bóg? Dlaczego Bóg milczy?

Jest wielu ludzi, którzy mogliby opowiedzieć tu różne historie ze swego życia i spytać na końcu: A gdzie był wtedy Bóg? Dlaczego milczał?

Poeta niemiecki Friedrich Schiller w wierszu "Do przyjaciół" napisał, że ponad gwiazdzistym niebem musi mieszkać kochany Ojciec. Dzisiejszy człowiek skłonny jest mniemać, że nad gwiazdzistym niebem nie może mieszkać żaden kochany ojciec!

Ten, kto zaczyna zadawać sobie pytania: gdzie jest Bóg? Dlaczego do tego dopuścił? Dlaczego milczy, gdy dzieją się takie straszne rzeczy? – może dojść do punktu, w którym zaświta mu niebezpieczna myśl: a może Boga wcale nie ma? Może niebo jest puste? Może raczej

mają ateści? Moi przyjaciele, ten, komu przyszły do głowy takie myśli, powinien wpaść w panikę. Gdyby prawdą było, że Boga nie ma, to byłoby to przerażające. Wtedy, my, ludzie – my, bestie! – bylibyśmy pozostawieni samym sobie. Bylibyśmy jak zagubione dzieci, które nie mogą trafić do domu. Nie ma Boga? To byłoby okropne! Kiedy mi ktoś mówi, że jest ateistą, odpowiadam: nie wiesz, co mówisz! Nic nad nami? Pozostawieni samym sobie? Sami ze sobą? Nie ma nic groźniejszego dla człowieka niż drugi człowiek, no nie? Rzymianie mieli takie przysłowie: "Homo homini lupus", co znaczy "człowiek człowiekowi wilkiem" – straszne.

Nie zliczę, ile razy jako pastor słyszałem te pytania: "Jak Bóg może do tego dopuszczać? Dlaczego milczy?". A ponieważ tak często byłem pytany, chcę teraz na to odpowiedzieć.

Z góry jednak muszę was uprzedzić: nie jestem osobistym sekretarzem Pana Boga. Nie zwierzał mi się, jakie ma plany, ani nie podyktował ich do stenogramu. Rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć? Właściwie, to trochę głupio zadawać takie pytania, jak gdybyśmy mogli zrozumieć Boga. Bóg, jakiego ja mógłbym zrozumieć, byłby najwyżej dziekanem albo superintendentem. Bo tych to ja jeszcze mogę zrozumieć. Ale gdybym mógł zrozumieć Boga, to nie byłby On bogiem. W Biblii czytamy, że Bóg powiedział kiedyś: "Bo myśli moje, to nie myśli wasze, a drogi wasze, to nie drogi moje." To bardzo jasne i pouczające.

Dzięki Biblii rozumiałem jednak pewne sprawy i chciałbym teraz w miarę moich możliwości odpowiedzieć na pytanie: "Dlaczego Bóg milczy?".

1. Z GRUNTU FAŁSZYWE POSTAWIENIE PYTANIA

Przed wszystkim chciałbym powiedzieć, że pytanie: "Dlaczego Bóg milczy?", jest postawione opacznie. Przy tak postawionym pytaniu można by wyobrazić sobie salę sądową, gdzie na krześle sędziowskim siedzi pastor Busch, a na ławie oskarżonych siedzi Bóg. I my mówimy: "Niech oskarżony powie, dlaczego pozwala na to

wszystko? Dlaczego milczy?". Chciałbym postawić sprawę zupełnie jasno: takiego Boga, który pozwoliłby nam zasiadać na krześle sędziowskim, a sam usiadłby na ławie oskarżonych – takiego Boga nie ma!

Pamiętam taką kapitalną scenę z czasów, gdy byłem młodym pastorem. Mając 27 lat przybyłem do Essen w czasie, gdy wybuchł tam strajk górników. Ludzie byli bardzo wzburzeni. Pewnego dnia przechodziłem przez jakiś plac i zobaczyłem mężczyznę stojącego na skrzyni. Naokoło stał tłum ludzi, a on wygłaszał gwałtowne przemówienie. Mówił o głodnych dzieciach, wyzysku, niskich płacach i bezrobociu. Ujrzał mnie nagle, poznał i wrzasnął: "Ha, jest tu klecha! Chodź tu!". No, ja przeważnie przyjmuję uprzejme zaproszenia, więc przybliżyłem się. Mężczyźni rozstępowali się przede mną, tak że doszedłem aż do mówcy. Stałem teraz w tłumie około stu górników. Muszę przyznać, że czułem się trochę dziwnie – na uniwersytecie nie przygotowano mnie na takie sytuacje. A ten tam na skrzyni zaczął: "Słuchaj no, klecho! Jeżeli Bóg jest, ja tam nie wiem, może i jest, to kiedy umrę, stanę przed Nim i powiem Mu, – tu podniósł głos do krzyku – 'Dlaczego dopuściłeś do tego, że ludzi na polu bitwy rozszarpywało na strzępy? Dlaczego pozwalasz, żeby dzieci marły z głodu, kiedy inni wyrzucają jedzenie, bo mają za dużo? Dlaczego pozwalasz, żeby ludzie zdychali na raka? Dlaczego? Dlaczego?' A potem powiem Mu: 'Ty tam! Wynoś się! Precz! Zwiewaj!'. Tak krzyczał ten facet. I wtedy ja też zacząłem wrzeszczeć: "Bardzo słusznie! Precz z tym Bogiem! Precz z nim!". Zapadła cisza. Mówca zrobił zdumioną minę i powiedział: "Chwileczkę! Pan jest przecież pastorem! Panu nie wolno krzyczeć: precz z Bogiem!". "Słuchaj no! – odrzekłem – Ten Bóg, przed którym możesz stanąć i tak rozdzierać paszczę, który pozwala pociągać się do odpowiedzialności i może być oskarżonym, a ty jego sędzią – taki bóg istnieje tylko w twoim wyobrażeniu. I o takim bogu mogę powiedzieć tylko: precz z nim! Precz z takim głupkowskim bogiem, którego wymyśliliśmy sobie w naszych czasach, którego możemy oskarżać, wypędzać i wzywać z powrotem według naszych potrzeb! Takiego boga nie ma! Ale coś ci powiem:

istnieje inny, prawdziwy Bóg. Przed Nim ty staniesz jako oskarżony i nie będziesz mógł w ogóle otworzyć ust, bo On ciebie zapyta: Dlaczego mnie nie czciłeś? Dlaczego mnie nie wzywałeś? Dlaczego żyłeś w nieczystości? Dlaczego kłamałeś, nienawidziłeś, klóciłeś się? Dlaczego...? Takie pytania On tobie postawi, a ty nie będziesz mógł odpowiedzieć, bo słowa uwięzną ci w gardle, bo nie mógłbyś na tysiąc pytań ani na jedno odpowiedzieć! Nie ma takiego Boga, któremu moglibyśmy powiedzieć: precz z Tobą! Ale istnieje święty, żywy, prawdziwy Bóg, który będzie mógł kiedyś powiedzieć: precz z wami!".

Chciałbym więc wam powiedzieć, byście słysząc ludzi robiących Bogu wyrzuty, pytających: "Jak Bóg może do tego dopuścić, dlaczego milczy?", byście im powiedzieli, że taki bóg, którego można oskarżać, jest głupim, urojonym przez nich bogiem. Istnieje tylko jeden święty Bóg, który oskarża nas – was i mnie! Czy przestrzegaliście przykazań Bożych? No to jak to sobie wyobrażacie? Bóg traktuje swoje przykazania poważnie. To my jesteśmy oskarżonymi, nie Bóg!

To jest pierwsza rzecz, którą chciałem jasno powiedzieć. Takie postawienie pytania jest z gruntu fałszywe.

2. MILCZENIE BOGA OZNACZA JEGO SĄD

Dlaczego Bóg milczy? Widzicie, Bóg często milczy. A milczenie Boże jest najstraszliwszym Jego sądem nad nami.

Jestem przekonany, że piekło istnieje. Ale nie takie, jakie można zobaczyć na wielu obrazkach, gdzie diabeł smaży na ogniu dusze, i inne takie bzdury. Wierzę, że piekło, to jest takie miejsce, w którym Bóg nie ma ludziom nic więcej do powiedzenia. Możecie Go wzywać, możecie modlić się, możecie krzyczeć – On nie odpowiada. Rosyjski pisarz, Dostojewski, powiedział kiedyś: "Piekło, to jest takie miejsce, do którego Bóg już więcej nie zagląda". Miejsce, w którym definitywnie rozstaniemy się z Bogiem, gdzie Bóg nas naprawdę opuści. Tak, milczenie Boga oznacza Jego sąd nad nami. I, widzicie, piekło zaczyna się już tutaj, wtedy, gdy Bóg milczy.

Chciałbym opowiedzieć wam w związku z tym pewną historię z Biblii. Były dwa miasta – Sodom i Gomora, gdzie kwitła cywilizacja i wyrafinowana kultura. Nie zaprzeczano tam istnieniu Boga, – prawdopodobnie było tam nawet paru nieszczęsnych dziwaków kapłanów – ale Boga po prostu nie brano poważnie. Być może, że fatygowano jeszcze kochanego Pana Boga przy ślubach czy pogrzebach, ale poza tym nie zaprzętało Nim sobie głowy. A wszystkie Jego przykazania beztrząsanie deptano. W Sodomie mieszkał pobożny mąż, imieniem Lot, który co pewien czas ostrzegał: "Nie wolno tak postępować z Bogiem. Nie sądzcie, że Bóg pozwoli z siebie szydzić. Co człowiek sieje, to i żąć będzie!". "Ach – odpowiadali mu ludzie – nie żartuj sobie! Przecież nie jesteś kapłanem. Przystań mówić takie głupstwa: "Co człowiek sieje, to i żąć będzie!" Aż pewnego dnia o świcie – poprzednio Bóg wyprowadził Lota z miasta – stało się, że Bóg spuścił z nieba na miasto deszcz siarki i ognia. Jak to jest, wiemy, bo przeżyliśmy naloty bombowe. Bóg jednak może dokonać tego bez samolotów. Mogę sobie wyobrazić, jak ludzie wyskakiwali z łóżek, krzycząc: "Do piwnicy". Wszyscy schronili się w piwnicach, ale wkrótce zaczęło tam być gorąco jak w piecu. Nie można było wytrzymać. Rzucono więc nowe hasło: "Wszyscy wychodzić!". Ludzie wybiegli, ale na dworze padał deszcz ognia i siarki. Sytuacja bez wyjścia: nie mogą wyjść i nie mogą zostać w piwnicach, bo po prostu się duszą. Tak opowiada Biblia. A ja wyobraziłem sobie – wyobraziłem, bo w Biblii tego nie ma – że jest tam taka grupka ludzi: światowa młoda dama, która dotychczas nie mieszkała kochanego Pana Boga w swoje sprawy; starszy pan, który umiał smakując rozpoznać każdy gatunek czerwonego wina – on też nie miał nic przeciwko kochanemu Panu Bogu, ale Bóg był mu całkowicie obojętny; inni ludzie, mili, porządni ludzie, przyzwoici, regularnie płacący podatki obywatele. – Wszyscy mieli swoje mroczne tajemnice, tak jak mają je ludzie dzisiejsi. – W piwnicy robiło się coraz goręcej. Chcą wyjść, a nie mogą, bo na zewnątrz szaleje zniszczenie. Ogarnia ich groza. Nagle ten starszy gruby pan mówi: "Ludzie, ten Lot miał rację, Bóg rzeczywiście żyje!". A młoda

światowa dama mówi: "Tylko jedno może nas uratować – musimy się modlić. Kto potrafi modlić się?". I wtedy w górę unoszą się ręce tych, którzy dotychczas nigdy nie unosili rąk (w starożytności ludzie modlili się z podniesionymi w górę rękami). I cała piwnica rozbrzmiewa głosami. "Panie, zmiłuj się nad nami! Zgrzeszyliśmy! Wzgardziliśmy Tobą! Ale prosimy Cię, przestań! Przecież jesteś dobrym Bogiem, jesteś miłosierny! Panie, zmiłuj się nad nami!". Ludzie umilkli. Słysząc było tylko płacz i trzeszczenie ognia. Nic więcej. Wtedy ramiona opadły, a dłonie zacisnęły się w pięści. Rozległ się krzyk: "Boże! Dlaczego milczysz?". I znowu słysząc było tylko huk pożarów. Mogli modlić się, mogli przeklinać – Bóg im już nie odpowiadał.

Istnieje pewna granica, którą przekracza człowiek, ludność miasta czy naród, granica obojętności wobec żywego Boga. Gdy przekroczy się tę granicę, Bóg już więcej nie odpowiada, choćbyśmy modlili się i przeklinali. Czy rozumiecie, że to milczenie Boga było Jego najstraszliwszym sądem nad Sodomą? Bóg nie miał jej mieszkańcom nic więcej do powiedzenia. Kiedy patrzę na ludzi w mojej Ojczyźnie, na ich kompletną obojętność wobec prawdy Bożej, Bożych przykazań i zbawienia, ogarnia mnie zgroza. Może też doczekają chwili, że będą modlili się albo przeklinali, a Bóg nie będzie im miał nic więcej do powiedzenia.

W Biblii czytamy, że Bóg powiedział kiedyś: "Chociaż wołałem do was, nie odpowiadaliście". Człowieku, dlaczego milczysz, gdy Bóg ciebie woła?

Tak więc, milczenie Boga jest Jego najstraszniejszym sądem nad nami!

A teraz trzecia sprawa.

3. Z DUŻEJ ODLEGŁOŚCI NIE MOŻNA NIC USŁYSZEĆ

Jeżeli mamy uczucie, że Bóg milczy, może to być spowodowane tym, że jesteśmy od Niego zbyt daleko.

Niedawno przyszedł do mnie młody człowiek i powiedział: "Panie

pastorze, pan mnie denerwuje! Pan bezustannie mówi o Bogu. Tylko się gdzieś spotkamy, pan już zaczyna swoje. A ja ani Boga nie słyszę, ani Go nie widzę. Gdzie on przemawia? Ja nic nie słyszę!"

Odpowiedziałem mu na to: "Młody człowieku, czy zna pan historię o synu marnotrawnym?". "No, mniej więcej znam..." "Mniej więcej, to nic nie znaczy. Opowiem panu tę historię, a opowiedział ją kiedyś sam Jezus. Był sobie bogaty właściciel majątku, który miał dwóch synów. Jeden z nich był nieco lekkomyślny. Za ciasno mu było w domu, za nudno. Po prostu w domu nie podobało mu się. I pewnego dnia powiedział ojcu: 'Staruszk, daj mi moją część dziedzictwa, spłać mnie już teraz. Chciałbym wyruszyć w świat.' Ojciec zgodził się i syn odszedł w daleki świat. Powiedziano o nim w Biblii: "...I roztrwonil swój majątek". Może pan to sobie wyobrazić. W wielkim mieście znakomicie można stracić majątek! I oto w tym właśnie czasie nastąpiła w tym kraju klęska głodu i bezrobocia. Ten młody człowiek nic już nie posiadał i w końcu wylądował jako pastuch pilnujący świń. Dla Izraelity było to najgorsze, co mu się mogło przytrafić, bo w Izraelu świnie były uważane za zwierzęta nieczyste. Ponieważ jednak panował wielki głód, więc młodzieniec był zadowolony, gdy udało mu się ukraść ze świńskiego koryta trochę omlotu i tym się najeść. Tam, gdzie przebywał, nie mógł usłyszeć głosu swego ojca, bo po prostu był za daleko. Syn marnotrawny mógł więc sobie powiedzieć, że nie słyszy głosu swego ojca. To jasne! Oczywiście, że nie słyszał". To wszystko opowiedziałem temu młodemu człowiekowi, który skarżył się, że nie słyszy głosu Boga. A teraz, zanim przejdę do tego, co mu później powiedziałem, pozwólcie, że zrobię tu małą dygresję i opowiem wam historię, której wcale nie ma w Biblii. Sam ją sobie wymyśliłem. Więc nasz uciekinier siedzi sobie przy swoich świniach i czuje okropny głód. Siedzi i oskarża swego ojca: jak on może pozwolić, żeby mi się tak fatalnie powodziło! I tak wyobrażam sobie nasz dzisiejszy świat: odszedł od Boga, wałęsa się na niego nieszczęścia, i świat ten krzyczy: 'Jak Bóg może do tego dopuścić! Dlaczego Bóg milczy?' Ale Jezus opowiedział historię o synu marnotrawnym trochę inaczej. W życiu jego przyszła godzina, w której zaczął myśleć: 'ja

chyba oszalałem! U mojego ojca jest chleba pod dostatkiem, a ja tu ginę z głodu.' I w Biblii czytamy: "Wstanę i pójdę do ojca mego, i powiem mu: Ojcze, zgrzeszyłem...". I poszedł. Ojciec ujrzał go z daleka i wybiegł mu naprzeciw. Syn powiedział to, co sobie umyślił: "Ojcze, zgrzeszyłem...". Ale ojciec rzucił mu się na szyję, pocałował i powiedział sługom: "Przynieście szybko najlepszą szatę i ubierzcie go; dajcie też pierścień na jego rękę i sandały na nogi". Syn słyszał teraz głos swego ojca. Powiedziałem mojemu rozmówcy: "Jeżeli nie słyszy pan głosu Boga, to znaczy, że jest pan za daleko. Musi pan zawrócić, z pewnością sam pan doszedł do tego wniosku".

Ludzie mogą bardzo daleko odejść od Boga. Obrazowo mówiąc – mogą zniżyć się do świń. W czasie, gdy byłem bardzo bezbożny, jako porucznik podczas pierwszej wojny światowej zawsze zdawałem sobie z tego sprawę i myślałem, że właściwie muszę się nawrócić. I nigdy jeszcze nie spotkałem człowieka, który by nie wiedział w gruncie rzeczy, że musi się nawrócić. Bezkrzytyczna wobec siebie samej kobieta mówi mi: "Jestem w porządku!". Ale po dłuższej rozmowie ze mną dochodzi do przekonania, że właściwie musi się nawrócić, bo w jej życiu jest wiele grzechów i w gruncie rzeczy serce jej jest skamieniałe.

Każdy z nas wie, że musi się nawrócić. Więc dlaczego tego nie robicie? Nawróćcie się, a wtedy usłyszycie głos Ojca.

A teraz muszę coś jeszcze dodać do tych rozważań na temat: "Dlaczego Bóg milczy?".

4. MUSIMY USŁYSZEĆ OSTATNIE SŁOWO BOŻE!

Czy możecie jeszcze uważać na to, co mówię? Może nudzicie się? Jeżeli tak, to jest to wina moja, a nie Ewangelii. Pastorzy potrafią zanudzić ludzi Ewangelią, o tak, dobrze to umieją! Ale jest na to rada – czytajcie Ewangelię sami, bez nas! Ewangelia jest Księgą zapierającą dech w piersi, wierzcie mi!

Powiem wam teraz coś najważniejszego: jeżeli macie uczucie, że Bóg milczy, to posłuchajcie Jego ostatniego Słowa. Zacytuję wam

teraz jedno zdanie z Biblii, które jest tak długie, że właściwie powinienem powtórzyć je dwa razy. Znajdziecie je w pierwszym rozdziale Listu do Hebrajczyków: "Wielokrotnie i wieloma sposobami przemawiał Bóg dawnymi czasy do ojców przez proroków; ostatnio, u kresu tych dni, przemówił do nas przez Syna...". Dawniej przemawiał przez proroków, na przykład przez Mojżesza czy Jeremiasza, a teraz przemówił do nas przez swojego Syna. A wiecie, kto jest Synem Boga? Jezus!

Jezus! I znowu wróciłem do mojego tematu. Serce bije mi szybciej, gdy zaczynam mówić o Jezusie. Ten Jezus jest – tak powiedziano o Nim kiedyś – Słowem Bożym, które stało się Człowiekiem. "A Słowo ciałem się stało i zamieszkało wśród nas..." Zrozumcie – gdy my mówimy jakieś słowo, to ono ulatuje, jak tchnienie. A Bóg kazał swemu Słowu stać się ciałem – w Jezusie. Jezus jest tym ostatnim Słowem Bożym.

Czy znacie takie powiedzenie – "to moje ostatnie słowo"? Przypuśćmy, że chcę wam sprzedać krowę. Nie bójcie się, tak naprawdę wcale nie chcę, bo nie mam pojęcia o handlu krowami. Ale przypuśćmy, że chcę wam sprzedać krowę. Ile kosztuje krowa? Nie mam pojęcia. Ale powiedzmy, że tysiąc marek. Wy mówicie – daję 300 marek, nie więcej! Odpowiadam na to, że, właściwie, to powinienem wziąć za nią tysiąc dwieście. Wtedy Wy proponujecie mi czterysta. Ja na to – tysiąc sto! I tak targujemy się, aż wreszcie oświadczam: "Osiemset marek! To moje ostatnie słowo!". Jeżeli nie jestem błaznem, to trzymam się tego i nie mam nic więcej do powiedzenia. Jezus jest ostatnim Słowem Boga. I jeżeli Go nie przyjmiecie, to Bóg nie ma wam nic więcej do powiedzenia. Rozumiecie? Gdy ludzie skarżą się, że Bóg nie mówi do nich i pytają, dlaczego On milczy, mam tylko jedną odpowiedź: "Bóg nie ma wam nic więcej do powiedzenia, jeżeli nie chcecie przyjąć Jego ostatniego słowa!". Musicie przyjąć Jezusa! Nic innego wam nie pozostaje!

Często spotykam ludzi, którzy mówią: "Owszem, wierzę w Boga. Ale Jezus?". Słuchajcie, Jezus jest Słowem, które stało się ciałem, jest ostatnim Słowem Bożym powiedzianym do nas. Muszę wam wy-

jaśnić, co to właściwie znaczy. A żeby to wyjaśnić, muszę opowiedzieć wam jeszcze o Jezusie. Nic miłszego dla mnie!

A więc wokół Jezusa zebrał się wielki tłum i słuchał, co On mówi. Nagle gdzieś na tyłach wszczęło się zamieszanie, ludzie krzyczą i biegną. Jezus przestaje nauczać i pyta – co się stało? A tam stało się coś strasznego: przyszedł trędowaty. Czy wiecie, co to jest trąd? Człowiek gnije za życia. Choroba wyżera mu uszy, nos, wargi. Straszne! I ten trąd jest tak zaraźliwy, że nawet oddech chorego jest niebezpieczny. Dlatego trędowaci muszą żyć na pustyni. Nie wolno im stykać się z ludźmi. A tu nagle trędowaty pojawia się w tłumie ludzi! Usłyszał o Jezusie i koniecznie chce Go zobaczyć. Przyszedł i z pewnością mógł iść naprzód, bo ludzie się przed nim rozstępowali, krzycząc przy tym: "Wynoś się stąd, idź precz!". Grozili mu i podnosili z ziemi kamienie. Ale on nie dał się zastraszyć. Tak dobrze mogę sobie wyobrazić, jak idzie wzdłuż szpaleru rozstępujących się z trwogą ludzi. Idzie, idzie, aż staje przed samym Jezusem. Nie, nie staje, pada przed Nim na twarz, leży w kurzu i płacze: "Panie, moje życie jest nic nie warte, ale jeżeli zechcesz, możesz mnie oczyścić! Panie, pomóż mi!". Ach, wiecie, nieszczęsne ludzkie stworzenie i Zbawiciel, Syn Boży, muszą się spotkać! Tak musi być – z naszą nędzą musimy przyjść do Jezusa! Życzę wam, abyście odrzucili precz swoją mizerną "religię" i abyście przyszli do Jezusa z waszą nędzą. Ten trędowaty leżał przed Nim, mówiąc: "Panie, jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić". I teraz dzieje się coś niewyobrażalnie pięknego. Mógłbym sobie wyobrazić, że Jezus odstał o krok, cofnął się przed tym straszliwie oszpeconym człowiekiem i powiedział: "Dobrze. Wstań! Bądź oczyszczony!". Ale nie, Jezus tak nie postąpił. Jezus podszedł o krok bliżej i położył rękę na głowie chorego. W tłumie rozległ się krzyk przerażenia – przecież trędowatego nie wolno dotykać! A w Biblii czytamy: "I wyciągnąwszy rękę, dotknął się go..." Zbawiciel nie brzydzi się niczego, żadnego brudu czy nędzy. On kładzie swoją rękę na nieszczęsnym stworzeniu. Gdybym był malarzem, chciałbym namalować taki obraz: ręce Jezusa na głowie zżartego trądem człowieka. To jest Jezus, cud wszechczasów. I jeżeli

jest wśród was człowiek, którego nikt nie chce, to Jezus wyciąga do niego rękę i mówi: "Ja ciebie zbawiłem, bądź moją własnością". A jeżeli jest ktoś, kto dręczy się myślą, że jest trędowaty, zzarty przez brud i grzech, Jezus kładzie rękę na jego głowie i mówi: "Bądź oczyszczony!".

W Jezusie przyszła do nas cała miłość Boża; do nas, pogrążonych w nędzy, grzechu i brudzie, do nas chorych. Jezus jest Słowem Bożym, które stało się Człowiekiem. A ludzie mówią – dlaczego Bóg milczy? Czy Bóg nie przemówił już wspaniale i wyraźnie? Czy to nie wystarczy? Czy to nie Bóg przemówił?

Ten Jezus został pewnego dnia ukrzyżowany. Dłonie i stopy przebito mu gwoździami, ustawiono krzyż pionowo. A naokoło kłębił się tłum, odpędzany przez rzymskich żołnierzy. Chodźcie, stańmy i my w tym tłumie, pod krzyżem. Spójrzcie na Niego, na tego Człowieka na Golgocie: "O, głowo krwią zbroczona oplwana, pełna ran, o, głowo, której wieniec bolesnej wzgardy dan...". Spójrzcie na Niego i spytajcie Go, dlaczego tu wisi. Odpowie: "Bo jesteś winien przed Bogiem. I albo ty zapłacisz za tę winę piekłem, albo ja zapłacę za ciebie – tu. Ktoś musi zapłacić. I ja chcę to zrobić za ciebie. A ty uwierz we mnie!".

Moi drodzy! Jako młody człowiek zrozumiałem, że On jest Barankiem Bożym, który niesie grzechy świata – również moje – zrozumiałem, że On pojednał mnie z Bogiem, zapłacił okup za mnie i wykupił mnie dla Boga. I wtedy zaniósłem moje serce pod krzyż i powiedziałem: "Pragnę szukać Zbawiciela, chcę przebywać z Nim co dzień, z Nim na zawsze pozostawać, za Nim iść, jak Jego cień...".

A potem złożono Jezusa do skalnego grobu i przywalono grób głazem. Rzymscy żołnierze zaciągnęli wartę. Ale trzeciego dnia o świcie zrobiło się tak jasno, jak przy wybuchu bomby atomowej, tak jasno, że żołnierze – chłop w chłopą, nie jakieś histeryczne dziewice – zemdleli. A zanim stracili przytomność, zobaczyli, jak Jezus w glorii chwały wychodzi z grobu.

Nie opowiadam wam tu bajek. Opowiadam wam to, ponieważ wiem, że ten Jezus powstał z martwych. Ten Jezus, który umarł za was

– żyje! I nie ma nikogo, za kogo by Jezus nie umarł. I ten Jezus żyje. I wzywa was, On – ostatnie Słowo Boże. A to, czy Go przyjmiecie, rozstrzygnie o waszym życiu.

Dlaczego Bóg milczy? Ależ On wcale nie milczy, moi przyjaciele! On mówi. On mówi: "Jezus"! A to oznacza miłość, łaskę, miłosierdzie.

Przeżyłem wiele strasznych godzin; w hitlerowskich więzieniach i podczas bombardowania. Powiem wam, jaką godzinę wspominam jako najstraszliwszą. Zaprowadzono mnie po jakimś bombowym nalocie na podwórze. Spojrzałem wokół siebie i krzyk przerażenia uwiązał mi w gardle. Leżało tam 80 trupów ludzi, których odkopano z zasypanego schronu. Widziałem oczywiście podobne obrazy na polach bitewnych w czasie pierwszej wojny światowej. To tutaj było jednak o wiele straszliwsze. Tu nie leżeli żołnierze. Tu leżały zwłoki starych mężczyzn, spracowanych kobiet i dzieci. Dziecięcych ciał wyniszczonych długą wojną. Dzieci! A cóż one miały wspólnego z tą obłądną wojną? I kiedy tak stałem pośród tych wszystkich zwłok – zupełnie sam, wśród śmiertelnej ciszy – zacząłem wołać w sercu: "O, Boże! Gdzie jesteś? Dlaczego milczysz?". I nagle usłyszałem w duszy Słowo: "Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał..." To są słowa Biblii. Chyba sam Bóg powiedział wtedy te słowa do mnie, gdy stałem tam pełen rozpacz.

I nagle przed oczami duszy zobaczyłem krzyż na Golgocie, krzyż, na którym pozwolił wykrwawić się swemu Synowi – za nas!

Nie rozumiem Boga. Nie rozumiem dlaczego dopuszcza do wielu rzeczy. Istnieje jednak zwiastun, znak, pomnik, latarnia morska, świadczące o Jego miłości. Jest to krzyż Jezusa. "On, który nawet własnego Syna nie oszczędził, ale go za nas wszystkich wydał, jakże by nie miał z nim darować nam wszystkiego?" Tak mówi apostoł Paweł. I tak jest. Kiedy pod krzyżem Jezusa znajduję pokój z Bogiem, to nie mam już żadnych pytań.

Kiedy moje dzieci były jeszcze małe, nie rozumiały nieraz, po co ja coś robię, ale ufały mi: ojciec z pewnością czyni słusznie. Stojąc pod krzyżem Jezusa i znajdując pokój z Bogiem staję się dzieckiem

Bożym i też mogę zaufać mojemu niebiańskiemu Ojcu: On wszystko słusznie czyni. I wtedy nie zadaję już żadnych pytań. Wszystko zależy więc od tego, czy przyjmiecie i wchłoniecie ostatnie Słowo Boże – Jezusa.

Czy możecie poświęcić mi jeszcze pięć minut? Bo muszę powiedzieć jeszcze coś, co jest bardzo ważne.

5. MILCZENIE BOGA MOŻE STAĆ SIĘ WEZWANIEM

Widzicie, można całymi godzinami dyskutować i zastanawiać się, dlaczego Bóg dopuszcza do tego lub owego, ale to zagadnienie staje się aktualne i palące dopiero wtedy, kiedy to nas spotkało coś złego. Nie sądzicie, że tak jest? Przez wszystkie mroki mego życia przeszedłem tylko dzięki Jezusowi na krzyżu.

Niedawno powiedziała mi młoda zrozpaczona dziewczyna: "Nie mogę już dłużej żyć!". Nie znam waszej sytuacji, ale jeżeli ktoś z was też żyje w ciemności, to chciałbym mu powiedzieć: Nie chodzi o to, by pytać – dlaczego? dlaczego? dlaczego? Musimy zadawać inne pytanie: po co? I na ten temat opowiem wam jeszcze jedną historię.

Parę dziesiątków lat temu byłem pastorem w okręgu górniczym, gdzie zdarzało się wiele wypadków przy pracy. Pewnego dnia usłyszałem o robotniku, który miał wypadek w kopalni, na dole. Wielki kamień przygniótł mu kręgosłup, i to spowodowało paraliż dolnej części ciała. Nie było żadnej nadziei na polepszenie. Straszne! No więc poszedłem go odwiedzić. Cóż to była za okropna wizyta! Nigdy w życiu nie przeżyłem czegoś podobnego. W mieszkaniu było pełno kumpli tego człowieka, na stole stały butelki z wódką. Sparaliżowany siedział na wózku. Kiedy wszedłem, zaczął ryczeć: "Wynoś się stąd, ty czarna wrono! Gdzie był twój Bóg, kiedy mnie kamień przetrącił? Dlaczego ten Bóg milczy?". I posypały się przekleństwa. To było zupełne piekło. Nie mogłem wtrącić ani słowa i wreszcie wyszedłem. Miałem paru przyjaciół wśród górników swojego okręgu i następnego wieczoru, gdy mieliśmy zebranie koła mężczyzn, opowiedziałem im o tej wizycie. W tydzień później, gdy chciałem rozpocząć następną

zebranie tego koła, drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wtoczył się wózek ze sparaliżowanym górnikiem. Okazało się, że ci moi przyjaciele po prostu zabrali go i przywieźli. Nie wiem, czy spytali go o zdanie, ale podejrzewam, że nie. W każdym razie siedział teraz przede mną. Mówiłem o tym, że "tak Bóg umiłował świat..."; ale nie powiedziałem, że pozwolił, aby nam się na nim dobrze powodziło. Nie, powiedziałem to, co napisane jest w Biblii: "...że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął...". Mówiłem o Jezusie, ostatnim Słowie Bożym, którego musimy słuchać.

Ten górnik siedział i słuchał. Po raz pierwszy w życiu usłyszał takie słowa o Jezusie. I nagle ujrzał światło. Będę się streszczał: w trzy miesiące później człowiek ten stał się własnością Jezusa. Wprost trudno opowiedzieć, jak wszystko w nim i wokół niego stało się nowe. Jego mieszkanie lśniło czystością, zniknęły butelki z wódką, za to na stole leżała Biblia. Tu, gdzie kiedyś słycać było tylko przekleństwa, teraz rozbrzmiewały pieśni o Jezusie. Starzy przyjaciele zniknęli, za to pojawili się nowi. Żona i dzieci odżyły. Przed jego śmiercią byłem u niego. Nigdy tego nie zapomnę. Miał takie ładne imię: Amsel. Nie weźmie mi za złe, że wymieniam tu jego imię, bo żyje teraz w wieczności. "Amsel – pytam – co u ciebie słycać?" "Ach – odpowiedział – odkąd życie moje należy do Jezusa, odkąd otrzymałem wybaczenie grzechów, odkąd jestem dzieckiem Bożym, to każdy dzień w moim domu jest... – tu zastanowił się chwilę i dokończył – jest jak dzień przed Bożym Narodzeniem." Ładnie to wyraził, prawda? Taki prosty górnik. A potem powiedział coś, czego też nigdy nie zapomnę: "Busch, ja czuję, że niedługo umrę". Byliśmy już tak zaprzyjaźnieni, że "tykaliśmy się". "Przejdę wtedy przez bramę – mówił dalej – i stanę przed Bogiem. Tego jestem zupełnie pewny, śmierć nie jest końcem. A stojąc w wieczności przed tronem Boga, upadnę na kolana i podziękuję Mu, że przetrącił mi kręgosłup." "Amsel, – przerwałem mu przerażony – ca ty wygadujesz?" A on na to: "Wiem, co mówię. Widzisz, gdyby to się nie stało, gdyby Bóg pozwolił mi nadal żyć tak bezbożnym życiem, to poszedłbym prościutko do piekła, na wieczne potępienie. Bóg musiał postąpić ze mną tak surowo; i w

swojej ratującej miłości złamał mi kręgosłup, abym mógł znaleźć drogę do Jego Syna, do Jezusa. I dlatego chcę Mu za ta podziękować. Przez Jezusa stałem się radosnym dzieckiem Bożym." A potem powiedział coś jeszcze, co wryło mi się w pamięć na zawsze: "Lepiej być sparaliżowanym i należeć do Jezusa, być dzieckiem Bożym, niż dwiema zdrowymi nogami wkroczyć prosto do piekła". Nie zapomnę, jak to mówił! Odpowiedziałem mu wtedy: "Widzisz, mój drogi, Bóg ciężko cię doświadczył. Na początku skarżyłeś się i złorzeczyłeś – gdzie jest Bóg, dlaczego milczy! A teraz zrozumiałeś, po co Bóg zesłał na ciebie to nieszczęście: chciał cię poprowadzić do Jezusa, aby Jezus poprowadził cię do Niego".

Widzicie więc, że nie powinniśmy pytać: "Dlaczego?", ale: "Po co?". I powiem wam, że wierzę, iż wszystkie ciężkie doświadczenia spotykają nas po to, by Bóg mógł nas przez Jezusa przyciągnąć do siebie. Żeby Jezus nas poprowadził do Niego. Bardzo chętnie śpiewam tę pieśń:

"Za rękę Weź mnie, Panie, i prowadź sam,
 aż serce bić przestanie u niebios bram.
 Bez Ciebie ani kroku nie zrobię, nie!
 Stań Ty u mego boku i prowadź mnie!"

Chciałbym, abyście modląc się, śpiewali ją razem ze mną!

NASZE PRAWO DO MIŁOŚCI

Mówiłem już nie raz na ten temat, zadając w tytule pytanie: "Czy miłość może być grzeszna?". Chodzi tu o zagadnienia płci, co nas wszystkich mocno zajmuje. Mam wam wiele ważnych i poważnych rzeczy do powiedzenia o tych sprawach, przystępuję więc od razu do rzeczy.

1. BEZGRANICZNA NIEDOLA

Osobliwą cechą naszych czasów jest fakt, że ludzie nigdy jeszcze nie byli tak samotni, jak dzisiaj, a z drugiej strony nigdy nie żyli w takim ścisku. Jesteśmy samotni, mimo że żyjemy ściśnięci jak sardynki.

Szesnastoletni chłopiec powiedział mi kiedyś: "Nie mam nikogo na świecie". "Nie mów głupstw, – odpowiedziałem – masz przecież ojca." "Ach, mój stary! Ten wraca do domu o piątej po południu, wymyśla wszystkim, zjada obiad i znowu gdzieś wychodzi." "A twoja matka?" "Ach, matka ma tyle na głowie, że wcale się mną nie zajmuje." "A koledzy z pracy?" "Koledzy to tylko koledzy. Nie mam nikogo, przed kim mógłbym otworzyć serce." I to mówi szesnastoletni chłopiec! Ale nie tylko dzieci są samotne. Żony obok mężów i mężowie obok żon żyją w absolutnej samotności. Mąż nie ma zielonego pojęcia o problemach swojej żony, żona nie wie, o czym myśli jej mąż. I to nazywa się małżeństwo! Wszyscy jesteśmy samotni.

Ludzie pilnie słuchają, gdy współcześni filozofowie mówią o samotności człowieka. Rozlega się powszechne wołanie o wyzwolenie z samotności. I widzicie, ta tęsknota do wyjścia z samotności łączy się z najsilniejszym popędem człowieka – z popędem płciowym. I wtedy tamy pękają: piętnastoletni chłopiec szuka przyjaciółki, człowiek żonaty odchodzi od żony ze swoją sekretarką. Dlaczego? Obaj czują się samotni. Student, samotny wśród jedenastu czy dwunastu tysięcy innych studentów, wiąże się ze studentką, która jest równie samotna w

tym tłumie jak on. Tęsknota do wyzwolenia z samotności połączona z najsilniejszym popędem w życiu człowieka sprawia, że żyjemy dziś w świecie zdominowanym przez seks. Producenci filmów i powieściopisarze robią na tym doskonale interesy. W każdym niemal filmie musi być przynajmniej jedna scena łóżkowa, w każdej niemal książce musi dojść do co najmniej jednej zdrady małżeńskiej.

Obserwując te flirty, umizgi, całusy, ma się wrażenie, że ta miłosna gra przynosi samą radość. Młoda dziewczyna powiedziała mi kiedyś: "Panie pastarze, nasze poglądy różnią się absolutnie od poglądów naszych dziadków. My mamy inną moralność, inną etykę". Być może miałbym pokusę zdjąć przed nią z szacunkiem kapelusz, ale nie miałem nic na głowie, a poza tym, gdy ktoś jest pastorem w dużym mieście tak długo, jak ja, ten nie wierzy już wielkim słowom. Wiem z doświadczenia, że szumne frazesy są tylko fasadą, za którą kryje się bezgraniczna niedola. Młodzi chłopcy i młode dziewczęta, żyjący w niestabilnych związkach, nie mogący dojść ze sobą do ładu. Małżeństwa żyjące w obłudzie albo rozchodzące się. Bezgraniczna niedola! Wszyscy to znamy. Nie mówię wszakże o jakichś tam ludziach, ale o nas samych.

Przed laty miałem mieć wykład na podobny temat w małym miasteczku. Wyłącznie dla młodych ludzi. Kiedy wszedłem do sali, pomyślałem, że jestem w piekle. W kłębach dymu papierosowego siedzieli chłopcy i dziewczęta, gdzieniegdzie pito wódkę, kilka dziewczyn siedziało na kolanach swoich towarzyszy. "Człowieku! I tu masz przemawiać!" – pomyślałem. I zacząłem od takiego zdania: "Sprawy płci stały się dziś dziedziną, w której panuje ogromna niedola!". Podziałało to na słuchaczy jak nagłe otwarcie okna na światło dnia. Jeden z chłopców odsunął się nagle od swojej dziewczyny. Zapanowała śmiertelna cisza. I pomyślałem wtedy, że chociaż w pierwszej chwili wszyscy wyglądali na zadowolonych i wesołych, to jednak miałem rację – sprawy płci są dziś dziedziną, w której panuje ogromna niedola!

2. NA CZYM POLEGA TA NIEDOLA

Widzicie, w gruncie rzeczy niedola polega na tym, że nie wiemy już, co właściwie jest dobre, a co złe. Mówimy, że w tej dziedzinie mamy nowe poglądy, ale grzech po staremu jest grzechem. I jeżeli zgrzeszyłem, to mam ciężar na sumieniu. Taka jest rzeczywistość. Niedola powstaje wtedy, gdy nie odróżniamy tego, co dobre, od tego, co złe. Pozwólcie, że postawię tu kilka niedelikatnych pytań: czy stosunki przedmażeńskie są czymś dobrym, czy złym? Czy zdrada małżeńska w niedobranym małżeństwie jest koniecznością, czy złem? Czy miłość lesbijska między dziewczynami jest czymś dobrym, czy złym? Czy homoseksualizm wśród mężczyzn i chłopców jest czymś złym, czy nie? Czy onanizm, czy rozwód jest czymś dobrym, czy nie? Co właściwie jest dobre, a co złe? Nie wiemy, i stąd to całe nieszczęście. W tysiącach powieści sprawy te są traktowane tak, jak gdyby znajdowały się poza kryteriami dobra i zła, jak gdyby były z nich wyłączone. Niekoleżeńskość, o tak, to jest złe, ale dziedzina płci nie ma nic wspólnego z dobrem i złem. Weźmy np. współczesne filmy. Zbliżenie sceny pocałunku, a potem zapada zasłona i widać tylko cienie za zasłoną. Jest to po prostu normalne i wydaje się, że te sprawy są poza dobrem i złem. Pamiętam jeszcze siebie jako młodego człowieka, w którym obudziła się samoświadomość. Jakże dręczyło mnie wtedy pytanie: co jest dozwolone, a co nie?

Aby uczciwie odpowiedzieć na to pytanie, trzeba najpierw zadać sobie inne: kto właściwie mówiąc ustala co jest dobre, a co złe? Kto powinien mi to powiedzieć? Rozmawiałem kiedyś z taką parką: ona z kapiącymi tuszem rzęsami, on niepewnie trzymający się na nogach, z zażółconymi nikotyłą palcami. Powiedziałem im: "No, na siedem kilometrów pod wiatr można zgadnąć, co was łączy!". A ta prostytutka na to: "Nic w tym nie ma złego, panie pastarze! To naprawdę nic takiego!". "O, chwileczkę, powiadam – a kto właściwie ma stwierdzić czy to coś złego, czy nie?" Tak, kto właściwie ma to stwierdzić? Kościół? Nie! Ja bym się temu nie podporządkował. Jako młody człowiek w żadnym wypadku nie uznawałem rządów księży w moim

życiu, a teraz sam jestem jednym z nich! Więc kto ma stwierdzić, co jest dobre, a co złe? Ciocia Klocia? Czy moje własne sumienie? "Kieruję się swoim głosem wewnętrznym?" Hm, hm... Więc kto ma mi to powiedzieć?

Widzicie, teraz doszliśmy do bardzo ważnego miejsca. Jeżeli istnieje żywy Bóg, który jest Panem świata, to nam powinien powiedzieć co jest dobre, a co złe. A jeżeli Boga nie ma, to róbcie sobie co chcecie! Przyzwoite zachowanie na użytek cioci Kloci, to nie to. W tym miejscu każdy człowiek staje przed pytaniem: czy Bóg istnieje, czy nie? Znam ludzi, którzy nurzają się we wszelkim brudzie, twierdząc przy tym, że wierzą w Pana Boga. Bzdura! Jeżeli jednak Bóg istnieje, to w dziedzinie seksualnej również obowiązuje Jego wola. Musicie się zdecydować.

Możecie odrzucić Boga w waszym życiu, ale wtedy umrzecie również bez Niego. Nie możemy do czterdziestego piątego roku życia mówić: "Żyję bez Boga!", a potem zestarzeć się i żyć pobożnie. To niemożliwe! W Biblii napisano: "Szukajcie Pana, dopóki można Go znaleźć...", a nie: "jeżeli wam to odpowiada!". Powtarzam raz jeszcze: Jeżeli Boga nie ma, to możecie robić, co się wam podoba. Jeżeli jednak Bóg jest, to On postanawia, co jest dobre, a co złe. To chyba jasne, nie?

I oto mówię wam teraz: Bóg żyje! Bóg żyje naprawdę! A jeżeli spytacie, jak mogę być tego pewny na sto procent, odpowiem: bo objawił się w Jezusie! Chciałbym to wam wbić do głowy: Odkąd Jezus przyszedł na świat jako Człowiek, wszelka obojętność w stosunku do Boga czy zaprzeczenie Jego istnienia jest skutkiem niewiedzy albo złej woli. Bóg żyje! A ponieważ żyje, to do Niego należy stwierdzenie, co jest dobre, a co złe. Możecie wykluczyć Go ze swojego życia, możecie mówić, że macie inne zasady moralne, ale zapewniam was, że rachunek ze swego życia będziecie musieli zdać przed Bogiem!

Uświadomienie sobie, że to Bóg nam mówi, co jest dobre, a co złe, przynosi ulgę i wyzwolenie. Bóg mówi nam to zupełnie jasno i wyraźnie swoim Słowem zapisanym w Biblii. Pewien mężczyzna

spytał mnie kiedyś ze zdumieniem: "Czy Biblia mówi również o takich sprawach?". "Tak – odpowiedziałem – o takich sprawach również jest tam mowa. Bóg daje nam wyraźne wskazówki co jest dobre, a co złe także w odniesieniu do spraw płci".

Podążacie za moją myślą? A więc teraz musimy spytać, co Bóg ma do powiedzenia na ten temat. Chcę tu wyciągnąć z Biblii kwintesencję tego, co nas interesuje w tej chwili.

3. CO MÓWI BÓG?

a) Bóg afirmuje płciowość

Jest taki wiersz, w którym poeta mówi: od pasa w górę jestem chrześcijaninem, a Od pasa w dół jestem poganinem. Jest to nonsens! Biblia mówi: "I stworzył Bóg człowieka (...). Jako mężczyznę i niewiastę stworzył ich". Bóg stworzył nas i dał nam płeć. Dlatego mówię tu o tym tak otwarcie. To nie jest dziedzina tabu. Bóg stworzył mnie mężczyzną i was, mężczyźni, również stworzył mężczyznami. Bądźmy więc mężczyznami, a nie błaznami. A was, kobiety, stworzył Bóg kobietami, więc bądźcie kobietami. Spazmatyczne wysiłki kobiet i mężczyzn, aby upodobnić się do płci odmiennej, są po prostu chorobliwe. Bądźcie prawdziwymi kobietami, bądźcie prawdziwymi mężczyznami. "Jako mężczyznę i niewiastę stworzył ich...", nie stworzył jakiejś trzeciej płci! Bóg afirmuje naszą płciowość. Powinniśmy to wiedzieć. Tu nie ma nic do ukrywania. Napięcia powstające z tego powodu, że jest się mężczyzną albo kobietą, należą do natury stworzenia.

Jesteśmy jednak stworzeniem upadłym. Świat nie jest już taki, jaki był, gdy wyszedł z rąk Boga. I dlatego ta tak ważna i delikatna dziedzina, jaką są sprawy płci, jest szczególnie narażona na niebezpieczeństwo. I dlatego Bóg otoczył tę dziedzinę barierą ochronną:

b) małżeństwem

Bóg afirmuje płciowość i ochrania ją za pomocą małżeństwa.

Małżeństwo nie jest umową społeczną, ale jest instytucją Bożą.

Amerykański psychiatra, który napisał dużą książkę z tej dziedziny i który sam nie jest chrześcijaninem, pisze tam m.in. "Nigdzie nie znajdziemy potężniejszego zdania na temat tych zagadnień niż w Biblii: 'I stworzył Bóg człowieka (...). Jako mężczyznę i niewiastę stworzył ich...'" i dalej pisze tak: "Nie jestem chrześcijaninem, ale jako psychiatra mówię, że to jest jedynie słuszne – małżeństwo". Tak, ale zrozumcie właściwie: chodzi o dozgonne małżeństwo, nie o siódme, ósme czy dziesiąte "małżeństwa" gwiazd filmowych. To, że te "małżeństwa" są przedstawiane jako ideał, jest również wyrazem obłąkania naszych czasów i wyrazem bezsilności. Bóg stworzył małżeństwo-instytucję, małżeństwo w miłości i wierności.

Chciałbym teraz wygłosić małą mowę o małżeństwie. Drogie kobiety! Jeżeli gotujecie waszym mężom smaczne posiłki i przyszywacie oberwane guziki, nie znaczy to jeszcze, że jesteście dobrymi żonami. A wy, mężczyźni, nie sądzcie, że to wystarczy, jeżeli dajecie żonom pieniądze na utrzymanie domu, a poza tym zupełnie się nimi nie zajmujecie. Zgodnie z wolą Bożą małżeństwo ma być wyzwoleniem z samotności. Czy wasze małżeństwo jest takim wyzwoleniem? Może musielibyście porozmawiać raz ze sobą, pytając: "Gdzieśmy się właściwie znaleźli? Przecież nasze małżeństwo miało nas wyzwolić z samotności!". Na początku Bóg powiedział: "Nie dobrze jest człowiekowi, gdy jest sam. Uczynię mu pomoc odpowiednią dla niego". Rozumiecie – wyzwolenie z samotności!

W tym miejscu rozważań chętnie przytaczam historię, która wystarczy za całe tomy. Kiedy byłem zupełnie mały, zabrano raz mnie i moją siostrę do Stuttgartu do krewnych na wesele. Było to pierwsze wesele, jakie w życiu widziałem i wszystko wydawało mi się niezmiernie interesujące. Do kościoła pojechaliśmy powozem, a potem na wielkie przyjęcie w hotelu. Powiedziano nam, że na deser będą lody, i oboje z siostrą nie mogliśmy się ich doczekać. Czas płynął, a lodów ciągle nie było widać, bo coraz to któryś wujek wygłaszał niekończącą się mowę. Te mowy okropnie nas nudziły, ale mimo to jeden z mówców pozostał w mojej pamięci. Ten wuj chciał

być dowcipny i tak zaczął swoją mowę. "Drodzy goście weselni! Mówią, że w niebie stoją dwa krzesła przeznaczone dla małżonków, którzy nigdy ani przez chwilę nie żalowali, że zostali małżeństwem. Ale do dnia dzisiejszego krzesła te stoją puste..." W tym momencie przerwano mu. Mój ojciec zawołał do mojej matki, która siedziała na drugim końcu stołu: "Matko, te krzesła my dostaniemy!". Byłem małym chłopcem i nie rozumiałem wtedy głębokiego sensu zawartego w tym okrzyku. A mimo to poczułem wielką radość w sercu, bo przeniknęło mnie uczucie cudownego ciepła mojego domu rodzinnego. Czy wasze małżeństwo też jest takie? Takie małżeństwo wymyślił Bóg!

Kiedy ja brałem ślub, mój stary kolega wygłosił mowę w oparciu o słowa Biblii: "Uczynię mu pomoc odpowiednią dla niego". Powiedział: "Nie władczynię uczynił Bóg, która weźmie go pod pantofel i będzie NAD NIM panowała. Nie niewolnicę uczynił Bóg, która będzie mu PODDANA i będzie leżała u stóp jego. I nie uczynił Bóg osoby drugorzędnej, która będzie żyła GDZIES Z BOKU, Bóg uczynił "POMOC odpowiednią dla niego". Ach, chciałbym teraz wygłosić mowę pochwalną na cześć małżeństwa, chciałbym mieć na to czas!

Wielkie i głębokie wrażenie zrobiło na mnie powiedzenie mojego ojca, który podczas srebrnego wesela popatrzył na swoją żonę i powiedział: "W ciągu tych dwudziestu pięciu lat z każdym dniem bardziej cię kochałem". Pomyślałem wtedy o tych wszystkich małżeństwach, w których w ciągu 25 lat z każdym dniem robi się zimniej. Przerażające! W wielu małżeństwach powinno jedno powiedzieć drugiemu: "Ty, musimy jeszcze raz zacząć od początku!". Bo to można, to można!

I jeszcze trzecia sprawa. Wielu młodych ludzi mówi: "Nie myślę się jeszcze żenić. Ale jak będzie z nami? Przecież możemy robić co się nam podoba?". I tym młodym ludziom chcę powiedzieć, że:

c) Bóg chce, aby młodzież żyła w czystości.

Wiem, że to dzisiaj brzmi śmiesznie. Czy sądzicie jednak, że Bóg kieruje się modą? To nie ja tak mówię, to mówi Słowo Boże.

Chciałbym to uzasadnić. Widzicie, w Biblii znajdujemy taką wspaniałą historię o młodym człowieku imieniem Izaak. Pewnego dnia ojciec kazał poszukać dla niego żony. Izaak poszedł w pole i zaczął się modlić, bo był przekonany, że to Bóg da mu żonę, i od tej chwili, mimo że nie znał jeszcze swojej przyszłej żony, dochowywał jej już wierności. I wy, młodzi ludzie, którzy nie myślicie jeszcze o ożenku, możecie być również pewni, że Bóg da wam odpowiednią żonę w odpowiednim czasie, i tej dziewczynie powinniście już dzisiaj dochowywać wierności. I odwrotnie – wy, dziewczęta, dochowujcie wierności temu, którego jeszcze wcale nie znacie. Ta myśl zawarta jest w Biblii. Bóg chce, aby młodzież żyła w czystości.

Pewien lekarz psychiatra powiedział mi kiedyś: "Jestem przekonany, że dziewczyna w gruncie rzeczy tylko raz może pokochać naprawdę. Tylko raz serce jej naprawdę się otwiera. I jeżeli taka dziewczyna ma potem siedmiu kochanków, to nie nadaje się do małżeństwa, bo wychodząc za mąż za siódmego, myśli tylko o tym pierwszym, którego kochała". Odpowiedziałem mu, że to jest bardzo interesujące, bo okazuje się, iż psychiatria dochodzi do tych samych prawd, które głosi Słowo Boże.

Muszę więc powiedzieć zupełnie jasno: stosunki przedmałżeńskie, miłość lesbijska, homoseksualizm, zdrada małżeńska i rozwody są grzechem, za który będziecie musieli kiedyś odpowiedzieć przed obliczem świętego Boga!

Mógłbym właściwie na tym skończyć. Ale byłoby to okrutne z mojej strony, bo pamiętam siebie w czasach młodości. Pamiętam, jak wielką pomocą było dla mnie uświadomienie sobie woli Bożej. Powiem wam więc jeszcze coś, co jest bardzo ważne.

4. WYJŚCIE Z NIEDOLI

Jest w Biblii taka cudowna, wstrząsająca historia. Jezus, Syn żywego Boga, stoi otoczony tłumem ludzi. Nagle podnosi się wielki krzyk i zamieszanie, tłum się rozstępuje i uczeni w Piśmie prowadzą przed Jezusa młodą, ładną kobietę. Widzę ją po prostu, jak popychana przez wszystkich, w podartej sukni staje przed Jezusem. Jej prześladowcy mówią: "Panie Jezu, przyłapaliśmy tę młodą kobietę z obcym mężczyzną, na jawnym cudzołóstwie. Zakon każe takie kamienować. Jesteś zawsze tak miłosierny, ale z pewnością nie sprzeciwisz się woli Bożej. Chcemy od Ciebie usłyszeć, że ta kobieta musi tu zostać ukamienowana". Jezus popatrzył na tę młodą kobietę i odpowiedział: "Tak, Bóg traktuje te sprawy bardzo poważnie, i zgodnie z Zakonem Bożym ta kobieta zasłużyła na śmierć". Ludziom rozbłyły oczy, niektórzy schylili się już po kamienie, ale Jezus dodał: "Chwileczkę! Kto z was Jest zupełnie wolny od grzechu myślą, mową i uczynkiem, niech pierwszy rzuci kamieniem". I Jezus schyliwszy się, zaczął coś pisać na piasku. Bardzo chciałbym wiedzieć, co On pisał, ale w Biblii nic o tym nie ma. Po dłuższym czasie Jezus wyprostował się i spojrzał – na placu nie było nikogo oprócz tej kobiety. W Biblii czytamy: "A gdy oni to usłyszeli i sumienie ich ruszyło, wychodzili jeden za drugim..."

A teraz pytam was: czy mielibyście prawo pierwsi rzucić kamieniem w tę kobietę, bo wasze myśli, słowa i uczynki są w tej dziedzinie czyste? Mielibyście prawo? Nie? Nikt z was? No to nasze zgromadzenie jest zgromadzeniem grzeszników. I rzeczywiście jest.

Widzicie, ci ludzie, którzy przyprowadzili jawną grzesznicę do Jezusa, popełnili ogromny błąd, bo gdy "sumienie ich ruszyło, wychodzili jeden za drugim" a powinni byli zrobić coś zupełnie innego. Powinni byli powiedzieć: "Panie Jezu, musimy stanąć obok tej kobiety. Nie potępiłeś jej, więc pomóż również nam!". Nikt nie może nam pomóc w tej dziedzinie oprócz Jezusa. A mówię to jako ten, który sam żył korzystając z Jego pomocy. Mówiąc o Jezusie nie wygłaszam tu jakichś teorii. Jezus był i jest Panem mojego życia. Pastor nie jest

rodzaju nijakiego, pastor też jest mężczyzną, który potrzebuje Zbawiciela jak każdy z was. A ja doświadczyłem osobiście jak Jezus wybawia. Wybawienie to ma dwa aspekty:

a) Jezus odpuszcza grzechy

Żaden pastor, żaden ksiądz ani żaden anioł nie może wam odpuścić waszych grzechów. A pierwsza brudna myśl, pierwszy upadek są już nieodwracalnym grzechem. I z tym grzechem odejdziecie do wieczności, przed Sąd Boży, jeżeli nie znajdziecie przedtem Jezusa, któremu wyznacie swoje grzechy i uzyskacie przebaczenie. Tylko Jezus może nam odpuścić nasze grzechy.

Stańcie w duszy przed krzyżem Jezusa i powiedzcie: "Przynoszę Ci i kładę przed Tobą wszystkie grzechy mojej młodości. Wyznamę Ci, w jakich nieczystych związkach żyłem, niczego nie zatajam". I patrząc na krzyż, powiedzcie: "Na myśl o wieńcu z cierni, co ranił skronie Twe, o Zbawco, ból głęboki i żal przenika mnie. Bo wieniec Twój cierniowy spleciony był z mych win, za któreś cierpieć musiał, Ty – Zbawca, Boży Syn". Posłuchajcie: "Krew Jezusa Chrystusa, Syna Jego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu". Oto Słowo wyzwolenia!

Zostałem żołnierzem mając 17 lat i w wojsku nurzałem się we wszelkich możliwych brudach. Potem ocknąłem się nagle i patrząc wstecz na tę pełną błota drogę, spytałem: kto uwolni mnie od tego ciężaru, kto zdejmie ze mnie ten brud? I zrozumiałem, że tylko Jezus może zlikwidować przeszłość i odpuścić winy. Nawróciłem się do Niego. I bez Niego nie chciałbym teraz żyć ani chwili dłużej.

Kiedyś w Düsseldorfie mówiłem przed dużym audytorium o tym, że Jezus przez odpuszczenie grzechów likwiduje przeszłość. Po zakończeniu zebrania zobaczyłem, że przez tłum wychodzących przedziera się do mnie wytworny wysoki pan. Stał wreszcie przede mną i spytał wzburzonym głosem: "Czy to, co pan mówił, jest prawdą? Istnieje odpuszczenie grzechów?". "Tak, – odpowiedziałem – Bogu niech będzie chwała! Dzięki temu żyję." A on na to: "Widzi pan, jestem psychiatrą. Przychodzi do mnie wielu ludzi chorych psychicznie, z kompleksami. Nie wiedzą, jakie źródło ma ich choroba.

Przeważnie są to stare przewinienia, których nie mogą albo nie chcą sobie przypomnieć. Muszę długo nad nimi pracować, zanim wydobędę te stare historie z ich podświadomości. Ale na tym moje możliwości kończą się. Mogę ich dawne grzechy wyciągnąć na światło dzienne, te kłamstwa, kłótnie, rozpustę itd. Pomagam w przeniesieniu tych dręczących wspomnień z podświadomości do świadomości. Ale często myślę z rozpaczą – gdybym mógł jeszcze zdjąć z tych ludzi ich winę! I dlatego pytam pana: czy naprawdę istnieje Ktoś, kto może uwolnić od winy? Czy to jest prawda?". Potwierdziłem radośnie raz jeszcze: "Bogu niech będą dzięki – tak!". I uświadomiłem sobie, jak niesłychaną i wspaniałą Nowinę przynosi nam Nowy Testament: Jezus odpuszcza winy!

A teraz drugi aspekt:

b) Jezus zdejmuję więzy

Powiedziałem kiedyś pewnej młodej i bardzo ładnej sekretarce: "Dziewczyno, pani pójdzie do piekła! Pani zachowanie w stosunku do szefa jest przerażające. Niechże pani nie unieszczęśliwia tego człowieka i jego rodziny". Odpowiedziała mi z twarzą ściągniętą bólem: "Nie mogę zrezygnować! Ja jego Kocham!". "Tak, – rzekłem – ale on ma żonę i dzieci. Pani jest okrutna." "Nie mogę zrezygnować" – powtórzyła i wiedziałem, jak bardzo dręczy się tym związkiem, którego nie chce zerwać. Byłem szczęśliwy, że mogłem jej powiedzieć: "Widzi pani, my sami rzeczywiście nie możemy uwolnić się od grzechu, nie umiemy rozerwać pęt, ale w Biblii napisano: 'Jeśli Syn was oswobodzi, prawdziwie wolnymi będziecie.' Niech pani wzywa Jezusa. On potrafi zrywać również takie nieczyste związki".

Jest taka pieśń, którą bardzo lubię śpiewać. Są tam takie słowa: "Daj się całkiem dziś uchwycić w miłą Zbawiciela dłoń, nie daj się już dłużej nęcić w więzy grzechu, śmierci toń! Zwolnił ciebie Jezus Bóg z grzechu, śmierci, bólu, trwóg. Wierz, dokonał tego On! Chwal Go wiecznie aż po zgon!".

I właśnie w tej dziedzinie seksualnych uwikłań wyraźnie widzimy, że młodzi i starzy ludzie potrzebują Zbawiciela, potrzebują

Wyzwolicieła. A to, że Jezus ofiarowuje wspaniałe i całkowicie realne wyzwolenie, to można samemu sprawdzić. Potrzebujecie Zbawiciela, bo bez Niego wasze życie jest naprawdę żalosne.

5. ŚWIAT ŁAKNIE "AGAPE"

Chciałbym coś jeszcze dodać. Wiele dziewczyn mówi: "Skończyłam czterdzieści lat i nie wyszłam za mąż. Co ze mną będzie?".

Widzicie, jestem stuprocentowym pacyfistą, szczerze się do tego przyznaję, a zostałem nim w dużej mierze z powodu smutnej sytuacji tych dziewcząt. Podczas drugiej wojny światowej poległo 5 milionów młodych mężczyzn, co oznacza, że pięć milionów dziewcząt niemieckich musiało zrezygnować z najgorętszego marzenia swego życia, musiało samotnie kroczyć swoją drogą. Czy potrzebne są jeszcze inne argumenty przeciwko wojnie? Czy możecie sobie wyobrazić tę cichą niedolę pięciu milionów dziewcząt? Mężczyźni, którym chciały dać szczęście, leżą na polach bitew. I tym dziewczynom chciałem powiedzieć: Na miłość Boską, nie starajcie się odebrać tego, co zostało wam odmówione, rozbijając cudze małżeństwa. Nie ulegajcie pokusie, nie grzeszcie! Pytacie, co macie robić? Odpowiadam: Skoro życie tak się wam ułożyło, to pogódźcie się z tym. Niekoniecznie trzeba być nieszczęśliwym nie wyszedłszy za mąż.

W Biblii jest taka historia o niezamężnej kobiecie imieniem Tabita. Mieszkała ona w Joppie, dzisiejszej Jaffie. W czasie gdy umarła, święty Piotr przebywał w pobliżu i poproszono go, by przyszedł. Kiedy wszedł do pokoju, gdzie leżała zmarła, stanął zdumiony. Myślał bowiem, że przy takiej starej pannie nikt nie będzie czuwał, a tu izba była pełna ludzi. Podeszła do niego wdowa, mówiąc: "Tę suknię uszyła mi Tabita". Ślepy mężczyzna powiedział: "Byłem bardzo samotny, a Tabita codziennie przychodziła i od trzeciej do czwartej po południu czytała mi. To były najjaśniejsze godziny mojego życia". Siedziały tam też małe dzieci, wiecie – takie co to im zawsze kapie z

noska – i wołały: "Jesteśmy sierotami, nikt się o nas nie troszczył, a Tabita zajęła się nami!". I Piotr zrozumiał, że życie Tabity było o wiele bogatsze niż niejednej mężatki, która u boku nudnego męża gorzknieje z czasem.

W języku niemieckim (również w polskim – przyp. tłum.) istnieje tylko jedno słowo na określenie pojęcia "miłość". W greckim języku istnieją dwa słowa. A Nowy Testament napisany jest po grecku. Miłość, o której mówiliśmy dotychczas, nazywa się po grecku "eros". Stąd słowo "erotyka". Drugim słowem jest "agape". Jest to miłość Boża, którą wolno mi przekazywać innym ludziom.

Wzywam dziewczęta, które nie wyszły za mąż, aby pogodziły się ze swoim losem i wypełniły swoje życie "agape". Świat łaknie takiej miłości.

Czy mogę raz jeszcze powtórzyć to, co powiedziałem przedtem? Bóg określa, co jest dobre, a co złe. Bóg chce, aby młodzież żyła w czystości, a małżeństwa były sobie wierne. A jeżeli ktoś pozostaje wolny, to powinien się z tym pogodzić.

6. MIŁOŚĆ, DO KTÓREJ NIE MAMY PRAWA

Na zakończenie chciałbym raz jeszcze powiedzieć coś o Jezusie. Temat niniejszego wykładu nosi tytuł: "Nasze prawo do miłości". Ale istnieje miłość, do której nie możemy rościć żadnych praw, a która została nam po prostu podarowana. Jest to miłość Jezusa Chrystusa. Jesteśmy grzesznikami i potrzebujemy Zbawiciela. I tu pozwólcie, że złożę przed wami osobiste świadectwo.

Było to w czasach Trzeciej Rzeszy, kiedy po raz któryś siedziałem znowu w więzieniu. Odwiedził mnie kapelan więzienny i powiedział: "Pańska sprawa wygląda bardzo źle!". I poszedł sobie. Zostałem sam. Cella była bardzo mała, pod samym sufitem było wąskie podłużne okienko. Było okropnie zimno. Ach, cała ta więzienna atmosfera była lodowata. Ogarnęła mnie tęsknota do żony, do moich dzieci, do mojej pracy i mojej młodzieży – w tym czasie jako pastor zajmowałem się młodzieżą. Siedziałem, nie mając żadnej nadziei wyjścia z tej sytuacji.

Kiedy zapadł wieczór, ogarnęła mnie bezgraniczna rozpacz. Nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu byliście doprowadzeni do skrajnej rozpacz. I w tym momencie do mojej celi wszedł Pan Jezus. Bo On żyje i potrafi wchodzić przez zamknięte drzwi, mogę to poświadczyć. Wszedł i nagle ujrzałem, jak umiera na krzyżu, umiera za mnie, grzesznika. I usłyszałem Jego Słowa: "Ja jestem dobry pasterz. Dobry pasterz życie swoje kładzie za owce". I nagle spłynął na mnie z Jego rąk taki strumień Bożej miłości, że ledwo mogłem to wytrzymać, o mało mi serce nie pękło. I zrozumiałem, że to jest ta miłość, na którą nie zasłużyliśmy, do której nie mamy prawa, miłość, która jest nam podarowana.

Ta miłość istnieje również dla was! Dlaczego pozwalacie, aby jej strumień płynął gdzieś obok was? Ten strumień chce trafić prosto do waszego serca!

CZY Z BOGIEM MOŻNA ROZMAWIAĆ?

W Szwabii opowiadają taką anegdotkę: do wsi przyjechali tancerze na linie i przed wieczornym przedstawieniem rozstawili rusztowanie i przeciągnęli długą linę. Obok przechodziła matka z małym dzieckiem, i ono pyta: "Mamo, czy po takiej linie można chodzić?". "Można – odpowiedziała matka – jeżeli się może. Ja tam nie mogę!"

A oto co mam przede wszystkim do powiedzenia.

1. MOŻNA, JEŻELI SIĘ MOŻE

Tak, na pewno można – przecież Bóg istnieje! – jeżeli się może. Ale wielu z was powie: "Ja nie mogę!". A przecież to oczywiste, że z Bogiem można mówić. Możecie rozmawiać z panem Kowalskim, a nie moglibyście rozmawiać z żywym Bogiem? On jest! A więc – czy możecie rozmawiać z Bogiem?

Jako dziecko uczyłem się pieśni, gdzie było napisane: "Z dalekiego nieba, gdzie aniołów grono, Bóg spogląda chętnie..." itd. Myślałem sobie wtedy, że nie ma sensu modlić się, bo nie zdołam wołać tak głośno, by Bóg mnie usłyszał hen, w dalekim niebie. A Rosjanie kpią sobie, że gdyby Bóg istniał, to ich sputnik wysłany w kosmos musiałby Go spotkać.

Widzicie, wielu ludzi nie może z tym dojść do ładu. Pytają: "Gdzież jest ten Bóg? Tam, w niebie? Tam, w górze? Ale jak wysoko? Sto kilometrów, tysiąc kilometrów?". Muszę wam więc powiedzieć wyraźnie, że w Biblii nie ma mowy o "dalekim niebie". Biblia mówi o żywym Bogu coś zupełnie innego: "...Przecież nie jest On daleko od każdego z nas". A w innym miejscu czytamy: "Ogarniasz mnie z tyłu i z przodu..." Można to zrozumieć tylko wtedy, gdy uświadomimy sobie, że nasze zmysły obejmują tylko trzywymiarowy świat. Ale świat jest różnorodniejszy, i Bóg istnieje w innym wymiarze, ale tuż obok nas. Gdy grzeszyliście, On stał obok – i milczał. Są ludzie, którzy żyjąc 40 czy 50 lat przez tyleż lat grzeszyli tuż przed Jego

obliczem, a On milczał.

Oczywiście, że z Bogiem można rozmawiać. Ale to jest tak jak z tańczeniem na linie: można to robić, jeżeli się może! Większość ludzi w naszych czasach musi jednak wyznać: "Ja nie mogę!". Powiedzmy sobie szczerze – nie możecie się modlić. Mogłoby się, gdyby się mogło. Ale nie może się!

Groźną cechą charakterystyczną naszych czasów jest, że ludzie stracili zdolność do modlenia się, a tym samym do wierzenia. Słynny pisarz, Franz Werfel, napisał powieść pod tytułem "Zdradzone niebo". Jest w niej takie zdanie, które przypomina mi się, ilekroć mam do czynienia z ludźmi: "Cechą współczesności jest metafizyczne zgłupienie człowieka". Słowem: "metafizyczne" określa się rzeczy wieczne, które istnieją rzeczywiście, ale właśnie w tym innym wymiarze. A co znaczy "metafizyczne zgłupienie"? Ano to, że człowiek tak długo ogłupiany był przez radio, telewizję, cczą gadaninę, propagandę, ideologie, politykę, sąsiadów, terror w fabrykach, aż zatracił zdolność pojmowania, iż Bóg istnieje i można z Nim rozmawiać. Czy z Bogiem można rozmawiać? Można by, gdyby nie było się ogłupianym od stuleci przez rozwijającą się cywilizację.

Szesnastoletni chłopiec, którego zdążono jeszcze powołać do wojska podczas ostatniej wojny, opowiedział mi wstrząsającą historię. Podczas nalotu na jego jednostkę siedział w schronie, i gdy zapanował spokój, pierwszy wyszedł. Przed schronem znalazł rannego w brzuch mężczyznę. Chciał mu jakoś pomóc, ale mężczyzna powiedział: "Ja muszę umrzeć, zostaw to. Potrzebuję tylko kogoś, kto mógłby się ze mną pomodlić. Chłopcze, odmów modlitwę!". A chłopiec odpowiedział: "W Hitlerjugend nie nauczyli mnie modlić się, tylko kłaść".

Pobiegł więc ten chłopiec i zawołał kapitana. Kapitan ukląkł przy rannym, któremu z rozerwanego brzucha wypadały jelita i spytał: "Kolego, co mogę dla ciebie zrobić?". "Kapitanie, umieram! Niech pan się ze mną pomodli!" "O, Boże – zawołał kapitan – ja nie umiem się modlić!" I kapitan poszedł po porucznika.

Stali teraz we trzech nad rannym, ci wspaniali mężczyźni,

przekonani, że bycze z nich chłopaki, bo każdy umie opowiadać świńskie kawały i kłać – i żaden z nich nie umiał się pomodlić. Nie mogli nawet odmówić "Ojcze nasz". Ten chłopiec opowiedział mi to wszystko i dodał: "Stałem tam i myślałem, że jeżeli przeżyję tę plugawą wojnę, to pierwszą rzeczą, jaką zrobię, będzie poszukanie kogoś, kto nauczy mnie jak się modlić. Bo nie chciałbym tak marnie zdychać, jak ten człowiek".

Taka, widzicie, jest sytuacja w naszych czasach. Dyrektor jest za mądry, żeby się modlić, robotnik boi się wolnomyślicieli. Już nie umiemy się modlić. I to, co mądry Franz Werfel nazywa "metafizycznym zgłupieniem", urasta do rangi katastrofy. Powoduje ono bowiem tragiczną bezsilność człowieka wobec każdego uderzającego weń ciosu. W Essen siedziałem w schronie z ludźmi, którzy przedtem chępli się i wygłaszali szumne frazesy o zwycięstwie, cudownym wodzu i wielkiej Rzeszy, a gdy zaczęły padać bomby – jęczeli ze strachu. My, chrześcijanie, modliliśmy się i śpiewaliśmy pieśni o Jezusie, żeby ich podtrzymać na duchu. Bo oni nie mogli się już modlić. Tak, gdy człowiek nie może się już modlić, to jest to katastrofa.

Pewien mądry i wykształcony człowiek oświadczył mi niedawno, że modlitwa nie może w niczym pomóc. Wsiadłem na niego z góry: "Niech pan nie gada takich bzdur!". "Jak to?" – zdziwił się. A ja powiedziałem: "Kiedy pan tak mówi, to jakbym słyszał człowieka z amputowaną nogą, który twierdzi, że jeżdżenie na nartach nie ma sensu! Dla niego nie ma, bo on nie może jeździć na nartach!".

Na temat jeżdżenia na nartach można dyskutować, ale nie z człowiekiem, który ma amputowaną nogę, prawda? Ale tacy już jesteśmy. Nie możemy się modlić, więc twierdzimy, że modlenie się nie ma sensu. Z moich słów możecie wywnioskować, że w tym punkcie straciłem szacunek dla ludzi w naszym kraju (*Mówiąc o swoim kraju, autor ma na myśli Niemcy Zachodnie – przyp. tłum.). Ale to ma swoje powody. Im ubożsi jesteśmy, tym więcej wygłaszamy pustych frazesów. Ach, gdybym mógł doprowadzić do tego, że dziś wieczorem siądziecie w ciszy i powiecie: "Mój Boże, najmniejszą

rzeczą, którą powinien umieć chrześcijanin, jest modlenie się! A ja tego nie potrafię!".

Oczywiście, gdy mówię o ogłupieniu mojego biednego narodu, ogarnia mnie nie tylko gniew, ale również wielki smutek. Widzicie, jestem poruszony, gdy myślę o tym, że Kościół nadal postępuje tak, jak gdyby oczywiste było, że ludzie umieją się modlić. U was zapewne też tak jest, że podczas Bożego Narodzenia do kościoła przychodzą ci, którzy poza tym nigdy się tam nie pokazują. Na nabożeństwie Bożonarodzeniowym kościoły są przepelnione. I gdy pastor mówi – i to mnie tak porusza – "módlmy się", wszyscy składają ręce i pochylają głowy. Mam wtedy ochotę krzyknąć: "Nie róbcie tego! Przecież nawet 10% spośród was nie umie się modlić! Wszyscy udajecie!". Czy mam rację? Podczas ślubów – módlmy się! – podczas pogrzebów – módlmy się! I wszyscy stoją z kapeluszami w ręku i sądzą, że kiedy gapią się na swój kapelusz, to to jest modlitwa! A później idą pić.

Gdy byłem żołnierzem, dawne dzieje – jeszcze przed 1915 rokiem – kazano nam chodzić do kościoła. Przedtem była zbiórka i sierżant udzielał instrukcji: "Cicho wejść do ławek. Stanąć. Zdjąć hełmy. Powoli liczyć do dwunastu. Siąść!". A potem ludzie przyglądali się żołnierzom i myśleli: "Jak oni pobożnie się modlą!". A oni po prostu powoli liczyli do dwunastu i potem usiedli! Podejrzewam, że podczas ślubów i pogrzebów wezwani do modlitwy ludzie nie doliczają nawet do dwunastu... I dlatego ogarnia mnie smutek, gdy pomyślę, że kiedyś można było powiedzieć "módlmy się!", i ludzie nie udawali, tylko naprawdę się modlili.

Wielki badacz Afryki, Dawid Livingstone, jeden z największych ludzi, jakich zna świat – odważny, mądry i uczony, odszedł do wieczności (człowiek tego świata powiedziałby umarł) w następujący sposób: Znajdował się w głębi Afryki, podróżując w towarzystwie tubylców pełniących rolę tragarzy. Pewnego ranka tragarze spakowali już bagaże i zwinęli namioty. Stał jeszcze tylko namiot Livingstone'a. Tragarze nie chcieli mu przeszkadzać, bo wiedzieli, że rano zawsze się modli, rozmawia ze swoim niebiańskim "Tuanem", swoim Bogiem.

Tym razem jednak trwało to bardzo długo, więc dowódca tragarzy zajrzał przez szparę w namiocie. Zobaczył go klęczącego, więc kazał czekać dalej. Wreszcie koło południa odważyli się wejść do namiotu. Livingstone klęczał nadal, ale jego serce nie biło.

Ten wielki człowiek, wielkiego ducha, umarł na klęczkach, modląc się odszedł do swego Pana. A niemiecki mieszczuch mówi: "Modlenie się nie ma sensu". Powinniśmy się wstydzić! Powinniśmy ze łzami wyznać, że nie umiemy się już modlić. Tamten człowiek umiał. Umarł na klęczkach. My umieramy w szpitalach, naszpikowani zastrzykami, bo nie wytrzymalibyśmy umierania, gdyby nam lekarze nie zaaplikowali środków odurzających. Tamten człowiek nie potrzebował zastrzyków. Rozmawiał z Bogiem i rozmawiając z Nim odszedł do wieczności.

A jak to jest z modleniem się w naszych domach? W moim domu rodzinnym – a było nas ośmioro rodzeństwa – było tak, że codziennie przed śniadaniem zbieraliśmy się razem. Najpierw śpiewaliśmy jakąś pieśń, np. "Chwalże, ma duszo..." albo "Gdy poranek błyska...", potem czytaliśmy fragment z Biblii, a na końcu ojciec mój modlił się głośno. Wspomnienie tego, że w domu modlono się, towarzyszyło mi również wtedy, gdy sam stałem się bezbożny. A gdy zupełnie odszedłem od Boga i jako młody oficer zszedłem na złą drogę, pamięć o tym, że rodzice modlili się, pomogła mi zawrócić. Czy w waszym domu dzień zaczyna się od modlitwy? Słuchajcie, mężczyźni, Bóg zażąda od was kiedyś zdania rachunku ze stanu dusz waszych dzieci i żon, jeśli teraz nie jesteście dla nich przykładem. Jak zaczyna się dzień w waszym domu? Czy śpiewa się pieśni? Czyta się Słowo Boże? Nie możecie się modlić, a co będzie, jeżeli wasze małe dzieci poproszą: "Tatusiu, pomódl się z nami rano!"?

Zdarzyło mi się kiedyś, że pewien dostojnik w Essen poprosił, bym go odwiedził. Siedzę więc z nim i z jego żoną i on zaczyna: "Wie pan, spotkało nas coś niewiarygodnego. Mój szesnastoletni syn wrócił z zebrania koła młodzieży prowadzonego przez pana i spytał, dlaczego u nas w domu nie ma zwyczaju modlenia się. Powiedziałem mu, że to są tylko takie zewnętrzne formy, za którymi nic się nie kryje. Wtedy

zapytał, co ja sędzę o Duchu Świętym. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nic nie sędzę. I on mi oświadczył, że nieszczęściem naszej rodziny jest to, że nie ma ojca, który umiałby się modlić o przyście Ducha Świętego". Wysłuchałem tej historii i pytam: "Czy pan chciałby, żeby waszemu synowi zmył głowę za to, że trochę zuchwale odezwał się do ojca?". "Ach, nie! – powiedział ten pan – Chodzi mi o to, że jeżeli chłopiec ma rację, to ja jestem w błędzie!" No, na to mogłem odpowiedzieć tylko jedno: "Pan jest w błędzie, a chłopiec ma rację". "Tak – powiedział – tego się obawiałem. I co ja mam zrobić?"

Ten człowiek nagle uświadomił sobie, że nie dopełnił najważniejszego obowiązku ojca rodziny! Nie wystarczy, że kupicie swoim dzieciom ubranie i dacie im jeść. Wy, ojcowie, macie większe obowiązki i ciąży na was poważniejsza odpowiedzialność! Pytam was: czy umiecie się modlić?

Wiecie, współcześni ludzie robią na mnie wrażenie... Ale tu muszę najpierw opowiedzieć wam legendę, którą słyzałem od marynarzy. Po oceanach świata pływa okręt-widmo, opuszczony przez załogę. Ten kompletnie pusty okręt nie tonie. I zdarza się, że inny okręt spotyka go na swojej drodze i stara się nawiązać łączność radiową. Ale tamten okręt nie odpowiada. No i właśnie my dziś jesteśmy jak ten okręt-widmo. Bóg stara się nawiązać z nami łączność. Przemawia z miłością, czasem zsyła cierpienie, chce otworzyć nasze serca. Bóg stara się nawiązać łączność przez wydarzenia, przeżycia, a przede wszystkim przez swoje Słowo. A my nie umiemy odpowiedzieć, my, okręty-widma!

Mówiąc o tych sprawach zapalam się i kiedyś jakieś małe dziecko spytało, wychodząc z kościoła: "Mamo, dlaczego ten pan na ambonie tak wymyśla?". Mam nadzieję, że zrozumiecie mnie: ja nie wymyślałem, tylko serce mi się kraje, gdy pomyślę, do czego doprowadzono nasz biedny naród, naukowców i robotników, mężczyzn i kobiety, młodych i starych! Do tego, że człowiek po prostu już nie potrafi wezwać Boga, który jest tuż obok niego.

Wiele ludzi uważa się za chrześcijan i opowiadają się za Kościołem,

ale modlić się nie umieją. Podczas wizyt domowych zawsze spotykam ludzi, którzy mówią: "Panie pastorze, my jesteśmy dobrymi chrześcijanami. Moja matka знаła pastora Takiego-To-a-Takiego. Czy pan go znał? Nie? A moja matka bardzo dobrze go znała!". Odpowiadam na to: "Razem z waszym pastorem Takim-To-a-Takim pójdziecie do piekła, jeżeli nie znacie Jezusa. Wszystko zależy od tego, czy umiecie wzywać Jezusa, czy umiecie się modlić?". Więc spytajcie sami siebie – czy umiem się modlić? Czy modłę się? I sami sobie odpowiedzcie na to pytanie.

Powiecie może teraz: "Pastorze Busch, skończ już z tym wreszcie i powiedz nam lepiej, jak mamy nauczyć się modlić!". I, rzeczywiście, muszę teraz przejść do tego zagadnienia.

2. JAK MAM NAUCZYĆ SIĘ MODLENIA?

a) **Pierwszy krzyk życia**

Jak człowiek uczy się mówić? Możecie sobie przypomnieć, jak uczyliście się mówić? Nie, na pewno nie możecie i ja też nie mogę. Ale jeżeli chcecie nauczyć się modlenia, to najpierw musicie nauczyć się pierwszego krzyku życia z Bogiem. Zaraz wam powiem, o co chodzi.

Pan Jezus opowiedział kiedyś historię o dwóch ludziach w kościele. Jeden z nich był wytworny i zajmował wysokie stanowisko. Kiedy wszedł do świątyni, od razu poszedł na sam przód i zaczął się modlić: "Panie Boże, dziękuję Ci, że jestem o tyle lepszy od innych ludzi..." Ale gdy to powiedział, Pan Bóg przestał go słuchać. Mógł sobie jeszcze długo mówić – Pan Bóg go nie słuchał. Tak się zdarza! Drugi człowiek był dość obskurnym typem. Powiedzielibyśmy, że trochę ocierał się o kryminał, handlował na lewo czy coś w tym rodzaju. Wszedłszy do świątyni zląkł się, że tak tu uroczyście, więc został przy samych drzwiach, myśląc: "Zupełnie tu nie pasuję! W knajpie jestem na swoim miejscu, ale nie tu". I chciał już wyjść, ale przypomniał sobie, co go tu przywiodło. Tak bezgranicznie tęsknił do Boga... My wszyscy bezgranicznie tęsknimy do Boga, do naszego domu

rodzinnego, do Ojca! I ten człowiek w Biblii – nazywa się go celnikiem – poczuł, że nie może tak odejść. Ale czuł również, że nie może wejść, bo przecież wiedział, jak wygląda jego życie. Został więc przy drzwiach, złożył ręce i powiedział tylko jedno małe zdanie: "Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!". I w Biblii czytamy dalej, że "poszedł usprawiedliwiony do domu swego.." Ten człowiek zaczął żyć.

Pierwszy krzyk nowego życia z Bogiem brzmi: "Zgrzeszyłem!".

Chciałbym przybliżyć wam tę moją myśl takim przykładem. Byłem przy narodzinach mojego pierwszego syna. Poród był bardzo ciężki. Myślałem o Słowach Jezusa: "Kobieta, gdy rodzi, smuci się..." I myślałem, że moja ukochana żona, której głowę trzymałem w dłoniach, nie wytrzyma tych cierpień. I nagle usłyszałem głosik, właściwie skrzek. Dziecko przyszło na świat! Nowe życie! Tego skrzeku zaiste nie można było porównać do śpiewu, ale ja szlochałem ze szczęścia. Możecie to zrozumieć? Byłem wstrząśnięty, słysząc pierwszy krzyk nowego życia.

I widzicie, takim pierwszym krzykiem nowego życia z Boga są słowa człowieka, który wreszcie ujrzał światło prawdy i mówi: "Zgrzeszyłem! Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!". Wasze modlitwy nic nie będą warte, jeżeli na początku zabraknie tych słów, tego pierwszego krzyku życia. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby dziecko po urodzeniu wygłosiło mowę. Każde na początku wydaje z siebie pierwszy krzyk życia. I do Królestwa Bożego też nie ma innej drogi.

Ten pierwszy krzyk życia z Bogiem – czy już wydaliście taki krzyk w waszym życiu? Nie? To schrońcie się na miłość Boską w jakimś cichym miejscu i powiedzcie: "Zgrzeszyłem! Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!". Nie prowadzę tu propagandy na rzecz Kościoła, ale, moi drodzy przyjaciele, tak bardzo chciałbym, aby choć kilkoro z was nie poszło do piekła! A to nie będzie możliwe, jeżeli Bóg nie usłyszy tego pierwszego krzyku życia.

Kiedy syn marnotrawny powrócił od swoich świń do domu, pierwsze jego słowa brzmiały: "Ojcze, zgrzeszyłem przeciwko niebu i

przeciwno tobie..." W chwili, gdy wy powiecie te słowa, stanie przed wami Jezus i usłyszycie: "Mój drogi, moja miłości, za twoje grzechy umarłem. Zapłaciłem za ciebie!".

b) Tylko dzieci Boże mogą się naprawdę modlić

Spotkałem niedawno znajomego, który ma troje słodkich dzieciaków, chłopca i dwie dziewczynki. Szli naprzeciw mnie i widziałem, jak dzieci wszystkie na raz mówiły coś do ojca, a ten ledwie nadążał z odpowiadaniem. Podszedłem bliżej i mówię: "Dzień dobry panu! Jak się macie, dzieciaki!". I co się dzieje? Dzieci natychmiast zamilkły. Zobaczyły kogoś obcego i zamilkły. O to chodzi – dzieci mogą rozmawiać tylko ze swoim ojcem i matką, wtedy to jest prawdziwa rozmowa. W obecności kogoś obcego są zażenowane.

My także możemy się naprawdę modlić tylko wtedy, gdy staliśmy się dziećmi Bożymi. I dlatego nie możemy się modlić, bo nie jesteśmy dziećmi Bożymi.

Ach, oczywiście, należymy do Kościoła, jesteśmy konfirmowani, jesteśmy chrześcijanami, bo w dzień Bożego Narodzenia pojawiajemy się w kościele. Mówimy też pastrowi "dzień dobry" i jesteśmy tak uprzejmi, że nie dajemy mu sójki w bok. Pewien kaznodzieja przebudzeniowy powiedział kiedyś słuchaczom, że są ochrzczonymi zającami. Gdy ktoś go spytał, co to ma znaczyć, wyjaśnił: "Gdybyś zając złapał i ochrzcił, to on, ledwo go puścisz, natychmiast pokica w pole. Z wami jest tak samo – ledwo odejdziecie ochrzczeni od ołtarza – już dajecie susa w świat". Moi drodzy, dlatego nie możecie się modlić. Tylko dzieci Boże mogą to naprawdę. I dlatego tylko dzieci Boże są naprawdę radosne!

Musicie zostać dziećmi Bożymi! Nie jesteście nimi z natury. Być może z wierzchu jesteście chrześcijanami, ale nie jesteście dziećmi Bożymi. Dziecko musi się urodzić, dziecko Boże musi narodzić się na nowo. Dopiero będąc dzieckiem Bożym, będziesz mógł się modlić. Dzieci Boże nie mogą żyć bez modlitwy. Jest ona dla nich równie niezbędna, jak oddychanie. Moi chłopcy mówią sobie w żartach: "Nie

zapomnij o oddychaniu!". A wy zapominacie o oddychaniu duszy! Musicie stać się dziećmi Bożymi!

Powiem wam krótko, jak stać się dzieckiem Bożym – tylko przez Jezusa. On powiedział: "Ja jestem drzwiami; jeśli kto przeze mnie wejdzie, zbawiony będzie...". Przez mroki tego świata zbliża się ku wam Jezus, naznaczony stygmatami. Człowiek. Nie obchodził was dotychczas, to co słyszeliście o Nim, wydawało się wam bzdurą. Ale teraz On do was podchodzi. I może się zdarzyć, że Go nagle poznacie: "Ty Człowieku z innego wymiaru, Ty Synu żywego Boga – Ty jesteś moim Zbawicielem!".

Jest to pierwszy krok, aby stać się dzieckiem Bożym. Drugim krokiem jest nabranie wielkiego zaufania do tego Jezusa. Uświadomienie sobie, że On może doprowadzić do porządku moje wewnętrzne życie, mój brak spokoju, moją utajoną winę, grzechy mojej młodości. W Starym Testamencie mąż Boży mówi: "Prowadzisz mnie według rady swojej..." Człowiek nabiera nagle takiego zaufania do Jezusa, że odważa się porzucić swoje dotychczasowe życie i oddać się w Jego ręce. Nazywamy to nawróceniem. Taką chwilę przeżyłem, gdy mając osiemnaście lat odrzuciłem precz to, co było, i oddałem swoje życie Jezusowi. Nie pomógł mi w tym nikt. I wam nikt nie może pomóc. Ja też nie mogę. Musicie to załatwić sami z Jezusem. Zaryzykujcie i powiedzcie: "Weź, o Panie, życie me, w ręce Twe oddaję je..." W chwili, gdy to uczynicie, staniecie się dziećmi Bożymi. Przychodzą do mnie różni ludzie twierdząc, że można zostać zbawionym również w inny sposób. Możecie oczywiście spróbować. Ale ja wam mówię, że istnieją tylko jedne drzwi do Królestwa Bożego. Drzwiami tymi jest Jezus, który za nas umarł i dla nas zmartwychwstał!

A kiedy będziecie już dziećmi Bożymi – ach, proszę was, poszukajcie Jezusa, On szuka was już od tak dawna! – wtedy będziecie mogli się modlić i skończą się niedole waszego życia, bo Jemu będziecie mogli wyznać wszystko, jak dziecko ojcu.

Jestem już starym pastorem i poznałem w swoim życiu bardzo wielu ludzi. I jestem zupełnie pewny, że każdy człowiek – każdy! –

ma swoje mroczne tajemnice. Nosimy je w sobie. Ale z chwilą, gdy stałem się dzieckiem Bożym, mogę wszystko wyznać Jezusowi. Moje mroczne tajemnice, moje rozterki, moje nieczyste związki – o wszystkim mogę Mu powiedzieć. Mogę Mu powiedzieć to, z czego nie zwierzyłbym się żadnemu człowiekowi.

Prowadziłem kiedyś obóz młodzieżowy i na zakończenie paru chłopców opowiadało o swoim życiu. Jeden z nich, osiemnastoletni, opowiedział, jak mimo chrześcijańskiego wychowania bliski był odrzucenia nauki Jezusa: "Pewnego dnia przed pójściem na godzinę biblijną powiedziałem: 'Panie Jezu, jeżeli nie przemówisz do mnie osobiście dziś wieczorem, to odejdę. Nie mając pewności, nie mogę dać sobie rady z sobą samym i z życiem w wielkim mieście.' I kiedy wracałem z godziny biblijnej do domu, miałem już pewność, bo Jezus wysłuchał mojej modlitwy i przemówił do mnie osobiście!". Byłem wzruszony. Ten chłopiec z dna niewiary i zwątpienia wzywał Jezusa i otrzymał odpowiedź. A jak dopiero można być pewnym odpowiedzi, gdy wzywa się Go będąc dzieckiem Bożym!

Moja matka mieszkała w górach Szwabii. Podczas wojny dostałem od niej list, w którym napisała: "Obudziłam się dziś o trzeciej nad ranem. Zaczęłam myśleć o moich dzieciach na polach bitwy, o wnukach i o was żyjących pod bombami, o Elżbiecie, która już tak dawno nie pisała z Kanady. Poczułam, że ogarnia mnie rozpacz, miałam wrażenie, że jakaś ręka w żelaznej rękawicy ściska moje gardło. Nie mogłam tego wytrzymać i zaczęłam się modlić do Jezusa, prosić Go o słowo pociechy. Potem zapaliłam światło i sięgnęłam po Biblię" – błogosławiony ten, kto ma Biblię na nocnej szafce – "a gdy ją otworzyłam, spojrzenie moje padło na Słowa: 'Wszelką troskę swoją złóżcie na Niego, gdyż On ma o was staranie"'. Matka moja zakończyła list takim wspólnym zdaniem: "Szybko więc zrzuciłam to, co mnie gnębiło, na mojego Zbawiciela, zgasłam światło i spokojnie zasnąłam." Tak, gdy jest się dzieckiem Bożym, można tak żyć – zrzucić troski na Zbawiciela i spać spokojnie!

Przypominam sobie też, jak moja matka powiedziała kiedyś: "Wczoraj wieczorem byłam tak zmęczona, że nie mogłam się nawet

pomodlić. Powiedziałam więc tylko: 'Dobranoc, kochany Zbawicielu!'. Pomyślałam sobie, że w tak naturalny sposób mogą rozmawiać ze swoim Panem tylko dzieci Boże. A On rzeczywiście czuwa. W każdej godzinie dnia i nocy mój Zbawiciel jest przy mnie, a ja jestem Jego własnością i mogę na Niego zawsze liczyć.

Czy zrozumieliście? Jeżeli człowiek nie może się modlić, jest to dla niego absolutną katastrofą. Życzę wam, abyście mogli zawołać: "Zgrzeszyłem! Boże bądź miłościw mnie grzesznemu!". Będzie to pierwszy krzyk nowego życia. I życzę wam, abyście nie spoczęli, nim nie staniecie się własnością Jezusa, nim nie staniecie się dziećmi Bożymi. Kiedy to się stanie, nie będę już musiał martwić się o was.

JAK PORADZIMY SOBIE Z ŻYCIEM, JEŻELI NIE BĘDZIEMY MOGLI WIERZYĆ?

I. BEZ WIARY NIE MOŻNA SOBIE PORADZIĆ

Muszę wam z miejsca powiedzieć, że nie wierząc nie można sobie w ogóle poradzić z życiem. Ja też nie mógłbym nic poradzić niewierzącemu człowiekowi, bo jemu po prostu nie można nic poradzić. Chciałbym wam tu wyjaśnić, dlaczego tak jest.

Ludzie wmawiają sobie, że Bóg jest teologicznym twierdzeniem, ideą, siłą natury czy czymś w tym rodzaju. A Bóg, moi drodzy, jest Osobą, żyje i wypełnia sobą wszystko. Jest rzeczywistością. I jeżeli ja nie mam pokoju z Bogiem, nie uporządkowałem przed Nim swoich spraw, jeżeli nie jestem dzieckiem Bożym, to żyję poza rzeczywistością. A to jest niebezpieczne.

To była wielka godzina mojego życia, gdy jako młody oficer podczas pierwszej wojny światowej zrozumiałem nagle, że Bóg istnieje. Miałem uczucie, jakbym jadąc samochodem uderzył nagle w mur. Dawniej też mówiłem: "Wierzę w Pana Boga", i takie inne frazesy, ale nie rozumiałem, że On jest rzeczywistością. I nagle zderzyłem się z rzeczywistością Bożą.

Jest w Biblii taki wstrząsający psalm, który mówi o tym, że Bóg jest tak rzeczywisty, iż nie sposób przed Nim uciec: "Jeśli wstąpię do nieba, Ty tam jesteś..." Amerykański kosmonauta Glenn powiedział, że był głęboko poruszony, gdy lecąc w rakiecie, uświadomił sobie: Bóg jest tu również! "Jeśli wstąpię do nieba" – albo będę pędził w kosmos – "Ty tam jesteś!". Jeśli zjadę na najniższy pokład kopalni – poniżej tysiąca metrów – i tam natknę się na Boga. Psalmista mówi: "Jeśli przygotuję sobie posłanie w krainie umarłych, i tam jesteś..." Leciałem kiedyś do Kalifornii, i żona włożyła mi do walizki jeden wiersz z tego psalmu. Gdy otworzyłem walizkę w San Francisco, przeczytałem: "Gdybym wziął skrzydła rannej zorzy i chciał spocząć na krańcu morza, nawet tam prowadziłaby mnie ręka Twoja, dosięgłaby mnie prawica Twoja". Tak, Bóg jest wielką

rzeczywistością.

A ponieważ Bóg jest wielką rzeczywistością, to nie można bezkarnie żyć, pomijając Go. Jeżeli żyję tak, jakby Boga nie było, to znaczy: lekceważę Jego przykazania, nie święcę niedzieli, dopuszczam się zdrady w małżeństwie, kłamię, nie szanuję rodziców, nie oddaję czci Bogu – to żyję poza rzeczywistością. I wtedy nie mogę poradzić sobie z życiem. Rozejrzyjcie się wokoło: ludzie nie dają sobie rady, nawet ci, którzy mają dużo pieniędzy, bo nie mają wewnętrzznego spokoju, nie układa im się życie osobiste i rodzinne.

Jak poradzimy sobie z życiem, jeżeli nie będziemy mogli wierzyć? Nie poradzimy sobie. I nie poradzimy sobie ze śmiercią. Za sto lat nikogo z nas już tu nie będzie, a to znaczy, że każdy z nas spotka się do tego czasu ze śmiercią.

Jeżeli ktoś mówi, że po śmierci nic nie ma, że po prostu jesteśmy martwi, to zastanówcie się, czy wolicie wierzyć własnym wyobrażeniom, czy też zaufać Słowu Bożemu. Jak poradzi sobie z umieraniem ktoś, kto nagle uświadomi sobie, że nie może wziąć ze sobą nic z tego, co gromadził przez całe życie? Ktoś ma na przykład domek, ja nie mam, ale ktoś z was może ma. Ja mam za to piękną bibliotekę. I muszę zostawić wszystko, co lubiłem, również ludzi, których kochałem – nie mogę zabrać ze sobą nic i nikogo. Bo do wieczności zabiera się ze sobą tylko jedno: swoją winę przed Bogiem. I wyobraźcie sobie teraz, że leżycie na łóżku śmierci i nagle uświadamiacie sobie: "Muszę zostawić wszystko. Tylko moje wykroczenia i grzechy całego życia pójdą ze mną przed Oblicze świętego i sprawiedliwego Boga!". I jakże poradzimy sobie przed Sądem Bożym bez wiary w Tego, który usprawiedliwił bezbożnego? A przecież staniemy przed tym Sądem!

Pan Jezus, który był przecież tak miłosierny, powiedział: "Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało..." – ja bałbym się właśnie ich, ale Pan Jezus mówi, że to małe płotki! – "Ale wskażę wam, kogo się bać macie! Bójcie się tego, który, gdy zabija, ma moc wrzucić do piekła." I Jezus powtarza raz jeszcze, tak jakby przeszedł Go dreszcz przerażenia: "Zaiste, powiadam wam: Tego się bójcie!"

Opowiem wam zdarzenie sprzed kilku lat. W Norwegii żył wtedy znany profesor nazwiskiem Hallesby. Poznałem go. Był to cudowny człowiek. Taki prawdziwy, poważny, spokojny Norweg. I ten profesor prowadził przez tydzień nabożeństwa radiowe. Mogę go sobie wyobrazić, jak stał przed mikrofonem, mówiąc te słowa: "Może się zdarzyć, że dziś wieczorem położycie się spokojnie do łóżka, a jutro rano obudzicie się w piekle. Chciałbym was ostrzec!". Te słowa rozpętały okropną burzę, bo Norwedzy również podpadają pod rubrykę "ludzie nowocześni", a ci ludzie odgrywają dzisiaj ogromną rolę. Dziennikarz największej gazety w Oslo napisał artykuł wstępny, takiej mniej więcej treści: "Nie żyjemy w średniowieczu! Jest doprawdy nie do pomyślenia, żeby tak nowoczesna instytucja, jak radio była wykorzystywana do rozpowszechniania takich bzdur!" I tak dalej. Oczywiście za dużą gazetą idą mniejsze i też ujadają. W całej prasie podniósł się szum: nie żyjemy w średniowieczu! Jak człowiek będący profesorem może mówić o piekle! I tak dalej. No, wtedy radio w Oslo zwróciło się do profesora Hallesby z prośbą, by wyjaśnił tę sprawę. Profesor stanął przed mikrofonem i powiedział: "Poproszono mnie, żebym wyjaśnił tę sprawę. Wyjaśniam: może się zdarzyć, że dziś wieczorem położycie się spokojnie do łóżka, a jutro rano obudzicie się w piekle. Chciałbym was ostrzec!". Po tym oświadczeniu zakotłowało się. Wszystkich biskupów w Norwegii pytano, czy piekło istnieje, czy też nie. Nawet czasopismo "Der Spiegel" zajęło się tą sprawą i umieściło duży artykuł o "piekielnej kłótni w Norwegii".

Nie upłynął jeszcze rok od tej awantury, gdy przyjechałem do Oslo z wykładami dla studentów, a przy okazji miałem wygłosić parę publicznych odczytów. Zaczęło się od konferencji prasowej. W hotelu zebrali się przedstawiciele wszystkich gazet. I tak się osobliwie złożyło, że po mojej prawej stronie miałem dziennikarza, który wtedy zaczął całą tę historię, a po lewej miałem profesora Hallesby, jako przedstawiciela prasy ewangelickiej. No i oczywiście zaraz się zaczęło! Ten dziennikarz zaatakował mnie: "Pastorze Busch, pan jest nowoczesnym człowiekiem. Pan wie, że między mną a profesorem

Hallesby istnieje spór, więc niech pan powie: czy pana zdaniem piekło istnieje?". "Tak – odpowiedziałem – piekło istnieje, to oczywiste." "Nie rozumiem, jak pan może twierdzić coś podobnego!" "Chętnie panu wytłumaczę – odpowiedziałem. – Wierzę, że piekło istnieje, ponieważ Jezus sam to powiedział. A ja bezwzględnie ufam Słowu Jezusa, ponieważ On wie więcej niż wszyscy mądrzy ludzie razem wzięci".

A Słowo Boże mówi: "(Bóg) chce, aby wszyscy ludzie byli zbawieni i doszli do poznania prawdy". "Dlatego mówimy o wierze, Bóg bowiem ukazał drogę, która prowadzi do błogosławionego życia i błogosławionej śmierci.

Jak poradzimy sobie z życiem, jeżeli nie będziemy mogli wierzyć? Wcale nie będziemy mogli sobie poradzić.

Pozwólcie, że uzasadnię wam to jeszcze inaczej. Wyobraźcie sobie, że macie małą, milutką złotą rybkę. I pewnego dnia myślicie: "Ty biedaku, bez przerwy mokniesz w tej zimnej wodzie! Poczekaj, zaraz to zmienimy, zobaczysz jak ci będzie dobrze!". No i wyjmujecie rybkę z wody, wycieracie ją mięciutkim ręcznikiem i wkładacie do pięknej złoczonej klatki. Potem wsypujecie jej tam najlepszy pokarm – nie wiem, co jadają złote rybki, jaja mrówcze czy coś w tym rodzaju? – więc, powiedzmy, wsypujecie najpiękniejsze i najtłustsze jaja mrówcze i mówicie: "Moja kochana złota rybeńko, popatrz, jak masz teraz dobrze – taka piękna klatka, takie wspaniałe mrówcze jaja, także świeże powietrze!". A co na to złota rybka? Pomacha z wdzięcznością oskrzelami i powie: "Ach, dziękuję, dziękuję!?" Nie, złota rybka zacznie się rzucać i konwulsyjnie łapać powietrze. A gdyby umiała mówić, to krzyknęłaby: "Nie chcę twojej złoczonej klatki, nie chcę tych mrówczych jaj, chcę wrócić do mojego żywiołu, chcę do wody!". A naszym żywiołem jest, widzicie, żywy Bóg, który stworzył niebo i ziemię i stworzył również nas.

Bóg jest naszym żywiołem. A dopóki nie mam pokoju z Bogiem, moja dusza jest w złoczonej klatce. W dzisiejszych czasach człowiek daje swojej duszy wszystko możliwe: rozrywki, podróże, najlepsze jedzenie, wyborowe wina, ale nasza dusza rzuca się konwulsyjnie i

mówi: "Nie chcę tego wszystkiego! Chcę wrócić do mojego żywiołu, chcę pokoju z Bogiem!". Nie bądźcie więc okrutni dla samych siebie! Nasze serce krzyczy z rozpaczy, dopóki nie znajdzie spokoju w społeczności z żywym Bogiem. Ryba chce żyć w swoim żywiole i nasza dusza też tego pragnie, chce do Boga, który jest naszym żywiołem.

Jakże mamy poradzić sobie z życiem, jeżeli nie możemy już wierzyć? Mogę na to odpowiedzieć tylko tyle: nie poradzimy sobie ani z życiem, ani ze śmiercią, ani z wiecznością. A jeżeli sprzeciwiacie mi się, mówiąc: przecież ludzie zupełnie dobrze sobie radzą! to powiem wam, że naprawdę nie najlepiej! Taki człowiek jak Goethe na przykład. Piękny, bogaty, mądry, był ministrem, miał, zdawałoby się, wszystko. A przy końcu życia powiedział Eckermannowi, że, gdyby podliczył wszystkie godziny w życiu, w których czuł wewnętrzny spokój, to wyszłyby mu z tego w sumie niecałe trzy dni. Taki brak pokoju! Nie, nie można poradzić sobie z życiem, gdy nie ma się wiary.

To była pierwsza rzecz, o której musiałem wam powiedzieć. A teraz przechodzę do punktu drugiego.

2. WSZYSTKO ZALEŻY OD TEGO, CZY JEST TO WIARA WŁAŚCIWA

Wszystko zależy od tego, czy jest to wiara, która może zbawić. Bo każdy człowiek w coś tam wierzy...

Jako młody student przyjechałem kiedyś do domu, i pewnego dnia do mojej matki przyszła w odwiedziny starsza pani. Matki nie było, więc powiedziałem: "Łaskawa pani, matki nie ma w domu, może zechce pani zadowolić się na razie moim towarzystwem". "Będzie mi bardzo miło – odpowiedziała uprzejmie. Gdy już usiedliśmy, spytała: "Czym pan się zajmuje?". Odpowiedziałem, że studiuje teologię. "Co! – krzyknęła – Teologię? A któż dzisiaj jeszcze wierzy! To już niemożliwe!" I stara dama wprowadziła na scenę Goethego (było to we Frankfurcie, gdzie kiedyś mieszkał), oświadczając dumnie: "My wierzymy w to, w co on wierzył. Chrześcijaństwo to przeżytek!".

Ponieważ ta rozmowa sprawiała mi przykrość i nie chciałem sprzeczać się ze starą panią, więc zmieniłem temat. "Łaskawa pani, czy mogę spytać, jak pani zdrowie?" Na to dama szybko popukała w stół i powiedziała: "Toj toj! Takich pytań nie należy zadawać!". "Przepraszam panią, co to znaczy toj, toj, toj?" "Tak się mówi, żeby zażegnać nieszczęście." "Ach tak! – stwierdziłem – Pani odrzuciła wiarę w żywego Boga i zastąpiła ją wiarą w odpukiwanie i toj, toj, toj! Ależ to kapitalne! Taka zamiana, to świetny interes!"

Zrozumiałem wtedy, że każdy człowiek w coś wierzy. Pytanie tylko, czy jest to właściwa, zbawiająca wiara. W naszych czasach mówi się: najważniejsze, że w coś wierzymy. I jeden wierzy w Pana Boga, drugi w naturę, trzeci w los, czwarty w opatrność. O nie, moi drodzy, najważniejsze jest, abym miał właściwą wiarę, wiarę, która daje mi pokój z Bogiem i pokój w sercu. Muszę mieć wiarę ratującą mnie przed piekłem, dającą mi tu, na ziemi nowe życie. Na inną wiarę gwizdzę. Wielu ludzi wierzyło kiedyś w Niemcy, w zwycięstwo, w führera. I co z tego zostało? Czy nie rozumiecie, że wiara może być fałszywa? A ja muszę mieć wiarę prawdziwą, wiarę ratującą!

I taką wiarą jest – krótko mówiąc – wiara w Jezusa, Syna żywego Boga. Wiara w Jezusa Chrystusa. Nie w założyciela jakiejś religii, takich mamy na pęczki, ale w Jezusa Chrystusa, Syna Boga żywego.

A teraz muszę powiedzieć wam, jakie znaczenie ma wiara w Jezusa.

Jest w Biblii tak cudowna historia, w której znaczenie tej ratującej wiary w Jezusa jest po prostu udowodnione.

Przenieście się wraz ze mną w myśli dwa tysiące lat wstecz. Jesteśmy przed bramami Jerozolimy, na wzgórzu Golgota, zwanym "Trupią czaszką". Nie zwracajcie uwagi na kłębiący się, wrzeszczący tłum. Nie zwracajcie uwagi na rzymskich żołnierzy, którzy trzymają straż i rzucają kości przy dzieleniu się szatami Jezusa. Spójrzcie w górę: na środkowym krzyżu wisi Syn Boży. Ukrzyżowany. Twarz zalana krwią płynącą spod korony cierniowej, którą wciśnięto Mu na głowę. Tam wisi Bóg. Po Jego prawej stronie wisi morderca, którego też ukrzyżowano. Po lewej stronie wisi drugi złoczyńca. Zapada ciemność, nadchodzi śmierć. Jeden z morderców zaczyna krzyczeć:

"Słuchaj no, Ty tam pośrodku! Mówiłeś, że jesteś Synem Boga! Jeśli tak jest naprawdę, jeśli nie jesteś kłamcą, zejźdź z krzyża, uratuj samego siebie i uratuj mnie!". Można zrozumieć tego człowieka. W obliczu śmierci, w śmiertelnym strachu mówi się rzeczy, których by się być może inaczej nigdy nie powiedziało. I nagle odzywa się ten drugi złoczyńca i gromi tamtego: "Czy ty się Boga nie boisz?". Tak, to się od tego zaczyna, że nagle pojmuje się, że Bóg jest święty i straszny.

Gdy na miasta spadały bomby, ludzie odchodzili od zmysłów. Być może zawinił tu Kościół, nie mówiąc, że Bóg może być straszny. Bóg może odmówić pomocy! "Czy ty się Boga nie boisz!" Na ulicach naszych wielkich miast należy krzyczyć: "Czy wy się Boga nie boicie!" W gabinetach wielkich przedsiębiorstw i biur, gdzie ludzie idą po trupach, by zgarnąć pieniądze, należy krzyczyć: "Czy wy się Boga nie boicie!". Młodym ludziom żyjącym w rozpuście trzeba powiedzieć: "Czy wy się Boga nie boicie! Co wy sobie wyobrażacie? Czy jesteście ślepi?". Tak, od tego – to się zaczyna, że człowiek poznaje świętość i straszliwość Boga.

A ten łotr, ten przestępca mówił dalej: "Na nas ciąży sprawiedliwy wyrok, myśmy na to zasłużyli!". I to jest ta druga rzecz prowadząca do ratującej wiary: wyznanie własnej winy.

Spotkałem wielu ludzi, którzy mi mówili, że nie mogą wierzyć, a kiedy ich pytałem, czy rozumieją, że są winni przed Bogiem, odpowiadali: "Nie, czynię dobrze i nie boję się nikogo". Mówiłem im wtedy, że dopóki sami siebie tak okłamują, nigdy nie wyjdą na światło. Niedawno znowu spotkałem kogoś, kto powiada: "Czynię dobrze i nie boję się nikogo!". Odrzekłem na to: "Moje gratulacje! Ja bym tego o sobie nie mógł powiedzieć. W moim życiu niejedno nie jest w porządku". Na to on: "No, oczywiście, jeżeli brać to tak rygorystycznie..." "O! – odpowiedziałem – Bóg bierze to rygorystycznie! Niechże pan nie okłamuje sam siebie!"

Widzicie, do prawdziwej, ratującej wiary dojdziecie dopiero wtedy, gdy grzech nazwiecie grzechem, gdy wasze brudne stosunki seksualne nazwiecie rozpustą, gdy swoją zdradę małżeńską nazwiecie zdradą

małżeńską, gdy swoich kłamstw nie będziecie nazywać sprytem, gdy nie będziecie usprawiedliwiać swego egoizmu, tylko przyznacie, że wasze "ja" jest waszym bogiem – a to już jest bałwochwalstwo! Drugim krokiem prowadzącym do prawdziwej wiary jest nazwanie swego grzechu i przyjście do Boga ze słowami: "Panie, zasłużyłem na Twój sąd!". Jest rzeczą straszną, że w naszych czasach wmawiamy sobie, że wszystko jest w porządku. Bóg zerwie nam kiedyś tę maskę z twarzy.

Ten złoczyńca zwrócił się potem wprost do Jezusa i powiedział: "Nie uczyniłeś nic złego. Dlaczego wisisz tu?". W tym momencie człowiek ten zrozumiał: "On wisi tu za moje winy!". I mógł już tylko zawołać: "Jezu, wspomnij na mnie, gdy wejdiesz do Królestwa swego". I to jest ta trzecia sprawa: uwierzył, że Jezus może zbawić na wieki, ponieważ umarł za nas. I Jezus mu odpowiedział: "Zaprawdę powiadam ci, dziś będziesz ze mną w raju".

To, widzicie, jest ta ratująca wiara: zrozumienie, że Bóg jest święty, uznanie, że jest się zgubionym i poznanie, że Jezus, który umarł za mnie na krzyżu, jest moją jedyną szansą. Bez tej wiary nie poradzicie sobie z życiem. Z tą wiarą poradzicie sobie na pewno. Nic innego nie mogę wam powiedzieć.

Ludzie nieraz mi zarzucają, że jestem jednostronny. Mogę na to odpowiedzieć tylko tyle: "Przepraszam! Istnieje tylko ta jedna droga, aby dać sobie radę z życiem, ze śmiercią i przed Sądem: przychodzę jako grzesznik do Jezusa, wyznaję Mu ze skruczą moje grzechy i wierzę, że "Zbawcy krew obmywa brud win, (...) krwią odkupił nas Boży Syn...". Chciałbym, żebyście stale pamiętali, że Jezus umarł za nas. Kiedy rano wstajecie, pomyślcie – Jezus umarł za mnie. W ferworze pracy pomyślcie – Jezus umarł za mnie. I wtedy stanie się – tak Bóg zsyła łaskę – że zaczniecie Go wielbić i powiecie: "Umarł za mnie! A więc wolno mi wierzyć!". W tej samej chwili, gdy to pojmiecie – staniecie się dzieckiem Bożym! Jezus mówi: "Ja jestem drzwiami, jeśli kto przeze mnie wejdzie, zbawiony będzie..."

Tak, teraz jednak muszę coś jeszcze dodać. Muszę odpowiedzieć tym, którzy mi mówią: "Panie pastorze, wszystko to dobrze, ale ja nie

mogę uwierzyć w to, co pan mówi. Jak słucham pana, bardzo mi się podoba to wszystko, ale zupełnie nie mogę w to uwierzyć". Wielu ludzi mi już to mówiło i muszę im tu odpowiedzieć. Tych, którzy tak mówią chciałbym podzielić na cztery grupy:

3. LUDZIE, KTÓRZY NIE MOGĄ WIERZYĆ, BO...

a) ...nie są religijni

Do tej pierwszej grupy należą ludzie, którzy oświadczają: "Nie wierzę, bo po prostu nie jestem religijny. Pan jest religijny, panie pastarze, a ja nie!". Na to mogę tylko odpowiedzieć, że ja też nie jestem religijny. Bo, wiecie, bardzo mało sobie robię z bicia w dzwony, z dymów kadzidlanych i innych rzeczy w tym rodzaju. Byłem bardzo zadowolony, że w ostatnich latach miałem kazania w sali, gdzie nie było organów ani dzwonów, i wcale mi tego nie brakowało. Nie mam nic przeciwko organom ani dzwonom, ale ich nie potrzebuję. Taki jestem niereligijny!

W czasie gdy Jezus, Syn Boży, przebywał na ziemi, było tu bardzo dużo religijnych ludzi. Uczeni w Piśmie, kapłani, faryzeusze – wszyscy oni byli bardzo religijni. Ale tacy saduceusze na przykład byli już bardziej liberalni w sprawach religii. To ci, którzy dziś mówią: "Szukamy Boga w przyrodzie!". A w czasach Hitlera mówili: "W naszych sztandarach płonie Duch Boży!" I ci religijni ludzie ukrzyżowali Syna Bożego. Nie pasował do nich. Byli również ludzie absolutnie niereligijni: prostytutki, celnicy, rzemieślnicy pochłonięci całkowicie swoją pracą, bo musieli zarabiać na chleb; i taki wielki pan jak Zacheusz, który wciąż trzymał się zbijaniem majątku. Wszyscy oni byli absolutnie niereligijni. I oni właśnie znaleźli drogę do Jezusa! Jak to było możliwe? Ach, po prostu – oni wiedzieli, że są winni przed Bogiem, że w ich życiu wszystko jest złe. A tu przyszedł Zbawiciel, który chciał ich zmienić w dzieci Boże. Więc uwierzyli w Niego.

Pan Jezus nie po to przyszedł, by z ludzi religijnych zrobić ludzi jeszcze bardziej religijnych. Pan Jezus przyszedł po to, by grzeszników uratować od śmierci i od piekła, by uczynić ich dziećmi

Bożymi. I jeżeli są wśród was ludzie, którzy mówią: "Nie mogę wierzyć, bo nie jestem religijny", to odpowiadam im, że wobec tego mają największą szansę stać się dzieckiem Bożym. Wiemy dobrze, że jesteśmy grzesznikami, ale: "Jezus umarł za mnie!". Raz jeszcze powtarzam, że Jezus nie po to przyszedł, aby z ludzi religijnych zrobić ludzi jeszcze bardziej religijnych, ale przyszedł po to, by z nas, zgubionych grzeszników, uczynić dzieci Boga żywego!

b) ...nie chcą wierzyć

Druga grupa składa się z tych, którzy wprawdzie mówią: "Nie mogę wierzyć", ale gdyby byli uczciwi, musieliby przyznać, że w rzeczywistości wcale nie chcą wierzyć. A to dlatego, że gdyby zaczęli wierzyć, całe ich życie musiałoby ulec zmianie. A tego nie chcą. Wiedzą, że wszystko w ich życiu jest złe i wiedzą, że zostając dziećmi Bożymi, będą musieli ukazać się w pełnym świetle. Nie, nie – tego nie chcą. Wyglądaliby głupio przed kolegami. A co powiedzieliby krewni? Lepiej tego uniknąć! Tak więc, gdy spotykacie ludzi, którzy mówią, że nie mogą wierzyć – przyjrzyjcie się im dobrze, czy przypadkiem nie powinni powiedzieć, że nie chcą wierzyć.

W Biblii opisana jest taka wstrząsająca historia. Syn Boży, Pan Jezus, siedział raz na Górze Oliwnej. Przed Nim, w dole, leżało zalane potokami słońca miasto – Jerozolima. Po drugiej stronie miasta wznosiła się góra, na której stała wspaniała świątynia. Nawet poganie przyznawali, że można by ją zaliczyć do siedmiu cudów świata. Ten piękny widok mógł Jezus objąć spojrzeniem, siedząc na Górze Oliwnej. Ale uczniowie Jego spostrzegli nagle z przerażeniem, że po twarzy Jego płyną łzy. Zaskoczeni patrzą na Niego pytająco, a On zaczyna mówić ze wzburzeniem: "Jeruzalem, Jeruzalem, (...) ileż to razy chciałem zgromadzić dzieci twoje, jak kokosz zgromadza pisklęta swoje pod skrzydła, a nie chcieliście! Oto dom wasz pusty zostanie!". Oto jedno z najbardziej wstrząsających słów Biblii: "...a nie chcieliście!". Jerozolimczycy również mówili, że nie mogą wierzyć, ale naprawdę nie chcieli wierzyć.

Widzicie, kto nie chce wierzyć, ten nie musi. Mogę wam coś

powiedzieć? Otóż w Kościele ciągle jeszcze istnieją jakieś przymusy. A w Królestwie Bożym wszystko jest dobrowolne. Każdy może żyć bez Boga, jeśli chce. Bóg ofiarowuje nam siebie, ale my możemy Go odrzucić. Chcecie żyć bez Boga? Wolno wam! Chcecie żyć bez pokoju z Bogiem? Wolno wam! Chcecie żyć bez modlitwy? Wolno wam! Chcecie żyć bez Biblii? Wolno wam! Chcecie przekraczać Boże przykazania? Wolno wam! Chcecie bezcześcić niedziele rozpustą, piciem, kłamstwem, kradzieżą? Wolno wam! Kto nie chce tego Zbawiciela, którego Bóg posłał na ratunek grzesznikom, ten może Go odrzucić. Wolno mu. I wolno mu pędzić do piekła, jeśli chce tego. Bóg nie stosuje przymusu. Tylko zdajcie sobie, proszę, sprawę, że będziecie musieli ponieść konsekwencje. Przez Jezusa Bóg ofiarowuje wam odpuszczenie grzechów i pokój. Możecie powiedzieć: "Nie chcę! Nie potrzebuję!". I możecie sobie żyć dalej. Ale nie sądzicie, że w ostatnich pięciu minutach życia, już umierając, zdołacie pochwycić to, co Bóg ofiarowywał wam w ciągu całego waszego życia. Możecie odrzucić zaofiarowany wam w Jezusie pokój z Bogiem, ale będziecie musieli potem na wieki wieków żyć bez Boga. A to jest piekło.

Piekło, to takie miejsce, w którym człowiek ostatecznie i rzeczywiście pozbywa się Boga. Nikt was więcej nie będzie zapraszał. Nikt nie będzie was wzywał. Być może będziecie chcieli modlić się, ale już nie będziecie umieli. Być może będziecie chcieli wzywać imienia Jezus, ale nie będziecie go już pamiętali. Nie musicie przyjąć poselstwa, które wam przekazuję. Nie musicie nawrócić się do Jezusa. Ale uświadomcie sobie jasno, że tym samym wybieracie piekło. Macie pełną wolność wyboru!

"Nie chcieliście" – powiedział Jezus mieszkańcom Jerozolimy. Nie zmuszał ich. Ale to, co wybrali, było straszne.

c) ...zbyt wiele przeżyli

Trzecia grupa tych, którzy mówią: "Nie mogę wierzyć!", zaczyna to zdanie od bardzo dziwnych słów. Nigdy nie słyszałem ich od kobiety. To mówią mężczyźni: "Panie pastarze, ja przeżyłem tyle, że nie mogę już wierzyć!". Pytam ich: "Co pan właściwie przeżył? Bo ja

też nie miałem nudnego życia!". "No... – odpowiadają – tyle przeżyłem, że już w nic nie mogę wierzyć!" To zdanie jak upiór krąży w świecie mężczyzn. Wyśmiewam ich wtedy, mówiąc: "Ale wierzy pan temu, co pan przeczyta w rozkładzie jazdy? I wierzy pan w informację udzieloną przez policjanta?" "Tak." "No, to niech pan nie mówi, że pan w nic nie wierzy. Niech pan doda, że nie wierzy pan w nic poza tym, co napisane jest w rozkładzie jazdy i co panu powie policjant." Taką listę można by ciągnąć długo, jak sami rozumiecie. I mówię im: "Widzi pan, w moje mroczne życie, pełne grzechu, brudu, ciemności i pomyłek, wszedł Jezus. I poznałem wtedy, że On jest Synem Bożym, zesłanym przez Boga. I oddałem swoje życie Temu, który tyle dla mnie zrobił – Jezusowi. I gdyby pan rzeczywiście nie mógł już nikomu i w nic wierzyć, to Temu, który oddał za pana swoje życie, Temu może pan wierzyć, może pan wierzyć Jego Słowu. Wierzy pan w wiele rzeczy, a w tym jednym wypadku mówi pan 'eee... nie!' Przecież to śmieszne. Nikt jeszcze nie żałował, że Jemu zawierzył. I pan mówi, że wiele już przeżył. Przeżył pan jeszcze o wiele za mało!".

d) ...coś ich gorszy

Czwarty gatunek tych, którzy nie mogą wierzyć, jest nieco kłopotliwy. Ludzie ci rzekomo dlatego nie mogą wierzyć, że coś ich w Kościele gorszy, odpycha ich coś, o czym Kościół naucza.

Siedzi przede mną młoda studentka, która oświadcza: "Studiuję nauki przyrodnicze". "Pięknie, – mówię – a o co chodzi?" "Panie pastarze, słyszałam pana odczyt. Czuję, że pan ma coś, co ja też chętnie bym miała, ale ja nie mogę wierzyć. Wie pan, nie mogę przełknąć tych wszystkich dogmatów i założeń Kościoła. Czuję się tak, jakbym musiała połknąć wiązkę suchego siana." Roześmiałem się i odpowiedziałem: "Moja panienko! Wcale nie musi pani łykać suchego siana! Czy słyszała pani o Jezusie?". "Tak." "A co by pani powiedziała, gdybym oświadczył, że Jezus jest kłamcą?" "Nie – powiedziała – w to nie uwierzę." Więc wierzy pani, że Jezus mówił prawdę?" "Tak, w to wierzę." "No, a czy istnieje jakiś człowiek,

któremu mogłaby pani powiedzieć: wierzę, że nigdy nie skłamałeś?" "O nie, nikomu bym tego nie powiedziała!" "No i widzi, pani, pani już wierzy! Wyraziła pani Jezusowi swoje zaufanie. To jest wspaniałe. Tak się to zawsze zaczyna! On mówi prawdę. W Biblii czytamy: 'A to jest żywot wieczny, aby poznali ciebie, jedyne prawdziwego Boga i Jezusa Chrystusa, którego posłałeś.' Nie musi pani borykać się z dogmatami i instytucjami kościelnymi. Przez mroczne mgły tego świata Ktoś idzie naprzeciw pani. I coraz wyraźniej może pani rozpoznać stygmaty pozostawione przez gwoździe i ciernie korony, stygmaty, które mówią o tym, że On wziął pani winę na siebie i kocha panią tak, jak nikt pani nie kochał. Będzie pani coraz wyraźniej widziała Jezusa, aż powie pani: 'Mój Zbawiciel, mój Pan i mój Bóg.' Wierzyć, to nie znaczy połykać dogmaty jak suche siano, tylko dlatego, że pastor o nich mówi. Wierzyć, to znaczy poznać Jezusa Chrystusa."

Niektórzy powiadają, że nie mogą wierzyć, bo "pastorzy..., ci pastorzy..." I zaczyna się opowiadanie o pastorach. Jeden miał przygody z kobietami. Drugi zdefraudował pieniądze i uciekł. Wszędzie coś się z tymi pastorami działo takiego. "I dlatego nie mogę już wierzyć." A ja się czerwienię, bo przecież znam siebie. Co prawda, nigdy jeszcze nie uciekłem ze zdefraudowaną forszą, ale gdyby ludzie mnie znali, to też nie braliby mnie poważnie. Co jednak można na to odpowiedzieć? Uważajcie teraz: w Biblii nigdzie nie jest napisane: "Wierz w twojego pastora, to będziesz zbawiony". W Biblii napisane jest: "Wierz w Jezusa Chrystusa, a będziesz zbawiony". Pastor jest drogowskazem – tak, wiem, że są również inni pastorzy – ale pastor, jeżeli funkcjonuje jako tako, jest drogowskazem do Jezusa. A nie przeszkadza nam, jeżeli drogowskaz jest trochę krzywy albo ma napis trochę rozmyty deszczem. Byle bym tylko mógł zobaczyć, dokąd mnie kieruje. I nie słuchałbym żadnego pastora, który by nie był drogowskazem do Jezusa, ukrzyżowanego i zmartwychwstałego Syna Bożego. Ale jeżeli drogowskaz pokazuje mi drogę do celu, to nie złoścę się na niego, tylko idę tą drogą. Celem moim jest Jezus, źródło łaski. Czy chcecie w Dniu Sądu Ostatecznego stanąć przed

żywym Bogiem i powiedzieć: "Panie, nie przyjąłem Twego zbawienia, nie przyjąłem odpuszczenia grzechów, bo mój pastor był nic nie wart!""? Rzeczywiście chcecie? Jesteście więc jak ten chłopiec, który powiedział: "Dobrze tak mojemu ojcu, że odmroziłem sobie ręce! Dlaczego, nie kupił mi rękawiczek?".

Nie, moi przyjaciele, nieprawdę mówi ten, kto oświadcza, że nie może wierzyć!

Jezus powiedział coś nadzwyczajnego: "Jeśli kto chce pełnić wolę jego (Boga), ten pozna, czy ta nauka jest z Boga..." Pytanie polega na tym, czy chcę być posłuszny, czy chcę zacząć od posłuszeństwa w najskromniejszym zakresie poznania woli Bożej. To mi pozwoli pójść dalej.

4. CO MA ROBIĆ TEN, KTO NIE MOŻE WIERZYĆ?

Na zakończenie chcę wam powiedzieć, co trzeba robić.

a) **Proście Boga o światło!**

On jest tuż obok was. Powiedzcie Mu: "Panie, pozwól mi przyjść do wiary. Pozwól, abym ujrzał światło". On to usłyszy.

b) **Liccie się z tym, że Bóg jest obecny!**

Jezus jest blisko! Usiądźcie w samotności i powiedzcie Mu: "Panie Jezu, chcę Ci oddać moje życie". Tak zrobiłem, gdy będąc człowiekiem bezbożnym, nagle poczułem lęk przed Bogiem, a potem usłyszałem o Jezusie.

c) **Czytajcie Biblię!**

Spędzajcie kwadransy dziennie sam na sam z Jezusem. Czytajcie Biblię, słuchajcie, co Bóg ma wam do powiedzenia. Czytajcie słuchając. A potem złożcie ręce i powiedzcie: "Panie Jezu, mam Ci tyle do powiedzenia. Nie mogę sobie poradzić z moim życiem. Pomóż mi!".

d) **Szukajcie społeczności.**

Szukajcie społeczności z ludźmi, którzy również z całego serca chcą być chrześcijanami. Nie żyjcie samotnie. Na drodze do nieba nie ma

samotnych wędrowców. Szukajcie społeczności z chrześcijanami, którzy idą tą samą drogą!

JAK PORADZIMY SOBIE Z ŻYCIEM, JEŻELI WINA I ZANIEDBANIE STAŁE NAM TOWARZYSZĄ?

W Wirtembergii słyszy się niekiedy powiedzonka: "Sprawa robi się poważna!". I ja też, zaczynając mówić na zapowiadany w tytule temat, chciałbym powiedzieć: "Sprawa robi się poważna!" Tak, sprawa robi się poważna.

"Jak poradzimy sobie z życiem, jeżeli wina i zaniedbanie stałe nam towarzyszą?" Przede wszystkim muszę tu powiedzieć, że: "jeżeli" w tym zdaniu jest nie na miejscu. Wina i zaniedbanie bowiem towarzyszą nam stałe. Nie ma tu wyjątków. I dlatego jestem szczęśliwy, że mogę wam opowiedzieć o czymś nadzwyczajnym i wspaniałym, o podarunku, który uszczęśliwia i wzbogaca ludzi w niewyobrażalnej mierze. Jest to rzecz, której nie można kupić w żadnym kraju na świecie. Nawet gdyby ktoś z was był miliarderem i był gotów rzucić na stół cały swój majątek w banknotach – i tak tego nie kupi. Nie można też tego dostać przez znajomości. W dzisiejszych czasach jeżeli czegoś nie można kupić, to przeważnie dostaje się to przez znajomości. Ale tej wspaniałej rzeczy, o której chcę wam opowiedzieć, nie dostaniecie też przez żadne znajomości. Nie ma żadnej możliwości dostania tego własnym przemysłem. Można to tylko dostać w prezencie. Tą wspaniałą, cudowną, wielką rzeczą, której nie można kupić ani dostać przez znajomości, jest odpuszczenie grzechów.

Wiem, wielu z was myśli teraz z rozczarowaniem: "Odpuszczenie grzechów?". I zaraz powstaje pytanie:

1. CZY JA TEGO POTRZEBUJĘ?

Jestem przekonany, że połowa spośród was mówi sobie: "Odpuszczenie grzechów? Brak zapotrzebowania!". Pewien młody człowiek tłumaczył mi niedawno: "Żyjemy w czasach rozbudzenia zapotrzebowania za pomocą reklamy. Nasi pradziadkowie nic nie wiedzieli o gumie do żucia czy papierosach. A nas za pomocą

nieustannej reklamy w telewizji, radiu i prasie doprowadzono powoli do tego, że wydaje się nam, iż nie możemy już żyć bez – na przykład – papierosów. Rozbudza się zapotrzebowanie i już można sprzedawać." Ten młody człowiek powiedział dalej tak: "Kościół też tak postępuje. Mówi ludziom, że potrzebują przebaczenia grzechów i potem je sprzedaje. Niech pan zrozumie: my tego nie potrzebujemy, ale pan rozbudza to zapotrzebowanie po to, aby sprzedać swój towar!". Czy tak jest rzeczywiście? Gdybyście wyszli na ulicę i zatrzymali kogoś pytając: "Dzień dobry! Jak pan się nazywa?" "Meier." "Panie Meier, czy potrzebuje pan odpuszczenia grzechów?" – to pan Meier odpowie: "Bzdura! Potrzebuję dwóch tysięcy marek, a nie odpuszczenia grzechów!". Zgadza się? Czy rzeczywiście rozbudzamy zapotrzebowanie, którego wcale nie ma, aby odpowiedzieć na nie Słowami Biblii?

Mówię wam: jest to straszny błąd, okrutna pomyłka! Niczego nie potrzebujemy tak bardzo, jak przebaczenia grzechów. Kto sądzi, że tego nie potrzebuje, ten nie zna świętego, straszego Boga. Tak wiele mówi się o miłości Bożej, że nie wiemy już jak straszny – jest to słowo z Biblii – jak straszny jest Bóg! Ocknąłem się z życia w grzechu dzięki temu, że nagle pojąłem: Boga trzeba się bać! A kto mówi, że nie potrzebuje odpuszczenia grzechów, ten nie ma pojęcia o żywym Bogu, który może wtrącić ciało i duszę do piekła. Tak jest – można zostać zgubionym na wieki! Tak mówi Jezus, który musi to wiedzieć. I jeżeli cały świat mówi, że w to nie wierzy – cały świat zostanie zgubiony. Jezus wie, co jest za zasłoną i ostrzega nas usilnie przed zgubą. A my stoimy tu z balastem naszych grzechów i ośmielamy się mówić: "Nie potrzebujemy odpuszczenia grzechów. Kościół budzi zapotrzebowanie, którego w ogóle nie ma!". Bzdura! Nic nie jest nam tak potrzebne, jak odpuszczenie grzechów.

Muszę wam w tym miejscu opowiedzieć, co kiedyś przeżyłem. Miałem zebranie w hali kongresowej w pięknym mieście – w Zurychu. Było to olbrzymie zebranie, wielu ludzi stało pod ścianami. Stało tam też dwóch panów, którzy wpadli mi w oko, ponieważ prowadzili najwidoczniej bardzo wesołą rozmowę. Widać było, że

przyszli tu tylko z ciekawości. Jeden z nich miał śliczną bródkę a la Menjou, która zwróciła moją uwagę i pomyślałem sobie: "Szkoda, że sam nie mogę takiej nosić!".

Zaczynając wykład, postanowiłem tak mówić, żeby ci dwaj panowie też mnie słuchali. I rzeczywiście – przysłuchiwali się z wielkim zainteresowaniem. Ale gdy po raz pierwszy powiedziałem o odpuszczeniu grzechów, zobaczyłem jak ten z bródką uśmiecha się kpiąco i coś szeptem na ucho swemu towarzyszowi. Obaj stali daleko ode mnie, a sala – jak mówiłem – była ogromna. Nie mogłem więc usłyszeć co mówi, ale domyśliłem się po jego minie. Na pewno była to drwina w rodzaju: "Odpuszczenie grzechów! Typowe głędzenie pastorów! Wielkie nieba!". A przy tym myślał sobie: "Przecież nie jestem przestępcą! Nie potrzebuję odpuszczenia grzechów!" – Wy też tak mówicie, prawda? – nie jestem przestępcą, nie potrzebuję odpuszczenia grzechów! – Więc on mówił coś w tym rodzaju. Ogarnęła mnie wściekłość. Wiem, że wściekłość nie jest czymś właściwym przed Bogiem. Ale ogarnęła mnie. "Chwileczkę – powiedziałem. – Przerwę teraz na pół minuty i proszę, żeby w tym czasie każdy odpowiedział sobie na pytanie, które teraz stawiam: czy chcecie zrezygnować na całą wieczność z odpuszczenia grzechów, ponieważ w tej chwili tego przebaczenia nie potrzebujecie? Tak czy nie?" I przez pół minuty milczałem i milczał razem ze mną ten wielotysięczny tłum. Nagle zauważyłem, że ten pan z bródką blednie i opiera się o ścianę. Tak się facet przeraził! Z pewnością pojął nagle: "Teraz mówię, że nie jestem przestępcą! Ale gdy będę umierał, gdy sprawa stanie się poważna, to chyba będę jednak chciał odpuszczenia grzechów. Nie chciałbym wyrzec się tego na zawsze!". Wy byście też nie chcieli! A może jednak?

Jest takie powiedzonko, które słyszałem w życiu niezliczoną ilość razy: "Czynię dobrze i nie boję się nikogo!". Ale wyobraźcie sobie, że nigdy nie słyszałem tego od ludzi poniżej czterdziestki. Młody człowiek wie bardzo dobrze, że jego życie jest pełne win. Takiego szachrajstwa dopuszczamy się dopiero wtedy, gdy w brutalny sposób zabiliśmy nasze sumienie. I gdy ktoś mi mówi, że czyni dobrze i nie

boi się go, mogę jego wypowiedź skwitować stwierdzeniem: "Masz już powyżej czterdziestu lat i to, co mówisz, jest wynikiem sklerozy. Twoje sumienie zostało zabite!". Dopóki nie zabijemy w sobie sumienia, wiemy bardzo dobrze, że niczego nie potrzebujemy tak bardzo, jak odpuszczenia grzechów!

Przed kilku laty wystąpił w Essen Bill Haley, jeden z tych "nowoczesnych" muzyków, co się tak ładnie kołyszą w biodrach! W wielkiej hali zebrały się tysiące młodocianych, aby posłuchać jego i jego zespołu. Ale już podczas pierwszego utworu młodzież ta zaczęła powoli i skutecznie demolować halę. Szkody wyniosły około 60 tysięcy marek. Młody policjant, z którym potem rozmawiałem, powiedział mi: "Siedziałem z przodu i musiałem z całej siły trzymać się krzesła, żeby nie przyłączyć się do nich". Następnego dnia zobaczyłem w śródmieściu trzy typki, które wyglądały mi na to, że też tam były. Poszedłem i mówię: "Dzień dobry! Założę się, że wczoraj wieczorem byliście na występie Haley'a!" "Jasne, panie pastorze!" "O! – powiadam – To my się znamy? Jak miło! Ale powiedzcie mi, bo nie rozumiem, dlaczego właściwie zdemolowaliście tę halę?". W odpowiedzi usłyszałem: "Ach, panie pastorze, to wszystko z rozpaczy!". "Co takiego? Z rozpaczy? Dlaczego jesteście zrozpaczeni?" "Ba! Sami nie wiemy, dlaczego!"

Był taki duński teolog i filozof, Saren Kierkegaard. Opowiadał, że jako dziecko często chodził z ojcem na spacer. I ojciec zatrzymywał się niekiedy, patrzył w zadumie na syna i mówił: "Moje drogie dziecko! Ty nosisz w sobie jakąś ciężką rozpacz!". Czytając to, pomyślałem sobie, że gdy jest się od czterdziestu lat pastorem w wielkim mieście, wie się, że to właściwie dotyczy każdego.

Pytam więc was: czy znacie też to uczucie cichej rozpaczy? Powiem wam, skąd ona pochodzi. Zrobimy taką odkrywczą wyprawę w głąb naszych serc. Posłużę się tu przenośnią. Jako pastor w Zagłębiu Ruhry często zjeżdżałem do kopalni. Jest to piękna rzecz. Dostaje się robocze ubranie, hełm ochronny i potem pędzi windą w dół, na przykład na ósmy poziom. Czy głębiej jest coś jeszcze? Tak, ale tam się nie zjeżdża, bo na samym dole jest "bagno". Zbierają się tam wody

kopalniane i to miejsce górnicy nazywają bagnem. W czasie gdy mieszkałem w Essen, raz jeden zerwała się lina i winda spadła na sam dół – w to bagno. Okropność.

Kopalnia z jej poziomami i "bagnem" przywodzi mi na myśl istotę ludzką. Wiecie wszyscy, że człowiek ma też różne "poziomy". Może na przykład robić wrażenie bardzo wesołego, mimo że naprawdę jest smutny. Można się uśmiechać, a zarazem być śmiertelnie smutnym. Można udawać, że doskonale daje się sobie radę w życiu, a w głębi serca być zrozpaczoną: Potwierdzają to lekarze, filozofowie, psychologowie i psychiatry. Mówią o tym filmy i powieści. Rozpacz i lęk rosną. Pewien psychiatra powiedział mi: "Nie wyobraża pan sobie, ilu młodych ludzi przewija się przez mój gabinet!". Większość ludzi jednakże nie zadaje sobie poważnie pytania o przyczyny rozpacz i lęku, tylko stara się ich pozbyć za pomocą środków odurzających. A rozsądniej byłoby spojrzeć faktom w oczy.

Odkrycie, że głęboko w sercu ludzkim kryje się rozpacz, tylko pozornie dokonane zostało dopiero w naszych czasach. O dziwo, już przed trzema tysiącami lat stwierdzenie to znalazło się w Biblii: "Serce drży we mnie, opadł mnie lęk przed śmiercią, bojaźń i drzenie nachodzi mnie i groza mnie ogarnia". I, widzicie, Biblia mówi nam również, dlaczego tak jest. Wymienia różne powody: że od czasu upadku w grzech jesteśmy daleko od Boga, że od tego czasu żyjemy poza naszym właściwym żywiołem – bo naszym żywiołem jest Bóg! – że w gruncie rzeczy boimy się sądu żywego Boga nad naszym życiem. Najważniejszym jednak powodem głębokiej rozpacz naszego serca jest nasza wina przed Bogiem. Jest to największy problem naszego życia, problem, z którym sami nie możemy się uporać i wiemy o tym. Dlatego w sercu naszym kryje się głęboka rozpacz.

Czy potrzebujemy odpuszczenia grzechów? Oczywiście! Niczego nie potrzebujemy bardziej niż przebaczenia naszych grzechów!

Czym jest grzech? Grzech jest odejściem od Boga. Urodziliśmy się już grzesznikami. Pozwólcie, że posłużę się tu przykładem: dziecko urodzone podczas wojny w Anglii z pewnością nie miało nic przeciw Niemcom, ale przez fakt urodzenia się w Anglii należało do wrogięgo

obożu. Tak samo my z natury rzeczy urodziliśmy się w obozie wrogim Bogu: na tym świecie. I z natury rzeczy jesteśmy oddzieleni od Boga. A budując mur z naszych grzechów, izolujemy się od Niego coraz bardziej. Każde przekroczenie Jego przykazań jest kolejnym, wmurowanym przez nas kamieniem. Tak groźną rzeczywistością jest grzech.

Muszę wam w tym miejscu opowiedzieć, w jaki sposób po raz pierwszy zrozumiałem, że grzech jest groźną rzeczywistością i że żadnej popełnionej winy nie można naprawić. Miałem cudownego ojca, z którym łączyły mnie wspaniałe stosunki. Pewnego dnia siedziałem w swojej izdebce na poddaszu naszego domu i pisałem pracę egzaminacyjną, gdy nagle słyszę z dołu głos ojca: "Wilhelm!" – tak mam na imię. Wychyliłem się przez okno i pytam: "Co się dzieje? Pali się?". A ojciec mówi: "Muszę pójść do miasta. Nie poszedłbyś ze mną? We dwóch zawsze przyjemniej". "Ach, tato, – zawołałem – właśnie siedzę nad ważnym miejscem mojej pracy! Nie bardzo chciałbym teraz wychodzić!" "No to pójde sam" – powiedział ojciec. W dwa tygodnie później umarł. Był u nas zwyczaj czuwania w domu przy zwłokach. I my, synowie, czuwaliśmy kolejno. Była noc, cisza, wszystko wokół spało. Siedziałem sam obok otwartej trumny. I nagle przypomniało mi się, jak dwa tygodnie temu ojciec mój prosił mnie, bym towarzyszył mu do miasta. A ja mu odmówiłem. Patrzyłem teraz na niego i mówiłem: "Ach, ojcze! Poproś mnie jeszcze raz. Jeżeli chcesz, pójde z tobą i sto kilometrów!". Ale on milczał. I nagle zrozumiałem jasno, że moja odmowa, ten drobny przejaw braku serca, jest nieubłaganą rzeczywistością, której nie zdołam unieważnić przez całą wieczność.

Jak sądzicie, ile win istnieje w życiu każdego z nas, ile zaniedbań? I jak poradzimy sobie z życiem, jeżeli wina i zaniedbania stale nam będą towarzyszyły? Bez odpuszczenia grzechów nie możemy sobie poradzić z naszym życiem!

A jak będzie w godzinie śmierci? Czy chcecie wszystkie wasze grzechy wziąć ze sobą do wieczności? Ja często sobie wyobrażam, jak to będzie. Jestem już dość blisko tej godziny. Być może będę trzymał

jeszcze rękę kogoś kochanego. Ale przyjdzie chwila, gdy będę musiał ją puścić. I okręt mojego życia odpłynie w wielkie milczenie, przed Oblicze Boga. Wierzcie mi, że kiedyś przed Nim staniecie. Będziecie stali przed Nim z całym balastem win i zaniedbań. Przed żywym i świętym Bogiem! Jakież przerażenie was ogarnie, gdy odkryjecie, że wzięliście ze sobą wszystkie swoje winy i zaniedbania!

Czy potrzebujemy odpuszczenia grzechów? Tak, jest nam potrzebne bardziej niż chleb powszedni!

2. CZY I GDZIE...?

Czy istnieje możliwość wymazania przeszłości? A jeżeli tak, to gdzie należy się w tej sprawie udać?

Opowiedziałem przed chwilą historię o moim ojcu i o tym, że nie mogłem naprawić już nigdy mojej winy. Rozumiecie? W gruncie rzeczy nigdy nie możemy naprawić naszej winy. Jej skutki pozostają, wymagalność zostanie przed Bogiem. Był człowiek imieniem Judasz, który zdradził swego Zbawiciela za 30 srebrników. I potem nagle pojął, że źle zrobił. Poszedł do ludzi, którym Go wydał, rzucił im pieniądze i powiedział: "Zabierzcie z powrotem wasze pieniądze. Zgrzeszyłem i chcę to naprawić". Ale oni wzruszyli ramionami i powiedzieli: "Cóż nam do tego? Ty patrz swego!" Możecie się zwrócić do kogo tylko chcecie, każdy wam, odpowie: "To twoja sprawa!".

Czy mimo to możliwe jest wymazanie i zlikwidowanie winy i zaniedbania? Gdzie? Gdzie można otrzymać odpuszczenie grzechów?

Moi przyjaciele, na to pytanie odpowiada nam cały chór mężów w Biblii, a jest to chór radosny. Od początku do końca Biblii, od Starego do Nowego Testamentu przewija się ten motyw: odpuszczenie grzechów istnieje!

Gdzie? Pójdźcie ze mną za bramy Jerozolimy, na wzgórze zwane Golgotą. Nie zwrócimy uwagi na tłum, ani na rzymskich żołnierzy, ani na dwóch złoczyńców po prawej i lewej stronie. Będziemy patrzyli na Tego, który wisi na krzyżu pośrodku. Kto to jest? Nie jest nikim z nas.

On przeciwstawił się kiedyś tłumowi, mówiąc: "Któż z was może mi dowieść grzechu?". Nikt nie mógł doszukać się ani jednego. Któż z nas mógłby zaryzykować takie pytanie! Potem rzymscy sędziowie i żydowska Rada Najwyższa uwikłali Go w proces. Ale i oni nic przeciw Niemu nie znaleźli. On nie jest jednym z nas. On nie potrzebuje odpuszczenia grzechów. I On wisi tam, na krzyżu? Kim On jest? Nie przyszedł ze świata ludzi, ale z innego wymiaru, ze świata Boga. Mówię o Jezusie, Synu Bożym. I On wisi na krzyżu? Jak to? Dlaczego?

Moi przyjaciele! Bóg jest sprawiedliwy i musi karać za grzech. Nasz grzech zrzucił na Syna, na własnego Syna, i ukarał Jezusa, "który został wydany za grzechy nasze i wzbudzony z martwych dla usprawiedliwienia naszego". To jest wielka Nowina biblijna: Sąd Boży nad Jezusem, abyśmy z Bogiem pokój mieli. To jest odpuszczenie grzechów!

Gdzie mogę pozbyć się swoich win? Gdzie mogę otrzymać pokój z Bogiem? Pod krzyżem Jezusa: "Zbawcy krew obmywa brud win (...) krwią odkupił nas Boży Syn". "Krew Jezusa Chrystusa, Syna Jego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu". Obyśmy to pojęli!

Ukazała się interesująca książka Amerykanina, Williama L. Huna. Był on tym duchownym, który trzynaście razy odwiedzał w więzieniu mordercę milionów ludzi, Adolfa Eichmanna, prowadził z nim długie rozmowy, wysłuchał jego ostatnich słów, odprowadził go na szubienicę i był przy wysypaniu jego prochów do Morza Śródziemnego. Treść rozmów z Eichmannem zatytułował: "Walka o duszę". Na początku Hun pisze: chodziło mi o uratowanie tego straszliwego grzesznika, by nie poszedł do piekła. I wstrząsające jest, jak ten człowiek, który z za biurka zamordował miliony ludzi i sprowadził na świat okrutne cierpienia, do ostatniej chwili mówił: nie potrzebuję nikogo, kto by za mnie umierał. Nie potrzebuję i nie chcę odpuszczenia grzechów.

Czy chcecie pójść w ślady Eichmanna i tak umrzeć? Nie? To z całego serca nawróćcie się do Jezusa, który Jeden jedyny na świecie może nam przebaczyć nasze grzechy, bo za to umarł i zapłacił za nie.

Gdy Hun rozmawiał z Eichmannem, niemal ze zgrozą ofiarowywał mu odpuszczenie grzechów przez krew Jezusa. Czy nawet ktoś taki może otrzymać przebaczenie grzechów? Tak! Tak! "Krew Jezusa Chrystusa, Syna Jego (Boga) oczyszcza nas od wszelkiego grzechu." Ale muszę te grzechy wyznać Jemu, muszę spojrzeć na krzyż i pojąć, że "Zbawcy krew obmywa brud win (...) krwią odkupił nas Boży Syn". Jezus umarł za mnie.

Biblia posługuje się coraz to innymi przykładami, aby wytłumaczyć, jak to jest możliwe, że ukrzyżowany i zmartwychwstały Pan – mam nadzieję, że wiecie: Jezus nie pozostał w państwie zmarłych, tylko trzeciego dnia zmartwychwstał i żyje! – odpuszcza grzechy.

I tak na przykład, jest tam obraz poręczyciela. Poręczyciel zobowiązuje się do zastąpienia mnie, gdybym okazał się niewypłacalny. Ktoś musi zapłacić. W życiu jest tak zawsze: ktoś musi zapłacić! A każdy grzech w naszym życiu stanowi zobowiązanie przed Bogiem. Biblia mówi: "Zapłatą za grzech jest śmierć". Jako zapłaty za grzechy Bóg żąda naszej śmierci. Ale przychodzi Jezus i idzie na śmierć, abyśmy my mieli życie. On jest naszym Poręczycielem przed Bogiem. I teraz: albo zapłacicie za wasze grzechy w piekle, albo przyjdziecie do Jezusa i powiecie: "Panie Jezu, pragnę zrozumieć, że Ty zapłaciłeś za mnie!". Ernst Gottlieb Woltersdorf wyznaje w jednej z pieśni: "Nie wiem nic ponadto, że przyszedł Poręczyciel, który wziął na siebie mój dług. Zapłacił com był winien, do ostatniego grosza spłacił mój dług".

Albo taka historia o wykupieniu. Pewien człowiek dostał się we władzę handlarzy niewolnikami. Sam nie był w stanie się wykupić. Ale przez targ niewolnikami przechodził możny pan. Zobaczył tego niewolnika, wzruszył się i pyta: "Ile on kosztuje? Wykupię go i dam mu wolność". W którym momencie niewolnik odzyskał wolność? Z chwilą wpłacenia całej sumy, do ostatniego grosza. Pan Jezus zapłacił za was na Golgocie całą sumę, do ostatniego grosza! I teraz możecie pojąć to i powiedzieć: "Panie Jezu, składam przed Tobą mój grzech i wierzę, że jest on zgładzony". Jezus wykupuje! Jezus uwalnia niewolników grzechu! Filip Friedrich Hiller tak śpiewa: "W Nim

miłości zdroj prawdziwy znajdzie człowiek nieszczęśliwy, grzechy zgładzi tylko On. W Nim pociecha, ukojenie, w Nim ratunek i zbawienie.."

Coraz to nowe obrazy przynosi nam Biblia. Na przykład pojednanie. Nawet najmniej oświecony poganin wie, że potrzebuje pojednania. Dlatego wszystkie religie mają całą armię kapłanów, którzy składają ofiary pojednania. Bóg jednakże uznaje tylko jedną jedyną ofiarę pojednania: "Oto Baranek Boży, który gładzi grzech świata". "Wielu kapłanów składało wiele ofiar. Ale Jezus sam jest kapłanem, który jedna z Bogiem i sam jest Ofiarą jedną nas z Bogiem. Tylko On może nas z Nim pojednać. Albert Knapp tak mówi w jednej z pieśni: "Niech wiecznie stoi mi przed oczami cichy Baranek na krzyżu, błądy i krwią zalany, na pastwę cierpienia wydany (...), bo za mnie umarł, by się wykonało to, co dokonać się miało".

Jeszcze innym obrazem jest oczyszczanie. Jeden chrześcijanin pisze do innych chrześcijan: "Krew Jezusa Chrystusa (...) oczyszcza nas od wszelkiego grzechu". Znać historię o synu marnotrawnym, który ugrzązł w najgorszym błocie i brudzie wśród świń. Wielu tak ugrzązło i można ich tylko żałować. Ale syn marnotrawny ocknął się i tak jak stał, pobiegł do domu, w ramiona ojca. Nie umył się przedtem, nie kupił sobie nowego ubrania i nie sprawił sobie nowych butów. Przyszedł tak, jak stał. A ojciec oczyścił go i ubrał w nowe szaty. Wielu ludzi sądzi, że muszą stać się lepsi, i dopiero potem mogą zostać chrześcijanami. Jest to fatalna pomyłka! Możemy przyjść do Jezusa tacy, jacy jesteśmy – brudni, splugawieni. Jakże brudne i plugawe jest nasze życie! Przyjdźcie do Jezusa tacy, jacy jesteście, On was oczyści. On wszystko nowym czyni! "Krew Jezusa Chrystusa (...) oczyszcza nas od wszelkiego grzechu." Takie świadectwo składa apostoł Jan. I my również możemy złożyć takie świadectwo!

Nie mogę wymienić wam tu wszystkiego, co o tym mówi Biblia. Sądzę jednak, że sami zaczniecie czytać Biblię i będziecie coraz lepiej poznawali wspaniałe zwiastowanie o odpuszczeniu grzechów.

Jak poradzimy sobie z życiem, jeżeli wina i zaniedbanie stale nam towarzyszą? Wcale sobie nie poradzimy. Ale dam sobie radę, jeżeli

znajdę Jezusa i dzięki Niemu doświadczę przebaczenia grzechów! Wtedy ustanie dręczący mnie lęk i zniknie głęboka rozpacz. Oddanie się Jezusowi nie jest czymś strasznym. Oznacza wyjście z mroków lęku na słoneczne światło łaski Bożej. I tego życzę wam z całego serca.

A więc: Czy potrzebujemy odpuszczenia grzechów? Tak! Gdzie możemy je otrzymać? U Jezusa, ukrzyżowanego i zmartwychwstałego Zbawiciela!

3. JAK MOGĘ DOJŚĆ DO TEGO?

Być może ktoś teraz pomyśli: – taką mam nadzieję! – "To jest wspaniałe! Mieć odpuszczenie grzechów, to musi być cudowne! Ale jak ja mogę dojąć do tego? Nie informuje o tym żadna gazeta, nie pisze się o tym we współczesnych powieściach, i w filmach też nic na ten temat nie ma. Jak mogę dojąć do tego?". Ba, jak ja mogę do tego, dojąć?

Jeden człowiek drugiemu niewiele może tu pomóc. Sądę, że najlepiej będzie, jeżeli jeszcze dzisiaj usiądziecie gdzieś w ciszy i wezwiecie Jezusa. On zmartwychwstał! On żyje! Ludzie wierzący określani są w Biblii jako ci, "którzy wzywają imienia Pana naszego, Jezusa Chrystusa". Więc po prostu wezwijcie Jezusa, tak jak wzywa się kogoś telefonicznie. Bo, zrozumcie, macie z Nim bezpośrednie połączenie. Tyle tylko, że od dawna nie używane. Macie bezpośrednie połączenie z Jezusem, a być może jeszcze nigdy nie rozmawialiście z Nim! Jaka szkoda! Ale teraz połączcie się z Nim, nie musicie nawet wykręcać numeru. Powiedzcie tylko: "Panie Jezu!" – i On już się zgłasza, już jest! Tak jest, gdy modlimy się.

A co Mu powiecie? Wszystko, co leży wam na sercu. Powiedzcie: "Panie Jezu! Żyję w nieczystym związku z innym człowiekiem. Nie mogę sam wyplątać się z tego, ale wiem, że to jest grzech. Panie Jezu, pomóż mi!" – "Panie Jezu! Nie jestem w porządku wobec urzędu skarbowego, od lat składam nieprawdziwe zeznania. Nie wiem, co mam zrobić, bo jeżeli zaniecham tych krętaństw, to zbankrutuję. Panie

Jezu, pomóż mi!" – "Panie Jezu! zdradzam moją żonę. Nie wiem, jak z tym skończyć. Panie Jezu, pomóż mi!" Zrozumcie, że wszystko, czego nie powiedzielibyście żadnemu człowiekowi, możecie powierzyć Jezusowi, który słucha, gdy tylko połączycie się z Nim. Wyrzucicie z siebie wszystko. To jest wyzwolenie. Wyznajcie Mu wszystkie wasze winy.

Spytajcie Go: "Panie Jezu, pastor Busch powiedział, że Twoja krew oczyszcza i już wszystko jest dobrze. Czy to prawda?". Spytajcie Go. Jeszcze dziś. Zaczniście używać tego połączenia, które tak dawno nie było używane, rozmawiajcie z Jezusem. Przyłączcie się do ludzi, "którzy wzywają imienia Pana naszego, Jezusa Chrystusa".

"Ba! – powiadacie – Ja Mu powiem wszystko, ale On mi nie powie nic!" Ależ tak! Uważajcie, podam wam, jakiego połączenia On używa, aby do was mówić. Weźcie Nowy Testament. Stary Testament przeczytajcie później, na początek jest zbyt trudny. I Nowy Testament zaczniście czytać od Ewangelii św. Jana, a potem weźcie Ewangelię św. Łukasza. Czytajcie tak, jak czytacie wiadomości w waszej gazecie. I wtedy zauważycie, że On do was mówi. Od wszystkich innych ksiązek Biblia odróżnia się tym, że przez nią mówi żywy Pan.

Ktoś mi powiedział: "Chcąc usłyszeć Boga, idę do lasu". Odpowiedziałem mu na to: "Co za bzdura! Będąc w lesie, słyszę szum drzew, śpiew ptasząt i szmer strumyka. Jest to bardzo piękne. Ale las nie powie mi, czy moje grzechy zostały mi odpuszczone, ani w jaki sposób mogę otrzymać nowe serce, ani czy Bóg jest mi miłościw. To wszystko Bóg mówi tylko poprzez Biblię".

Przeznaczcie codziennie kwadrans czasu dla Jezusa. Kwadrans ciszy. Wezwijcie Go. Powiedzcie Mu wszystko. Na przykład, że macie dzisiaj do wykonania bardzo trudne zadanie, z którym sami sobie nie poradzicie. Mówcie Mu o wszystkim. A potem otwórzcie Nowy Testament i przeczytajcie pół rozdziału: "Panie Jezu, teraz Ty mów do mnie!" I nagle znajdziecie Słowo Boże dla was. Zauważycie, że On to powiedział do was. Wtedy podkreślcie ten tekst i dobrze będzie, jeśli zapiszecie obok datę.

Jako młody człowiek przyszedłem kiedyś do pewnego domu. Na

fortepianie leżała Biblia. Otworzyłem ją i stwierdziłem, że wiele miejsc zakreślono czerwonym i zielonym ołówkiem, a obok zanotowano daty. Była to duża rodzina, więc spytałem do kogo ta Biblia należy. "Do naszej Emmi" – usłyszałem w odpowiedzi. Przyjrzałem się Emmi – i ożeniłem się z nią. Chciałem mieć właśnie taką dziewczynę, która rozumie, że Jezus mówi do nas przez Biblię, że używa tylko tego, nie żadnego innego połączenia.

Niedobrze mi się robi, kiedy ludzie wiodą spory na temat Biblii. Mówią: "Biblię też napisali ludzie!" – i inne głupstwa w tym rodzaju. To mnie nudzi!

Podczas pierwszej wojny światowej pełniłem przez pewien czas funkcję telefonisty. Nie było jeszcze wtedy radia bez drutu. Mieliśmy małe aparaty, do których dochodziło mnóstwo drutów. Pewnego dnia musiałem dotrzeć do położonego na wzgórzu punktu obserwacyjnego i podciągnąć tam przewód. Leżałem właśnie w trawie i próbowałem uzyskać połączenie z baterią, gdy na stoku ukazał się lekko ranny żołnierz piechoty. "Człowieku, padnij! – krzyknąłem. – Widać nas, zaraz obłożą nas ogniem!" Rzucił się na ziemię i podczołgał do mnie, mówiąc: "Postrzelili mnie w sam raz, będę mógł wrócić do domu! Ale słuchaj, jaki ty masz stary aparat!" "Tak, – odmruknąłem – mam stary model." "I zaciski siedzą luźno!" "Tak, zaciski siedzą luźno!" – odpowiedziałem. "A tam kawałek odpad!" Tu już pękłem ze złości: "Zamknij się! Nie mam czasu wysłuchiwać twojej krytyki! Muszę uważać, czy nie ma połączenia!" I to samo jest u mnie z Biblią. Chcę usłyszeć głos Jezusa, a ludzie przychodzą i mówią: "Przecież Biblię napisali ludzie!". Mogę im tylko odpowiedzieć: "Zamknijcie się! Ja tu słucham głosu Jezusa!".

Nie dajcie się więc ogłupić. On mówi przez Biblię!

I szukajcie społeczności z ludźmi, którzy chcą iść tą samą drogą.

Widzicie, kiedy mówię takie rzeczy, zawsze ktoś mi odpowiada: "Ach, to jest dobre dla babci. W kościele siedzą przecież sami starzy ludzie!". I cieszę się wtedy, że przeszło trzydzieści lat byłem duszpasterzem młodzieży i poznałem wielu młodych ludzi, którzy mogliby wam potwierdzić to, co mówiłem, że istnieje odpuszczenie grzechów,

że z Jezusem można rozmawiać, że On odpowiada.

Szukajcie więc społeczności z ludźmi, którzy też tego doświadczyli. Można znaleźć takich, którzy również chcą iść z Jezusem drogą do nieba.

Jezus stoi przed wami i mówi: "Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni...", – bo wina i zaniedbanie towarzyszą wam stale "...a ja wam dam ukojenie." I On może wam ofiarować odpuszczenie grzechów!

JAK PORADZIMY SOBIE Z ŻYCIEM, JEŻELI INNI DZIAŁAJĄ NAM NA NERWY?

W tym tytule słowo "jeżeli" również niezupełnie pasuje, bo przecież nie ulega wątpliwości, że "inni" działają nam na nerwy. Każdemu z was ktoś działa na nerwy, prawda? Sądzę, że mógłbym zaryzykować taką propozycję: niech się zgłosi do mnie ten, komu nikt nie działa na nerwy! Nie ma chętnych? No, bo tu nie ma żadnego "jeżeli...", działanie sobie na nerwy, to rzecz normalna. Czy mam rację? O tak, okropnie działamy sobie nawzajem na nerwy. Co prawda, nie wszyscy. Na przykład moja żona nie działa mi na nerwy. Ale wielu innych ludzi – tak!

Wam też wielu ludzi działa na nerwy? Oczywiście! I tak bez przerwy powstają jakieś tarcia. W rodzinach, między sąsiadami, w pracy. Nawet w chrześcijańskich kręgach działa się sobie bez ustanku na nerwy. Świat pełen jest tego szelestu powstającego przez tarcie nerwów o nerwy. Wielu ludzi mogłoby powiedzieć, że dobrze by się im żyło, gdyby nie ta lub owa osoba. Niejeden człowiek jest dla drugiego nie tylko solą w oku, ale cierniem w życiu. I na ten temat trzeba wreszcie porozmawiać: jak mamy poradzić sobie z życiem, kiedy inni działają nam na nerwy?

Moi drodzy, całe to zagadnienie muszę przenieść na szerszą płaszczyznę. Zdarza się, że ktoś pokasłuje, a potem okazuje się, że ma chore płuca. Nie pomogą mu więc pastylki przeciw kaszlowi. Potrzebna jest wnikliwa diagnoza i właściwe leczenie. Rozumiecie tę przenośnię? To, że działamy sobie na nerwy, jest tylko objawem sygnalizującym chorobę całej ludzkości. Działanie na nerwy ma głębsze przyczyny niż ta, że jakaś sąsiadka jest niesympatyczna. I dlatego muszę całą sprawę ująć szerzej. Chcę wam pokazać, że działanie sobie na nerwy jest oznaką choroby ludzkości.

1. ŚWIAT, W JAKIM ŻYJEMY

Widzicie, mój światopogląd pochodzi z Biblii. I uważam, że jest to

jedyny możliwy do przyjęcia światopogląd. Wszystkie inne rozlatują się po dwudziestu latach.

A Biblia mówi, że, gdy Bóg stworzył świat, świat był doskonały. Ani Adam nie działał na nerwy Ewie, ani ona jemu. Panowała pełna harmonia, bo żywy Bóg też nie działał na nerwy ludziom, ani oni Jemu. Rozumiecie: Bóg z ludźmi i ludzie ze sobą nawzajem tworzyli całość. Nie było żadnej rysy.

Ale dalej czytamy w Biblii, że na początku historii ludzkości zdarzyła się katastrofa. W Biblii nazywa się to upadkiem w grzech. Człowiek został wystawiony na pokusę. Nie wolno mu było jeść owoców z jednego drzewa. Bóg mu zabronił. I to drzewo nęciło człowieka. Mógł wybierać i wybrał zło – nieposłuszeństwo. Zjadł zakazany owoc. I w tej samej chwili nastąpił rozłam.

Bóg i ludzie rozeszli się. Bóg wygnał człowieka z raju i przed bramą do ogrodu postawił cheruby. Od tego czasu jesteśmy oddzieleni od Boga. Od tego czasu my działamy na nerwy Bogu, a Bóg nam. Spróbujcie tylko rozmawiać z ludźmi o Bogu. Od razu zaczynają się denerwować: "Przestań wreszcie o tym mówić! Nie wiadomo, czy Bóg w ogóle istnieje". Między Bogiem a nami zieje przerażająca przepaść.

I w tej samej chwili nastąpił rozłam między ludźmi. Widać to wyraźnie na przykładzie dzieci Adama i Ewy. Już wtedy ludzie zaczęli działać sobie na nerwy.

Było dwóch braci. Zdarza się, że właśnie rodzeństwo strasznie sobie działa na nerwy. Ci dwaj bracia, Kain i Abel, bardzo się od siebie różnili. Trudno byłoby właściwie powiedzieć, na czym to polegało. Pewnego dnia Kain, który był rolnikiem, wyszedł z motyką w pole. Nadszedł Abel. Mogę sobie wyobrazić, że w Kainie wszystko się zagotowało: "Niech ten cichy chytrus wynosi się stąd! Nie mogę na niego patrzeć!". Ale Abel podszedł bliżej i zaczął coś mówić. Wtedy Kain uniósł motykę i rąbnął w tę zniechęconą twarz. Kiedy się opamiętał – jego brat leżał przed nim martwy. Moi drodzy, jesteśmy cywilizowanymi ludźmi i dlatego nie zabijamy się nawzajem motykami. Chociaż, gdy przeczytacie gazetę, to zauważycie, że to się

też zdarza. A jeżeli wracam pamięcią do wielkich procesów morderców z Trzeciej Rzeszy, to myślę, że w gruncie rzeczy powodowało nimi to samo, co Kainem: nienawiść do ludzi. Z tego powodu zabija się setki tysięcy. A więc, Kain opamiętał się, gdy brat leżał przed nim martwy. Trochę się przestraszył. Ale potem wykopał płytki grób, włożył do niego zwłoki i przysypał ziemią. Rozejrzał się naokoło, zobaczył, że nikogo nie ma i pomyślał: "Nikt nic nie widział!". My, ludzie, zawsze sądzimy, że to, czego nikt nie widział, można uznać za niebyłe. Czy macie pojęcie, jakie ponure historie ciągną za sobą ludzie? Kain odchodzi. Zrobiło mu się nieswojo. Nagle słyszy głos: "Kain!". Któż to woła? – myśli Kain i przechodzi go zimny dreszcz. "Kain!" – słyszy znowu i już wie, kto go woła: żywy Bóg! Był przy tym! Bóg był cichym widzem! "Kain, gdzie jest brat twój Abel?" Kain próbuje się bronić i mówi: "Nie wiem. Czyż jestem stróżem brata mego?". Ale Bóg rzekł: "Cóżżeś to uczynił? Głos krwi brata twego woła do mnie z ziemi!".

Ta historia wyraźnie pokazuje, co stało się od chwili upadku w grzech. Ludzie odeszli od siebie nawzajem i działają sobie na nerwy. I ludzie odeszli od Boga. Bóg działał Kainowi na nerwy, tak jak działa niejednemu z was. Nie możemy jednak pozbyć się naszych bliźnich i nie możemy pozbyć się Boga. Taki jest świat, w jakim żyjemy.

2. MOWA NIC NIE POMAGA

Tak, mowa nie pomaga. Nie pomaga na przykład mówienie o "kochanym Panu Bogu". Między nami a Bogiem jest mur, jest przepaść. Kiedy podczas wojny palił się mój dom i pół miasta, przybiegła do mnie jakaś kobieta, krzycząc: "Jak pański Bóg może do tego dopuścić!". Odpowiedziałem: "Mój Bóg może. Niewykluczone, że Bóg jest pani wrogiem". Od czasu upadku w grzech ludzie odeszli od Boga i od siebie nawzajem. I to jest podstawowa przyczyna, dla której ludzie działają nam na nerwy. Jeżeli jakaś sąsiadka działa wam na nerwy, to dlatego, że jesteśmy ludźmi upadłymi i oddzielonymi od Boga. A na to nie pomoże żadna perswazja.

Byłem niedawno na granicy szwajcarskiej. W budce strażniczej wisiał taki miły afisz, na którym było napisane: "Razem żyje się lepiej". Pomyślałem sobie: oczywiście! Ale plakat mi nie pomoże, jeżeli ktoś działa mi na nerwy. Widziałem też afisz z napisem: "Bądźcie dla siebie mili!". U Amerykanów wszędzie wiszą wywieszki: "Keep smiling!". "Uśmiechnij się!" Ale w gruncie rzeczy nic to nie pomaga. Czy mam rację? Takie namawianie nie pomaga!

Pamiętam jeszcze, jak, będąc młodym teologiem, bywałem u pewnej rodziny, w której wszyscy ze wszystkimi byli skłóceni. Cała gromada krewnych mieszkała w tej samej miejscowości i kłócili się bez przerwy. Uniesiony zapałem zebrałem ich wszystkich pewnego wieczoru, aby namówić rodzinę do pogodzenia się. Mówiłem bardzo dobitnie, i o godzinie dwudziestej trzeciej nastąpiło pojednanie i ogólne ściskanie rąk. Jakże byłem szczęśliwy! Powiedziałem sobie: "Będzie jeszcze z ciebie dobry pastor, tak ładnie dziś zacząłeś!". Poszedłem do domu bardzo wesoły i spokojnie zasnąłem. Następnego dnia spotkałem jedną z młodych kobiet, które brały udział w zebraniu, i mówię: "Jak pięknie było wczoraj wieczorem, prawda?". "Pięknie? – odpowiedziała – to pan nie wie, co się potem stało?" Zbladłem i pytam: "A co takiego się stało?". Okazało się, że w drodze powrotnej znowu zaczęli się kłócić i to o wiele ostrzej! Śmiejecie się? Mnie nie było do śmiechu. Zrozumiałem nagle, jak poważną sprawą był upadek w grzech, oddzielenie od Boga i bliźniego. Zrozumiałem, że nawet najbardziej przekonujące namawianie do zgody nic nie może pomóc.

Ludzie piszą do mnie nieraz: "Kochany panie pastorze, mam krewnych tam a tam, którzy żyją w niezgodzie. Czy nie mógłby pan wpaść do nich?". Odmawiam, bo wiem, że żadne namowy nie pomogą. Sami pomyślcie o ludziach, którzy wam działają na nerwy. Długo mógłbym was namawiać do zmiany nastawienia do nich! I to jest okropne. Oczywiście, gdy się patrzy z boku, takie sprawy wyglądają śmiesznie. Parę przykładów:

Przychodzę z wizytą do pewnej rodziny. Siedzę, a tu wchodzi siedemnastoletni syn – wysoki niezgrabiasz w dżinsach, z długimi

włosami. Widzę, że ojca ponosi: "Niech pan spojrzysz na niego! – mówi – niech pan tylko na niego popatrzysz!". Ojciec jest przykładnym i poprawnym urzędnikiem. Możecie sobie wyobrazić, jak go skręca, gdy widzi takiego syna. Albo taka chrześcijańska matka, bardzo kochana, ale odrobinę konserwatywna. Córka maluje sobie usta. Matka mówi: "Jak ona działa mi na nerwy!". I córka mówi: "Jak ona działa mi na nerwy!". Czyż nie wszędzie jest tak samo? Rozwiedziony mężczyzna, któremu tłumaczyłem, że to grzech, odpowiedział: "Panie pastorate, niech pan przestanie! Mnie działa na nerwy już samo to, że żona siorbie jedząc zupę!".

Uważacie, że to śmieszne? Ja uważam, że to straszne! Mówicie: "To są drobiazgi". Drobiazgi? To świadczy o tym, że świat przez upadek w grzech wypadł z dłoni Bożej i że żyjemy w upadłym świecie – jako ludzie bez Boga!

Działanie na nerwy może też przyjmować bardzo drastyczne formy. Znam w Essen młodą dziewczynę, która jest sparaliżowana. Mieszka w małym domu, a jej sąsiadem jest złośliwy chłopak, który chętnie ogląda telewizję i od pół do ósmej do jedenastej wieczorem nastawia aparat na pełny regulator. Biedna chora dziewczyna słyszy wszystko przez cienką ścianę. Wieczór w wieczór. Prosiła tego człowieka, by ściszył aparat, ale on zaczął nastawiać go jeszcze głośniej. Wyobraźcie sobie: tak dzieje się co wieczór, rok po roku. Tak podli jesteśmy, tak nikczemni! Wyobraźcie sobie, jak ten człowiek działa na nerwy tej biednej dziewczynie? A jemu oczywiście ona działa na nerwy. Cicha wojna przez ścianę, niewypowiedziane utrudniające życie.

Jako zupełnie młody pastor miałem 150 konfirmantów. Odwiedzałem ich kolejno. Mieszkali w domach czynszowych. Podczas wizyty u pierwszego konfirmanta natrafiłem na awanturę w domu, podczas wizyty u drugiego natrafiłem na awanturę w domu, podczas wizyty u trzeciego natrafiłem na awanturę w domu. Pewnego dnia na lekcji dla konfirmantów poprosiłem, aby wstali ci, u których nie ma awantur w domu. Wstało trzech czy czterech. "Aj! – powiedziałem – u wszystkich innych w domu są awantury?" "Tak."

Spytałem więc tych, u których nie bywa awantur, dlaczego nikt się u nich nie kłóci. Odpowiedzieli mi: "Mieszkamy sami!".

Taka jest sytuacja. I my mamy radzić sobie, cieszyć się, pracować, kiedy cały czas mamy rozstrojone nerwy. Jeżeli coś spadnie nam na nogę, to to boli. Ale jeżeli inni bez ustanku działają nam na nerwy, to to jest nie do zniesienia.

3. BÓG INTERWENIUJE!

Gdybym nie miał do powiedzenia nic ponadto, co powiedziałem dotychczas, to w ogóle nie zaczynał bym mówić. Jednakże mam dla was niesłychaną, wstrząsającą Nowinę: w całe to nieszczęsne działanie sobie na nerwy, w to wzajemne dogryzanie sobie wkracza w swym niepojętym miłosierdziu żywy Bóg. Bóg patrzy na ten pożałowania godny świat i Bóg interweniuje.

A robi to cudownie. To jest to zapierające dech w piersi zwiastowanie biblijne. On burzy mur istniejący między Nim a nami i przychodzi do nas w Synu swoim, Jezusie! Jeżeli nasze czasy usuwają Ewangelię o Jezusie na bok jako nieważną, to nie świadczy to na niekorzyść Ewangelii, tylko jest świadectwem głupoty naszych czasów, ponieważ Jezus jest jedyną naszą szansą. Cóż większego mogłoby się jeszcze zdarzyć ponad to, że Bóg burzy stojący między Nim a nami mur i daje nam swego Syna – nam, oddzielonym od Boga i w niezgodzie z Nim, nam, z naszym działaniem – sobie – na – nerwy, z naszą kłótnością? A z chwilą, gdy przychodzi Syn Boży, Pan Jezus, cała sytuacja ulega zmianie.

a) Jezus ofiarowuje pokój z Bogiem.

Chciałbym wam teraz pokazać, że w Jezusie wszystko jest zespolone. Jezus nie poróżnił się z Bogiem. Jezus jest Synem Bożym. Ktoś mi niedawno powiedział: "Jezus był takim samym człowiekiem, jak my. Co najwyżej był założycielem religii". Odpowiedziałem: "Najwidoczniej myśli pan o kimś innym niż ja. Ja mówię o Tym, który powiedział: Wy jesteście z niskości, ja zaś z wysokości". Tak, o Tym

mówię, o Synu żywego Boga, który jest cudem, który jest zupełnie inny niż my, który jest wtargnięciem Boga w ten zgubiony i przeklęty świat. On nie poróżnił się z Bogiem. I żaden człowiek nie działał Mu na nerwy. Nawet Judasz, który Go zdradził. Człowiek, który mnie zdradził, działa mi na nerwy. A Jezus kochał Judasza do końca. Musicie spojrzeć raz na Jezusa, jako na Człowieka, któremu nikt nie działał na nerwy.

W przeddzień śmierci Jezusa, wieczorem, gdy jadł ze swymi uczniami wieczerzę, zdarzyła się taka cudowna historia. Wiecie, że w krajach Wschodu nie siedzi się na krzesłach – wokół stołu stoją szerokie ławy, na których się na wpół leży. Nie bardzo mogę sobie wyobrazić, jak można w takiej pozycji jeść, a tym bardziej posługiwać się nożem i widelcem. No, ale oni tak jadal. Przed posiłkiem zdejmowało się sandały, bo zwyczaj kazał umyć najpierw nogi z ulicznego kurzu. Tego dnia uczniowie zrobili z Jezusem długą drogę i teraz byli zmęczeni. Zrzucili więc sandały i wyciągnęli się na ławach. I ja sobie wyobrażam, że Piotr spojrział na Jana i dał mu oczami znak: "Ktoś musi przynieść wodę i gąbkę i umyć wszystkim nogi. Zrób to, bo jesteś najmłodszy. Działasz mi na nerwy, Janie, że stale się wykręcasz ad roboty!". A Jan wzruszył ramionami i pomyślał: "Denerwuje mnie ten Piotr tym stałym wytykaniem, że jestem najmłodszy. Jakub też mógłby raz przynieść wodę do mycia nóg!". A Jakub pomyślał: "Dlaczego ja? Ja należę da ulubionych uczniów. Niech Mateusz też raz się ruszy!". I wszyscy w tym momencie działają sobie na nerwy, bo każdy chce wykręcić się od tego, co musi być zrobione. I wtedy Jezus wstał ze swego miejsca. Uczniowie przestraszyli się: "Przecież nie robi tego!". Owszem, On to zrobił. Przepasał się prześcieradłem, przyniósł miskę z wodą i umył wszystkim nogi. Judaszowi. I Piotrowi. I Janowi. I Jakubowi. I Mateuszowi. O mało nie powiedziałem: i mnie! Taki jest Jezus, w którym wszystko zastało zespolone: w Nim jest Bóg, a On kocha ludzi.

Muszę pokazać wam Jezusa, jak wisi na krzyżu – tak widzę Go najchętniej. Chciałbym poprowadzić was teraz na wzgórze przed

bramami Jerozolimy, gdzie huczy zebrany tłum, gdzie stoją rzymscy żołnierze z włóczniami, gdzie wysoko wznoszą się trzy krzyże. Na środkowym wisi Ten, o którym myślę. Chciałbym, byście spojrzeli na Tego w cierniowej koronie. Moi przyjaciele – On umiera za was, aby wyrwać was z tej nędzy, w której wszyscy działają sobie nawzajem na nerwy, w której człowiek sam sobie działa na nerwy. On umiera, by wyrwać was z tego i pojednać z Bogiem.

Jeżeli chcecie, aby wszystko co stoi między Bogiem a wami zostało usunięte, to przyjdźcie pod krzyż Jezusa. Ten Jezus, który za was umarł i dla was zmartwychwstał, jest Bożą ofertą pokoju. Odrzućcie precz wszystkie wątpliwości – a macie ich mnóstwo! – i rzućcie się Jezusowi w ramiona. Złóżcie u Jego stóp wszystkie grzechy i winy. Będziecie mogli to zrobić, jeśli spojrzycie na krzyż Jezusa. Wyciągnijcie do Niego ręce i powiedzcie: "Do Ciebie chcę należeć!". To jest pierwszy krok do pokoju z Bogiem. W Liście do Rzymian Paweł pisze: "Usprawiedliwieni tedy z wiary, pokój mamy z Bogiem przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa". Jezus jest Bożą propozycją pokoju. Przyjmijcie ją! Najstraszniejsze jest to, że tylu ludzi słyszy o tym i nigdy nie dochodzi do stanu pokoju z Bogiem. To jest przerażające! Dlatego walczę o wasze serca, walczę o wasze dusze, abyście przyjęli tę Bożą ofertę pokoju!

Rozmawiałem z kilkoma dziennikarzami. Zgadało się o tym, co dziś jeszcze można brać poważnie. Powiedziałem im: "Będę szczery: po przeżyciu dwóch wojen i Trzeciej Rzeszy nie wiem, co mógłbym brać poważnie. Frazesów różnych światopoglądowych proroków i polityków nie biorę poważnie ani ja, ani oni sami. Nie wiem, co na niebie i na ziemi mógłbym brać poważnie poza Bożą propozycją pokoju w Jezusie". To bowiem jest jedyne, co jeszcze można brać poważnie. Ale to się opłaci. A jeżeli młodzi i starzy ludzie tu zebrani powiedzą mi teraz: "Nic już nie możemy brać poważnie!", to odpowiem: "Wobec tego Ewangelia jest właśnie dla was, bo w Jezusie Bóg potraktował was niezmiernie poważnie. A teraz wy potraktujcie poważnie Jego propozycję pokoju w Jezusie!".

Widzicie, Jezus pogodził nas z Bogiem. Waszym nieszczęściem jest

to, że będąc, być może, orientacji "chrześcijańskiej" i płacąc składki kościelne – nie macie pokoju z Bogiem. Powiadam więc: Jezus umarł za was i wziął na siebie waszą winę, abyście teraz przyszli, padli przed Nim na kolana i powiedzieli: "Panie, przychodzi do Ciebie zgubiony grzesznik. Wierzę w Ciebie. Przyjmuję Ciebie do mojego serca i życia". Tym samym przejdziecie do życia, do pokoju z Bogiem!

b) Jezus ofiarowuje pokój z bliźnim

Z chwilą, gdy Jezus wkracza w nasze życie, mamy nie tylko pokój z Bogiem, ale również pokój z bliźnim. Ustaje działanie sobie na nerwy.

A teraz posłuchajcie uważnie: jest między wami wielu niesłuchanie chrześcijańskich ludzi, ale dopóki inni ludzie działają im na nerwy, to coś się tu nie zgadza. Czy to jest jasne? Powiecie: "Nie zna pan mojej sąsiadki! Głupia gęś!". A ja wam mówię: "Dopóki jej nie polubicie, dopóty coś jest z wami nie w porządku. Z chwilą bowiem przyjęcia Jezusa do naszego życia kończą się historie ze słabymi nerwami, kiedy to stale ktoś nam na nie działa!".

Widzicie, Jezus wkraczając w nasze życie darowuje nam pokój z Bogiem i pokój z tym, który nam działa na nerwy. A skoro macie wokół siebie ludzi działających wam na nerwy, to musicie mieć Jezusa! Inaczej nic wam nie pomoże. Wasze nerwy zedrą się ze szczytem. Jezus musi ofiarować wam pokój z Bogiem i zamieszkać w was – wtedy zapanuje pokój również między wami a innymi ludźmi.

Mam bardzo bliskiego przyjaciela, który ma miłe mieszkanie, ale właściciel domu, w którym je wynajmuje, jest okropnie chciwy na pieniądze. Niedawno przyjaciel mój otrzymał od niego bezwstydną list: musi pan zrobić w mieszkaniu to i to, musi pan zapłacić za to i owo itd. "Bardzo się rozłościłem – opowiadał mi mój przyjaciel – i już siadłem do biurka, aby mu odpisać. I nagle stanął mi przed oczami obraz Jezusa, który umarł za mnie i umarł też za mojego właściciela domu. I już nie mogłem napisać do niego ostro. Zamiast tego poszedłem do niego i powiedziałem: 'Proszę pana, czy my naprawdę musimy tak do siebie mówić? Obaj jesteśmy rozumnymi ludźmi. Czy nie moglibyśmy porozmawiać rozsądnie? Ja naprawdę pana lubię i

pan nie musi przemawiać do mnie w ten sposób!". Mój przyjaciel pokonał w taki sposób tego człowieka; do awantury nie doszło i dziś obaj żyją w zupełnie przyjaznych stosunkach – uciążliwy właściciel domu i uczeń Jezusa.

Czy mogę opowiedzieć wam jeszcze jedną piękną historię? Uważajcie dobrze! Znam pewnego francuskiego ewangelistę. Nazywa się Dapozzo. Siedział w obozie koncentracyjnym i ma uszkodzoną, bezwładną rękę. Opowiedział mi historię, której nigdy nie zapomnę: "Pewnego dnia w porze obiadowej zostałem wezwany do komendanta obozu. Wprowadzono mnie do pokoju, w którym stał stół nakryty dla jednej osoby. Komendant zasiadł do stołu i zaczął jeść. Wnoszono jedno fantastyczne danie po drugim. Byłem straszliwie głodny. Stałem na baczność i patrzyłem. Komendant zajadał z apetytem, a ja umierałem z głodu. Ale to jeszcze nic. Na zakończenie kazał sobie przynieść kawę, postawił na stole małą paczkę, rozwinął ją i powiedział: 'Niech pan popatrzy, pana żona przysłała to panu z Paryża. Ciasto!' Wiedziałem, jaki tam panuje głód i jak moja żona musiała oszczędzać, aby upiec te placuszki. Komendant zaczął jeść. Poprosiłem, by dał mi chociaż jeden. Nie chciałem go zjeść, chciałem mieć na pamiątkę, mieć coś od mojej żony. Ale komendant roześmiał się i zjadł wszystko".

Była to chwila, w której działanie na nerwy przeradza się w nienawiść! Ale Dapozzo ciągnął dalej swoją historię: "W tym momencie jasno pojąłem, co to znaczy: 'miłość Boża rozlana jest w sercach naszych...' Bo ja mogłem kochać tego człowieka. Pomyślałem sobie: ty biedaku! Nie masz nikogo, kto by cię kochał. Zewsząd otacza cię nienawiść. Jakże szczęśliwy jestem ja, będąc dzieckiem Bożym!". Zrozumcie, w takiej chwili mógł odczuwać współczucie i litość! Ten człowiek nie działał mu już na nerwy. I ten człowiek, ten komendant obozu, odczuł to – zerwał się i wyszedł z pokoju! A po wojnie Dapozzo go odwiedził. Tamten zbladł, gdy go zobaczył: "Pan chce się zemścić!". "Tak, – odpowiedział Dapozzo – chcę się zemścić. Chcę wypić z panem filiżankę kawy. Przywiozłem tort i chcę, byśmy razem usiedli, zjedli i wypili". I były komendant obozu, głęboko

wstrząśnięty, pojął, że człowiek, którym rządzi Jezus, nie musi nienawidzić, że jest wolny, nikt nie działa mu na nerwy, ponieważ w jego sercu rozlana jest miłość Boża.

Od wielu lat jestem pastorem w wielkim mieście i tak często słyszę narzekania: "Jestem taki samotny. Nie ma nikogo, kto ofiarowałby mi miłość!". Nie mogę tego słuchać! Chciałbym wtedy spytać: "A ty? Gdzie jest człowiek, który wstanie i oświadczy: oto ten, który obdarzył mnie miłością!". Wiecie, uważam, że to świadczy o strasznej głupocie (przepraszam za to wyrażenie, ale pochodzę z Zagłębia Ruhry, a my tam mówimy ordynarnie!), że ludzie stale jęczą: "nie ma na świecie miłości", a sami są jak sople lodu!

Kiedy doszedłem do tego przekonania, postanowiłem ćwiczyć miłość bliźniego. I wtedy zauważyłem, że my zupełnie nie umiemy kochać. Nasze serce jest niewypowiedzianie samolubne. Oczywiście, są ludzie, których możemy kochać, bo są dla nas sympatyczni. Ale ci, którzy działają nam na nerwy?

Pamiętam taką rozmowę z robotnikiem-komunistą, który mi opowiedział, że brał udział w demonstracji na rzecz kulisów w Szanghaju. "To wspaniale! – powiedziałem – "A jak tam pański sąsiad?" "No, jak go spotkam – wyrwało mu się – to trzepnę go w łeb!" Rozumiecie: kochać dalekiego bliźniego jest dosyć łatwo, ale z bliskim bliźnim sprawa się komplikuje.

Uważam, że świat stanie się inny, będzie mógł się zmienić dopiero wtedy, gdy będę mógł kochać mojego bliźniego: i tego uciążliwego, i tego niebezpiecznego, i tego, który życzy mi źle. Samemu nie można tego osiągnąć. Jest to dar Boży. Moi przyjaciele, ja wiem, że to nie jest łatwe. Sam tego doświadczyłem, że gdy Jezus przybywa do naszego życia i ofiarowuje nam pokój z Bogiem, a następnie chce nam ofiarować pokój z bliźnim, to przeżywamy bardzo bolesne chwile. Dlaczego? Bo Jezus ukazuje nam, że my sami działamy innym na nerwy jeszcze bardziej niż oni nam, że innym jest bardzo trudno nas znosić. Odkąd znam Jezusa, ukazuje mi On, jak wielka jest moja wina wobec innych ludzi. A wtedy coraz ważniejsza staje się dla nas świadomość, że Zbawiciel nasz umarł za nas na krzyżu i przyniósł

nam odpuszczenie grzechów!

Zrozumcie, że z Jezusem przyszła na świat największa ze wszystkich rewolucja. Ale Jezusa trzeba uznać i przyjąć. I dlatego proszę was, abyście nie tylko słuchali o Jezusie, ale żebyście sami Go przyjęli. Pragnąłbym, abyście mogli powiedzieć: "Znalazłem Jezusa i On mnie znalazł!"

WSZYSTKO MUSI SIĘ ZMIENIĆ – ALE JAK TO ZROBIĆ?

W czasach mojej młodości z zapalem czytywało się nowele zapomnianego już dziś pisarza, Maxa Eyth'a. Był on z zawodu inżynierem i materiał do swojej literackiej twórczości czerpał przede wszystkim ze świata techniki, który wtedy właśnie zaczynał się rozwijać. Jedną z nowel nosiła tytuł "Tragizm zawodu". Są to dzieje młodego inżyniera, który pewnego dnia osobliwym zbiegiem okoliczności otrzymuje wielkie zamówienie. Ma zbudować most na rzece, która w wyznaczonym miejscu jest już szersza niż odnoga morska. Zadanie jest bardzo trudne, bo most musi wytrzymać napór przyływu i odpływu. A na początku ery techniki nie dysponowano jeszcze takimi środkami, jak dziś. Więc ten młody człowiek zabiera się do budowania tego ogromnego mostu, kończy go, bierze udział w uroczystym poświęceniu i otwarciu. Gra muzyka, powiewają flagi, kręcą się dziennikarze, ważne osobistości odbywają pierwszą jazdę pociągiem przez most. Młody inżynier znajduje się w centrum zainteresowania, wszystkie gazety o nim piszą. Stał się sławnym człowiekiem. Otwiera w Londynie ogromne biuro projektów, żeni się z bogatą panną. Ma wszystko, czego tylko można pragnąć. W życiu jego istnieje jednak mroczna tajemnica, o której wie tylko żona. Otóż każdej jesieni inżynier znika z Londynu i jedzie do swojego mostu. W burzliwe deszczowe noce stoi owinięty w płaszcz nieopodał mostu i drży z trwogi. Całym sobą czuje nacisk wichru i burzy na przęsła swojego mostu. Stoi i wciąż na nowo sprawdza swoje obliczenia, chcąc się upewnić, że zbudował wystarczająco mocne przęsła, że wytrzymają one szalejącą wichurę. Gdy okres burz mija, inżynier pojawia się znowu w Londynie. Znowu jest wielkim człowiekiem odgrywającym znaczącą rolę w życiu miasta. Nikt nie może po nim poznać, że trawi go ustawiczny niepokój: "Czy most jest zbudowany prawidłowo? Czy jest wystarczająco mocny?". Te dręczące pytania stanowią mroczną tajemnicę jego życia. Max Eyth wstrząsająco opisuje scenę kolejnej warty inżyniera przy moście. Szaleje burza.

Inżynier z łękiem obserwuje most i widzi wjeżdżający pociąg. Wagony przesuwiają się powoli, teraz widać już tylne światła ostatniego wagonu. I nagle te światła znikają! Młody człowiek wie, że pociąg runął w huczące fale. Burza przełamała most na pół.

Pierwszy raz czytałem tę historię, będąc młodym chłopcem i przyszła mi wtedy do głowy taka myśl: czyż nie jest to historia każdego z nas? Wszyscy budujemy swoje życie, budujemy most życia. I niekiedy, podczas bezsennej nocy albo w momencie gdy coś nas głęboko poruszyło stawiamy sobie pełne troski pytanie: "Czy dobrze zbudowałem most mojego życia? Czy wytrzyma wszystkie burze życiowe?". I wtedy uświadamiamy sobie jasno, że nie wszystko jest tak, jak być powinno! Most naszego życia niezupełnie jest w porządku! I to jest ta pierwsza rzecz, na którą chcę zwrócić waszą uwagę:

1. NIE WSZYSTKO JEST TAK, JAK BYĆ POWINNO

Będąc pastorem w dużym mieście, zaczębiałem wielu ludzi, pytając: "Niech mi pan powie, czy w pańskim życiu wszystko jest tak, jak być powinno?". Nigdy jeszcze nie spotkałem człowieka, który by w końcu nie przyznał, że nie, że wiele powinno się zmienić. Oczywiście, nie mogę powiedzieć, w którym miejscu wasz most ma słabe punkty. Ale każdy z was sam wie, że wiele powinno by się zmienić.

Od czasu do czasu postanawiamy: muszę się poprawić. Zmienię w swoim życiu to czy tamto! Ale powiedzcie sami: czy naprawdę sądzicie, że człowiek może się zmienić? Nie. Nie może tego dokonać sam, własnymi siłami. Biblia mówi z brutalną szczerością: "Czy Murzyn może odmienić swoją skórę a pantera swoje pręgi? A czy wy, przyzwyczajeni do złego, możecie dobrze czynić?".

Na świecie pełno jest umoralniających przemówień i moralnych postanowień, ale żaden człowiek nie może sam siebie zmienić. Jest to surowe stwierdzenie. Obracając się wśród ludzi, często jestem głęboko wstrząśnięty czując, że oni wiedzą dobrze, jak dalece ich życie jest nie

w porządku. Pytają: "Co mamy zrobić? Nie możemy się zmienić!". I tak to jest: człowiek bezwstydnym nie może sam sobie sprawić czystego serca. Kłamca nie może stać się prawdomówny. Samolub nie stanie się nagle bezinteresowny; może wprawdzie udawać miłość, ale pozostaje w gruncie rzeczy egoistą. A człowiek nieuczciwy nie może własnym wysiłkiem przestać nim być. Ba, gdybym was znał i mógł wam powiedzieć, w którym miejscu most waszego życia grozi zawaleniem! Bóg może wam to pokazać!

Prawda ukazywana przez Biblię jest wstrząsająca. Ja przecież nie roztaczam przed wami moich własnych myśli. Ja zwiastuję wam to, co mówi Słowo Boże. A Biblia, widzicie, przynosi niesłychaną, dech w piersiach zapierającą Nowinę: żywy Bóg posłał na świat Tego, który może odmienić nas i nasze życie. Ten Ktoś, to Jego Syn, Pan Jezus!

2. WSZYSTKO MOŻE SIĘ ZMIENIĆ!

Moi przyjaciele, nie wiem, czy jest to winą Kościoła, że ludzie uważają chrześcijaństwo za nudną sprawę. Moim zdaniem Nowina, że Bóg posłał na świat swego Syna, Jezusa, jako jedyną szansę dla nas, jest Nowiną zapierającą dech w piersi. Ten Jezus wyrzekł niesłychane słowa: "Oto wszystko nowym czynię"! On, i tylko On, może zmienić ludzi.

Widziałem pijaków, którzy zostali wyzwoleni z nałogu. Widziałem stare kobiety zadreęczające wszystkich wokoło w swoim egoizmie, jak dostały przemiany i zaczęły dostrzegać innych ludzi. Widziałem mężczyzn uwolnionych z pęt rozpusty. Jezus zmienia! Jezus przychodzi i wszystko staje się nowe. To nie są bajki. Mógłbym wam przytoczyć niezliczone przykłady.

I dlatego my, którzy wiemy, że mosty naszego życia nie są w porządku, dlatego my potrzebujemy tego Zbawiciela. Potrzebujemy Pana Jezusa – nie CHRZEŚCIJAŃSTWA, ale CHRYSYUSA. Zrozumcie, że nie potrzebujemy religii, dogmatów, kościelnego życia, ale potrzebujemy żywego Zbawiciela. I On jest! Możecie wezwać Go dziś jeszcze i powiedzieć Mu całą nędzę i smutek waszego życia. To

jest wielkie zwiastowanie, które wam przekazuję.

Pozwólcie, że posłużę się tu przenośnią, abyście lepiej zrozumieli, co mam na myśli. Niedawno spędziłem tydzień w Monachium. Do najpiękniejszych miejsc w tym mieście należy ogromny park w samym centrum, noszący miano Ogrodu Angielskiego. Mój hotel znajdował się w pobliżu, więc codziennie rano chodziłem tam na spacer. Przy wejściu był drewniany mostek nad strumykiem. Po lewej stronie woda gwałtownie przelewała się przez małą tamę. I w tym właśnie miejscu zobaczyłem któregoś dnia tańczący na wodzie kawał drewna. Miałem trochę czasu, więc stanąłem i obserwowałem, jak kręci się wciąż w kółko na tym samym miejscu. Chwilami zdawało się, że już porwie go prąd i uniesie w dalszą drogę, ale wir okazywał się silniejszy. Następnego dnia mój kawał drewna kręcił się nadal, robiąc wrażenie, że usiłuje dostać się we władzę żywo płynącego prądu. Zawsze jednak zwyciężał wir. Możecie to sobie wyobrazić? Prąd płynął tuż obok, ale drewno kręciło się wciąż w tym samym miejscu!

I takie jest życie większości ludzi. Poruszają się oni wciąż w tym samym kręgu starych grzechów, nieszczęść, bezbożności, mając w sercu wciąż tę samą rozpacz. Wciąż ten sam kierat codzienności, wciąż ten sam wir. A obok płynie żywy prąd pochodzący od Syna Bożego, Jezusa. Ten Jezus umarł za nas na Krzyżu. Czy nie sądzicie, że to coś znaczy (nawet jeśli tego jeszcze nie rozumiecie), gdy Bóg każe swemu Synowi umrzeć tak okrutną śmiercią? Popatrzcie na Niego oczyma duszy: On tam zbawił również mnie! To musi przecież coś znaczyć! Nie możecie przejść obok tego obojętnie! Musicie postarać się zrozumieć! A później, trzeciego dnia, Bóg wskrzesił Jezusa z martwych. Od Jezusa płynie prąd, który może nas zbawić. Ale my jesteśmy jak ten kawał drewna w Ogrodzie Angielskim. Kręcimy się wciąż w kółko. Stojąc nad strumykiem, myślałem sobie, że wystarczyłoby jedno pchnięcie, aby drewno dostało się w nurt wody. Nie chciałem jednak wpaść do wody, a z mostku było za daleko.

My jednak nie jesteśmy kawałkami drewna. Możemy i musimy

sami zrobić ten jeden krok, który nas przeniesie z wiecznie kręcącego nami wiru w ożywczy prąd zbawienia płynący od Jezusa. A gdy to zrobimy, przekonamy się, że przeciągnął nas sam Bóg. Są ludzie, którzy wyraźnie czują, jak Bóg ciągnie ich do siebie. Czują to w sercu swoim.

3. TAK ALBO TAK

Chciałbym wam wytłumaczyć to na przykładzie paru biblijnych historii.

Apostoł Paweł przebywał w więzieniu w Cezarei, gdzie znajdowała się siedziba rzymskiego namiestnika. Po Feliksie nastął nowy namiestnik, imieniem Festus. Pewnego dnia przybył do niego w odwiedziny król Agryppa z żoną Bereniką. Słyszeli oni o interesującym więźniu imieniem Paweł i wyrazili życzenie przesłuchania go. Zaaranżowano więc wielki proces pokazowy interesującego więźnia Pawła. Przybyli czołowi przedstawiciele wojska, politycy i wyżsi urzędnicy. Festus, Agryppa i Berenika zajęli miejsca na specjalnie wybudowanych tronach. Rzymscy legionści zaciągnęli wartę. Jednym słowem, wielka pompa. Wprowadzono oskarżonego, Pawła. I nagle, już po paru minutach, sceneria ulega zmianie. Nagle nie Paweł jest oskarżonym, ale wszyscy pozostali. Paweł wygłasza pełną mocy mowę ewangelizacyjną, w której opowiada słuchaczom, kim jest Jezus. Nie mówił wtedy wiele o ich grzechach, ale odmalował przed ich oczami obraz Jezusa, który powiedział: "Jeśli kto pragnie, niech przyjdzie do mnie i pije". Wy, którzy jesteście tak spragnieni i głodni życia, wy, których sumienia są obciążone, wy tęskniący do Boga i bojący się śmierci – słuchajcie: Jezus wyciąga ręce i mówi: "Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni..." Tak mówił Paweł, opisując im wielkość Jezusa, którego spotkał osobiście. A gdy skończył mówić, namiestnik Festus oświadczył: wspaniale przemawiasz, Pawle, ale uważam, że to co mówisz, jest nieco szalone. Ponosi cię temperament! Festus nic więc nie zrozumiał. Biblia mówi o niektórych ludziach, że

"serce ich jest nie czułe jak tłuszcz". Serca obrosłe sadłem. Tak bywa i wtedy wszystko po nich spływa bez śladu. Być może wśród was są też ludzie, których serca są jak tłuszcz... Takim człowiekiem był pan Festus. Jednakże król Agryppa był wstrząśnięty. I powiedział, coś, co mnie strasznie poruszyło: "Niedługo, a przekonasz mnie, bym został chrześcijaninem". "Niedługo..." – powiedział i poszedł sobie. I wszystko zostało po staremu. Jak ten kawał drewna w Ogrodzie Angielskim, tak my kręcimy się wciąż po tym samym torze, gnani przez wir w kółko, nie mogąc wyrwać się z dawnego życia – aż do śmierci, prosto do piekła. Zawsze ta sama stara piosenka o grzechu i samousprawiedliwianiu. Czy u was też wszystko pozostaje po staremu? W takim razie Jezus daremnie umarł za was. I na nic się nie przydało, że dla was zmartwychwstał. Nie macie w takim razie odpuszczenia grzechów, nie jesteście wolni, nie macie pokoju z Bogiem. A brakuje tylko tego jednego kroku: "Niedługo, a przekonasz mnie, bym został chrześcijaninem!". Wstrząsające: ludzie, którzy są chrześcijanami, ale nie są dziećmi Bożymi, ludzie, którzy są chrześcijanami, a kroczą ku zgubie, ludzie, którzy są chrześcijanami, a nie ma w nich pokoju.

A teraz chcę wam pokazać coś wręcz przeciwnego. Apostoł Paweł przybył pewnego dnia do europejskiego miasta, Filippi. Było tam wszystko – lokale rozrywkowe, teatr i inne urządzenia, które posiada każde przyzwoite miasto. A ponieważ do wyposażenia przyzwoitego miasta należy również więzienie, więc więzienie było tam także. Zarządzał nim były oficer wojsk rzymskich, który być może otrzymał to spokojne stanowisko z powodu jakichś starych ran odniesionych w służbie. Pewnego dnia ten stróż więzienny, jak nazywa go Biblia, widzi, że przyprawdzają mu dwóch nowych więźniów. Nigdy jeszcze takich nie widział: to apostoł Paweł i jego towarzysz – Sylas. Głosili oni Ewangelię w mieście, co bardzo poruszyło lud, więc pretorzy kazali ich wychłostać i wsadzić do więzienia. Paweł i Sylas zostali przekazani stróżowi więziennemu, który dostał rozkaz, aby ich do jutra dobrze zamknął i dobrze pilnował. A stróż więzienny, na wskroś żołnierska natura, powiedział: "Dobrze zamknąć, dobrze pilnować!"

Tak jest!". I wtrącił ich do wewnętrznego lochu, gdzie po ścianach spływała woda. A na wszelki wypadek nogi ich zakął w dyby. Jeżeli spytacie mnie, jaką religię wyznawał ten człowiek, to odpowiem, że taką, jaką wyznaje większość z was. Wierzył w jakiegoś pana boga, a może w kilku panów bogów. W Rzymie istniało wiele religii, których nikt nie brał poważnie. Jak u nas! Wyobrażacie więc sobie tego stróża więziennego? A jednak przydarzyło mu się coś wielce osobliwego. Takich rzeczy nie można sobie wytłumaczyć całkowicie.

Około północy Paweł zaczął śpiewać pieśń wielbiącą Jezusa. Sądzę, że potrzebował czasu aż do północy, by uporać się z myślą, że został tak niesprawiedliwie potraktowany, bity i zakuty w dyby. Mężczyzna nie może tak łatwo pogodzić się z takimi rzeczami. A potem nagle pomyślał: "Jezus, Syn Boży, odkupił mnie swoją krwią – jestem dzieckiem Bożym. Mam pokój z Bogiem. Tu również jestem w Jego ręku!". I zaczął śpiewać pieśń pochwalną, a Sylas mu wtórował. Coś wspaniałego! Wszyscy więźniowie przysłuchiwali się im. Czegoś podobnego nigdy jeszcze nie słyszano w tym więzieniu. Moi drodzy, siedziałem w gestapowskich więzieniach. Rozlegały się tam przekleństwa, jęki rozpaczcy i wrzaski strażników. Kiedy zacząłem raz śpiewać pieśń pochwalną, natychmiast zabroniono mi tego. Najwidoczniej wiedziano już, że niebezpiecznie jest pozwolić, by człowiek śpiewał na chwałę Bogu. Ale w czasach pierwszych apostołów jeszcze tego nie wiedziano, więc Paweł i Sylas spokojnie śpiewali. Musiało to zdziwić więziennego stróża. Zaczął nasłuchiwać i usłyszał, że śpiewają o Bogu – tu, w więzieniu? W tym lochu, gdzie człowiekowi odechciewa się wszystkiego? W końcu stróż poszedł spać. I wtedy nagle powstało wielkie trzęsienie ziemi. Bóg je zesłał. Wszystkie drzwi więzienia stanęły otworem, a z więźniów spadły więzy. Stróż wyskoczył z łóżka, narzucił coś na siebie i wybiegł. Widząc otwarte drzwi, pewny był, że wszyscy więźniowie uciekli. "Jestem skończony!" – i pomyślał i chciał się zabić. I nagle usłyszał z dołu głos Pawła: "Nie czyn sobie nic złego, bo jesteśmy tu wszyscy!". Biblia nie mówi o wewnętrznych przeżyciach ludzi. Ale możemy sobie wyobrazić, że ten stróż nagle pojął: "Żywy Bóg istnieje i przyznaje

się do swoich sług! Żywy Bóg istnieje, a ja bluźniłem przeciw niemu całą moją istotą! Żywy Bóg nie może zgodzić się na mnie. Żywy Bóg zna wszystkie moje grzechy, cały brud mojego życia! Żywy Bóg istnieje, a więc jestem zgubiony!". Wbiegł stróż do celi Pawła i zawołał: "Panowie, co mam czynić, abym był zbawiony?". Poczul w tym momencie, że żyje w wirze, który kręci nim w kółko i nie daje odejść od starego życia. I stróż zadaje najważniejsze dla niego w tej chwili pytanie: co mam zrobić, aby porwał mnie zbawczy prąd? Nie chcę być podobny do tego drewna w Ogrodzie Angielskim. W odpowiedzi na to pytanie wygłosilibyśmy być może wielkie kazanie, wykład na temat moralności. A może powiedzielibyśmy: "Najpierw nas stąd wypuść!". Jednakże Paweł powiedział tylko jedno zdanie: "Uwierz w Pana Jezusa, a będziesz zbawiony, ty i twój dom". Musisz mieć Jezusa! Stróż więzienny niewiele o Nim wiedział. Słyszał tylko, że ten Jezus ratuje przed gniewem Bożym, przed piekłem, przed dawnym życiem. Rozumiecie – w tym momencie ten człowiek został popchnięty, wypchnięty ze swojego dawnego życia w prąd niosący zbawienie. Stał się własnością Jezusa. Dalej czytamy jeszcze cudowne opowiadanie o tym, jak wyprowadził Pawła z więzienia, jak Paweł opowiedział mu o Jezusie i jak jeszcze tej nocy stróż został ochrzczony, by stać się własnością Jezusa. Historia ta kończy się słowami: "...i weselił się wraz z całym swoim domem, że uwierzył w Boga". Teraz unosił go strumień życia! Teraz otrzymał pokój z Bogiem!

Jeden człowiek powiedział: "Niedługo, a przekonasz mnie..." Drugi dał się porwać przez strumień unoszący do zbawienia. A jak będzie z wami?

4. POTRAKTUJCIE JEZUSA POWAŻNIE!

"Wszystko musi się zmienić – ale jak to zrobić?" – Przede wszystkim ważne jest, abyście poznali Jezusa!

Było to zaraz po wojnie. Zatelefonował do mnie dyrektor gimnazjum: "Panie pastorate, mam u siebie 15 młodych ludzi, którzy zrobili maturę wojenną, ale ona nie jest ważna. Ci chłopcy muszą się

jeszcze przez pół roku uczyć. Są między nimi porucznicy lotnictwa, artylerii i inne takie typy. Oczywiście wściekają się, że mają raz jeszcze usiąść w szkolnych ławkach. Czy zechce pan udzielać im lekcji religii?". Cóż – zgodziłem się. Z trwogą i drzeniem poszedłem na pierwszą lekcję. Siedzieli tam w swoich niekompletnych mundurach, posiwiali w bojach wojownicy. "Dzień dobry! – powiedziałem – Będę was uczył religii." Jeszcze nie skończyłem mówić, a już jeden z nich wstał i wybuchnął: "Jak Bóg może dopuścić do takiej straszliwej wojny?!". I zaraz włączył się drugi: "Gdzież jest miłość Boża? Bóg milczał, gdy miliony Żydów szły do gazu!". I tak dalej. Ostrzeliwali mnie pytaniami ze wszystkich stron. Wreszcie podniosłem rękę i powiedziałem: "Chwileczkę! Błędzicie, jak niewidomy we mgle. Takie mówienie o Bogu nie ma sensu! Przecież Bóg jest całkowicie nam nieznanym i ukrytym. Objawił się tylko raz – w Jezusie. I zanim pójdziemy dalej, musimy najpierw dowiedzieć się Kim jest Jezus. Moi panowie, zanim zaczniemy dyskutować, musicie przyjąć do wiadomości Objawienie Boże. Proszę, żeby każdy z was przyniósł na następną lekcję swoją Biblię."

Zaczęliśmy czytać: "Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię". Przeczytaliśmy o upadku w grzech i o Sądzie Bożym nad upadłą ludzkością. Na wszystkich zrobiło głębokie wrażenie, że człowiek musi przekonać się, jak wiele cierpień sprowadza odejście od Boga. Doświadczają tego narody, doświadczają jednostki. A potem czytaliśmy o Jezusie. Jednym tchem przeczytaliśmy o Jego śmierci i zmartwychwstaniu. Nigdy nie zapomnę tej chwili, w której jeden z młodych ludzi czytał, a inni słuchali – nagle zapanowała zupełna cisza. Wielkie czyny Boże w Jezusie zaparły nam dech w piersiach. Młodzi ludzie byli tak poruszeni, że odeszła im ochota do prowadzenia głupich dyskusji. Nazywali siebie chrześcijanami, a nie mieli pojęcia o żywym Bogu, który przyszedł do nas w Jezusie i wszystko dla nas uczynił.

Potraktujcie poważnie tego Jezusa i Jego zaproszenie!

Jezus powiedział kiedyś taką historię. Pewien król wyprawił swemu synowi wesele. Wysłał sługi, aby zaprosili gości, mówiąc:

"Wszystko jest gotowe, pójdźcie na wesele". Ale goście zaczęli się wymawiać. Jeden powiedział, że chętnie by przyszedł, ale właśnie otworzył sklep i musi go doglądać. – Rozumiecie, ludzie mówią: pan jest pastorem, to co innego. Kupiec nie może tak postępować! – Drugi gość podziękował za zaproszenie, ale nie mógł przyjść, bo właśnie się ożenił – w miodowym miesiącu nie można zajmować się postronnymi sprawami. I tak nikt nie przyszedł. Próbowiałem wyobrazić sobie, jak ci ludzie żyli potem, myśląc, że powinni byli pójść na to wesele królewskiego syna, ale coś tam stało im na przeszkodzie.

Tak dzieje się z większością ludzi. I z wami – właściwie powinienem być dzieckiem Bożym, ale... ale nie doszedłem do tego, bo... Tak! Bo... Ach, proszę was: przyjmijcie w wierze Jezusa!

Wielu ludzi mówi: ja też w coś wierzę. W co wszystko wierzyli Niemcy za czasów Trzeciej Rzeszy: w führera, w Niemcy, w ostateczne zwycięstwo, w "cudowną broń" itd. Wierzyliśmy już we wszystko możliwe. Ale nie wystarczy mieć wiarę. Trzeba mieć pokój z Bogiem. A to mogę otrzymać tylko przez Jezusa.

A teraz chcę wam powiedzieć, co to jest wiara. Wytlumaczę to na przykładzie paru historii.

Jako młody pastor krążyłem z wizytami od domu do domu w okropnej dzielnicy. Ludzie zatraskiwali mi drzwi przed nosem, mówiąc: "Nic nie kupujemy!". A kiedy udało mi się wstawić nogę i przytrzymać drzwi, mówiąc: "Ja nie chcę nic sprzedać, chcę wam coś ofiarować! Jestem pastorem" – odpowiadali: "Nie potrzeba nam tu klechy!". Pewnego dnia wszedłem z ulicy prosto do kuchni, która była zarazem pokojem mieszkalnym. Zostałem tam młodego człowieka, który chodził tam i z powrotem bardzo zdenerwowany. "Dzień dobry! – powiadam – Jestem ewangelickim pastorem." Przystanął i krzyknął: "Co? Klecha? Tego mi jeszcze brakowało! Tylko tego mi jeszcze brakowało! Niech się pan wynosi! Nie wierzę już w nic, straciłem wiarę w ludzkość!" Musiał widocznie przeżyć coś złego. Powiedziałem: "Młody człowieku, pójdź w moje ramiona! Ja również straciłem wiarę w ludzkość! Doskonale do siebie pasujemy!" "Jak to? – zdumiał się – Jako pastor musi pan przecież wierzyć w ludzkość!"

"Muszę? – spytałem. Bardzo mi przykro, ale nie wierzę. Byłem na wojnie. Jak myślę o tym całym plugastwie, o tych brudach, o tym jak każdy utopiłby każdego w łyżce wody – nie, dziękuję! Moja wiara w ludzkość rozleciała się w strzępy!" "No, dobrze – zgodził się – ale w takim razie nie rozumiem, dlaczego jest pan pastorem?" "O! Dlatego, że mam teraz nową wiarę, która nie rozleci się w strzępy." "Ha! Chciałbym wiedzieć, co to może być za wiara!" I wtedy mogłem opowiedzieć mu o Ewangelii i o wielkim zaufaniu do Jezusa, który przyszedł na ten świat jako nasza jedyna szansa. Bardzo się zdziwił: "Jezus? Chrześcijaństwo? Myślałem, że to już dawno skończona sprawa!". Wyjaśniłem mu, że ta sprawa teraz dopiero na dobre się zaczyna, kiedy wszystko inne, w co się wierzyło, przepadło.

Pragnąłbym, abyście odrzucili swoje fałszywe wiary i zaufali Jezusowi.

Zaraz po wojnie zdobyłem starego opla, aby móc się swobodnie poruszać po kraju. Był to szalowy model! Kiedy pierwszy raz dojechałem z wielkim klekotem do przyjaciół, zawołali: "Ratunku! Pastor prowadzi samochód! Musimy zabezpieczyć wszystkie drzewa!". Zapytałem zły: "Myślicie, że nie umiem prowadzić samochodu?". "Ależ tak, masz przecież prawo jazdy!" "No to wsiadajcie!" Ale mój przyjaciel odpowiedział, że woli nie, bo nie napisał jeszcze testamentu. Na to nadeszła moja żona. "Żono, wsiadaj!" – zawołałem. I ona wsiadła. Bez wahania. Żyje do dzisiaj. W momencie gdy porzuciła bezpieczny grunt pod nogami i wsiadła – powierzyła mi swoje życie. I wy zróbcie to samo w stosunku do Jezusa – powierzcie Mu bez wahania swoje życie.

Czytałem niedawno wstrząsającą relację z czasów drugiej wojny światowej. W kotle pod Stalingradem wylądował ostatni niemiecki samolot. Kocioł był ze wszystkich stron zamknięty przez wojska rosyjskie. Do samolotu lądowano rannych. Był już przepełniony, a wciąż jeszcze napływali nowi żołnierze – ciężko i lekko ranni, na pół zamarznięci. Wszyscy chcą polecieć. Ale nie ma już miejsca, więc ludzie uwieszają się na zewnątrz, łapiąc za każdy występ. Maszyna idzie w górę. Kiedy wylądowała nie było już nikogo z wiszących.

Zwiął ich wicher, nie wytrzymały zdrętwiałe ręce. Ocalili tylko ci, którzy byli w środku.

Pomyślałem sobie czytając, że takim samolotem ratunkowym jest Ewangelia o Synu Bożym, Jezusie, który za nas umarł i zmartwychwstał. Ten samolot może nas uratować z kotła zguby. I jest w nim dosyć miejsca dla wszystkich. Ale iluż ludzi nie zajmuje miejsca w środku, nie wsiada, tylko wisi gdzieś na zewnątrz! Na Boże Narodzenie idzie się do kościoła. Jest się wprawdzie ochrzczone, ale wierzy się we wszystko możliwe. A kiedy się umarło, pastor musi potwierdzić, że było się dobrym człowiekiem. Rozumiecie – to są ci, którzy wiszą na zewnątrz. I możecie być pewni, że ich zwieje. Uratują się tylko ci, którzy są wewnątrz. Czy jesteście wewnątrz?

Piekiło pełne będzie kiedyś ludzi, którzy dowiedzieli się o Jezusie, ale nie wsiadli do Jego samolotu. Zrozumcie, że wierzyć w Jezusa, to znaczy powierzyć Mu życie. Zróbcie to! On jest jedynym, któremu można bez zastrzeżeń zawierzyć.

Na zakończenie chciałbym wam raz jeszcze postawić przed oczyma krzyż Jezusa. Przyjdźcie razem ze mną na wzgórze zwane Golgotą, przed bramami Jerozolimy. Wyobraźcie sobie, że tam jesteście. Syn Boży wisi tam na krzyżu. Tu, pod tym krzyżem, jest jedyne miejsce na całym świecie, gdzie człowiek może znaleźć odpuszczenie grzechów, gdzie wszystko może się zmienić!

W Lubece jest przepiękny stary kościół, katedra, w której znajduje się obraz ołtarzowy przedstawiający ukrzyżowanie Jezusa. Namalował go Hans Memling w XV wieku. Kiedy w 1942 roku kościół palił się po nalocie bombowym, jakiś nieznany żołnierz z kilkoma przyjaciółmi wpadł do kościoła, by z narażeniem życia uratować ten obraz. Wkrótce po wojnie miałem w Lubece odczyty i pewnego dnia dyrektor muzeum sztuki powiedział mi: "U nas w piwnicy stoi ten słynny Memling. Jeżeli chce pan go zobaczyć, to chętnie go pokażę". Oczywiście skorzystałem z okazji. Zeszliśmy do piwnicy – dyrektor, mój przyjaciel i ja. Cudowny obraz! Żołnierze na koniach, trzymający włócznie, żołdacy grający w kości, barwny tłum, płaczące kobiety, szydzący faryzeusze. A nad tym wszystkim wznoszą się trzy krzyże.

Przyglądając się zauważyłem coś dziwnego: mimo tłoczącego się tłumu, pod krzyżem Jezusa było jedno puste miejsce, wolny kawałek murawy. "Osobliwe, – powiedziałem – że mimo takiego tłoku, tuż pod krzyżem Jezusa jest jedno puste miejsce. Co też Hans Memling chciał przez to powiedzieć?" Ci średniowieczni malarze zawsze coś chcieli w swoich obrazach wyrazić, w pewnym sensie byli ekspresjonistami. A na to odezwał się mój przyjaciel: "Sądzę, że chciał powiedzieć: tu, pod krzyżem Jezusa jest wolne miejsce. Możesz na nim stanąć".

Często myślę o tym obrazie. "Tu, pod Chrystusa krzyżem, śmierć traci żądło swe, w ochronie błogiej Pańskich ran, ratunek czeka mnie; tu Pan z niezmiernej łaski swej łotrowi niebo dał; rozpięte Jego ręce nam wskazują wieczny dział." Tak, cieszę się, że pod krzyżem Jezusa, Syna Bożego, jest dla mnie wolne miejsce. Dla was to miejsce również jest wolne! Czy ma na wieki wieczne pozostać puste?

BEZE MNIE!

Każda epoka ma jakieś swoje ulubione hasła, które ludzie powtarzają w kółko przy każdej możliwej i niemożliwej okazji, wtedy, gdy jest to na miejscu, i wtedy, gdy nie pasuje do sytuacji. Jednym z najbardziej znanych haseł naszych czasów jest powiedzenie: "Beze mnie!" Tymi słowami bijemy na oślep, trafiając innych ludzi i zabijając siebie samych. Bo, widzicie, te słowa: "Beze mnie!", są bardzo niebezpiecznym hasłem, które niekiedy zagraża życiu. Zrazem jednak słowa te mogą nabrać, pozytywnego znaczenia. Zbadajmy więc, jak ta sprawa wygląda.

1. NIE MÓWIMY TEGO WTEDY, GDY NALEŻAŁOBY TAK POWIEDZIEĆ

Jest w Biblii taka bardzo stara historia, która nic nie straciła na aktualności i doskonale pasuje nam do tematu. Opowiem ją wam.

Z pewnością wszyscy słyszeliście o Abrahamie, tym mężu Bożym, o którym na początku Biblii napisano: "Wtedy uwierzył Panu, a On poczytał mu to ku usprawiedliwieniu". Abraham był człowiekiem, który dobrze zdawał sobie sprawę, że życie jego jest pełne winy, ale jednocześnie żył w obliczu Boga, wyznał Jemu grzechy i przyjął w wierze pojednanie z Bogiem. Ten Abraham znalazł się pewnego dnia razem ze swoim bratankiem Lotem w krytycznym położeniu. W Biblii czytamy, że Abraham był "bardzo zasobny w trzody...", a dalej, że: "również Lot, który wędrował z Abrahamem, miał owce, bydło i namioty." Razem mieli tak wiele bydła, że nie mogli utrzymać swoich trzód, przebywając w tym samym miejscu. I stąd "między pasterzami stad Abrahama a pasterzami stad Lota powstał spór." To oczywiście groziło poważnym konfliktem między krewnymi. Wiecie, jak to jest: trzódka nie ma miejsca i spór między pasterzami przybiera bardzo groźne formy! Tu również tak było. Pasterze obu trzód ciągle biegali do swoich panów donosząc o gwałtownych kłótniach, rękoczynach i awanturach. Sytuacja stale się zaostrzała. A teraz powiedzcie, moi

drodzy, co byście zrobili na miejscu Abrahama, który był starym wujem Lota? Ja, gdybym był wujem tego Lota, powiedziałbym: "Do czego to podobne, żeby twoi pasterze tak obchodzili się z moimi! Wynoś się stąd!". Na to Lot by odpowiedział: "Nigdy w życiu! Mam prawo tu być. To ty stąd odejź!". I kłótnia trwałaby bez końca. To, widzicie, był ten moment, w którym między Abrahamem a Lotem musiało dojść do ostrego spięcia. Ale stary pobożny Abraham, stojąc przed oczami Boga popatrzył na swego bratanka i pomyślał: "Kłótnia? Awantura? Beze mnie! Beze mnie!". Położył rękę na ramieniu Lota i powiedział: "Mój kochany, nie kłóćmy się, przecież jesteśmy braćmi!". I zaproponował mu takie rozstrzygnięcie sprawy, jakie było ze szkodą dla niego samego, dla Abrahama. Ale: kłótnia? Beze mnie!

Czy wolno mi zadać obecnym tu kobietom i mężczyznom pytanie? Wszyscy byliście już kiedyś w sytuacji, gdy ktoś chciał wszcząć z wami kłótnię. Czy pomyśleliście też wtedy: "Kłótnia? Beze mnie!". Zareagowaliście w ten sposób? Nie, z pewnością wdaliście się radośnie w awanturę i do dziś jesteście skłóceni z panią Kowalską czy z sąsiadami. A widzicie, jak często to powiedzonko: "Beze mnie!", byłoby na miejscu! Pan Jezus mówi: "Błogosławieni pokój czyniący..." Całe nasze chrześcijaństwo tak mało jest warte, ponieważ w decydujących chwilach nie mówimy: "Kłótnia? Beze mnie!", ponieważ w decydujących chwilach tak żałośnie zawodzimy.

Opowiem wam jeszcze jedną historię, którą bardzo lubię. Czy znacie to cudowne opowiadanie biblijne o młodym człowieku imieniem Józef, który jako chłopiec został sprzedany przez swoich braci do niewoli? Jako niewolnik dostał się do Egiptu, który wtedy był krajem wysoko rozwiniętej kultury. Tam zamieszkał w domu bogatego człowieka, Potyfara. Ten pan Potyfar miał mnóstwo niewolników i prowadził ogromny dom. Józef jako bardzo młody człowiek zawarł przymierze z żywym Bogiem. Tak bywa, że młody człowiek mówi do żywego Boga: "Chcę należeć do Ciebie!". Teraz, w Egipcie, Józef jest zupełnie osamotniony. Widzi, jak inni niewolnicy kradną i kłamią. On nie. Oczywiście jest wyśmiewany. Ale jego pan zaczyna nabierać do niego zaufania. Powierza mu różne sprawy i

rzeczy. Bo, wiecie, – chrześcijanie to są śmieszni ludzie, ale można im wiele powierzyć, bo nie kradną i nie kłamią. I doszło do tego, że ten młody człowiek, gdy dorósł, został zarządcą całego majątku pana Potyfara. W Biblii mówi się o tym w przesłiczny sposób i zawsze z przyjemnością myślę o tych słowach: "Powierzył więc całe swoje mienie Józefowi i o nic się już nie troszczył, tylko o chleb, który spożywał". Zapewne i to by chętnie zdał na Józefa, no ale jeść i pić musiał już sam, bez pomocy! Tymczasem Józef wyrósł na pięknego młodzieńca, był dobrze ubrany i elegancki. I wtedy odkryła go młoda żona jego pana, poganka. Nie miała żadnego zajęcia, bo wszystko robili niewolnicy. A wiecie, że "próżniactwo jest źródłem wszelkich występków". Tak jest naprawdę. Więc pewnego dnia żona Potyfara zwróciła uwagę na Józefa i zaczęła z nim flirtować. Józef udawał, że nie zauważa tego. A potem jest w Biblii ta niesamowita scena, gdy żona Potyfara zostaje w domu sama z Józefem i okazuje mu swoją nieokiełznaną namiętność: "Wtedy chwyciła go za szatę jego, mówiąc: Połóż się ze mną!". Jest coś wstrząsająco pięknego w postawie Józefa, który po krótkim namyśle odpowiada: Beze mnie! Beze mnie! Cudzołóstwo? Beze mnie; – Och, oczywiście, w ten sposób my mówimy. Ludzie biblijni mówili o wiele ładniej. Józef wyraził się o wiele piękniej. Powiedział: "Jakże miałbym (...) popełnić tak wielką niegodziwość i zgrzeszyć przeciwko Bogu?". Ale miało to znaczyć: Beze mnie!

Nie ma tu wśród was nikogo, już dorosłego, kto by nie przeżył takiej decydującej chwili, stojąc w obliczu pokusy popełnienia grzechu, którego dziś nie chce się już nazywać grzechem – pokusy popełnienia grzechu nieczystości. Czy w takiej chwili powiedzieliście też: "Bóg na mnie patrzy. Beze mnie!". Co czujemy teraz, patrząc na tego Józefa? Ach, obawiam się, że nam nie przyszło na myśl, że trzeba by powiedzieć "beze mnie!". Beze mnie, bo jest takie przykazanie Boże, które żąda, byśmy byli czyści i powściągliwi w słowach i uczynkach. Tak rzadko przychodzi nam do głowy, aby powiedzieć: beze mnie! Ale powiadam wam, że Bogu przychodzą te słowa na myśl, gdy patrzy na nasze grzechy. To jest straszne, że małe

powiedzonko "Beze mnie!" nie przychodzi nam do głowy w decydujących chwilach. A byłoby tak przydatne za każdym razem, gdy nachodzi nas pokusa podeptania Bożych przykazań. Cechą charakterystyczną naszych czasów jest to, że przykazania Boże już się nie liczą.

Miałem kiedyś wygłosić odczyt dla duchownych w Hanowerze z okazji wprowadzenia na urząd biskupa. Poproszono mnie, abym powiedział coś na temat: "Czego brakuje nam, księżom, i naszym zborom". Powiedziałem między innymi: "Właściwie mam do powiedzenia tylko jedno: wszystkim nam brakuje lęku przed tym, że możemy pójść do piekła, że Bóg traktuje sprawy poważnie, że Bóg obstaje przy swoich przykazaniach".

Powiedzonko "beze mnie" jest bardzo przydatne, gdy duch czasu kusi nas do deptania Bożych przykazań.

Jest taka wzruszająca historia w Biblii. Syn Boży stoi na górze, a obok Niego stoi diabeł – nie wierzycie, że diabeł istnieje? Istnieje, istnieje! Możecie być tego pewni! – więc obok Niego stoi diabeł, pokazuje Mu wszystkie królestwa i bogactwa tego świata i mówi: dam Ci to wszystko, jeżeli na chwilę uklęknieś przede mną. Tylko na chwilę! A Syn Boży odpowiedział: beze mnie! Cały świat może klękać przed tobą, ale beze mnie! Oczywiście Pan Jezus wyraził to o wiele piękniej. Powiedział: "Panu Bogu swemu pokłon oddawać i tylko Jemu służyć będziesz".

Gdyby tak to powiedzonko "beze mnie!" chciało przychodzić nam na myśl w odpowiedniej chwili, co? Bo głupio jest, że nie mówimy tego wtedy, gdy należałoby tak powiedzieć!

2. MÓWIMY TO WTEDY, GDY NIE POWINNIŚMY TAK POWIEDZIEĆ

Ach, moi przyjaciele, większość ludzi mówi: "beze mnie!" w zupełnie nieodpowiednim miejscu.

Stoi przede mną młody chłopak, setny chłop, jak to się mówi. Powiadam mu: "Człowieku, co by z ciebie mogło wyrosnąć, gdybyś

zdecydował się oddać swoje życie żywemu Bogu!". "Nieeeee... – odpowiada – Beze mnie!"

Odnosimy się do Boga jak do... Pozwólcie, że posłużę się przenośnią. Lekarz zalecił mi godzinny spacer każdego dnia. Chodziłem więc w Essen określoną trasą, wzdłuż terenów dworca. Na ulicznym skwerze stała tam stara kanapa. Widocznie właściciele już jej nie potrzebowali i wystawili pod osłoną nocy – niech się zakład oczyszczania miasta martwi, co z nią zrobić. Mogę sobie doskonale wyobrazić historię tej kanapy. Młodzi ludzie odziedziczyli ją po babci, która właśnie zmarła. Młodzi ludzie mają nowocześnie umeblowane nowoczesne mieszkanie. "No, tak, mówi mąż – co mamy począć z tą starą kanapą? Zupełnie nie pasuje do naszego stylu życia. A poza tym, licho wie, jakie robactwo może w niej siedzieć! Po prostu ją wyrzucimy!" I wystawili ją na skwer. Dokładnie tak samo postępuje dzisiejszy człowiek z żywym Bogiem. Bóg nie pasuje do naszego stylu życia. Nie pasuje do naszego nowoczesnego pluralistycznego społeczeństwa. Nie pasuje do naszego sposobu myślenia. Co mamy począć z Bogiem? Wstawmy starą kanapę do kościoła, który przez cały tydzień jest zamknięty.

Moi przyjaciele! Żywy Bóg nie jest starą kanapą. Jasne? Żywy Bóg nie jest starym meblem, który możemy wyrzucić z naszego życia, kiedy stał się niemodny. Czy macie pojęcie, kim jest żywy Bóg? Być może to, że Bóg stał się dla nas problemem, jest winą Kościoła. Gdy mówimy: "Bóg", powinien nas przebiegać zimny dreszcz trwogi. Ta obojętna postawa wobec Boga: beze mnie!

Muszę ująć to nieco szerzej. Widzicie, mówi się powszechnie, że cały Zachód jest chory. Nie tylko fizycznie, na raka i wiele innych chorób, ale również psychicznie. I to jest straszne. Czy wiecie, jak wzrosła liczba cierpiących na depresję? Mądrzy ludzie zastanawiają się, na co właściwie choruje nasza stara cywilizacja. I pewien lekarz szwajcarski powiedział coś bardzo mądrego: "Nasze czasy są poważnie chore na Boga". W średniowieczu liczone były próby z Bogiem. Dowodzą tego wielkie kościoły. Ale później podjęto próby pozbycia się Boga. Marksizm jest taką próbą. Bogiem uczyniono

technikę i próbowano pozbyć się Boga. Naukowcy wychodzili ze skóry, aby udowodnić, że Boga nie ma. Tłumy ryczały, że religia to jest opium dla ludu. Najgłupszy malec pytał: "A gdzie ma być ten Bóg? Ja Go nie widziałem, więc nie ma Go!" – i dalej ssał palec. Robiono naprawdę wielkie wysiłki, aby pozbyć się Boga.

A wiecie, jak to dzisiaj wygląda? Wciąż szukam ateisty, który miałby odwagę stwierdzić poważnie, że Bóg nie żyje. Takiego człowieka już nie ma. A jeżeli gdzieś jest, to jest tak głupi, że w ogóle się nie liczy. Wielki profesor, Max Planck, który położył podwaliny pod nowoczesną fizykę atomową, opublikował na krótko przed śmiercią broszurę pod tytułem "Religia a nauki przyrodnicze". Píše tam: "Dla nas, przyrodników, jest dziś oczywiste, że na końcu wszelkiego poznania stoi żywy Stwórca". Widzicie więc, że nie pozbyliśmy się Boga!

Miałem niedawno odczyty w małym miasteczku górniczym. Pewnego wieczoru wychodząc z Kościoła zobaczyłem grupę wałęsających się dwudziestolatków. Spytałem, dlaczego nie byli w kościele. Coś tam zamamrotali w odpowiedzi. "Takie mruczenie, to nie odpowiedź – powiedziałem – Pytam ciebie, – zwróciłem się do jednego z nich – czy Bóg żyje?" "A bo ja Wiem!" – brzmiała odpowiedź. "Człowieku! Przecież to straszne! Albo Bóg żyje i musisz do Niego należeć, albo nie żyje, a wtedy wystąp z kościoła. Wystąpiłeś?" "Nie!" Pytam drugiego chłopca: "Czy Bóg żyje?". "Tak sądzę." "O! A powiedz – przestrzegasz Jego przykazań?" "Eee, nie!" Przepytałem tak wszystkich. Ani jeden nie odważył się zaprzeczyć istnieniu Boga. Ale żaden też nie chciał do Niego naprawdę należeć. I tak jest wszędzie.

Kiedy odwiedzam ludzi, mężczyźni mówią: "Ja wierzę w Pana Boga, ale chodzenie do kościoła pozostawiam innym". Rozumiecie – ludzie nie zaprzeczają istnieniu Boga, ale nie należą do Niego!

Zagadnienie Boga nie doczekało się rozwiązania. A nie rozwiązane zagadnienia powodują kompleksy, choroby psychiczne, które niszczą ludzi. I wyniszczymy się, ponieważ nie mamy odwagi wyjaśnić naszej sprawy z Bogiem. W Kościele siedzi 10 kobiet i niekiedy jeden

mężczyzna. Gdzie są mężczyźni? Ręczę wam, że zanim pójdą do piekła, wyniszczą się psychicznie, ponieważ nie mając odwagi należeć do Boga, nie mogą się też od Niego uwolnić.

W takim położeniu znajdujemy się my – chrześcijanie, znający tę wspaniałą Nowinę, że ten Bóg, którego tak lekceważąco traktujemy, zburzył mur dzielący nas od Niego i przybył do nas w Jezusie. Boski Zbawiciel przybył na ten świat! I nie tylko przybył. On umarł za nas na krzyżu. Co jeszcze Bóg powinien dla was zrobić ponadto, że umarł za was na krzyżu?! A potem zmartwychwstał, zwyciężając śmierć i otwierając nam drogę do życia. A my mówimy: "Ach tak, to bardzo piękne, mogę sobie posłuchać o tym, ale nic więcej. Beze mnie!". Gdy widzę taką niekonsekwencję, robi mi się po prostu niedobrze!

Jako młody pastor miałem w swojej dzielnicy robotnika, który mnie zawsze wyśmiewał i odprawiał z kwitkiem, gdy chciałem mu opowiedzieć o Jezusie. Spytałem go raz, co będzie, gdy przyjdzie mu umierać. Odpowiedział: "Wy, klechy, zawsze straszycie ludzi śmiercią! Ale ja się nie dam. Beze mnie!" Tak się stawiał. A potem umarł nagle, nie mając jeszcze 40 lat. Pewnej nocy wezwała mnie jego żona. Przybiegłem i mówię: "Nadeszła godzina, w której Jezus wzywa cię po raz ostatni!". Ale stało się coś strasznego – ten człowiek chciał się modlić i już nie mógł. Czytałem mu Biblię, Słowa miłosierdzia Bożego, ale już ich nie pojmował. Powiedział kiedyś Bogu: "Beze mnie!", a teraz Bóg nie chciał go już. I umarł ten człowiek pełen rozpacz – bez pokoju z Bogiem.

Zaklinam was. Zaczynjcie traktować poważnie tę zapierającą dech w piersiach Nowinę: "Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny". Ale ten Jezus uczynił coś więcej. Powiedział coś niesłychanie uspokajającego – "Oto stoję u drzwi i kołaczę; jeśli ktoś usłyszy głos mój i otworzy drzwi, wstąpię do niego..." Ach, moi przyjaciele, istnieje tyle gatunków chrześcijan! Są tacy, którzy ograniczają się do płacenia składek. To miłe, ale bardzo nudne. Są tacy, którzy chodzą do kościoła tylko na Boże Narodzenie – kochani gwiazdkowi chrześcijanie! Są tacy, którzy chodzenie do kościoła

pozostawiają swoim żonom. Bardzo oklepane! Są tacy, którzy mówią: "Jestem ochrzczony!". Coś wspaniałego! Ale to jeszcze nie wszyscy! Są bowiem tacy chrześcijanie, którzy słyszeli Słowo żywego Pana: "Oto stoję u drzwi i kołaczę; jeśli ktoś usłyszy głos mój i otworzy drzwi, wstąpię do niego..." – słyszeli i odpowiadają: "Nie do mnie!". Jakie to straszne! "Panie Jezu, odrobina chrześcijaństwa jest do przyjęcia, ale żebyś miał mnie zdobyć – o nie, tego za wiele! Beze mnie!" Tak to mówimy owo "beze mnie!" w zupełnie nieodpowiednim miejscu.

Nie byłoby was tutaj, gdyby chrześcijaństwo was nie pociągało. Ale słuchajcie: Chwałę Jezusa odczujecie w całej pełni dopiero wtedy, gdy odpowiecie na Jego pukanie, otworzycie Mu drzwi i przyjmiecie Go do swego życia!

3. ISTNIEJE KTOŚ, KTO MIAŁBY SŁUSZNY POWÓD, ABY POWIEDZIEĆ: "BEZE MNIE!" – I KTO TEGO NIE MÓWI

Tym Kimś jest sam Pan Jezus. On rzeczywiście miałby słuszny powód, aby powiedzieć: "Beze mnie!" – ale nie mówi tego. Bogu niech będą dzięki, że tego nie mówi!

Pozwólcie, że opowiem wam historię, która tu bardzo dobrze pasuje. Jest taki pisarz duński, Jacobsen. Napisał on wstrząsającą nowelę pod tytułem "Dżuma w Bergamo". Bergamo jest małym włoskim miasteczkiem w pobliżu Rawenny. Leży w górach i prowadzi do niego tylko jedna droga wśród skał. W tym miasteczku, jak pisze Jacobsen, wybuchła w średniowieczu dżuma. Było to straszne! Dzwon pogrzebowy dzwonił dzień i noc. Ludzie modlili się do Boga. Krzyczeli i wzywali pomocy. Nic nie pomogło, dżuma szalała coraz okrutniej. Wreszcie ludzie zrezygnowali. Powiedzieli sobie, że Bóg nie żyje. Wytoczyli z zajazdów beczki i zaczęło się wielkie pijaństwo, wielka orgia rozpaczy. Pijani do nieprzytomności spółkowali, nie zwracając uwagi na to kto i z kim. Wszystko stało się obojętne w tym rozpasaniu zmysłów. Od czasu do czasu ktoś pada ze szerniałą twarzą, ale nikt nie zwraca na to uwagi. Orgia trwa dalej. "Jedźmy i

pijmy, bo jutro pomrzemy!". Aż pewnego dnia tłum przytomnieje. Ludzie ze zdumieniem słyszą chóralny śpiew. Biegną do bram miasta i widzą nadchodzący skalną drogą pochód pokutników, którzy śpiewają litanie: "Kyrie elejson, Panie, zmiłuj się nad nami!". Pochód wchodzi w bramę miasta. Ludzie z Bergamo stoją i śmieją się: "Wy durnie! Tu Bóg jest martwy! Przestańcie śpiewać te głupie litanie! Chodźcie, jedźmy i pijmy, bo jutro pomrzemy. Bóg nie żyje!". Na przedzie pochodu szedł mnich, zgięty pod drewnianym krzyżem. Drzwi kościoła stały otworem, ale kościół był pusty, nikt już do niego nie zaglądał. Pochód wszedł do środka i mnich postawił swój krzyż pod filarem. Dzika zgraja rozpasanych, naznaczonych piętnem śmierci ludzi wdarła się za nim z wrzaskiem i śmiechem. Pijany czeladnik rzeźnika w poplamionym krwią fartuchu wskoczył na ołtarz, chwycił złoty kielich mszalny i kołyszając nim wrzasnął: "Żłopcie! Tu u nas Bóg nie żyje!". Ale blady mnich wszedł na kazalnicę i dał znak ręką, że chce coś powiedzieć. Ludzie ucichli. I w tej ciszy mnich zaczął mówić: "Chcę wam coś opowiedzieć. Gdy Syn Boży został ukrzyżowany, gdy wbito gwoździe w Jego dłonie, wtedy lud również szydził, drwił i śmiał się. Szydził z Niego nawet złoczyńca ukrzyżowany po jednej ze stron. I wtedy Syn Boży pomyślał: "Mam umrzeć za ludzi, których moja śmierć w ogóle nie wzrusza? Mam oddać życie za tę plugawą ludzkość, której niczym już pomóc nie można? Beze mnie!". I Syn Boży swoją Boską mocą wyrwał gwoździe z krzyża, zeskoczył, wyrwał z rąk żołdaków swoją szatę, aż kości do gry potoczyły się zboczem Golgoty, zarzucił szatę na siebie i uniósł się do nieba, mówiąc: "Beze mnie!". Został tylko krzyż. Pusty. I nie ma już ratunku, nie ma zbawienia. Została tylko śmierć i piekło".

Tak mówił ten mnich. Panowała śmiertelna cisza. Czelnik rzeźnika już dawno zeskoczył z ołtarza i stał teraz pod kazalnicą. Kielich wypadł mu z ręki. "Nie ma już ratunku, nie ma zbawienia..." I nagle ten czeladnik wyciągnął ręce do mnicha i krzyknął przejmującym głosem: "Ty! Przybij Zbawiciela z powrotem do krzyża! Przybij Go!".

Moi przyjaciele, ten mnich nie powiedział prawdy. I najbardziej

wstrząsającą rzeczą jest to, że Syn Boży tak nie postąpił. Nie powiedział: "Beze mnie!", i – jeśli wolno tak się wyrazić – do tej chwili cierpi na krzyżu, chociaż ludzie mówią: "Praca, rozrywki i wszystkie rzeczy tego świata są dla nas ważniejsze niż zbawienie".

Ten Zbawiciel, który do dnia dzisiejszego puka do drzwi każdego z nas, miałby słuszny powód powiedzieć: "Beze mnie; róbcie, co chcecie!". Gdybym był na miejscu Jezusa, to pozwoliłbym światu przepaść. Ale Jezus, Syn Boży, Zbawiciel, nie mówi: "Beze mnie!", tylko puka do drzwi każdego z nas. Jak długo jeszcze ma pukać do waszych drzwi? Kiedyż wreszcie zobaczycie, że Jezus chce was mieć? Kiedy otworzą się wam oczy i powiecie: "Mój Zbawicielu! Mój Pojednawco!".

Ostatni punkt wyłożę krótko.

4. "BEZE MNIE NIC UCZYNIĆ NIE MOŻECIE"

Nasze: "Beze mnie!", mówimy zawsze z wykrzyknikiem na końcu. Jezus powiedział kiedyś: "Beze mnie", ale nie ma po tych słowach wykrzyknika, bo mają one ciąg dalszy: "Beze mnie nic uczynić nie możecie". Możecie być pewni, że to prawda i że to, co robicie bez Niego, nic w świetle wieczności nie jest warte!

Obserwowałem kiedyś bijących się na ulicy chłopców. Płatał się między nimi jakiś malec, który też obrywał kuksańce, zapewne nie dla niego przeznaczone. Właśnie zastanawiałem się, czy mam wkroczyć, gdy nagle zobaczyłem coś zachwycającego. Mały wydostał się z kłębówiska walczących i zaczął uciekać, cały zapłakany. Po paru krokach przystanął, odwrócił się i wrzasnął: "Poczekajcie! Powiem mojemu dużemu bratu!". Widać było, że ta pogroźka przyniosła mu ulgę. Miał dużego brata, któremu mógł wszystko powiedzieć i liczyć na jego pomoc. Pomyślałem sobie: "Mój mały, jak to dobrze, że masz dużego brata!". I przeniknęła mnie wielka radość, że ja też mam w Jezusie dużego Brata, który mi pomaga. Jakie to wspaniałe, że ten duży Brat jest tak potężny, że staje po naszej stronie i powiedział nawet: "Beze mnie nic uczynić nie możecie".

Poeta Havergal tak mówi w jednej z pieśni: "Weźmij, Jezu, życie me, w ręce Twe oddaję je! Wszystkie chwile, wszystkie dni niechaj służą Twojej czci!".

Pragnąłbym, abyście waszemu Zbawicielowi, który tak wiele dla was uczynił, też mogli powiedzieć, że bez Niego nic więcej robić nie chcecie!

CZY ISTNIEJE PEWNOŚĆ W SPRAWACH RELIGII?

Cóż, jasne jest, że w sprawach religii pewności nie ma. Religia – to wieczne szukanie Boga. A to oznacza stały niepokój i niepewność. Ewangelia natomiast jest czymś zupełnie innym. W Ewangelii Bóg szuka nas. Dlatego lepiej będzie spytać: czy istnieje pewność w chrześcijaństwie?

1. GDY CHODZI O BOGA – POZWALAMY SOBIE NA NIESŁYCHANY BRAK PEWNOŚCI

Muszę wam powiedzieć, że z nas, ludzi, są właściwie śmieszne stworzenia. Najstateczniejszy mężczyzna, gdy poczuje najłżejszy ból, biegnie do lekarza i mówi: "Panie doktorze, tak mnie tu boli. Co to może być?". Chce być pewny, co mu dolega. Albo inny przykład: rodzina szuka pomocy domowej. Zgłasza się jakaś dziewczyna i pani domu wylicza: "Będzie pani miała własny pokój z bieżącą gorącą i zimną wodą, telewizorem i radiem. Raz w tygodniu jeden dzień wolny". Na to dziewczyna: "Dobrze, ale chciałabym wiedzieć, jaka jest pensja?" "O, – mówi pani domu – jakoś się dogadamy. Chciałabym najpierw zobaczyć, co pani umie." "O nie! – woła dziewczyna. – Nie mogę zgodzić się w ciemno. Muszę wiedzieć z góry, ile będę zarabiała!" Czy ta dziewczyna ma słuszość? Oczywiście! Wysokość zarobków jest jednym z najważniejszych zagadnień w chwili podejmowania nowej pracy. Chcemy wiedzieć, jaka będzie nasza sytuacja finansowa. W sprawach pieniężnych nie znosimy niepewności. Tak, we wszystkich dziedzinach lubimy jasne sytuacje. I tylko w dziedzinie najważniejszej – mianowicie naszego stosunku wobec żywego Boga – znosimy osobliwą niejasność.

Przed wielu laty w Augsburgu prowadziłem zebranie, które odbywało się w namiocie, na placu, gdzie normalnie urządzone są kiermasze. Organizatorzy wpadli na wspaniały pomysł. Ponieważ w sobotnie wieczory lokale rozrywkowe były zawsze pełne, więc postanowili urządzić zebranie w sobotę o północy. Zebranie nie

zostało nigdzie zapowiedziane, żeby nie przyszli na nie kochani ciekawscy chrześcijanie, których na tym zebraniu nie chcieliśmy oglądać. Moi przyjaciele wyruszyli samochodami o pół do dwunastej i zbierali na ulicy wszystkich wychodzących z lokali, które zamykano o północy. Byli wśród nich również idący do domu kelnerzy i barmanki. Samochody jeden po drugim wysadzały bez przerwy swój ładunek przed namiotem. Gdy o dwunastej wszedłem na podium, miałem przed sobą zbieraninę, jaką nieczęsto zdarza się oglądać. Niektórzy byli lekko zawiani. Coś wspaniałego! Tuż przede mną siedział grubas z na wpół zżutym cygarem w kąciku ust. Na głowie miał kapeluszyk zwany melonikiem. Pomyślałem sobie: "No, to się nie może dobrze skończyć!" – i zacząłem mówić. Kiedy pierwszy raz padło słowo: "Bóg", grubas w meloniku ryknął: "Nie ma takiego!". Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Pochyliłem się nad pulpitem i spytałem: "Czy pan wie na pewno, że Bóg nie istnieje? Wie pan na sto procent?". Podrapał się w głowę, melonik zjechał mu do przodu, przesunął ogryzek cygara z jednego kącika ust w drugi i wreszcie powiedział: "No tak na pewno to nikt nic o tym nie wie!". Roześmiałem się grubasowi w nos i powiedziałem: "Owszem. Ja wiem zupełnie dokładnie". "Ejże! – zdziwił się – Skąd mógłby pan wiedzieć coś pewnego o Bogu?" I wtedy wytłumaczyłem mu, że wiem to dzięki Jezusowi. Wśród zebranych panowała wielka cisza.

Czy macie pewność co do Boga? Pytam chrześcijan: czy możecie powiedzieć: "Chrystus Pan opuścił niebios sławę i przyszedł na świat, by zbawić nas. Wieniec z ciernia ranił Jego głowę, niósł na krzyżu ciężar naszych win i zmas"? Jak mi odpowiadają? – "No tak, mam nadzieję!"

Czy nie rozumiecie, jakie to śmieszne, że i poganie i chrześcijanie znoszą doskonale tę niepewność i niejasność w sprawach dotyczących Boga? Gdybym wyszedł na ulicę i pytał ludzi, czy wierzą, że istnieje żywy Bóg, to usłyszałbym w odpowiedzi, że tak, prawdopodobnie jest jakiś. Ale gdybym zapytał następnie: "Czy pan należy do Niego?", to odpowiedź brzmiałaby: "A bo ja wiem!". To niesłychane, że ludzie skądinąd zrównoważeni, w tej dziedzinie tak są chwiejni i

niezdecydowani.

Ktoś z moich młodych przyjaciół doświadczył tego na własnej skórze. Jest on studentem i w czasie ferii zarabia jako pomocnik na budowie. Pewnego dnia koledzy wykryli, że bierze czynny udział w pracy z młodzieżą ewangelicką. "I dopiero się zaczęło: "Człowieku, jesteś u pastora Buscha?" "Tak." "To w niedzielę chodzisz pewnie do kościoła?" "Jasne." "W każdą niedzielę?" "W każdą." "W każdą niedzielę! Czyś ty oszalał?" "E, tam! – odpowiada mój student – W tygodniu chodzę jeszcze na godzinę biblijną." "Chłopie, ty musisz być nienormalny!" – I ze wszystkich stron posypały się okrzyki: "Klechy ogłupiają ludzi!". "Chrześcijaństwo nawaliło, chociaż miało dwa tysiące lat czasu!" "Biblia to wielka bzdura!" Jednym słowem, młody człowiek stał się celem szyderstw i drwin. Zniósł to wszystko spokojnie, jakby miał skórę słonia, a gdy skończyli wrzeszczeć powiedział: "Skoro macie taki stosunek do chrześcijaństwa, to rozumiem, że wszyscy wystąpiliście z Kościoła?". Długie milczenie. A potem odezwał się jeden ze starszych robotników: "Co to ma znaczyć: wystąpiliście z Kościoła? Człowieku, ja też wierzę w Pana Boga! Robisz minę, jakbyś ty jeden był tu chrześcijaninem. Ja też jestem chrześcijaninem! Ja też wierzę w Pana Boga!". Inni go poparli: "Co ty sobie myślisz. Chcesz być lepszy od nas? My też jesteśmy chrześcijanami! My też wierzymy w Pana Boga!". Zaczęli go zwalczać jego własną bronią, krzycząc: "My też wierzymy w Pana Boga! My też jesteśmy chrześcijanami!". Kiedy się wreszcie uspokoili, mój przyjaciel zapytał: "No to dlaczego ze mnie drwicie?". Odpowiedź brzmiała: "Ach, bo ty nas doprowadzasz do szaleństwa! Nie można z tobą rozmawiać!".

Rozumiecie: rozsądni mężczyźni, dzielni budowlańcy, którzy bez zmrużenia oka mogą wypić parę butelek piwa, kiedy się zgrzeją przy pracy – najpierw z wielkim hałasem drwią z chrześcijaństwa, a potem nagle mówią: "Chwileczkę! My też jesteśmy chrześcijanami!". Cóż to jest? Czy to nie okropne? Jeśli chodzi o Boga, ludzie pozwalają sobie na największe niekonsekwencje. Raz jesteśmy poganami, raz chrześcijanami. Czy mam rację? Obawiam się, że większość z was

również żyje w niepewności.

2. BIBLIA MÓWI O PROMIENIUJĄCEJ PEWNOŚCI

Być może spytacie teraz, zdziwieni: "Panie pastarze, czy w odniesieniu do wiary chrześcijańskiej rzeczywiście można mówić o pewności? Czy chrześcijaństwo nie polega właśnie na tym, że nic się nie wie i trzeba tylko wierzyć?". Właśnie niedawno usłyszałem znowu takie piękne zdanie, które tak często zdarza mi się słyszeć: "Wie pan co, ja wiem, że dwa razy dwa jest cztery, ale w chrześcijaństwie nic przecież nie można wiedzieć, tylko po prostu trzeba we wszystko wierzyć". Mamy tu więc do czynienia z wyobrazeniem, że w obliczu prawd chrześcijańskich należy swój rozum zapakować do walizki albo oddać do szatni i wierzyć w ciemno. Jest to przekonanie większości ludzi.

Albo też stoi przede mną ktoś i oświadcza: "Panie pastarze, przecież wy, chrześcijanie, także nie zgadzacie się ze sobą. Są wśród was katolicy, ewangelicy i wiele innych wyznań. A wśród ewangelików są luteranie, reformowani i wiele innych odłamów. Któż więc ma rację?". Sądzę, że nawet chrześcijanie są w gruncie rzeczy przekonani, że wiara chrześcijańska jest czymś najbardziej niepewnym i wątpliwym. A to jest zupełny absurd.

Widzicie, o tym, co to jest chrześcijaństwo, mogę się dowiedzieć tylko z Nowego Testamentu. A w nim każda linijka promieniuje pewnością. Przekonacie się sami. Jest rzeczą śmieszną, że chrześcijanie żyją w takiej niepewności. Nie jest to jednak winą chrześcijaństwa. Nie. Cały Nowy Testament przepojony jest promieniującą pewnością.

Powiem krótko: jest to pewność, że Bóg żyje! Nie jakaś wyższa istota, nie opatrność, nie los, nie jakiś Pan Bóg, ale Bóg – Ojciec Jezusa Chrystusa – żyje. Skąd to wiemy? Stąd, że objawił się w Jezusie. Wiemy to na sto procent. Otwórzcie Biblię w dowolnym miejscu. Nie walczy się w niej problemów religijnych, tylko zaświadcza, że Bóg żyje. I że objawił się w Jezusie. A człowiek, który żyje bez Boga, żyje samowolnie, na opak.

Z Biblii czerpiemy również pewność, że ten Bóg, który władny jest niszczyć ludy, który będzie kiedyś sprawował Sąd, że ten Bóg kocha nas gorąco. Nie są to przypuszczenia. W Liście do Rzymian czytamy: "Jestem tego pewien – (pewien!) – że ani śmierć, ani życie (...) nie zdoła nas odłączyć od miłości Bożej, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym" (Rzym. 8, 38-39). Miłość Boża przyszła do nas w Jezusie! Nie przypuszczamy, że tak jest – my to wiemy. Gdzie jest miłość Boża? On umiłował nas w Jezusie. Uczniowie Jezusa śpiewają: "Uwielbiam miłość niepojętą, co w Zbawcy mym objawia się..." Znacie to? A czy pojmujecie, co to znaczy?

Ludzie w Biblii mają pewność, że należą do Boga. Dawid w Psalmie 49 tak śpiewa: "Bóg wyzwoli duszę moją z krainy umarłych, ponieważ weźmie mnie do siebie". Nie mówi: mam nadzieję, że będę kiedyś zbawiony. Nie, on mówi: "...ponieważ weźmie mnie do siebie". Albo takie zdanie: (Bóg) "który nas wyrwał z mocy ciemności i przeniósł do Królestwa Syna swego umiłowanego". Uczniowie Jezusa przeżyli dzięki Niemu przemianę i wiedzą, że tak jest, że ich życie jest teraz zupełnie inne. Mówią też: "My wiemy, że przeszliśmy ze śmierci do żywota..." My wiemy! Czy możecie też tak powiedzieć? Czy możecie powiedzieć: "Ten to Duch świadczy wspólnie z duchem naszym, że dziećmi Bożymi jesteśmy"? Zauważcie: "jesteśmy"!

W całej Biblii znajdujemy tę pewność. Skąd więc bierze się to bezsensowne zdanie: "Wiem, że dwa razy dwa jest cztery, ale w chrześcijaństwie nic przecież nie można wiedzieć, tylko po prostu trzeba we wszystko wierzyć"? Wiem, że dwa razy dwa jest cztery, ale z jeszcze większą pewnością wiem, że Bóg żyje! Wiem, że dwa razy dwa jest cztery, ale z jeszcze większą pewnością wiem, że Bóg w Jezusie miłuje nas! A ludzie, którzy nawrócili się do żywego Boga, mówią: "Wiemy, że dwa razy dwa jest cztery, ale z jeszcze większą pewnością wiemy, że jesteśmy teraz dziećmi Bożymi!".

Pytam was teraz: gdzie w dzisiejszym chrześcijaństwie można znaleźć tak promieniującą pewność? Gdzie? Zauważyliście chyba, że dość daleko odeszliśmy od Biblii i że musimy do niej wrócić? Prze- stańcie obnosić się ze swoją odrobiną chrześcijaństwa! Nie warto być

trošeczkę chrześcijaninem. Warto być chrześcijaninem w sensie biblijnym. To warto! Warto mieć pewnośc, że Bóg żyje, że miłuje mnie gorąco i że wolno mi należeć do Niego. Wszystko inne nie opłaca się.

Ta sama pewnośc promieniuje ze śpiewnika. Parę cytatów: "Ufam wiernie w Twoją moc, ufam nawet w ciemną noc, bo mnie strzeże Twoja moc, ufam, Zbawco mój!"; "W każdej chwili wierzę ja, radość Pan, czy smutek da, w przeciwnościach ufam też, Jezus mówi: tylko wierz!". Moi konfirmanci zawsze to śpiewali, a podczas egzaminu tak głośno ryknęli: "W każdej chwili wierzę ja...", że wszyscy rodzice podskoczyli i szeroko otworzyli oczy. Chciałem tym dzieciom wpoić przekonanie, że chrześcijanin nie wędruje we mgle, że być chrześcijaninem, to znaczy mieć zupełną pewnośc. "Jest zdrój, skąd święta tryska krew dla tych, co w grzechach brną, ten zdrój to cud i życia siew, uleczy duszę mą. I dla mnie płynie święta krew, i dla mnie jest ten dar; w Chrystusie wolnym ja i żyw, On także za mnie zmarł".

Pozwólcie, że wyrażę to jeszcze inaczej. Pewnośc chrześcijanina wyrasta z obiektywnej wiedzy, że Bóg żyje, a Jego objawienie się w Jezusie jest prawdą, nawet jeśli cały świat jej zaprzecza, i że Jezus umarł, aby pojednać nas z Bogiem, i zmartwychwstał, aby zbawić grzeszników, nawet jeśli żaden z nich nie chce z tego korzystać. Z drugiej strony pewnośc chrześcijanina wyrasta z subiektywnej wiedzy, że Bóg żyje, objawił się w Jezusie, który umarł i zmartwychwstał; wiem, ponieważ przyjąłem to dla siebie osobiście w mocy wiary.

Jeżeli profesorowie w liczbie dziesięciu tysięcy będą udowadniali wierzącemu młodemu człowiekowi, że Jezus nie zmartwychwstał, to może on odpowiedzieć: "Szanowni profesorowie w liczbie dziesięciu tysięcy! Ja wiem, że mój Zbawiciel żyje!". I jeżeli cały świat będzie temu zaprzeczał, on odpowie: "Wiem, w co wierzę!". I jeżeli zasypiecie mnie tu teraz naukowymi dowodami, odpowiem, że wiem lepiej. A jeżeli cały świat zwątpi, ja powiem: "Jestem pewny!". Taką pewnośc, moi drodzy, daje wiara chrześcijańska, która promieniuje z Biblii.

3. CZY MACIE PEWNOŚĆ?

Tak, teraz muszę was spytać: czy macie już taką pewność? Jeszcze nie? Gdybyście odpowiedzieli: "Sądziłem, że jestem chrześcijaninem, ale widzę, że nie jestem. Tylu spraw jeszcze nie jestem pewien!" – znaczyłoby to, że nie mówiłem daremnie. Pamiętam taki obóz rekreacyjny dla młodych mężczyzn. Było to w Holandii. O drugiej w nocy usłyszałem pukanie do drzwi. Otwieram, a tam stoi całe towarzystwo w pidżamach. "Co się stało? Czego chcecie?" – pytam. A jeden z młodych ludzi odpowiada: "Sądziliśmy dotychczas, że jesteśmy chrześcijanami, – ale teraz zauważyliśmy, że jeszcze nie jesteśmy..." To stwierdzenie tak ich zaniepokoiło, że musieli natychmiast, o drugiej w nocy, wyjaśnić tę sprawę. To już bardzo dużo, jeżeli odkrywamy, że nasze chrześcijaństwo dalekie jest od tej pewności, jaka promieniuje z Biblii.

Spurgeon, wielki angielski kaznodzieja przebudzeniowy, tak to wyraził: "Wiara jest szóstym zmysłem". Zjawiska tego świata odbieramy za pomocą pięciu zmysłów: wzroku, słuchu, węchu, smaku i dotyku. Tymi pięcioma zmysłami poznajemy zjawiska tego trójwymiarowego świata. Człowiek posługujący się tylko tymi pięcioma zmysłami pyta: "Gdzież jest Bóg? Nie widzę Go. Jezusa również nie widzę. Nie wierzę w to wszystko!". Jeżeli natomiast Bóg oświeci nas przez Ducha Świętego, to otrzymujemy do dyspozycji szósty zmysł. Możemy wtedy nie tylko widzieć, słyszeć, czuć zapachy, smakować i odbierać wrażenie dotykiem, ale możemy również rozpoznawać zjawiska z innego świata. W Biblii czytamy: "A to jest żywot wieczny, aby poznali Ciebie, jedynego prawdziwego Boga i Jezusa Chrystusa, którego posłałeś". To może sprawić szósty zmysł.

Niedawno odwiedziłem w Essen wielkiego przemysłowca. Urzęduje on w ogromnym biurowcu, z którego górnych pięter rozciąga się widok na całe miasto. Pokonawszy kilka przedpokojów i sekretariatów znalazłem się wreszcie przed jego obliczem. Szybko załatwiłem swoją sprawę i zaczęliśmy rozmawiać. "To interesujące – powiedział –

gościć u siebie pastora". "Pewnie – odpowiedziałem – szalenie interesujące!" "Wie pan, po wojnie chodziłem na takie wykłady o chrześcijaństwie i odniosłem wrażenie..." – tu przerwał. "No, śmiało, – zachęciłem go – niech pan powie, ja mam mocne nerwy". "Odniosłem wrażenie, że chrześcijaństwo jest sprawą pełną niejasności. Widzi pan, mówiono nam o różnych rzeczach. Mieliśmy wykłady na tematy: 'chrześcijanin a gospodarka', 'chrześcijanin a zbrojenia', 'chrześcijanin a rozbrojenie', 'chrześcijanin a pieniądze', 'chrześcijanin a Kościół' – ale nigdy nam nie powiedziano, czym właściwie jest chrześcijanin. Ludzie sami chyba tego nie wiedzą!"

Siedzę w tym pięknie urządzonej biurze i ktoś mówi mi prosto w oczy, że ludzie sami tego nie wiedzą! "Pan się myli!" – odpowiedziałem. Bardzo się zdziwił: "To pan może mi powiedzieć, czym jest chrześcijanin?". "O tak! Mogę to panu powiedzieć jasno i wyraźnie". "Ha! – powiedział z lekką kpina w głosie – jedni mówią, że chrześcijaninem jest ten, kto nie popada w konflikt z policją, a inni mówią, że to ktoś, kto był ochrzczony i miał kościelny pogrzeb!" "Panie dyrektorze, powiem panu, czym jest chrześcijanin. Niech pan się mocno trzyma! Chrześcijaninem jest człowiek, który z głębi serca może powiedzieć: 'Wierzę, że Jezus Chrystus, prawdziwy Bóg, zrodzony przez Ojca w wieczności i zarazem prawdziwy człowiek zrodzony przez Marię Pannę, jest moim Panem, który zbawił mnie, zgubionego i potępionego człowieka.' Pana, panie dyrektorze, 'zgubionego i potępionego człowieka.'" Skinął głową – zrozumiał i przyznał, że tak jest. "Dobrze – powiedziałem. – A więc: '...który mnie, zgubionego i potępionego człowieka zbawił, pozyskał i uwolnił od wszelkich grzechów, od śmierci i spod władzy diabła.' Pana, panie dyrektorze, 'uwolnił spod władzy diabła'. Znowu skinął głową – o tym wiedział niejedno. A ja mówiłem dalej: "Uwolnił i wykupił 'nie złotem czy srebrem, ale swoją świętą, drogocenną krwią i swoim niezawinionym cierpieniem i śmiercią, abym był jego własnością'. I widzi pan, ten kto może powiedzieć, że jest własnością Jezusa, że wie, iż On go odkupił swoją krwią spod władzy grzechu, śmierci i piekła – ten jest chrześcijaninem, panie dyrektorze".

W biurze zapanowała cisza. A potem dyrektor zapytał: "Jak można dojść do tego? Jak ja mogę do tego dojść?". Odpowiedziałem: "Niech pan posłucha. Dowiedziałem się od pana sekretarki, że jedzie pan na urlop. Jeszcze dziś przyślę panu Nowy Testament. Niech pan go weźmie ze sobą i codziennie przeczyta jeden fragment z Ewangelii św. Jana i niech pan się potem modli. W ten sposób dojdzie pan do wiary".

Rozumiecie, o co mi chodzi? Chrześcijaństwo, jakie znajdujemy na kartach Nowego Testamentu, promieniuje pewnością, że obiektywne prawdy są prawdziwe i że mogę je subiektywnie przyjąć w wierze i zostać zbawiony. Czy macie taką pewność? Ja nie mógłbym żyć, nie wiedząc, czy On mnie przyjął. Spytałem kiedyś młodego człowieka: "Czy ty kochasz, Jezusa?". "Tak". "A wiesz, czy On ciebie przyjął? Jesteś Jego własnością?" "No, z całą pewnością tego nie wiem. Jeszcze walczę". "Człowieku! – powiedziałem. – Nie mógłbym tak żyć. Przecież muszę mieć pewność, czy On mnie przyjął!" Wy, pełni niepewności chrześcijanie, którzy nie wiecie nawet na pewno, czy Bóg istnieje, którzy dokładnie wiecie, jaki jest wasz stan majątkowy, a nie wiecie, kim jest Bóg – wy w ogóle nie jesteście chrześcijanami! Według Nowego Testamentu ten jest chrześcijaninem, kto może powiedzieć: "Wierzę, że Jezus Chrystus stał się moim Panem!".

Muszę tu przytoczyć zabawną historyjkę, którą może znacie. Generał von Viebahn opowiadał, że podczas manewrów jechał raz konno przez las, zaczepił kurtką o gałąź i wyrwał kawałek materiału. Nie wypada, by generał miał podartą kurtkę, więc wracając do wsi na kwatery zatrzymał się obok kilku siedzących na murku żołnierzy i spytał: "Czy jest wśród was krawiec?". Jeden z żołnierzy zerwał się, stanął na baczność i zameldował: "Tak jest, panie generale, ja jestem Krawiec!". Na to generał: "Przyjdziecie zaraz do mojej kwatery w zajeździe "Pod jagnięciem" i załatacie mi tę kurtkę!". Ale żołnierz odpowiedział: "Ja nie umiem tego zrobić!". "Jak to nie umiecie? Przecież jesteście krawcem!" "Przepraszam, panie generale, ja się nazywam Krawiec, ale nie jestem krawcem..."

Opowiadając to, generał von Viebahn zrobił piękne porównanie: "To samo można by powiedzieć o większości chrześcijan. W

kwestionariuszu, w rubryce wyznanie, piszą: chrześcijanin, ewangelik. Ale w rzeczywistości powinnyby powiedzieć, że nazywając się chrześcijanami, wcale chrześcijanami nie są". Cóż za pożałowania godny stan! I jakże niebezpieczny. Przecież ci ludzie nie są jeszcze zbawieni.

A teraz musimy zrobić następny krok:

4. JAK MOŻNA UZYSKAĆ PEWNOŚĆ?

Spytacie, jak można uzyskać taką pewność? Cóż, wiele można by na ten temat powiedzieć: proście o nią Boga, zacznijcie regularnie czytać Biblię, codziennie przez kwadrans w ciszy... Ale teraz chciałbym wam powiedzieć coś bardzo ważnego: do pewności wiary dochodzi się nie poprzez rozum, ale poprzez sumienie!

Bo to jest, widzicie, tak: Kiedy rozmawiam z dzisiejszymi ludźmi o chrześcijaństwie, mężczyźni mówią: "Panie pastarze, ja nie mogę wierzyć, bo w Biblii jest tyle sprzeczności". "Sprzeczności...?" – pytam. "Tak. Na przykład powiedziane jest, że Adam i Ewa mieli dwóch synów. Kain zabił Abla, więc został sam jeden. A potem wywędrował do obcej ziemi i szukał tam żony. Przecież, jeżeli oni byli jedynymi ludźmi, to on nie mógł szukać i znaleźć sobie żony. Nie mogę tego zrozumieć, panie pastarze". Może też słyszeliście takie mowy? W ten sposób niemieccy mężczyźni ratują się przed Bogiem. W takich wypadkach mam zwyczaj mówić: "To bardzo interesujące. Ma pan tu Biblię. Proszę mi pokazać, gdzie jest napisane, że Kain wywędrował do obcego kraju, aby szukać tam żony?". Ludzie czerwienią się gwałtownie. "No tak, – mówię – jeżeli odrzuca pan Biblię, dzięki której tysiące mądrych ludzi uwierzyło, to znaczy, że chce pan być od nich mądrzejszy i na pewno przestudiował pan Biblię bardzo dokładnie. Więc gdzie to jest napisane?" I wtedy okazuje się, że nie wiedzą. Otwieram więc Biblię i czytam. A tam jest napisane, że Kain odszedł do obcego kraju i obcował ze swoją żoną. Tę żonę zabrał po prostu ze sobą. Kim była ta żona? Adam i Ewa mieli wiele córek i wielu synów. I żoną Kaina była jedna z jego sióstr. W Biblii wyraźnie

jest napisane, że Bóg chciał, aby z jednego rodu powstał cały rodzaj ludzki. Na początku więc rodzeństwo musiało wstępować w związki małżeńskie między sobą. Dopiero później Bóg tego zabronił. Czy to jasne? Jasne! Mówię więc takiemu rozmówcy: "Pańskie niemądre gadanie okazuje się wobec tego zupełnie pozbawione podstaw". Czy myślicie, że to skłoniło tego człowieka do przyjęcia wiary? Nic podobnego! Natychmiast wystąpił z nowym pytaniem: "Panie pastorze, niech pan powie, czy..." i tak dalej. Widać z tego jasno, że mógłbym odpowiedzieć mu na sto tysięcy pytań, a on dalej upierałby się przy swoim. Wiara nie przychodzi przez rozum, tylko przez sumienie.

Moim poprzednikiem w Essen był pastor i kaznodzieja przebudzeniowy, Julius Dammann. Kiedyś przyszedł do niego młody człowiek i też zaczął od pytania o żonę Kaina i o inne rzeczy w tym rodzaju. Dammann załatwił sprawę krótko: "Młody człowieku, – powiedział – Jezus Chrystus nie przyszedł na świat po to, by odpowiadać na sofistyczne pytania, ale po to, by zbawiać grzeszników. Proszę przyjść do mnie, gdy uzna pan siebie za biednego grzesznika!". Uwierzyć w Zbawiciela mogą ludzie, których sumienie jest niespokojne, którzy wiedzą, że ich życie nie jest w porządku, że sami z nim sobie nie poradzą. Rozum schodzi tu na plan dalszy.

Przeżyłem kiedyś historię, którą muszę wam powiedzieć. Podczas wizyt szpitalnych wszedłem raz do pokoju, w którym leżało sześciu mężczyzn. Przywitali mnie z radością, mówiąc: "Ach, pan pastor! Jak to dobrze, że pan przyszedł! Mamy do pana pytanie". Widzę, że przygotowali mi jakąś pułapkę, ale mówię z dobrą miną: "Pytanie? To bardzo miłe. Jakież to pytanie?". I jeden z nich spytał, podczas gdy inni czekali w napięciu: "Pan przecież wierzy, że Bóg jest wszechmocny?". "Wierzę". "Więc chcielibyśmy spytać, czy Bóg może stworzyć tak ciężki kamień, że sam nie będzie go mógł podnieść?" Rozumiecie, na czym polega dowcip? Jeżeli powiem "tak", to Bóg nie jest wszechmocny, jeżeli powiem "nie", to Bóg też nie jest wszechmocny. Zastanowiłem się przez chwilę, czy mam mu spróbować to wytłumaczyć, ale nagle poczułem, że mam tego dość!

Powiedziałem więc: "Młody człowieku, najpierw chciałbym się dowiedzieć, czy to zagadnienie kosztowało już pana bezsennością?". Bardzo się zdziwił: "Bezsennością? Nie!". Oświadczyłem wobec tego, że muszę oszczędzać swoje siły i mogę odpowiadać tylko na takie pytania, przez które ludzie nie mogą w nocy spać. "Niech mi pan powie, młody człowieku, z jakiego powodu miewa pan bezsenne noce?". A on na to bez namysłu: "Ach, z powodu tej sprawy z moją dziewczyną. Oczekuje dziecka, a nie możemy się jeszcze pobrać!". "Tak – powiedziałem – i pan z tego powodu nie może spać. No to porozmawiajmy na ten temat". Zdziwił się: "A cóż to ma wspólnego z chrześcijaństwem?". "O, ta historia z kamieniem nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem, natomiast historia z dziewczyną ma wiele wspólnego. Przecież pan jest winny. Przekroczył pan Boże przykazania, uwiódł pan tę dziewczynę. A teraz zastanawia się pan, jakby się tu z tej afery wykręcić i chce pan popełnić jeszcze większy grzech. Jest pan uwikłany w winę i grzech, i tylko nawrócenie się do żywego Boga może panu pomóc. Jeżeli wyzna pan swój grzech, to Zbawiciel panu pomoże". Młody człowiek słuchał i nagle pojął, że Jezus interesuje się nim i jego obciążonym sumieniem, że może mu pomóc i uratować jego chybione życie.

Rozumiecie – ten młody człowiek chciał dojść do wiary przez rozum i dał się nabrać na różne brednie. Skoro jednak poruszyło się w nim sumienie, wszystko nagle stało się jasne. Rozumiecie, o co tu chodzi? Nie zdobędziemy pewności zbawienia, otrzymując odpowiedź na sofistyczne pytania. Musimy przyznać słuszność naszemu sumieniu i przyznać, że zgrzeszyliśmy. Wtedy pojmiemy, że Zbawiciel został ukrzyżowany, aby nasze grzechy były nam odpuszczone. "On mnie przyjął!" Droga prowadzi przez sumienie, nie przez rozum.

Jeżeli chce się dojść do pewności zbawienia, to trzeba – jeśli mogę się tak wyrazić – podjąć pewne ryzyko. W kościołach często widzimy kolorowe witraże. Oglądając je z zewnątrz w biały dzień, mamy wrażenie, że szyby są ciemne, bo kolory są prawie niewidoczne. Dopiero po wejściu do środka kościoła widzimy cały przepych barw. Tak samo jest z wiarą. Dopóki patrzę na nią z zewnątrz – nie mogę nic

zrozumieć. Wszystko wydaje mi się ciemne. Muszę wejść do środka. Muszę odważyć się na spotkanie z Jezusem. Muszę Mu zawierzyć, oddać Mu swoje życie. Wtedy wszystko się rozjaśnia. Jest to krok od śmierci ku życiu i kto go uczyni, ten w jednym mgnieniu oka pojmie, czym jest chrześcijaństwo.

Kiedy Pan Jezus nauczał, słuchały Go wielkie tłumy. I zdarzyło się, że nauczając powiedział takie straszne słowa: "Tacy, jacy jesteście, nie możecie wejść do Królestwa Bożego. Musicie narodzić się na nowo. Nawet ci najlepsi nie nadają się do Królestwa Bożego!". Z tyłu stało kilku mężczyzn, którzy usłyszawszy to powiedzieli: "Chodźmy stąd. Cóż to za zuchwała i twarda mowa!" I trzech z nich odeszło. Zobaczyło to sześć kobiet i jedna z nich powiedziała: "Patrzcie, mężczyźni odchodzą. Chodźmy stąd też". I kobiety również poszły. Zobaczyło to kilku chłopców, którzy pomyśleli: "Mężczyźni odchodzą, kobiety odchodzą, to my również pójdziemy sobie". I tak powoli tłum zaczął topnieć. To musiało być okropne! Wyobrażam sobie, jak bym się czuł, gdyby tak teraz moi słuchacze zaczęli wstawać i wychodzić podczas kazania i nagle zostałbym tu sam z kilkoma tylko wiernymi zwolennikami. A tak stało się wtedy, gdy Jezus mówił. Tysiące ludzi odeszły, bo nie chciały Go już słuchać, i Jezus został sam. Straszne! Tylko dwunastu uczniów nie ruszyło się z miejsca. Gdybym był Panem Jezusem, zacząłbym prosić: "Ach, chociaż wy zostańcie przy mnie! Nie opuszczajcie mnie, moi wierni uczniowie!". Ale Jezus tak nie powiedział. Po prostu spytał: "Czy i wy chcecie odejść?". Innymi słowy znaczyło to, że jeżeli chcą, mogą odejść. W Królestwie Bożym nie istnieje przymus. Jest to jedyne Królestwo, w którym nie ma policji. Panuje tam całkowita dobrowolność.

Tak więc Jezus spytał: "Czy i wy chcecie odejść?". A uczniowie mieli na to wielką ochotę. Kiedy sześć tysięcy ludzi ucieka, to chciałoby się uciec razem z nimi. A tu jeszcze Pan Jezus daje im wolną rękę: proszę bardzo, idźcie. Chcecie być zgubieni, chcecie pójść do piekła, chcecie być bezbożnikami – wolna wola. Jak chcecie!

Apostoł Piotr stał i zastanawiał się: "Dokąd ja pójdę? Wróć do

swojej ciężkiej pracy, do życia pełnego brudów i grzechu? A na końcu czeka mnie śmierć i piekło. Nie chcę tego!". Wzrok jego padł na Jezusa i nagle Piotr pojął z wszelką pewnością: tylko życie z Jezusem ma jakiś sens! I powiedział: "Panie! Do kogo pójdziemy? Ty masz słowa żywota wiecznego. A myśmy uwierzyli i poznali – (słyszycie: to jest pewność!) – że Ty jesteś Chrystusem, Synem Boga żywego". I zostali przy Nim.

Moi przyjaciele, tak dochodzi się do pewności. Patrząc na rozliczne drogi życia i poznając, że Jezus jest dla nas jedyną szansą. Och, życzę wam, abyście również nabrali tej promiennej pewności, żebyście mogli powiedzieć: "Myśmy uwierzyli i poznali, że Ty jesteś Chrystusem, Synem Boga żywego".

Na zakończenie chciałbym jeszcze powiedzieć parę słów tym spośród was, którzy zaczęli już wierzyć, którzy ofiarowali Jezusowi swoje serce, ale ciągle jeszcze mówią: "Nie mam pewności zbawienia. Jakże mogę ją mieć, moje życie wciąż jeszcze pełne jest grzechu!". Tym poważnie myślącym ludziom chcę powiedzieć: czy sądzicie, że pewnym zbawienia można być dopiero wtedy, gdy osiągnęło się stan bezgrzeszny? W takim wypadku musielibyście czekać, aż znajdziecie się w niebie! Ja do ostatniego dnia życia, do ostatniego oddechu będę potrzebował krwi Jezusowej na odpuszczenie grzechów!

Znacie historię o synu marnotrawnym, który wrócił do domu i powiedział: "Ojcze, zgrzeszyłem...", a ojciec przyjął go i wyprawił wielką ucztę? No więc, wyobrażam sobie czasem taką scenę. Następnego ranka syn podczas śniadania potrącił niechcący filiżankę, która spadła i rozbiła się. Żyjąc wśród świń, odzwyczaił się od siedzenia przy nakrytym stole. Filiżanka rozbiła się z brzękiem, a on zaczął kłąć: psiakrew! – i tak dalej. Czy ojciec go wyrzucił z domu, krzycząc: "Wynoś się do swoich świń!""? Jak sądzicie? Oczywiście, że nie! Ojciec powiedział sobie: przecież go przyjąłem. I zaczął mu tłumaczyć: "Mój synu, nie trzeba tak robić. Będziemy się starali, żebyś nie zrzucił filiżanek, nie kłął i powoli przyzwyczaił się do obyczajów panujących w domu". Nie odesłał go z powrotem do świń. Widzicie, gdy człowiek oddaje siebie na własność Jezusowi, to nagle

odkrywa coś strasznego: jego stara natura wciąż się odzywa. Człowiek wciąż przeżywa porażki. Ale jeżeli po nawróceniu zdarzy się wam ponieść klęskę, nie rozpaczajcie, tylko uklękniście i pomódlcie się. Najpierw powiedzcie: "Panie, dziękuję Ci, że wciąż należę do Ciebie". Potem powiedzcie: "Przebacz mi przez krew Twoją". I wreszcie: "Uwolnij mnie od mojej starej natury!". Ale przede wszystkim powiedzcie: "Panie, dziękuję Ci, że wciąż jeszcze należę do Ciebie".

Pewność zbawienia polega na tym, że wiem: "Wróciłem do domu i walczę teraz o uświęcenie jako ten, kto wrócił do domu, a nie ten, który wciąż na nowo jest z niego wyrzucany i wraca". Jeżeli w kazaniu głosi się pogląd, że o zbawienie trzeba codziennie na nowo walczyć, to jest to przerażające kazanie. Moje dzieci nie muszą przychodzić co rano i pytać: "Tatusiu, czy dzisiaj znowu wolno nam być twoimi dziećmi?". One SĄ moimi dziećmi. A ten, kto raz został dzieckiem Bożym, jest nim i swoją walkę o uświęcenie prowadzi jako dziecko Boże.

Życzę wam z całego serca tej promiennej i promieniującej pewności dzieci Bożych!

CZY CHRZEŚCIJAŃSTWO JEST SPRAWĄ PRYWATNĄ?

Często słyszy się zdanie, że religia jest sprawą prywatną. Czy to jest słuszne? My spytamy teraz: czy chrześcijaństwo jest sprawą prywatną? A właściwie jeszcze lepiej będzie spytać: czy bycie chrześcijaninem jest sprawą prywatną?

Zanim odpowiem na to pytanie, pozwólcie, że najpierw postawię inne pytanie: co znajduje się na monecie? Orzeł czy reszka? I jedno i drugie. Moneta ma dwie strony. Podobnie ma się sprawa z chrześcijaństwem. Ma dwie strony – prywatną i publiczną. Na pytanie, czy chrześcijaństwo jest sprawą prywatną, musimy odpowiedzieć: i tak, i nie.

Prawdziwe, żywe życie chrześcijańskie ma dwie strony: jedną całkowicie prywatną i drugą – publiczną. Jeżeli którejs z tych stron brakuje, to coś jest nie w porządku.

Chcę wam teraz pokazać te dwie strony prawdziwie chrześcijańskiego życia, które sprawia Duch Święty.

1. BYCIE CHRZEŚCIJANINEM MA SWOJĄ CZYSTO PRYWATNĄ STRONĘ

Zacznę od historii, która pomoże wam zrozumieć, o co chodzi. Ktoś mnie kiedyś nazwał "opowiadaczem historii". Odpowiedziałem na to: "To żaden wstyd. Zawsze bardzo się boję, że ludzie w kościele zaczną zasypiać. Opowiadając niekiedy jakąś historię, mam pewność, że nie zasną". A poza tym – przecież całe życie składa się z różnych historii, a nie z teoretycznych rozważań.

W Nadrenii żył w zeszłym stuleciu wielki kaznodzieja przebudzeniowy, Johann Heinrich Volkening. Dzięki jego kazaniom cały kraj wokół Bielefeld przeżył rzeczywistą przemianę. Tego Volkeninga wezwano pewnego wieczoru do bogatego chłopca, który miał duże gospodarstwo i był porządnym, dzielnym człowiekiem, ale z całego serca nienawidził kazań przebudzeniowych. Był to jeden z tych ludzi, którzy nie przyznają, że są grzesznikami. Mówił, że czyni

dobrze i nie boi się nikogo. Nie potrzebował też żadnego ukrzyżowanego Zbawiciela. Więc, jak mówiłem, pewnego dnia wezwano Volkeninga, bo człowiek ten śmiertelnie zachorował i chciał przystąpić do Stołu Pańskiego. Trzeba wam wiedzieć, że Volkening był potężnie zbudowany i miał przenikliwe niebieskie oczy. Przyszedł, stanął przy łóżku chorego i długą chwilę przyglądał się mu w milczeniu, po czym powiedział: "Hinrich, boję się o was, bardzo się boję. Tak jak się sprawy mają w tej chwili, to wcale nie pójdziecie do nieba, tylko do piekła". To powiedziawszy odwrócił się i wyszedł. Bogaty chłop rozzłościł się: "To ma być ksiądz! To ma być chrześcijańska miłość?!"

Nadeszła noc. Ciężko chory leży i myśli: "Nie pójdę do nieba, tylko do piekła? A jeżeli to prawda?". Poruszyło się w nim sumienie. Przypomniał sobie nagle różne grzechy. Nie oddawał czci Bogu, sprytnie oszukiwał innych... Następnej nocy ogarnął go wielki niepokój. Zobaczył z trwogą, że w życiu jego było wiele zła i że absolutnie nie jest dzieckiem Bożym. Teraz już poważnie zaczął myśleć o nawróceniu. Po trzech dniach zawołał: "Żono, idź po Volkeninga!". Był już późny wieczór, ale Volkening przyszedł natychmiast. Chory był bardzo niespokojny: "Pastorze, myślę, że muszę się nawrócić!". "Tak – odpowiedział Volkening – pomalutku, po cichutku, to przychodzi z wiekiem! W potrzebie wołają, ale pokuta w potrzebie, to martwa pokuta. Tu trzeba czegoś innego!" To powiedziawszy odwrócił się i wyszedł. Teraz dopiero chory wpadł w złość! – Wy byście też byli wściekli na takiego pastora, prawda? Ostatecznie pastor lepiej by na tym wyszedł, gdyby życzliwie odniósł się do bogatego chłopca. A przy tym wyglądało przecież na to, że ten człowiek wkrótce umrze. Ale Volkening był mężem, który stał przed Bogiem i wiedział, co mówi.

Trzy dni jeszcze przeszły, zanim chory wpadł w prawdziwą rozpacz. Wiedział teraz, że musi umrzeć. A w życiu jego nie było miłości, radości, pokoju, cierpliwości, życzliwości, dobroci, wiary, łagodności, czystości. Przez całe życie lekcewał Zbawiciela, który za niego umarł. Wypędził Tego, który stał przed nim przynosząc mu

miłość. A teraz pełen rozpaczy zobaczył, że znajduje się na progu piekła.

"Żono, idź po pastora!" Ale żona nie chciała pójść: "Nie pójdę! On ci nic nie pomoże!". "Żono, przyprowadź go. Idę prosto do piekła!" I żona poszła. Volkening przyszedł i zastał człowieka, który pojął sens tych słów: "Nie błǳcie, Bóg się nie da z siebie naśmiewać, albowiem co człowiek sieje, to i żąć będzie".

Volkening przysunął krzesło do łóżka, usiadł i spytał: "No i co, zgadza się, że zmierzasz do piekła?". "Zgadza się!" I wtedy Volkening powiedział: "Hinrich, pójdziemy na Golgotę. Jezus umarł również za ciebie". I w pełnych miłości słowach opowiedział mu, jak Jezus ratuje grzeszników. Pokazał, że człowiek musi najpierw uznać sam, że jest grzesznikiem. Musi przestać mówić: "Czynię dobrze i nie boję się nikogo!". Musi poznać prawdę. Wtedy Jezus może człowieka zbawić. Chory zrozumiał, że Jezus umarł za niego na krzyżu, że zapłacił za jego grzechy. I że tylko On może ofiarować mu sprawiedliwość ważną przed Bogiem. Po raz pierwszy ten bogaty chłop modlił się naprawdę: "Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! Panie Jezus, uratuj mnie przed piekłem!".

Volkening cicho odszedł, zostawiając go wzywającego Jezusa. Odszedł spokojny, bo w Biblii trzykrotnie napisano: "Každy bowiem, kto wzywa imienia Pańskiego, zbawiony będzie". Przyszedszy następnego dnia zastał człowieka, który otrzymał pokój z Bogiem. "Co słyhać u ciebie, Hinrichu?" A Hinrich odpowiedział: "On przyjął mnie – z łaski!". Stał się cud.

W ten sposób, widzicie, dumny chłop narodził się na nowo. A teraz uważajcie, co wam powiem. Pewnej nocy przyszedł do Jezusa uczony mąż i powiedział, że chciałby z Nim podyskutować na temat zagadnień religijnych. Ale Pan Jezus odpowiedział, że tu nie ma o czym dyskutować. "Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, jeśli się kto nie narodzi na nowo, nie może ujrzeć Królestwa Bożego". Na to ten mąż spytał: "Jakże się może człowiek narodzić, gdy jest stary? Czyż może powtórnie wejść do łona matki swojej i urodzić się?". A Jezus powtórzył: "...jeśli się kto nie narodzi z wody i z Ducha, nie może

wejść do Królestwa Bożego". I to jest ta prywatna strona życia chrześcijanina, że wchodzi do żywota przez ciasną bramę, że rodzi się na nowo dzięki wielkiemu cudowi sprawionemu przez Boga.

To, co wam mówię, to nie są błaha teologiczne rozważania. Tu chodzi o wasze zbawienie. Zastanówcie się nad tym, bo może się zdarzyć, że gdy będziecie umierali, nie będzie przy was takiego Volkeninga! Do narodzenia na nowo potrzebne jest przyznanie Bogu racji, że jestem człowiekiem zgubionym i że moje serce jest złe. Do narodzenia na nowo potrzebna jest tęsknota do Jezusa, jedyne Zbawcy świata. Do narodzenia na nowo potrzebne jest szczere wyznanie Zbawicielowi, że zgrzeszyło się przeciwko niebu i wobec Niego. Do narodzenia na nowo potrzebna jest wiara, że "krew Jezusa Chrystusa (...) oczyszcza nas od wszelkiego grzechu." Że on zapłacił za mnie i ofiarował mi sprawiedliwość ważną przed Bogiem. Do narodzenia na nowo potrzebne jest zdecydowane oddanie swego życia Jezusowi. I do narodzenia na nowo potrzeba, by Duch Święty wam powiedział: "Jesteś przyjęty." W Biblii nazywa się to "opieczętowaniem". Jeżeli nie narodzicie się na nowo, nie wejdziecie do Królestwa Bożego! Kto jednak stał się dzieckiem Bożym, ten ma pewność. Moi przyjaciele, jeżeli tonę i ktoś mnie wyciągnie z wody, to wiem, że jestem uratowany, ponieważ siedzę na ziemi i mogę spokojnie oddychać!

I, widzicie, to jest ta prywatna strona życia chrześcijańskiego. Każdy musi sam przez to przejść, aby przejść ze śmierci do życia. Ach, gdy patrzę wstecz i myślę, w jaki sposób stałem się własnością Jezusa – wydaje mi się to cudem. Żyłem daleko od Boga, popełniając wszystkie grzechy. A potem w moje życie wszedł Jezus. Teraz należę do Niego i chciałbym całe życie ostrzegać ludzi przed zgubą i wzywać ich do Jezusa. Proszę was, nie spoczniście, zanim nie narodzicie się na nowo i nie będziecie mieli pewności, że: "Bóg obietnice swe spełni; wieczne i pewne są, Jezus potwierdził je w pełni świętą, niewinną krwią".

Jednakże narodzenie na nowo jest dopiero początkiem prywatnego życia chrześcijanina. Konieczny jest ciąg dalszy.

Od kiedy się nawróciłem, stało się dla mnie jasne, że muszę codziennie słyszeć głos mojego Przyjaciela. Zacząłem więc czytać Biblię. Ludzie dzisiejsi sądzą, że tylko ksiądz czyta Biblię. W pobliżu mojego domu w Essen jest park, do którego chętnie chodzę rano i spacerując czytam moją Biblię. Widzą mnie mieszkający w okolicy ludzie i kiedyś jeden z nich powiedział mi: "Widuję często, jak czyta pan brewiarz". Brewiarz odmawiają księża katolicy. Ale ten człowiek nie mógł sobie wyobrazić, że pastor czyta księgę, którą może czytać każdy.

Na obozie młodzieżowym zawsze zbieramy się jeszcze przed śniadaniem na krótkie rozmyślanie. Najpierw śpiewamy jakąś pieśń poranną, na przykład "Kiedy ranne wstają zorze..." i czytamy hasło na dany dzień. A potem wybieram im jakiś tekst z Biblii. Każdy siada w kącie i czyta po cichu. To samo robią w domu, bo ci, którzy uwierzyli, nie mogą żyć nie słysząc głosu Dobrego Pasterza i nie rozmawiając z Nim. A teraz prosba do was: ożywcie swoje prywatne życie chrześcijanina czytaniem Nowego Testamentu przez kwadrans rano lub wieczorem! Po zamknięciu Nowego Testamentu złożcie ręce i powiedzcie: "Panie Jezu, muszę z Tobą pomówić. Mam dziś tyle do zrobienia! Pomóż mi! I ustrzeż mnie od popełniania moich ulubionych grzechów. Daj, bym mógł miłować innych ludzi. Ześlij mi Ducha Świętego". Módlcie się! Rozmawiajcie z Jezusem. On jest i słyszy was. Do prywatnej strony życia chrześcijanina należy również rozmowa z jego Panem.

Niedawno powiedziałem pewnemu wierzącemu panu: "Potrzebne jest panu codzienne spędzanie cichego kwadransu z Jezusem". "Ależ panie pastorze – odrzekł – przecież ja nie jestem księdzem. Ksiądz ma na to czas, ale ja? Ja jestem bardzo zajęty!" Spytałem go wtedy, czy udaje mu się zawsze załatwić wszystko co miał w planie na dany dzień. Przyznał, że nigdy mu się nie udaje. "Widzi pan – powiedziałem – to pochodzi stąd, że pan nie spędza cichego kwadransu z Jezusem. Jeżeli pan się przyzwyczai do codziennej porannej rozmowy z Jezusem, przeczytania paru wierszy z Ewangelii i krótkiej modlitwy, to zobaczy pan, że nagle zacznie pan bez trudu

radzić sobie ze wszystkim. Tak, im więcej ma się do zrobienia, tym bardziej potrzebuje się tego cichego kwadransa. Być może później zrobi się z tego pół godziny, bo będzie pan chciał przedstawić Zbawicielowi jakieś sprawy szczególnie pana poruszające. W każdym razie wszystko nagle zacznie iść lepiej. Mówię to z doświadczenia. Mnie też zdarza się niekiedy, że ledwo wstanę z łóżka – już dzwoni telefon, potem zaglądam do gazety, potem znowu telefon, i już przychodzi ktoś z jakąś sprawą. Kręcę się, ale cały dzień jestem zdenerwowany i nic mi nie wychodzi. I nagle przypominam sobie, że przecież wcale nie rozmawiałem dziś z Jezusem i nie dałem Jemu przyjąć do głosu. Nic więc nie mogło mi się udać".

Widzicie, cichy kwadrans z Jezusem też należy do tej prywatnej strony życia chrześcijanina. Następnie należy do niej codzienne umartwianie swojej natury. Rozmawiałem w życiu z wieloma ludźmi. I właściwie wszyscy na coś się skarżyli. Żony na mężów, mężowie na żony, rodzice na dzieci, a dzieci na rodziców. Spróbujcie to sobie wyobrazić – pokazujecie palcem jakiegoś człowieka i mówicie: "On jest winien, że nie jestem szczęśliwy!", i w tej samej chwili trzy inne palce wskazują na was samych! Wierzcie mi: jeżeli będziecie spędzali cichy kwadrans z Jezusem, to On wam ukaze, że wasze nieszczęścia mają źródło w was samych. Macie kłopoty w małżeństwie, macie trudności w pracy, ponieważ nie żyjecie z Bogiem. Chrześcijanie muszą codziennie uczyć się umartwiania swojej natury.

Opowiem wam coś z moich osobistych przeżyć. Spędziłem kiedyś osiem dni na obozie z pięćdziesięcioma współpracownikami mojej pracy z młodzieżą w Essen. Było wprost niewypowiedzianie pięknie. Byliśmy ze sobą ogromnie szczęśliwi, był to błogosławiony czas. Mimo to niekiedy pojawiały się małe tarcia i trudności. Ostatniego dnia, przed wspólnym przystąpieniem do Stołu Pańskiego, ludzie nagle zaczęli podchodzić jeden do drugiego, mówiąc: "Ty, wybac mi, że..." Ja musiałem pójść do trzech i powiedzieć: "Ty, wybac mi, że cię wtedy ofuknąłem!". Jeden z nich powiedział: "Przecież pan miał słuszność!". "Tak, ale mimo to wybac mi!" Widzicie, nie było mi łatwo upokorzyć się przed dwudziestolatkiem, ale nie miałem spokoju,

póki tego nie zrobiłem.

Podczas tych cichych chwil spędzanych z Jezusem wy też nauczycie się umartwiać codziennie swoją naturę. I zobaczycie, jak wszystko wokół was zmieni się i wypięknieje. To należy również do zupełnie prywatnej strony chrześcijańskiego życia. A jeżeli nie macie o tym pojęcia, to proszę bardzo, abyście przestali nazywać siebie chrześcijanami!

Chodząc ulicami, myślę sobie nieraz, że niemal wszyscy ludzie, których spotykam, są chrześcijanami. Gdybym zatrzymał kogoś i spytał: "Przepraszam, czy jest pan chrześcijaninem?" – odpowiedziały mi: "Oczywiście! Chyba nie myśli pan, że jestem mahometaninem!". Ale gdybym go spytał następnie, czy zdarzyło mu się już nie spać z radości, że jest chrześcijaninem, to usłyszałbym w odpowiedzi: "Czy pan zwariował?!". Tak to jest: chrześcijaństwo bez radości, że jest się chrześcijaninem! Ani śladu radości. Z chwilą jednak, gdy przeżyjecie narodzenie na nowo, pojmiecie, co to znaczy "Radujcie się w Panu zawsze; powtarzam, radujcie się?!".

Moi przyjaciele, niedawno przeczytałem z moją młodzieżą wspaniałe słowa w Biblii: "Ale dla was, którzy boicie się mojego imienia, wszędzie słońce sprawiedliwości – (to Jezus) – z uzdrowieniem na swoich skrzydłach". To piękne, prawda? A wiecie co jest dalej? Dalej jest tak: "I będziecie wychodzić z podskakiwaniem, jak cielęta wychodzące z obory!". Cudownie powiedziane! Rzadko zdarza mi się spotkać chrześcijan, którzy by radując się swoim Zbawicielem podskakiwali jak cielęta wychodzące z obory! Dlaczego tego nie umiemy robić? Bo nie jesteśmy naprawdę chrześcijanami. Myślę o mojej drogiej matce. Po niej zawsze było widać tę niepoohamowaną radość w Panu. Myślę również o innych ludziach, którzy dali mi się poznać jako radośni chrześcijanie. Starzejąc się, chciałbym coraz bardziej radować się w Panu. Do tego jednak potrzeba naprawdę być chrześcijaninem, w pełni, a nie tylko odrobinę!

Tak, to jest więc jedna strona życia chrześcijańskiego. "Czy bycie chrześcijaninem ma swoją prywatną stronę?". Tak, jest to sprawa

czysto prywatna.

Teraz jednak przyjrzyjmy się drugiej stronie monety. Bo prawdziwe, żywe życie chrześcijanina ma drugą stronę, publiczną, którą każdy może zobaczyć.

2. BYCIE CHRZEŚCIJANINEM JEST SPRAWĄ PUBLICZNĄ

Publiczną stroną życia chrześcijanina jest przede wszystkim włączenie się w społeczność chrześcijan. To jest bardzo ważne, co teraz mówię: prawdziwi chrześcijanie przyłączają się do tych, którzy również chcą być zbawieni!

W każdą niedzielę odbywa się nabożeństwo. Dlaczego was na nim nie ma? Odpowiedzcie, że słuchacie nabożeństwa przez radio. Nie mówię tu o chorych, oni niech się cieszą radiowym nabożeństwem, ale wy? Bardzo mizerne jest to wasze chrześcijaństwo, jeżeli nie czujecie potrzeby brania udziału w prawdziwym nabożeństwie razem z innymi chrześcijanami! Tak nie powinno być.

Około trzechsetnego roku po narodzeniu Chrystusa – a więc bardzo dawno temu! – na tronie Rzymskiego Imperium zasiadł wspaniały człowiek: Dioklecjan. Był on synem wyzwoleńca i doszedł aż do godności cesarza wielkiego Państwa Rzymskiego. Chrześcijaństwo było już wtedy szeroko rozpowszechnione. Cesarz Dioklecjan wiedział dobrze, że jego poprzednicy prześladowali chrześcijan. Postanowił jednak, że nie będzie tak głupi, żeby prześladować najlepszych ludzi: "Niech sobie wierzą, w co chcą. U mnie każdy może wyznawać taką religię, jaka mu się podoba". Był to jak na cesarza dość rzadki, choć zupełnie dobry punkt widzenia. Wielcy tego świata bowiem zawsze chętnie rządzą sumieniami poddanych. Cesarz Dioklecjan miał młodego współpracownika imieniem Galeriusz, który miał kiedyś zostać jego następcą. Pewnego dnia Galeriusz powiedział do cesarza: "Posłuchaj, Dioklecjanie. Jeżeli tych chrześcijan tak będzie przybywało, to zrobi się wielkie zamieszanie, bo oni ciągle mówią o swoim Królu, Jezusie. Musimy coś przeciwko nim przedsięwziąć". "Ach! – odpowiedział Dioklecjan – Daj mi spokój!

Przez 250 lat moi poprzednicy prześladowali chrześcijan i nic nie wskórali, a ja mam teraz znowu zaczynać?" Bardzo to było mądrze ze strony tego człowieka. Ale Galeriusz ciągle do tego wracał: "Chrześcijanie, to szczególnie ludzie. Mówią, że mają Ducha Świętego, którego inni nie mają, i że oni będą zbawieni, a inni ludzie – nie. To bardzo pyszni ludzie. Musisz coś z nimi zrobić!" Jednakże Dioklecjan nie zgodził się na prześladowanie chrześcijan. Galeriusz wciąż nie dawał za wygraną i naprzykrzał się cesarzowi dłużej, niż mógłbym to tu opowiadać. I w końcu Dioklecjan zmieknął i postanowił, że zabroni urządzania chrześcijańskich zebrań. Wydano więc dekret: "Każdy kto chce, może być chrześcijaninem. Natomiast nie wolno urządzać zebrań chrześcijańskich. To jest zabronione pod karą śmierci". Każdy mógł być chrześcijaninem, dopóki traktował to jako sprawę prywatną, ale publicznie nie wolno było im się zbierać.

Starsi zborów zebrali się na radę: "Co robić? Czy nie lepiej będzie ustąpić? U siebie w domu każdy może robić, co chce i nic mu nie będzie groziło". A oto co powiedzieli zagrożeni prześladowaniem chrześcijanie (to bardzo interesujące!): "Zbieranie się na wspólną modlitwę, śpiew, zwiastowanie i słuchanie należy do życia chrześcijańskiego. Po prostu będziemy nadal się zbierali". I rzeczywiście nadal zbierali się w zborze. Galeriusz triumfował: "Widzisz, Dioklecjanie! To są wrogowie państwa. Są nieposłuszni". I wtedy rozpoczęło się jedno z najokrutniejszych prześladowań chrześcijan. Wielu z nich poddało się, mówiąc: "W domu też można być chrześcijaninem. Nie będziemy chodzili na zebrania". Ci uratowali swoje życie. Ale zbor chrześcijański uznał ich za odstępców: "Kto nie przychodzi na nasze zebrania, ten jest odstępcą".

Należałoby to powiedzieć dzisiejszym chrześcijanom. Takich odstępców jest dziś wielu. Ludzie w tamtych czasach mieli rację, że przeciwstawili się cesarskiemu dekretowi. W Biblii zupełnie jasno jest powiedziane: "Nie opuszczajcie wspólnych zebrań naszych, jak to jest u niektórych w zwyczaju..." Dziś trzeba by powiedzieć: "...jak to jest u niemal wszystkich w zwyczaju!". I dlatego proszę tych spośród was, którzy chcą być zbawieni: przyłączcie się do tych, którzy

chrześcijaństwo traktują poważnie!

Istnieje wiele możliwości. Jest zbor, są domowe koła biblijne, godziny biblijne, koła młodzieży. Proszę was serdecznie: poszukajcie jakiejś społeczności. Pewien Francuz powiedział mi: "Jeden lubi jeść śledzie, drugi lubi chodzić do kościoła". Ale to nie jest tak. Jest o wiele groźniej: jeden zmierza do piekła, drugi przyłącza się do chrześcijan! Tak jest! A jeżeli naprawdę chcecie być naśladowcami Jezusa, pójdźcie do swojego pastora i spytajcie go, gdzie będziecie mogli usłyszeć coś więcej o Jezusie. Żaden nie odpowie, że u niego nic się nie dzieje, bo wszędzie są ludzie, którzy kochają Jezusa. Być może jest ich niewielu i może są to trochę dziwni ludzie, ale jeżeli nie będziecie mieli udziału w chrześcijańskiej społeczności, to wasze życie chrześcijanina obumrze!

Zebrania chrześcijan winny się składać z czterech elementów: śpiew, słuchanie zwiastowania, modlitwa i składanie ofiary. Są to cztery elementy chrześcijańskiego zgromadzenia. Tak było już u pierwszych chrześcijan. Są to zewnętrzne przejawy życia z Boga.

Istnieje tylko jeden rodzaj chrześcijaństwa, taki, w którym łączymy się z innymi chrześcijanami. W Biblii czytamy: "My wiemy, że przeszliśmy ze śmierci do żywota, bo miłujemy braci..." A to oznacza, że kogo nie ciągnie do innych chrześcijan, ten jest jeszcze duchowo martwy.

Nigdy nie zapomnę przepięknego początku mojej pierwszej służby w Bielefeld, gdzie byłem pomocniczym kaznodzieją w jednej z dzielnic. Na nabożeństwa przychodziło zaledwie parę osób. Bóg zrzucił jednak, że w któryś sobotni wieczór wdałem się w dyskusję z wolnomyślicielami, którzy zbierali się w czerwonym Domu Ludowym. Rozmowa trwała do pierwszej w nocy, po czym właściciel wyrzucił nas na ulicę. Padał deszcz. Po raz pierwszy zebrało się wokół mnie około stu mężczyzn, robotników fabrycznych z mojej dzielnicy. Staliśmy pod latarnią. Oni pytali, ja odpowiadałem. Rozmawialiśmy już długo o Jezusie, że przyszedł z innego świata. Rozmawialiśmy długo o tym, że oni są nieszczęśliwi, że to wcale nieprawda, jakoby nie mieli żadnych grzechów na sumieniu, i że w gruncie rzeczy

wierzą, iż istnieje Wieczność i Sąd Boży. O godzinie drugiej powiedziałem: "Idę do domu. Jutro rano, o pół do dziesiątej mam nabożeństwo. Wiem, że chętnie byście przyszli, gdyby jeden nie bał się drugiego". Wszyscy oni byli Westfalczykami, a ten, który stał przede mną, miał około 35 lat i był Westfalczykiem z krwi i kości. "Co? – powiedział – ja się boję? Jeszcze czego!" "Człowieku, uspokój się! – odrzekłem – Dopiero miałbyś za swoje w fabryce, gdybyś w niedzielę pobiegł do kościoła. Tego się boisz". "Nie boję się! – powtórzył – Jutro rano przyjdę ze śpiewnikiem pod pachą!"

No i w niedzielę rano – a więc w parę godzin później – przemaszzerował ten Westfalczyk ulicami ze śpiewnikiem pod pachą i przyszedł na nabożeństwo. W tej dzielnicy oczywiście wszyscy się znali. W poniedziałek wieczorem przyszedł do mnie i powiada: "Miał pan rację. W fabryce zagotowało się, wszyscy byli oburzeni, że byłem w kościele. Przekonałem się, że panuje u nas terror – krzyczymy o wolności, a jesteśmy żalonymi niewolnikami ludzi. Wygarnąłem im to i już do nich nie należę. A teraz niech mi pan opowie jeszcze o Jezusie!". Był on pierwszym z moich zdecydowanie nawróconych.

I, widzicie, zaczęło się od tego, że przyszedł na nabożeństwo do malutkiego, ubogiego zboru. A gdy jeden wytrwał przy swoim, przyszli za nim inni. Wystarczyło zrobić wyłom! Później Bóg sprawił, że w zborze zapanowało ożywienie. Wtedy jednak uczyniłem interesujące spostrzeżenie, że ci robotnicy podjęli decyzję dzięki przyjściu do nas – do społeczności chrześcijan.

Zaklinam was na zbawienie waszych dusz – przyłączcie się do społeczności chrześcijan. Nie zajmuję się propagandą na rzecz Kościoła i pastorów, czy jakichś społeczności i kierujących nimi braci. Chodzi mi tylko i przede wszystkim o wasze zbawienie.

Drugą sprawą należącą do publicznej strony życia chrześcijańskiego jest otwarte wyznawanie Jezusa.

My, w Niemczech, znaleźliśmy się w zwariowanej sytuacji. Ludzie myślą, że skoro płacą podatek kościelny, to głoszenie Ewangelii mogą pozostawić pastorom. Ich osobiście nic to nie obchodzi. Życzyłbym sobie czasem, żeby to idiotyczne płacenie podatków raz się skończyło.

Wtedy może uczniowie i uczennice Jezusa zrozumieliby, że nie tylko rzeczą pastora, ale również ich samych jest troska, by imię Jezusa wyznawane było tam, gdzie się znajdują: w fabryce, w biurze, w szkole. Czy wyznaliście już kiedyś publicznie: "Prawdą jest, że Jezus żyje! Przeklinanie jest grzechem! To wstyd przed Bogiem, że opowiadacie tu świńskie kawały!""? Czy wyznaliście już kiedyś, że należycie do Jezusa? Ludzie zaczęliby wtedy uważnie słuchać. I powiem wam jedno: dopóki nie odważamy się głośno wyznawać naszego Zbawiciela, dopóty nie jesteśmy w ogóle prawdziwymi chrześcijanami!

Jezus powiedział – słuchajcie uważnie! – "Każdego (...), który mnie wyzna przed ludźmi, i Ja wyznam przed Ojcem moim, który jest w niebie; ale tego, kto by się mnie zaparł przed ludźmi, i Ja się zaprę przed Ojcem moim, który jest w niebie". Jakież to będzie straszne, gdy kiedyś, w dzień Sądu, chrześcijanie wystąpią i powiedzą: "Panie Jezu, myśmy też w Ciebie wierzyli!" – a Jezus powie do Ojca: "Nie znam ich!". "Panie Jezu, ja przecież..." "Nie znam cię! – powie Pan Jezus. – Twój sąsiad nie wiedział, że zmierza do piekła, a ty go nie ostrzegłeś, chociaż sam znałeś drogę do żywota. Milczałeś we wszystkich językach świata, gdy trzeba było otworzyć usta i wyznawać twojego Zbawiciela". Może odpowiecie wtedy: "Tak, ale moja wiara była taka słaba!". A Pan Jezus odpowie: "To trzeba było wyznawać swoją słabą wiarę! Nawet słaba wiara ma mocnego Zbawiciela. A poza tym nie musiałeś wyznawać swojej wiary, tylko mnie. Nie znam ciebie!".

"Każdego, który mnie wyzna przed ludźmi, i Ja wyznam przed ojcem moim, który jest w niebie; ale tego, kto by się mnie zaparł przed ludźmi, i Ja się zaprę przed Ojcem moim, który jest w niebie". Tak mówi Jezus. A On nie kłamie. Kiedyż nabierzemy znowu odwagi, by otworzyć usta?

Muszę wam opowiedzieć jeszcze jedną historię. Kilka tygodni temu przemawiałem w jednym z miast Zagłębia Ruhry. Odczyty zorganizował mój przyjaciel Gustaw, młody majster w warsztacie mechaniki pojazdowej. Ten Gustaw stał się radosnym i pełnym mocy świadkiem Jezusa dzięki temu, że w rozstrzygającej chwili nauczył się

wyznawać Jezusa. Pewnego ranka, w poniedziałek, przyszedł jak zawsze do warsztatu. Koledzy zaczęli opowiadać, kto jakie bezceństwa wyprawiał w niedzielę. Jeden chwali się: "Urzneliśmy się tak, że nam piwo uszami się wylewało!". Drugi opowiada jakiegoś historie o dziewczynach. "A gdzie ty byłeś?" – pytają Gustawa. Był on wtedy jeszcze uczniem. "Rano byłem na nabożeństwie – odpowiedział – a po południu na zebraniu młodzieży u pastora Buscha". Na głowę małego ucznia posypały się drwiny, a on stał z głupią miną. I nagle ogarnęła go wściekłość. Czeladnicy i majstrowie wyśmiewali go, a on myślał: "Dlaczego w chrześcijańskim kraju wolno głośno przyznawać się do robienia świństw, a nie wolno wyznawać Zbawiciela?". Postanowił w tym momencie pozyskać wszystkich w warsztatach dla Jezusa. Zaczął od współuczniów. Brał każdego po kolei na rozmowę i mówił: "Słuchaj, pójdiesz do piekła! Chodź ze mną, zaprowadzę cię do Domu Weigla, na zebranie młodzieży. Tam usłyszysz o Jezusie". Kiedy po zdaniu egzaminu na mistrza odchodził z warsztatu, panowała tam zupełnie inna atmosfera. Sam przekonałem się o tym. W naszym kole młodzieży było kilku uczniów. Trzech czeladników należało do Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Młodych Mężczyzn. W warsztacie nikt się nie odważał opowiadać nieprzyzwoitych kawałów. Jeżeli jakiś nowy pracownik zaczynał brudną rozmowę, ostrzegano go: "Zamknij się, człowieku, Gustaw idzie!". Koledzy nabrali do niego szacunku. Dziś Gustaw ma bardzo dobrą pracę – sam prowadzi duży warsztat samochodowy. Bóg pobłogosławił go również w sprawach doczesnych.

Pytam raz jeszcze: gdzie znajdują się wreszcie chrześcijanie, którzy będą mieli odwagę otworzyć usta i wyznawać swojego Pana? Wzrastamy wewnętrznie w takiej mierze, w jakiej to czynimy. Czy bycie chrześcijaninem jest sprawą prywatną? Nie. Jesteśmy światu winni świadectwo o Jezusie. Skończcie z tym tchórzliwym milczeniem! Inaczej Jezus nie przyzna się do was na Sądzie Ostatecznym!

Gdy w Trzeciej Rzeszy zaczęto nagminnie wcielać do Służby Pracy młodzież w wieku 16-17 lat, dawałem każdemu z moich chłopców

małą Biblię i mówiłem: "Uważajcie! Jak tylko będziecie na miejscu, zaraz pierwszego wieczoru połóżcie Biblię na stole, otwórzcie i zaczniecie czytać przy wszystkich. Zrobi się straszna awantura. Ale następnego dnia będziecie już to mieli poza sobą. Jeżeli nie zaczniecie pierwszego dnia, to nigdy nie dacie sobie rady". I ci chłopcy tak zrobili, od razu pierwszego dnia kładli Biblię na widocznym miejscu. Za każdym razem działało to jak wybuch granatu, bo wśród niemieckich chrześcijan każdy może czytać dowolne świństwo, ale Biblii nie może czytać. A mojemu przyjacielowi Paulowi – niestety poległ później – zdarzyło się, że następnego ranka, gdy otworzył swoją szafkę, nie znalazł w niej Biblii. Rozejrzał się i zobaczył, że wszyscy uśmiechają się drwiąco. "Ukradliście mi moją Biblię?" – spytał. Odpowiedziały mu nie artykułowane pomruki. "Gdzie jest moja Biblia?" "Komendant zabrał". Paul zrozumiał, że teraz sprawa stanie na ostrzu noża. Po służbie wycofał się do jakiegoś kąta i zaczął się modlić: "Panie Jezu, jestem tu zupełnie samotny. Mam dopiero 17 lat. Proszę Cię nie opuszczaj mnie teraz! Pomóż mi, abym mógł Cię wyznawać!". Potem zapukał do drzwi komendanta. "Proszę!" Komendant siedział przy biurku, a na biurku leżała Biblia Paula. "Czego chcesz?" "Proszę pana komendanta o zwrócenie mi mojej Biblii. To moja własność". "A! – powiedział komendant i zaczął przerzucać kartki Biblii. – Więc to twoja własność? "Tak jest, panie komendancie. Biblia jest niebezpieczna, nawet gdy leży zamknięta w szafie. Nawet wtedy szerzy niepokój". Bum! Komendant wyprostował się: "Siadaj!". I nagle wyznał: "Ja też chciałem kiedyś studiować teologię!". "A potem odstąpił pan komendant od wiary?" – spytał Paul. I zaczęła się cudowna rozmowa, w czasie której mężczyzna koło czterdziestki powiedział siedemnastoletniemu chłopcu: "Jestem w gruncie rzeczy bardzo nieszczęśliwy. Ale nie mogę się cofnąć. Zbyt wiele musiałbym poświęcić". A chłopiec odpowiedział: "Biedny komendancie! Ale przecież Jezus wart jest każdej ofiary!". Komendant odprawił chłopca słowami: "Idź już. Jesteś szczęśliwym człowiekiem". "Tak jest, panie komendancie!" – potwierdził Paul i odszedł ze swoją Biblią. A w obozie nikt mu więcej nie powiedział ani

słowa na temat czytania Biblii!

Ach, gdzież są chrześcijanie mający odwagę przyznać się do swoich przekonań?!

Czy być chrześcijaninem, to sprawa prywatna? Tak! Narodzenie na nowo i wiara mają swoje korzenie w najtajniejszym zakątku serca.

Czy być chrześcijaninem, to sprawa prywatna? Nie! Chrześcijanie łączą się w społeczności, gromadzą wspólnie na nabożeństwie, tworzą domowe koła biblijne, koła młodzieży, koła kobiet, koła mężczyzn. Chrześcijanie otwierają usta i wyznają swego Pana. Świat musi zobaczyć, że z Jezusem na ziemię przyszedł ogień zapalony przez Boga!

KIEDY NASTĄPI KONIEC ŚWIATA?

Niedawno rozmawiałem z pewnym przemysłowcem. W trakcie rozmowy poklepał mnie po ramieniu i powiedział: "To tak pięknie, panie pastorze, że nakłania pan młodzież ku dobremu!". Odpowiedziałem na to: "Jeżeli mam być zupełnie szczery, to niewiele sobie po tym obiecuję. W Biblii napisane jest, że serce ludzkie jest złe od samej młodości. Sądzę, że napominanie niezbyt tu pomaga. Ja chciałbym dla nich czegoś zupełnie innego". "Czego by pan chciał?" "Bardzo bym chciał, żeby ci chłopcy stali się własnością Pana Jezusa i po wszystkie czasy byli dziećmi Bożymi". "Ależ, panie pastorze, co pan mówi! Nie bujajmy w obłokach! Musimy stać na twardym gruncie!" Dobrze powiedziane, co? – musimy stać na twardym gruncie! Roześmiałem się głośno i powiedziałem: "Na jakim gruncie chce pan stać, kochany dyrektorze? Czy pan nie zauważył jeszcze, że ten grunt pod naszymi stopami dawno zaczął się chwiać?"

Sądzę, że nie trzeba być nawet dyrektorem przemysłowego przedsiębiorstwa, żeby zauważyć, że grunt pod naszymi nogami stał się bardzo niepewny. Współczesny człowiek nękanym jest lękiem. Wszyscy pragną poczucia bezpieczeństwa i nigdzie nie mogą go znaleźć. Jeden zakłada sobie konto w banku szwajcarskim, inny buduje sobie schron w Boliwii. Szukamy bezpieczeństwa i wiemy, że ono nie istnieje. I dlatego w naszych czasach powróciło z całą siłą pytanie o dalsze losy świata. Charakterystyczną cechą naszych czasów jest pytanie: kiedy nastąpi koniec świata?

Przed kilkoma laty znany szwajcarski pisarz Durrenmatt napisał sztukę teatralną pt. "Fizycy". Kończy się ona bardzo ponurą prognozą, że użycie bomb atomowych i wytracenie całej ludzkości jest rzeczą nieuniknioną, że ludzie sami się zniszczą. A radioaktywna kula ziemską będzie krążyła bezustannie i bezsensownie w kosmosie. To się po prostu widzi, jak ta wymarła, spustoszona ziemia krąży w kosmosie! Godne uwagi jest, że współczesny pisarz tak brutalnie mówi o końcu świata. Ja jednak nie wierzę, że tak się stanie. Gdybym

powiedział Durrenmattowi, że nie wierzę, i on by się mnie spytał, dlaczego, przecież to jasne, że tak się skończy. – Ponieważ Pan Jezus powiedział, że ród ludzki nie zginie aż do końca. Nie może więc świat skończyć się w ten sposób, mimo że wszystko na to wskazuje.

Oczywiście, zależy, komu chcemy wierzyć.

Istnieją dwie niezgodne z prawem Bożym metody upewnienia się co do przyszłości.

Jedną z nich opanował do perfekcji Goebbels. Polega ona na tym, że wymyśla się sobie coś na temat przyszłości. Pamiętam jak dziś jego słowa: za pięć lat miasta niemieckie będą piękniejsze niż kiedykolwiek. Metoda polega więc na projekcji własnych życzeń na ekran z mgły spowijającej przyszłość. Mistrzami są w tym tak zwani Świadkowie Jehowy. My, starsi, pamiętamy jeszcze, jak w roku 1925 na każdym rogu ulicy wisiały plakaty z napisem: "Miliony żyjących obecnie ludzi nie umrą". To hasło wymyślili "Badacze Pisma Świętego". W kilka lat później umierało się jak nigdy przedtem w całej historii świata. Badacze Pisma Świętego zmienili potem nazwę na "Świadkowie Jehowy" i prawdopodobnie znowu wymyślą coś ładnego na temat przyszłości.

Drugą taką metodą jest zasięganie porad u wróżbitów. Na tym nie znam się zupełnie i nie chcę się znać. Powiem wam, dlaczego nie chcę nic wiedzieć o przepowiadaniu przyszłości, spirytyzmie, wróżeniu z kart, horoskopach i tak dalej. W mojej Biblii mówi się o tym parokrotnie, a brzmi to mniej więcej tak: „Tak mówi Pan: Kto zwróci się do wywoływaczy duchów i do wróżbitów, to zwrócę przeciw niemu swoje oblicze i wytracę go spośród ludu Bożego”. Taki jest sens tych wypowiedzi. A ponieważ ja przykładam ogromną wagę do tego, by należeć do ludu Bożego i zostać zbawionym, więc wystrzegam się kontaktów z takimi sprawami. A jeżeli ktoś z was wdał się w te historie, to proszę was na zbawienie waszych dusz – usiądźcie w ciszy, wezwijcie Jezusa, wyznajcie Mu ten grzech i proście o wybaczenie!

Zdecydowałem się ufać Słowu Bożemu w Biblii. Po pierwsze, Słowo to oświeca i nosi pieczęć prawdy. Po drugie, mężowie w Biblii

stwierdzają: "Tak mówi Pan". Istnieje więc słuszna droga dowiedzenia się czegoś na temat przeszłości, bo mówi o niej Biblia.

Gdy ostatnia wojna osiągnęła swój punkt szczytowy, Gestapo zabroniło mi podróżować i wygłaszać odczyty. Tylko w Essen wolno mi było jeszcze przemawiać. Prowadząc co wieczór godzinę biblijną w jakiejś piwnicy ginącego pod gradem bomb miasta, miałem poza tym sporo wolnego czasu. Wykorzystywałem ten czas na gruntowne studiowanie Objawienia świętego Jana, ostatniej Księgi Biblii. Pojąłem wtedy, że ta księga jest niezwykle aktualna. I postanowiłem przekazać dalej to, czego się z niej nauczyłem.

Chcę wam teraz opowiedzieć, jak precyzyjnie opisana jest w Biblii przyszłość.

1. JEZUS PRZYJDZIE PONOWNIE

O tym Biblia mówi bardzo wyraźnie. W centrum chrześcijańskiego oczekiwania przyszłości znajduje się wielkie wydarzenie: wzgardzony Jezus Chrystus przyjdzie ponownie w chwale.

Podczas gdy Jezus wstępował do nieba, uczniowie Jego stali i patrzyli, jak zniknął w innym wymiarze. W Biblii czytamy: "...i obłok wziął Go sprzed ich oczu". Obok uczniów stanęło nagle dwóch posłańców Bożych, którzy powiedzieli: "Ten Jezus, który od was został wzięty w górę do nieba, tak przyjdzie, jak Go widzieliście idącego do nieba". Jezus przyjdzie ponownie! Z wymiaru, w którym przebywa Bóg, Jezus zjawi się któregoś dnia w naszym trójwymiarowym świecie! To jest nadzieją chrześcijan.

Muszę wam teraz opowiedzieć, w jaki sposób ta trochę obco brzmiąca Nowina stała się dla mnie zupełnie jasna i zrozumiała. Jakies 35 lat temu przybyłem do Essen jako zupełnie młody pastor, aby pracować w dzielnicy zamieszkałej przez górników. Ich było 12 tysięcy, a ja byłem jeden i miałem zaledwie 27 lat. Nikt nie chciał słuchać mojego zwiastowania. Pośrodku dzielnicy znajdował się duży, ponury plac otoczony czynszowymi domami. W jednym rogu tego placu uchował się mały domek, w którym urządziłem salkę i zacząłem

prowadzić godziny biblijne. Pięknie było, gdy stopniowo zaczęli pojawiać się ludzie: paru górników, paru komunistów czy wolnomysłieli, którzy chcieli posłuchać, co też ten "klecha" ma do powiedzenia, parę staruszek, kilkoro dzieci, dwóch - trzech młodych chłopców. Śmieszne jednak, że obecność tej małej społeczności wzburzyła całą ludność dzielnicy. Skończyło się na tym, że przeszkadzano nam za każdym razem, gdy mieliśmy zebranie. Kiedyś wybito nam okna, więc założyliśmy okiennice. Następnym razem zbombardowano je kamieniami. Później grano w piłkę nożną blaszankami tuż przed drzwiami salki, które wychodziły prosto na ulicę. Nie mogłem usłyszeć ani słowa z tego, co mówiłem. Innym razem urządzono przed drzwiami "kocią muzykę". A kiedy indziej śpiewano: "My się nikogo nie boimy, ni Boga, ni cesarza, bo się sami wybawimy..." i tak dalej. A my, siedząc w środku, śpiewaliśmy: "Bóg jest miłością, On mnie odkupił..." i tak dalej. To były czasy! Ale pewnego dnia przed naszymi drzwiami rozpętało się prawdziwe piekło. Jeszcze nigdy nie było tak źle. I nagle coś trzasnęło w drzwi i ciężko upadło na ziemię. Pomyślałem, że ktoś rzucił bombę. Usłyszałem tupot nóg uciekających ludzi. Serca w nas zamarły. Na dworze zapanowała cisza. Otworzyłem gwałtownie drzwi i zobaczyłem leżący w kałuży ogromny żelazny krucyfiks. Poznałem go – został zerwany z katolickiego przytułku dla mężczyzn, który znajdował się w pobliżu. Rzucili go przed naszymi drzwiami: "Macie tu swojego Chrystusa! Do błota z Nim!". Był ciemny listopadowy wieczór. Padał deszcz. Stałem na tym ponurym placu otoczonym czynszowymi domami i wieżami wiertniczymi. Przedemną w kałuży leżał krzyż, za mną stała mała gromadka drżących ze strachu ludzi.

Wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela w kałuży! Pomyślałem, że Bóg miałby tysiącokrotne powody, by zostawić ten świat jego losowi. Ale nie zrobił tego! Posłał swego Syna. A ten Syn uczynił coś niesłychanego: wziął na siebie nasze winy i dał się ukrzyżować. A człowiek, zamiast upaść przed tym Zbawicielem na kolana i wielbić Go, bierze Jego wizerunek i wrzuca do kałuży. W ten sposób człowiek splota w wyciągniętą dłoń Boga! Ale wiecie, tamci ludzie

przynajmniej nienawidzili Jezusa. A dzisiaj nawet się Go nie nienawidzi. Jego krzyż rzuca się w błoto z zupełną obojętnością. Tamtego wieczoru jednak płonął we mnie głuchy gniew. Myślałem: "Co Bóg teraz zrobi? Teraz powinien z nieba spaść ogień!". Ale z nieba nie spadł ogień. Nadal szumiał deszcz, a wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela leżał w kałuży. Z daleka usłyszałem szyderczy śmiech. Wyśmiewali się ze mnie. I wtedy nagle pojąłem: "Przecież to się tak nie skończy. Syn Boży, który umarł za ten świat, nie zawsze będzie otaczany wzgardą. Jego moc i majestat są tu zakryte. Ale przyjdzie dzień, – jest to zgodne z logiką – że ten świat, który Nim wzgardził, zobaczy, że był On jedyną szansą dla nas, ludzi i że On jest Królem świata. On przyjdzie ponownie w chwale! I gdy tak stałem w ten deszczowy wieczór wśród mojego małego zboru, mając przed sobą ponury plac i leżący w kałuży krzyż, poczułem pierwszy raz głęboką radość na myśl, że Jezus przyjdzie ponownie! Weszliśmy z powrotem do naszej salki, podszedłem do pulpitu, otworzyłem Biblię na Ewangelii Mateusza i przeczytałem: "...i ujrzą Syna Człowieczego przychodzącego na obłokach nieba z wielką mocą i chwałą". Od tego czasu cieszę się na to.

Cieszę się. Widząc, jak świat otacza wzgardą mojego Zbawiciela, który ratuje od śmierci, odpuszcza grzechy, zbawia i błogosławi – cieszę się, że przyjdzie dzień, kiedy opadnie z Niego płaszcz wzgardy. i On przyjdzie ponownie, okryty chwałą!

W dużym klubie dla młodzieży w Essen wisiał, gdy przyszedłem tam po raz pierwszy, tylko jeden obraz. W ogromnej sali, dokąd przychodzą setki młodych ludzi, wisiał na ścianie obraz przedstawiający ponowne przyjście Pana Jezusa. U dołu namalowane było miasto, nad nim obłoki, a wysoko wśród obłoków biały koń, na którym siedział Król unoszący w górę przebitą na krzyżu dłoń. Powiedziałem do mojego poprzednika, pastora Weigle'a: "Powiesiłeś tu tylko ten jeden obraz. Czy nie wygląda on trochę śmiesznie w domu dla młodzieży? Ja bym tu powiesił coś innego". Usłyszałem na to: "Drogi Bracie Busch! Chłopcy przez cały tydzień chodzą do biur, szkół, fabryk i kopalni. Wyznając tam Pana Jezusa narażają się na

drwiny i szyderstwa. Nie chcąc brać udziału w grzesznych rozrywkach, są celem zaczepek, wszyscy się z nich wyśmiewają. Często upadają więc na duchu. Niechże ten obraz mówi im, gdy tu przychodzą: "W górę serca. Z grobu nocy dnia trzeciego wyszedł Pan jak zwycięzca w pełni mocy; tron królewski jest Mu dan..."

Sam doświadczyłem w życiu potęgi tej wspaniałej nadziei. W czasach Trzeciej Rzeszy zostałem raz aresztowany w Darmstadt, po wyjściu z zebrania, na którym mówiłem o Jezusie. Kazano mi usiąść w samochodzie obok oficera SS. Naokoło stał tłum, setki ludzi. Oficer dał rozkaz odjazdu. Ale silnik nie chciał zaskoczyć. Był to na pewno dobry wóz, ale silnik nie zaskoczył. "Jazda, człowieku!" – wrzasnął oficer, który razem ze mną siedział z tyłu. Nic to jednak nie pomogło, silnik nie chciał ruszyć. Nagle z tłumu stojącego na schodach kościoła rozległ się donośny głos młodego człowieka: "W górę serca! Z grobu nocy dnia trzeciego wyszedł Pan jak zwycięzca w pełni mocy; tron królewski jest Mu dan. Jak Baranek był zabity, jako Król zaś z martwych wstał, w Nim zwycięstwa źródło obfite wszystkim przezeń Ojciec dał". Młody człowiek zaśpiewał to i zniknął w tłumie. Tymczasem samochód ruszył. Powiedziałem do oficera: "Biedny z pana człowiek. Przecież to ja jestem po stronie, która zwycięży!". Wzdrygnął się na to i zamruczał: "Ja też przedtem byłem w Chrześcijańskim Związku Młodych Mężczyzn". "Tak, – powiedziałem – a teraz aresztuje pan chrześcijan? Bardzo mi pana żal. Nie chciałbym się z panem zamienić na miejsca!" Tak rozmawiając dojechaliśmy do więzienia, ale ja miałem przed oczami ponowne przyjście Jezusa.

Im mroczniejszy jest czas, w którym żyjemy, tym ważniejsze jest oczekiwanie ponownego przyjścia Jezusa.

Widzicie, to przyjście Jezusa w chwale będzie trzecim przyjściem Jego na tę ziemię.

Po raz pierwszy przyszedł, kiedy stał się Człowiekiem. Leżał wtedy w żłóbku w Betlejem, dzieciątko zrodzone przez Marię. Obchodzimy to, święcąc Boże Narodzenie, o ile w ogóle wiemy jeszcze, o co tu chodzi: o ile wiemy, że Syn Boży stał się

Człowiekiem, aby z nas uczynić Dzieci Boże, a samemu być naszym Bratem.

Drugie przyjście Jezusa odbywa się w duchu – teraz, w dniu dzisiejszym. On powiedział: "Oto stoję u drzwi i kołaczę; jeśli ktoś usłyszy głos mój i otworzy drzwi, wstąpię do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze mną". Czy wiecie, dlaczego prowadzi się ewangelizację? Dlatego, że chcemy pomóc Panu Jezusowi przyjść do was. W Biblii napisano: "Tym, zaś, którzy Go przyjęli, dał prawo stać się dziećmi Bożymi". Musicie otworzyć Mu wasze serca!

Po raz trzeci przyjdzie w chwale tu, na tę ziemię. Taka jest konsekwencja wydarzeń. Mieliśmy już wszelkie możliwe systemy rządzenia: monarchia konstytucyjna i absolutna, demokracja prezydencka i demokracja ludowa, dyktatura i bo ja wiem co jeszcze. Przekonaliśmy się, że wszystkie one są niewiele warte. A teraz musi jeszcze przyjść Jezus, mój Król, i musi pokazać, czy umie rządzić!

2. JAKIE WYDARZENIA POPRZEDZĄ PONOWNE PRZYJŚCIE JEZUSA

W Biblii powiedziane jest, że historia świata będzie się jeszcze toczyła przez stulecia. Ale w pewnym momencie, prawie niezauważalnie, przyjdzie czas, w którym historia świata zacznie się chylić ku końcowi. Ten czas chcę tu określić wyrażeniem, którego nie ma w Biblii. Nazwiemy go OKRESEM SCHYŁKOWYM.

Biblia mówi, że nadejdzie czas ogólnej bezradności, czas, w którym problemy ludzkości przerosną ją o głowę. W tym schyłkowym okresie wyjdzie na jaw cała bezradność i bezsilność człowieka. Sam Pan Jezus wymienił cztery cechy charakteryzujące ten okres.

Pierwszą cechą jest polityczny chaos. Jezus tak to wyraził: "Powstanie naród przeciwko narodowi i królestwo przeciwko królestwu..." Nigdy jeszcze tak wielu wysoko płatnych dyplomatów nie odbywało tak wielu kosztownych konferencji, jak w naszych czasach. I nigdy jeszcze nie wydawano tak dużo pieniędzy na bezsensowne zbrojenia, jak dziś. Za sumy przeznaczone na produkcję

broni jądrowej można by wybudować wiele wielkich miast i zlikwidować głód mieszkaniowy. Zamiast tego mówi się: musimy się zbroić! Najmniejsze państwo musi mieć bombę atomową! A jednocześnie nigdy jeszcze narody nie pragnęły tak bardzo pokoju. Wszyscy chcemy pokoju. Żaden człowiek nie chce wojny. I wszyscy zbroją się jak szaleni. Po tym można poznać polityczny chaos okresu schyłkowego.

Drugą wymienioną przez Jezusa cechą jest bezradność w dziedzinie gospodarczej. Jezus powiedział: "...i będzie głód". Ziemia rodzi tyle, że wszyscy ludzie mogliby być syci. Nigdy nie było tylu uczonych ekonomistów, ilu jest dzisiaj. Gospodarka światowa również nigdy jeszcze nie była tak skomplikowana. A mimo to według sprawozdań ONZ przeszło połowa mieszkańców ziemi jest niedożywiona. Czyż wysoko cywilizowane społeczeństwa, produkujące tak wiele dóbr, nie mogłyby nakarmić ludzi do syta? A jednak nam się to nie udaje. Gospodarcza bezradność rośnie.

Jako trzecią cechą charakterystyczną dla okresu schyłkowego, w którym problemy przerosną ludzkość o głowę, wymienia Jezus chaos religijny. Jezus mówi: "Albowiem wielu przyjdzie w imieniu moim, mówiąc: "Jam jest Chrystus, i wielu zwiodą". Będziemy więc słyszeli: tu jest Chrystus! Tam jest Chrystus!

Przyszedł do mnie niedawno młody człowiek i powiedział: "W co ja właściwie mam wierzyć? Jest wyznanie rzymskokatolickie, greckokatolickie, są reformowani, luteranie, metodyści, baptyści, zielonoświątkowcy, Świadkowie Jehowy, jest islam, buddyzm itd. W co człowiek ma wierzyć?". Roześmiałem się i powiedziałem: "Młody człowieku, bądź spokojny, będzie jeszcze gorzej. Biblia to mówi!".

Jest to cechą okresu schyłkowego. Ponieważ ludzie nie rozpoznają już Słowa Bożego, diabeł mąci im w głowach. A Bóg na to pozwala. "Tu jest Chrystus, tam jest Chrystus!" Ten religijny chaos jest straszny. Kiedy widzę, jak ludzie w wielkich miastach gonią za każdą religijną sensacją, to ogarnia mnie przerażenie. A przy okazji chciałbym wam powiedzieć, że żaden ewangelizator nie jest w stanie was zbawić. Jeżeli sami nie znajdziecie Zbawiciela, to w wieczności

nic wam nie pomoże!

Istnieje jeszcze czwarty znak wskazujący na nadejście tego schyłkowego okresu. W Biblii powiedziane jest, że rozproszony lud Izraela zbierze się w Palestynie. To, że powstało państwo izraelskie, jest dla mnie najbardziej wstrząsającym znakiem czasu. Niektórzy mówią, że to jeszcze nic nie znaczy. Ale gdy niedawno stałem na granicy szwajcarskiej, czekając na celnika, a przede mną stał samochód z tablicą rejestracyjną Izraela, musiałem pomyśleć: "Oto wypełniają się obietnice biblijne! Obwieszczają to numery rejestracyjne aut!"

Mój ojciec opowiadał, że w roku 1899 proponowano Żydom osiedlenie się w nowej ojczyźnie, którą miał być Madagaskar. Ale oni odmówili: "Nie! Obietnica, jaką nam dał Bóg, mówi o kraju naszych ojców!". Cały świat sądził wtedy, że do tego nigdy nie może dojść. A dziś istnieje państwo Izrael.

Okres schyłkowy charakteryzuje się więc tym, że mimo całego postępu ludzkość staje się coraz bardziej bezradna i nie może rozwiązać swoich problemów. Ujawnia się bezsilność człowieka. Jak długo ten okres będzie trwał, tego nie umiem wam powiedzieć. Biblia nie podaje liczby lat. Natomiast napomina nas: "Czuwajcie!". Paweł mówi: "Przeto nie śpijmy jak inni, lecz czuwajmy i bądźmy trzeźwi".

Przed ponownym przyjściem Jezusa, gdy bezradność osiągnie swój szczyt, nadejdzie jeszcze czas antychrysta. Ten czas nazwiemy CZASEM OSTATNIM. Świat, z powodu swojej bezradności, już dziś pragnie rządów silnego człowieka. A gdy bezradność ta osiągnie szczyt, wtedy przyjdzie potężny mąż, który mianuje siebie zbawcą świata. Ale to nie będzie Chrystus. To będzie antychryst.

Biblia mówi, że z morza narodów wyłoni się dyktator, który obejmie rządy nad światem. Nazywamy go antychrystem. Pod jego panowaniem świat się zjednoczy. Ten okres historii będzie się odznaczał upartym dążeniem człowieka do zbawienia świata za pomocą polityki i programów gospodarczych. Będzie to ostatnia próba. Biblia fascynująco opisuje tę ostatnią wielką dyktaturę. Mówi o tym za pomocą symbolicznych obrazów. Trzeba być oświeconym

przez Ducha Świętego, aby to zrozumieć. Powiem wam, jak Biblia mówi o antychryście, tym ostatnim tyranie. Jan miał wizję: "Stałem na piaszczystym wybrzeżu morskim i widziałem wychodzące z morza zwierzę, które miało dziesięć rogów i siedem głów, a na rogach jego dziesięć diademów, a na głowach jego bluźniercze imiona". Jak mamy rozumieć ten wspaniały obraz?

Morze jest symbolem świata narodów. Kto był nad morzem, wie, jak jest ono niespokojne, jak nigdy się nie uspokaja. Tak samo niespokojny jest świat narodów, zawsze się burzy. Ostatni „zbawca” świata wyjdzie z nizin, ze świata narodów. Wszyscy wielcy politycy ostatnich dziesięcioleci występowali jako „zbawcy”. Wszyscy pochodzili z ludu: mały Korsykanin Napoleon, mały starszy szeregowiec Hitler, szewc Stalin. Wszyscy oni są poprzednikami antychrysta. Pochodzili z nizin. A naród mówił uszczęśliwiony: "Oto jeden z nas!". Mój Zbawiciel, Jezus Chrystus, pochodzi natomiast nie z morza narodów, ale ze świata Boga. On jest Synem Boga żywego!

Antychrysta nazywa się zwierzęciem. Co to ma znaczyć? O człowieku powiedziano w Biblii, że Bóg stworzył go na swój obraz i podobieństwo. Im bardziej zwracam się ku Bogu, tym bardziej jestem ludzki. Im bardziej człowiek odwraca się od Boga, tym większą staje się bestią. Wielki wróg chrześcijaństwa, Nietzsche, powiedział, że najszlachetniejszy człowiek jest blond bestią. On to zrozumiał. Antychryst będzie człowiekiem, który całkowicie wyrzeknie się Boga. A odwróciwszy się od Boga stanie się zwierzęciem – bestią bez serca.

Jest to zwierzę mające wiele głów. Co to znaczy? To znaczy, że antychryst nie jest głupi. Ludzie powiedzą: "Ten to ma głowę na karku!". Dalej powiedziane jest w Biblii, że paszcza tego zwierzęcia jest jak "paszcza lwa". Znaczy to, że zaleje cały świat propagandą. Już kiedyś słyszeliśmy przez głośniki, co wydobywa się z "paszczy lwa". O, mogę sobie wyobrazić, jak z chwilą przyjścia antychrysta wszystko zostanie zrównane z ziemią przez obłądną propagandę. Wszystko będzie mu się udawało podczas tej ostatniej próby zbawienia świata bez Zbawiciela ludzkości, Jezusa Chrystusa. Człowiek będzie miał być zbawiony bez pokuty i nawrócenia. Wszystkie problemy zostaną

rozwiązane. Polityczne, bo antychryst utworzy jedno mocarstwo światowe. Gospodarcze – bo wszyscy będą mieli jednakowe kartki żywnościowe. Religijne – bo antychryst oświadczy, że on jest zbawicielem świata i wszyscy jemu mają oddawać cześć.

Niesamowicie czuje się człowiek, patrząc, jak nasze czasy zmierzają do tego ostatniego czasu.

W końcu przyjdzie chwila, w której cały świat będzie należał do antychrysta. Tylko chrześcijanie oświadczą, że nie będą go czcili. Każdy człowiek będzie obowiązany nosić znamię, ale chrześcijanie powiedzą: "Nie! Naszym Zbawicielem jest Jezus!". I wtedy zaczną się prześladowania. W Biblii są takie słowa: "...nikt nie może kupować ani sprzedawać, jeżeli nie ma znamienia zwierzęcia". Przed stu pięćdziesięcioma laty szwabski interpretator Biblii, Auberlen, tak to skomentował: "Nie możemy tego zrozumieć. Ale nauczymy się rozumieć, gdy przyjdzie ten czas". My już to rozumiemy, znamy już takie państwa totalitarne, wiemy, że człowiek, który się oprze, nie otrzyma zezwolenia na pobyt, nie dostanie kartek na chleb ani pozwolenia na pracę. Będzie mógł wierzyć, w co będzie chciał, ale pozbawi się go ojczyzny i praw. Już dziś dzieją się takie rzeczy.

Czytając Objawienie św. Jana, byłem wstrząśnięty i pomyślałem: "Są ludzie, którzy uważają, że Biblia jest przestarzała. Ale to nasze światopoglądy są przestarzałe. Biblia ukazuje nam przyszłość!".

Antychryst będzie tolerował wszystko z wyjątkiem przyznawania się do prawdziwego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa. I dlatego raz jeszcze nastąpi wielkie prześladowanie chrześcijan.

Opowiadałem kiedyś moim dzieciom o tych sprawach. Moja mała córeczka zaczęła płakać. "Dziecko, – spytałem – dlaczego płaczesz?" Odpowiedziała szlochając: "Bo to się może zacząć każdego dnia". "Tak, – przyznałem – rzeczywiście może". "A co będzie, jeżeli nie potrafię wtedy dochować wierności Zbawicielowi?" Odpowiedziałem: "To byłoby straszne. Ale ty musisz zrobić tylko jedno: musisz już dziś mocno się Jego trzymać!".

Ten czas może nadejść już jutro. I wtedy nie będziemy mieli już żadnej szansy znalezienia Jezusa. Nie będzie więcej nabożeństw.

Dzwony zostaną przetopione na pomniki antychrysta. W kościołach powstaną muzea, w których wystawiać się będzie fotografie pokazujące młode lata antychrysta. W tym czasie ludzie będą nieustannie wzywali pocieszenia. Ale ponieważ odrzucili jedyne Pocieszyciela, Jezusa, więc krzyk ich będzie daremny. Zrozpaczony człowiek wydany będzie na łaskę i niełaskę ludzi. Sądzę, że chrześcijan można będzie nazwać ludźmi szczęśliwymi, nawet jeśli będą musieli umierać. Oni jedni będą mieli Pocieszyciela w tym strasznym czasie.

Jestem wstrząśnięty, gdy czytam, że Jezus powiedział: "Ludzie omdlewać będą z trwogi w oczekiwaniu tych rzeczy, które przyjdą na świat..." A w Objawieniu św. Jana czytamy, że antychrysta mieszkańcy ziemi będą przyjmowali z podziwem i aplauzem. Kiedyś myślałem sobie: "Jak jedno ma się do drugiego? Z jednej strony mowa jest o trwodze i oczekiwaniu, a z drugiej o pokłonach i sukcesach". Odkąd jednak przeżyłem rok 1933, wiem, że świat może być pełen podziwu, bić pokłony i powiewać flagami, a jednocześnie żyć w trwodze oczekiwania rzeczy, które przyjdą...

W chwili, gdy antychryst będzie u szczytu władzy, gdy będzie triumfował, że zwyciężył Jezusa – na scenę wkroczy Bóg: Jezus przyjdzie ponownie, w chwale! O antychryście nie będzie już wtedy mowy. Jezus zabije go "tchnieniem ust swoich".

Im mroczniejszy czas, im wyraźniejsze oznaki bezradności ludzkiej, im mocniej występują zarysy państwa antychrysta, tym wyżej podnoszą głowy ludzie czytający Biblię, bo oni oczekują ponownego przyjścia Jezusa!

3. CO BĘDZIE SIĘ DZIAŁO PO PONOWNYM PRZYJŚCIU JEZUSA

W Biblii ukazane to jest w potężnych obrazach. Przede wszystkim powiedziane jest, że Jezus przez tysiąc lat będzie panował na ziemi jako Król. Prawdopodobnie znaczy to w języku biblijnym, że będzie on panował i rządził bardzo długo. Uważam, że jest to logiczne:

najpierw wyjdzie na jaw ludzka bezradność, potem nastąpi ostatnia próba zbawienia świata własnym wysiłkiem krnąbrnej ludzkości, a potem muszą przyjść rządy mojego Króla. A On umie rządzić! Wejdźcie do domów, w których rządzi Jezus. Są już dziś takie domy. Już wchodząc, poczujecie, że panuje w nich zupełnie inna atmosfera!

Znałem kiedyś młodą parę. Pewnego dnia on przyszedł do mnie i powiedział: "Chcę skapitulować przed Bogiem. Dotychczas byłem bezbożnikiem i publicznie występowałem przeciwko Bogu. Nie mogę już tego wytrzymać". Okazało się, że związek tej młodej pary rozleciał się: "Chciałem pokazać światu, że bez Boga też można być szczęśliwym we dwoje". Ale wszystko poszło źle. Nad zwłokami pierwszego dziecka pobili się. A teraz młody człowiek wyznał: "Bóg jest przeciwko nam. Poddaję się!". Pamiętam ten pogrzeb. To było straszne. Stałem nad trumną. Z jednej strony ojciec ze swoją rodziną, z drugiej młoda ładna matka z zaciętym wyrazem twarzy, otoczona swoimi krewnymi. Dwa światy, dwie rodziny – a między nimi nieżywe dziecko. Upłynął przeszło rok. I nie zapomnę, jak po Wielkanocy dostałem od tej kobiety list: "On zmartwychwstał również w moim sercu!". Młoda para wzięła ślub – przedtem żyli bez ślubu – i zaczęła wszystko od nowa. Byli to ludzie mądrzy i umiejący samodzielnie myśleć. W ich życiu wszystko się zmieniło. Gdy spytałem go – dlaczego?, odpowiedział: "Ponieważ teraz rządzi u nas Jezus. Moja żona nie mówi już: ja tu rządę!, i ja też już tak nie mówię. Razem zastanawiamy się, jaka jest wola Jezusa".

Pomyślałem sobie: jeżeli Jezus tak umie rządzić w naszych domach, że wszystko staje się piękne, dobre i wspaniałe, to cóż to będzie, gdy zacznie rządzić tą ziemią! Tysiącletnie Królestwo będzie czymś cudownym. Pomyślcie tylko – Jezus Królem! "Przyjdź Twe Królestwo! Przyjdź już szybko, Panie, racz w swojej chwale nam objawić się i już na wieki objąć panowanie! Niech cała ziemia kornie uczci Cię!"

Po okresie panowania Jezusa szczęśliwa ludzkość raz jeszcze zostanie wystawiona na próbę, która ma wykazać, czy serca ludzkie rzeczywiście zostały przemienione. Szatan będzie dosłownie szalał i

okaże się, że serce człowieka w gruncie rzeczy pozostało niezmienione, a ludzkość jest taka, jaka była zawsze. Biblia wspomina jeszcze o ostatnim buncie przeciwko Bogu. A potem nastąpi koniec świata. Systemy słoneczne rozlecą się, a pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminą. A dalej czytamy w Objawieniu. "I widziałem wielki, biały tron i tego, który na nim siedzi. (...) I widziałem umarłych, wielkich i małych, stojących przed tronem; i księgi zostały otwarte. (...) I jeżeli ktoś nie był zapisany w księdze żywota, został wrzucony do jeziora ognistego".

Ktoś spytał mnie kiedyś: "A gdzież stoi ten tron, jeżeli wszystko przeminęło?". Odpowiedziałem: "O to niech cię głowa nie boli. Raczej pomyśl o tym, jak będziesz wyglądał stojąc przed tym tronem!". Możemy zginąć! Wolałbym, aby ta straszliwa prawda nie była zapisana na kartach Biblii. Ale istnieje w naszym życiu ta okropna możliwość: możemy być na wieki potępieni!

Muszę tu opowiedzieć pewną historię. W zamku w Szkocji odbywało się przyjęcie. Towarzystwo zebrało się wokół kominka, na którym płonął ogień. Rozmowa zesła na chrześcijaństwo. Pewien elegancki starszy pan powiedział do pani domu: "Ze słów pani wnoszę, że jest pani chrześcijanką. Czy pani naprawdę wierzy w to, co napisane jest w Biblii?". "Tak". "W to, że zmarli zmartwychwstaną?" "Tak". "I w to, że wszyscy staniemy przed sądem?" "Tak". "I w to, że kto nie był zapisany w księdze żywota, ten pójdzie do piekła?" "Tak, wierzę w to". Na to ten pan wstał i podszedł do kąta, w którym wisiała klatka z papuzką. Wyjął ją z klatki, podszedł do kominka i zrobił ruch, jakby chciał ją wrzucić do ognia. Przerażona pani domu złapała go za rękę: "Co pan robi! Mój biedny ptaszek!". Na to pan wybuchnął śmiechem: "No proszę! Pani żałuje nawet tego ptaka, a pani tak zwany Bóg miłości posyła miliony ludzi do piekła. Zabawny jest ten Bóg miłości!". Przez chwilę panowała cisza, a potem pani domu powiedziała: "Pan się myli. Bóg nikogo nie posyła do piekła. To my sami, dobrowolnie tam idziemy. Bóg chce, aby wszyscy ludzie zostali zbawieni!".

W Biblii ukazany jest wstrząsający obraz Sądu Ostatecznego: "I

widziałem umarłych, wielkich i małych, stojących przed tronem..."

Człowiek gwałtownie protestuje przeciwko temu zwiastowaniu o Sądzie: "To nieprawda!". Jednego z moich młodych przyjaciół spytał kolega z fabryki: "Czy ty naprawdę wierzysz w Sąd Ostateczny?". "Tak, wierzę" – odpowiedział. Na to ten kolega drwiąco: "Słuchaj no! Ilu ludzi żyje teraz na świecie? A ilu umarło od początku świata? Możesz sobie wyobrazić, ile czasu potrzeba będzie, aby każdy stanął przed sądem?". Na to młody człowiek odpowiedział spokojnie: "Kiedy przyjdzie ta godzina, będziemy mieli bardzo dużo czasu, bo już nic innego nam nie pozostanie, jak tylko czekać".

Tak, Bóg będzie miał dla nas czas. Tu, na ziemi, sądząc każdego z nasz osobna, Bóg po raz ostatni daje nam poznać, jak poważnie nas traktuje. Ukazał to już dawniej, gdy Syn Jego za nas umarł. A jeżeli wy sami nie bierzecie poważnie swojego życia, pędząc je lekkomyślnie w grzechu, to bądźcie pewni, że Bóg potraktuje to poważnie. Objawi się to w dniu Sądu.

Historia świata kończy się w Biblii słowami: "I widziałem nowe niebo i nową ziemię..." A dalej opisany jest świat nowy. Biblia przedstawia go w surrealistycznych kolorach, spoza których prześwituje ten jeden fakt: Bóg osiągnął swój cel. Świat ten zamieszkały jest przez tych, którzy zapisani byli w księdze żywota i którzy upodobnili się do Niego, do Syna Bożego. Jest to świat bez policji, bez więzień, bez sądów, bez diabła, bez wojny, bez cierpień, bez grzechu, bez śmierci! Musicie sami przeczytać te dwa cudowne rozdziały Objawienia – rozdział 21 i 22. Są tam surrealistyczne obrazy, które wykraczają poza naszą możliwość pojmowania, bo my znamy tylko świat grzechu, cierpienia i śmierci. Chciałbym znaleźć się kiedyś w tym nowym Bożym świecie. A wy nie chcielibyście?

4. ALBO – ALBO!

Chciałbym podsumować teraz to wszystko, co powiedziałem. Widzicie, im dłużej studiuję opisany w Biblii obraz końca świata, tym

bardziej jestem przekonany, że będą wtedy na świecie już tylko dwa rodzaje ludzi: zbawieni i potępieni. I jeżeli mówicie, że Jezus nie obchodzi już nikogo, to mogę tylko odpowiedzieć, że wielu będzie potępionych. Nasi ojcowie tak się modlili z myślą o Królestwie Bożym: "Tych, co nie wejdą, będzie wielu. Daj, bym się znalazł wśród niewielu!". Na końcu będą już tylko zbawieni i potępieni. I na ten temat chcę jeszcze coś powiedzieć, jeśli pozwolicie.

Przede wszystkim o potępionych. Mój przyjaciel, Paul Humburg opowiedział mi kiedyś swój sen: "Było to w Dniu Sądu. Usłyszałem, jak Jezus odpędzał potępionych: 'Idźcie precz ode mnie, przekłęci!' Tak napisano w Biblii. I zobaczyłem, jak odchodzą skurczeni, przerażeni, zrozpaczeni. Zauważyłem, jak jeden pyta drugiego: 'Czy ty też to widziałeś?' 'Tak, – odpowiedział – Widziałem, że dłoń, którą nas odpędzał, była przebita. Przybito ją do krzyża za nas, ale myśmy to mieli za nic. A teraz słusznie zostaliśmy potępieni' ".

Słuchajcie, On umarł również za was! Wierzycie, czy jesteście bezbożnikami, to wszystko jedno, – wiedzcie, że Jezus za was umarł. Przyjdźcie do tego Pana. Jeżeli powiecie, że przecież jesteście grzesznikami, to powiem: "On szuka właśnie grzeszników! Wszyscy ludzie są grzesznikami". A jeżeli ktoś będzie twierdził, że nim nie jest, to powiem, iż kłamie jak najęty. Ci, którzy tak mówią, którzy twierdzą, że nie potrzebują Zbawiciela, są najbardziej zgubieni. Są zgubieni tak bardzo, że nawet nie wiedzą, jak bardzo są zgubieni!

A teraz powiem coś o zbawionych. W biblijnym opisie przyszłego świata czytamy, że w nowej Jerozolimie będzie dwanaście kamieni węgielnych, na których wypisane będą imiona dwunastu apostołów, świadków Ewangelii. Mogę to sobie wyobrazić. Napisane jest na nich: "Jan", "Piotr", "Jakub". A na jednym z kamieni znajduje się imię: "Mateusz". Czy wiecie kim był Mateusz? Był paskarzem, oszustem i handlował zakazanymi towarami. I pewnego dnia, gdy zajęty był swoimi brudnymi interesami, Jezus przechodził мимо i rzekł: "Pójdź za mną". I Lewi – tak Mateusz się wtedy nazywał – zostawił wszystko i poszedł za Jezusem. Był świadkiem śmierci Zbawiciela, który umarł też za niego. Był świadkiem Jego zmartwychwstania,

Wniebowstąpienia i zesłania Ducha Świętego.

A potem jego przyjaciele powiedzieli: "Tyle przeżyłeś z Jezusem, spisz to kiedyś". Mateusz usłuchał. I tak powstała Ewangelia św. Mateusza, dzięki której miliony ludzi znalazły Jezusa. Księga ta jest w Biblii, a nowe imię dawnego Lewiego – "Mateusz" znajduje się w nowym świecie na honorowym miejscu. Jest to imię człowieka niegdyś nieczystego, którego uratował Jezus. Tak potężna jest ratująca łaska Jezusa Chrystusa! I ta łaska chce teraz zacząć działać w was. Nie wzbraniajcie się! Chodzi o wasze zbawienie na wieki wieczne.

CO MOŻE NAM DAĆ ŻYCIE Z BOGIEM? *

(* Jest to ostatni wykład pastora Buscha, wygłoszony 19 czerwca 1966 roku w Sassnitz (Rugia). Gdy 20 czerwca 1966 roku wracał ze swojej służby ewangelizacyjnej, Bóg zabrał go do siebie.)

Temat, jakim się zajmujemy, nosi tytuł: "Co może nam dać życie z Bogiem?". Moglibyśmy również spytać: "Czy opłaci się być chrześcijaninem?". Odpowiadając, muszę przede wszystkim zacytować tu słowa z Listu do Efezjan: "Błogosławiony niech będzie Bóg i Ojciec Pana naszego, Jezusa Chrystusa, który nas ubłogosławił w Chrystusie wszelkim duchowym błogosławieństwem". Te słowa Biblii mówią w cudowny sposób o bogactwie błogosławieństwa spływającego na chrześcijan dzięki Jezusowi. Zanim jednak przystąpię do właściwego tematu, muszę najpierw wyjaśnić kilka zagadnień wstępnych.

Po pierwsze, chcę powiedzieć, że:

1. ŻYCIE Z BOGIEM NIE JEST UROJENIEM!

Tak, życie z Bogiem nie jest fantazją, nie jest urojeniem. To właśnie chcę wam uświadomić.

Pastorowi w wielkim mieście zdarza się wiele interesujących spotkań. Niedawno właśnie spotykam młodego człowieka i mówię mu: "Człowieku, co mógłbyś zrobić, gdyby twoje życie należało do Boga!". "Panie pastorze, niech pan nie buja w obłokach!" Znacie to wyrażenie? Chciał przez to powiedzieć, że mam chodzić po ziemi i trzeźwo myśleć. I dodał: "Przecież Boga wcale nie ma!". A ja na to: "A to ci nowina! Jeszcze o tym nie słyszałem!". I wtedy on mi zrobił wykład: "Niech pan słucha. Dawniej ludzie czuli się bezsilni wobec żywiołów i wymyślali sobie jakieś potężne moce, które miały im pomagać. Mieli Allaha, Boga, Jehowę, Buddę i bo ja wiem kogo tam jeszcze. Ale teraz okazało się, że to wszystko były urojenia, bo niebo

jest zupełnie puste". Było to piękne przemówienie. Kiedy młody człowiek skończył, odpowiedziałem: "Mój kochany, ty przecież nie znasz Jezusa!". "Jezus? – zastanowił się chwilę – Jezus... – to też jeden z tych założycieli religii". "O, nie! – odrzekłem – Niewypa! Omyłka w druku, mój drogi! Opowiem ci, kim jest Jezus. Odkąd Go znam, wiem dopiero, że Bóg żyje. Bez Jezusa nic byśmy o Bogu nie wiedzieli". I odpowiedziałem mu, kim jest Jezus.

Kim On jest? Wytłumaczę wam za pomocą przykładu.

Widzicie, ja wiele przeszedłem w życiu. Wielokrotnie przebywałem w więzieniu, nie za kradzież srebrnych łyżek, ale za moją wiarę. W Trzeciej Rzeszy tacy duszpasterze młodzieży, jak ja, nie byli lubiani, i zamykano mnie w najgorszych więzieniach. Raz siedziałem w szczególnie paskudnym miejscu. Cały budynek był z betonu, a ściany miał tak cienkie, że słyszało się, gdy piętro niżej ktoś kaszlał albo o trzy piętra wyżej ktoś wypadł z łóżka. Siedziałem w ciasnej dziurze i pewnego dnia usłyszałem, że do sąsiedniej celi wprowadzają nowego, również więźnia Gestapo. Musiał być w głębokiej depresji, bo w nocy słyszałem przez cienką ścianę jego płacz. Słyszałem, jak przewraca się z boku na bok na swojej pryczy i tłumi szloch. Strasznie jest słuchać, gdy płacze mężczyzna. W dzień nie wolno było leżeć na pryczy i słyszałem jak miota się w swojej ciasnej celi – dwa i pół kroku tam, dwa i pół z powrotem. Jak dzikie zwierzę w klatce. Chwilami jęczał głucho. A w mojej celi panował pokój Boży, bo – wiecie? – do mojej celi przyszedł Jezus! Słyszając, jak ten mężczyzna rozpacza, pomyślałem, że muszę się do niego dostać, muszę z nim porozmawiać. Ostatecznie byłem duszpasterzem. Zawołałem strażnika i powiedziałem: "Niech pan posłucha! Tu obok jest mężczyzna, który odchodzi od zmysłów z rozpaczy. Jestem pastorem. Niech pan mnie do niego zaprowadzi, chciałbym z nim porozmawiać". Strażnik odpowiedział, że zapyta, czy można. Po godzinie wrócił: "Zabronione!". I tak nigdy nie zobaczyłem tego człowieka z sąsiedniej celi, chociaż był ode mnie na odległość ręki. Nie wiem, jak wyglądał, czy był stary, czy młody. Czuję tylko jego rozpacz. Możecie to sobie wyobrazić? Stałem nieraz przed ścianą i myślałem: gdybym mógł ją

zburzyć i dostać się do tego człowieka! Ale nie mógłbym jej zburzyć, choćbym walił w nią z całej siły.

A teraz uważajcie dobrze! W takiej samej sytuacji, w jakiej ja byłem wtedy, znajduje się żywy Bóg, Stwórca nieba i ziemi. Jesteśmy zamknięci w widzialnym, trójwymiarowym świecie. Bóg jest tuż obok. W Biblii czytamy: "Ogarniasz mnie, z tyłu i z przodu..." Bóg jest od nas oddalony o szerokość dłoni, ale między Nim a nami znajduje się mur oddzielający nas od innego wymiaru. Do ucha Bożego dochodzi lament wznoszony przez mieszkańców ziemi. Słyszy przekleństwa rozgoryczonych, płacz samotnych, szloch stojących nad grobami, westchnienia pokrzywdzonych. Wszystko to przenika do serca Bożego, tak jak do mnie przenikała przez ścianę rozpacz mężczyzny z sąsiedniej celi. I pomyśleć tylko: Bóg mógł zrobić to, czego ja nie mogłem! Pewnego dnia Bóg rozbił mur dzielący Go od nas i pojawił się w naszym widzialnym świecie w Synu swoim, Jezusie! Zrozumcie, że w Jezusie, Synu Bożym, Bóg przyszedł do nas, w ten cały brud i nędzę tego świata! Odkąd poznałem Jezusa wiem, że Bóg żyje. I zawsze mówię, że od chwili przyjścia Jezusa bezbożność jest tylko wynikiem ignorancji.

Muszę wam teraz opowiedzieć o tym Jezusie. W ogóle wygłaszając odczyty, najchętniej opowiadałbym wyłącznie historie o Jezusie, tylko że wtedy wieczory byłyby za krótkie, aby zmieścić w nich ten cały ogromny i wspaniały materiał! A więc krótko: Jezus urodził się w Betlejem, dorósł i stał się mężczyzną. Zewnętrznie nie miał żadnych oznak świadczących o pełnej chwale Boskości, a jednak przyciągał do siebie ludzi. Czuli, że emanuje z Niego miłość i łaska Boża.

Ziemia kanaanejska, w której Jezus żył jako członek ludu izraelskiego, znajdowała się pod okupacją obcych wojsk, a mianowicie wojsk rzymskich. W mieście Kafarnaum miejscowym komendantem był setnik rzymski. Rzymianie wierzyli na ogół w wielu bogów, ale tak naprawdę nie wierzyli w żadnego. No i temu setnikowi w Kafarnaum zachorował ulubiony sługa. Setnik sprowadził lekarzy, ale żaden nie umiał nic pomóc. Setnik zrozumiał, że sługa musi umrzeć. I wtedy przypomniało mu się to, co słyszał o Jezusie: "Czy

On mógłby pomóc? Pójdę do Niego!". I ten niewierzący mąż, poganin, udaje się w drogę, staje przed Jezusem i prosi: Panie Jezus, mój sługa jest bardzo chory. Czy nie mógłbyś go uzdrowić? A Jezus odpowiedział: "Przyjdę i uzdrowię go". Ale setnik uważał, że Jezus wcale nie musi do niego przychodzić. Rozkazy jego, setnika, wykonywane są natychmiast, więc Jezus też musi powiedzieć tylko jedno słowo, a sługa będzie uzdrowiony. Innymi słowy, ten rzymski setnik, ten poganin, wyznał: "Dla Ciebie możliwe jest to, co niemożliwe! Ty jesteś Bogiem!". Wtedy Jezus odwrócił się do tych, którzy szli za nim i powiedział: "Zaprawdę powiadam wam, u nikogo w Izraelu tak wielkiej wiary nie znalazłem". To znaczy: takiej wiary, jaką ma ten ateista, nie znalazłem w całym Kościele. Rozumiecie – ten pogański setnik pojął, że w tym Jezusie przyszedł do nas Bóg!

Musicie poznać wszystkie historie o Jezusie! Proszę was i zaklinam: sprawcie sobie Nowy Testament! Przeczytajcie Ewangelię św. Jana, a potem inne Ewangelie, a potem wszystko do końca. Są tam cudowne historie o Jezusie. W żadnym piśmie ilustrowanym nie ma tak pięknych opowiadań jak te, które są w Nowym Testamencie.

Jezus, Syn Boży, nie przyszedł jednak na świat tylko po to, aby uzdrowić jakiegoś sługę i udowodnić, tym samym objawić istnienie Boga. On chciał czegoś więcej. On przyszedł po to, by ludzie mieli pokój z Bogiem.

Między Bogiem a nami znajduje się nie tylko mur oddzielający nas od innego wymiaru. Między Bogiem a wami, między Bogiem a mną stoi jeszcze zupełnie inny mur. Jest to mur naszej winy. Czy zdarzyło się wam skłamać? Tak? Tym samym dołożyliście jeden kamień do tego muru. Czy były w waszym życiu dni bez Boga, bez modlitwy? Tak? Następne kamienie! Nieczystość, zdrady małżeńskie, kradzież, profanacja niedzieli i tysiące drobniejszych spraw, każde przekroczenie przykazań dokłada kamienie do muru. Wszyscy budowaliśmy ten mur, który dzieli ludzi od Boga. A Bóg jest świętym Bogiem i ze śmiertelną powagą traktuje każdy grzech. Gdy mówię: "Bóg" – natychmiast staje przede mną zagadnienie mojego grzechu i winy. Zagadnienie to musi zostać rozwiązane. Znam ludzi, którzy są

przekonani, że Bóg ogromnie się cieszy, ponieważ oni jeszcze w Niego wierzą! Na miłość Boską, przecież to nie wystarcza! Diabeł również "wierzy w Boga". Ten już na pewno nie jest ateistą! Wie bardzo dobrze, że Bóg żyje. Ale nie ma pokoju z Bogiem. Pokój z Bogiem można mieć dopiero wtedy, gdy usunie się mur grzechu i winy między Bogiem a człowiekiem. I po to przyszedł Jezus. On zburzył ten mur. Po to pozwolił, by Go ukrzyżowano. Wiedział bowiem, że z wyroku świętego Boga ktoś musi ponieść karę za grzechy – On albo ludzie. Rozumiecie – Wilhelm Busch albo Jezus! I On, niewinny Syn żywego Boga, Jezus Chrystus, poniósł karę za mnie! I za was.

Teraz chciałbym, abyście wyobrazili sobie Pana Jezusa na krzyżu. Dla mnie jest to wyobrażenie najdroższe na świecie. Oto wisi Ten, przez którego Bóg zburzył mur i wkroczył w nędzę i niedolę tego świata. Oto wisi Ten, o którym w Biblii powiedziano, że Bóg "tego, który nie znał grzechu za nas grzechem uczynił". Oto wisi Ten, który poniósł na swoich ramionach cały ciężar winy – naszej winy! Oto wisi Ten, który władny jest uczynić to, czego nikt z nas nie może: usuwa mur, zbudowany z kamieni naszych grzechów. Musicie to sami przeczytać w Biblii. Na krzyżu urzeczywistniło się, że "pokój mamy z Bogiem przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa".

Spróbuję to objaśnić w inny jeszcze sposób. Mam w Szwajcarii serdecznego przyjaciela, z którym odbyłem wiele wspaniałych podróży. Oczywiście, po drodze musieliśmy gdzieś zjeść obiad, no a potem trzeba było zapłacić rachunek. Musiał to zrobić jeden z nas, ten, który miał właśnie zasobniejszą kieszeń. Naturalnie mogłem też powiedzieć: "Hans, zapłać dziś za mnie!". Rozumiecie jednak, że ktoś musiał zapłacić. Zawsze ktoś musi zapłacić. Za naszą winę przed Bogiem, za wszystkie nasze grzechy i wykroczenia ktoś musi zapłacić. Albo wierzcie w Jezusa, wierzcie, że On za was zapłacił – albo kiedyś będziecie musieli zapłacić sami! Za każdą bowiem winę trzeba zapłacić. I, widzicie, dlatego Jezus jest dla mnie tak ważny. Trzymam się Go mocno, bo On za mnie zapłacił.

Ten Jezus nie pozostał jednak w państwie umarłych. Nie! I to jest

cudowne!

W trzy dni po śmierci Jezusa pewien mąż imieniem Tomasz zastanawiał się głęboko nad tym, jak to właściwie jest z Jezusem: "On nie żyje. Sam widziałem jak kładli Go do skalnego grobu, który przywalili wielkim głazem. Czy Jezus był, czy nie był Synem Bożym?". A kiedy tak rozmyślał, nadbiegli jego przyjaciele, wołając: "On żyje! Człowieku, czemu się smucisz? On żyje!". "Kto żyje?" "Jezus!" "To niemożliwe!" "A jednak! Widzieliśmy pusty grób, możemy na to przysiąc! A potem – On się nam ukazał!" "Czy to możliwe, – pomyślał Tomasz – żeby ktoś powstał z martwych? Jeżeli to prawda, to On jest naprawdę Synem Bożym. Bóg przyznał się do Niego". Ale Tomasz był sceptykiem: "Tyle razy dałem się już w życiu nabrać. Nie uwierzę w nic, czego nie ujrzę na własne oczy". Rozmawiałem kiedyś w podróży z konduktorką. Opowiadałem jej o Jezusie i Ona mi powiedziała: "Wierzę tylko w to, co zobaczę na własne oczy". Tak samo myślał Tomasz i powiedział innym uczniom Jezusa: "Jeśli nie ujrzę na rękach jego znaku gwoździ i nie włożę palca mego w miejsce gwoździ, i nie włożę ręki mojej w bok jego, nie uwierzę". Uczniowie mogli przekonywać go do upadłego – jak ja was tu, w Sassnitz, – a Tomasz uparcie powtarzał: "Nie uwierzę!". W osiem dni później znowu siedzieli wszyscy razem, gdy nagle ukazał się Jezus: "Pokój wam!". A zwracając się do Tomasza powiedział: "Daj tu palec swój i oglądaj ręce moje, i daj tu rękę swoją, i włoż w bok mój, a nie bądź bez wiary, lecz wierz". I wtedy biedny, miotany wątpliwościami niedowiarek upadł na kolana i zawołał: "Pan mój i Bóg mój!".

Teraz rozumiecie, dlaczego mówię, że życie z Bogiem nie jest iluzją, nie jest urojeniem. Bóg nie jest wielką niewiadomą: gdzieś zapewne jest, ale jaki jest, tego nikt nie wie. Nie! Przekonanie, że istnieje życie z Bogiem, opiera się na tym, iż Syn Boży przyszedł, umarł za mnie i zmartwychwstał. Dlatego wiem teraz, jaki jest Bóg.

To było pierwsze zagadnienie, które musiałem wyjaśnić przed przystąpieniem do właściwego tematu: "Co może nam dać życie z Bogiem?". Życie z Bogiem nie jest iluzją, nie jest urojeniem.

A teraz muszę odpowiedzieć na drugie pytanie wstępne, a

mianowicie:

2. JAK DOCHODZI SIĘ DO ŻYCIA Z BOGIEM?

Jakże często ludzie mi mówią: "Panie pastorze, pan jest szczęśliwym człowiekiem. Ma pan coś, czego ja nie mam". Odpowiadam na to: "Niechże pan nie gada głupstw! Może pan to mieć również. Jezus przyszedł także dla pana". I wtedy słyszę pytanie: "Tak, ale jak dochodzi się do życia z Bogiem?". Biblia odpowiada na to jednym krótkim zdaniem: "Uwierz w Pana Jezusa..."

Gdybym mógł doprowadzić was do tej wiary! Najpierw jednak musimy sobie wyjaśnić, co to właściwie znaczy: "wierzyć". Niektórzy ludzie mają o tym zupełnie błędne wyobrażenie. Dwie osoby czekają na kogoś. Jedna patrzy na zegarek i mówi: "Jest dokładnie dziesięć minut po siódmej". A druga dodaje: "Chcę wierzyć, że on jednak przyjdzie". Jest to więc "wiara" połączona z niepewnością, prawda? A co oznacza "wierzyć", gdy Biblia mówi: "Uwierz w Pana Jezusa"? Wytlumaczę wam to na przykładzie własnego przeżycia.

Miałem kiedyś odczyty w stolicy Norwegii, w Oslo. Chciałem odlecieć z powrotem w sobotę rano, bo następnego dnia miałem przemawiać na wielkim zgromadzeniu w Wuppertalu. Podróż zaczęła się fatalnie, bo maszyna miała godzinę opóźnienia z powodu mgły. Wreszcie odlecieliśmy w kierunku Kopenhagi, gdzie mieliśmy się przesiąść. Dolatujemy nad Kopenhagę, a tu nagle pilot zawraca i leci w kierunku Szwecji. Przez głośniki dowiadujemy się, że na lotnisku w Kopenhadze panuje mgła uniemożliwiająca lądowanie i wobec tego lecimy do Malmo. Za skarby świata nie chciałem lecieć do Malmo! Nie miałem nic do roboty w Malmo. Chciałem lecieć do Düsseldorfu, bo przecież miałem przemawiać w Wuppertalu. W końcu jednak wylądowaliśmy w Malmo. Patrzymy – a tam całe lotnisko pełne ludzi i ciągle jeszcze lądują nowe samoloty. Okazało się, że na przestrzeni wielu kilometrów tylko Malmo było wolne od mgły, więc tu kierowano wszystkie maszyny. Lotnisko było małe i w poczekalni wszystkie miejsca były zajęte. Podczas drogi zaprzyjaźniłem się z

kupcem z Austrii i teraz rozważaliśmy – co robić? Możliwe, że będzie trzeba stać tu aż do rana i nogi wrosną nam w ziemię. Naokoło ludzie narzekali, klęli i zarzucali personel pytaniami, jak zwykle w takich sytuacjach bywa. I nagle w głośnikach rozległ się głos: "Odłot czterosilnikowego samolotu na południe. Miejsce lądowania nieznane: Hamburg, Düsseldorf albo Frankfurt. Kto chce lecieć na południe, proszę wsiadać". Sprawa wyglądała nader niepewnie. Jakaś kobieta obok nas zaczęła krzyczeć: "Ja nie wsiadę! Ja się boję!". Powiedziałem: "Kochana pani, przecież wcale nie musi pani wsiadać. Może pani spokojnie tu zostać". Mój Austriak zauważył: "No... taki lot we mgle... I w dodatku nie wiadomo gdzie się wyląduje!". Stoję tak między krzyczącą kobietą a wahającym się Austriakiem i też pełen jestem wątpliwości. I nagle zauważyłem przechodzącego pilota w błękitnym mundurze. Twarz jego miała wyraz ogromnej powagi i koncentracji. Widziało się, że świadom jest odpowiedzialności, jaka na nim spoczywa. Nie traktował sprawy lekko. Powiedziałem do swego austriackiego przyjaciela: "Człowieku, temu pilotowi można zaufać! Wsiadajmy! To nie jest jakiś lekkoduch!". I wsiedliśmy. Od chwili, gdy obydwie moje nogi opuściły ląd stały i znalazły się w samolocie, a drzwi zostały zamknięte, byłem całkowicie zdany na człowieka przy sterach. Miałem do niego zaufanie. Powierzyłem mu swoje życie. Wylądowaliśmy we Frankfurcie i upłynęła cała noc, zanim znalazłem się w domu. Dobrnąłem jednak do celu! Wierzyć, to znaczy powierzyć siebie komuś.

Jak możesz dojść do życia z Bogiem? – "Uwierz w Pana Jezusa". Pójdź za Nim. Widzicie, gdy wsiadaliśmy do samolotu, miałem wrażenie, że mój Austriak chętnie jedną nogą zostałby na ziemi. Ale to było niemożliwe. Mógł albo zostać, albo całego siebie powierzyć pilotowi. I tak jest z Jezusem. Nie możecie jedną nogą stać na ziemi i żyć bez Jezusa, a drugą kroczyć za Nim. Tak się nie da zrobić. Wierzyć w Jezusa Chrystusa i żyć z Bogiem można tylko wtedy, gdy człowiek zdecyduje się na całkowite ryzyko, gdy powie: "O, Panie, jako zechcesz sam tak rządz moimi losy, do Ciebie tylko ufność mam..."

A teraz pytam was: Komu można zaufać tak, jak Synowi Bożemu? Żaden człowiek na świecie nie zrobił dla mnie tyle, co On. On umiłował mnie tak, że za mnie umarł. Umarł też za was. Tak nikt nas nigdy nie kochał. A potem Jezus powstał z martwych. Miałbym nie powierzyć mojego życia Temu, który zmartwychwstał? Jesteśmy głupcami, jeśli tego nie czynimy! A w tej samej chwili, w której oddaję swoje życie Jezusowi, zaczynam żyć z Bogiem. Jest taka piękna pieśń, którą bardzo lubię: "O, Zbawicielu, Panie mój, do Ciebie całym sercem lgnę, za Tobą w życia pójdę bój i krzyż cierpliwie dźwigać chcę. Na mą Golgotę pójdę rad, cierpienia znosić chcę bez skarg, bo wiem, że gdy porzucę świat, Ty zdejmiesz ciężki krzyż z mych bark". Ach, gdybyście tak zechcieli powiedzieć!

Tak, po wytłumaczeniu tych spraw muszę jeszcze dodać uzupełnienie. Jeżeli oddacie swoje życie Jezusowi i będziecie chcieli pójść za Nim, jeżeli zechcecie Mu się powierzyć – powiedzcie Mu to. On jest tuż obok was. On was słyszy! Powiedzcie Mu: "Panie Jezu, oddaję Ci moje życie". Byłem zdemoralizowanym, bezbożnym chłopakiem, gdy nawróciłem się i przyjąłem Jezusa. Modliłem się wtedy tak: "Panie Jezu, oddaję Ci teraz moje życie, ale nie mogę Ci przyrzec, że stanę się dobrym człowiekiem. Po to, abym się nim stał, musisz mi dać nowe serce. Mam zły charakter, ale daję Ci całego siebie. Zrób coś ze mnie!". To była ta godzina mojego życia, w której oddałbym stery Jezusowi, Temu, który odkupił mnie swoją krwią.

Jeżeli jednak mamy pójść za Nim, jeżeli mamy żyć z Bogiem, to – powtarzam to nieustannie – musimy koniecznie pamiętać o trzech ważnych sprawach. Możemy im nadać kryptonim: "SMS". To znaczy: Słowo Boże, Modlitwa, Społeczność.

Po podjęciu decyzji należenia do Jezusa nie można żyć dalej, nic o Nim nie słysząc. Musicie mieć Biblię albo Nowy Testament i codziennie przez kwadrans czytać w spokoju jeden rozdział po drugim. Jeżeli czegoś nie zrozumiecie – pomińcie to na razie. Im dłużej będziecie regularnie czytali Biblię, tym więcej zaczniecie pojmować i odkryjecie wspaniałe rzeczy. Ja, czytając Biblię, serce mam przepełnione radością, że wolno mi należeć do tego cudownego

Zbawiciela i zwiastować Go. Bo życie z Bogiem ma to do siebie, że można się nim dzielić z innymi.

To więc jest nasza pierwsza litera kryptonimu: "S" – Słowo Boże. Teraz przychodzi druga: "M" – Modlitwa. Jezus słucha was! Nie musicie przygotowywać sobie pięknego przemówienia. Pani domu może po prostu powiedzieć: "Panie Jezu! Mam dziś zły dzień. Mąż jest w fatalnym humorze, dzieci są nieposłuszne, mam wielkie pranie i zabrakło mi pieniędzy. Panie Jezu, składam u Twoich stóp tę całą moją biedę. Spraw, aby moje serce było mimo wszystko pełne radości, bo dałeś mi życie z Bogiem. I pomóż mi pokonać trudności. Dziękuję Ci, Panie Jezu, że mogę Ci powierzyć to wszystko i samą siebie". Rozumiecie, o co chodzi? Mogę Jezusowi powiedzieć wszystko, co mi leży na sercu. I mogę Go prosić, abym poznawał Go coraz lepiej i coraz bardziej należał do Niego.

Trzecia litera kryptonimu: "S" (drugie "S"), oznacza konieczną do życia z Bogiem Społeczność. Człowiek przyłącza się do tych, którzy również chcą należeć do Jezusa. Ktoś mi niedawno powiedział: "Ja chcę wierzyć, ale ciągle stoję w miejscu". Poradziłem mu, aby przyłączył się do jakiejś grupy chrześcijan. "Kiedy oni wszyscy razem i każdy z osobna wcale mi się nie podobają!" "Cóż, – odpowiedziałem – nic na to nie można poradzić. Jeżeli chce pan kiedyś znaleźć się w niebie razem z nimi, to musi się pan nauczyć przebywać z nimi już teraz. Pan Bóg nie może wystrugać dla pana jakichś specjalnych chrześcijan".

Jako chłopiec znałem we Frankfurcie dyrektora banku, starszego pana, który opowiadał mi dużo o swojej młodości. Kiedy zdał maturę, jego ojciec dał mu pieniądze i wysłał w podróż po stolicach Europy. Wyobraźcie sobie tylko – osiemnastoletni chłopak i taka podróż! Każdy by chciał przeżyć coś takiego! Starszy pan opowiedział mi o tej podróży: "Wiedziałem, że w tych wielkich miastach bardzo łatwo mogę wpaść w sidła grzechu i hańby. A ja chciałem przecież należeć do Jezusa. Zapakowałem więc do walizki mój Nowy Testament. Postanowiłem codziennie przed wyjściem z hotelu rozmawiać z Jezusem i słuchać Jego głosu. Postanowiłem szukać towarzystwa

chrześcijan. I rzeczywiście wszędzie – w Lizbonie, w Madrycie, w Londynie itd. – spotykałem uczniów Jezusa. Najtrudniej było w Paryżu. Długo musiałem dopytywać się o kogoś, kto również chciał należeć do Jezusa. Wreszcie skierowano mnie do szewca: "Ten tam czyta Biblię!".

I ten wytworny młody człowiek zszedł do sutereny, gdzie mieścił się warsztat i spytał: "Czy pan zna Jezusa?". Odpowiedziało mu rozjaśnione spojrzenie szewca. Młody człowiek powiedział: "Czy mógłbym codziennie rano przyjść i pomodlić się wspólnie z panem?". Tak ważna dla niego była społeczność z ludźmi, którzy na serio chcą być chrześcijanami.

Tak, to były te dwie sprawy, które musiałem wyjaśnić przede wszystkim: od chwili przyjścia Jezusa życie z Bogiem nie jest iluzją oraz: jak dochodzi się do życia z Bogiem: "Uwierz w Pana Jezusa!".

A teraz przejdę do właściwego tematu.

3. CO MOŻE NAM DAĆ ŻYCIE Z BOGIEM?

Drodzy przyjaciele, gdybym wam chciał opowiedzieć o wszystkim, co daje nam życie z Bogiem i społeczność z Jezusem, to nigdy bym nie skończył mówić! Tak wiele nam to daje!

Nigdy nie zapomnę, co powiedział mi mój ojciec na łożu śmierci. Umierał mając 53 lata i były to jedne z jego ostatnich słów: "Wilhelmie, powiedz wszystkim moim przyjaciółom i znajomym, ile szczęścia dał mi Jezus – w życiu i teraz, gdy umieram". Wiecie, człowiek leżący w agonii nie wygłasza sentencji ani pustych frazesów. I jeżeli ktoś łapiąc z trudem powietrze ostatnim tchem, składa świadectwo, że Jezus dał mu szczęście w życiu i teraz, gdy umiera – jest to wstrząsające.

A jak wy będziecie umierali?

W czasach, gdy byłem młodym pastorem, wydarzyła się w Zagłębiu Ruhry piękna historia. Zorganizowano tam wielkie zebranie, na którym bardzo uczony pan przez dwie godziny dowodził, że Bóg nie istnieje, używając do tego całej swojej erudycji. Na sali było pełno

ludzi i dymu z papierosów. Słuchacze nie kryli zachwytu: "Hurra! Bóg nie istnieje! Możemy robić, co się nam podoba!". Kiedy po dwóch godzinach mówca umilkł, przewodniczący zebrania wstał i powiedział: "Przechodzimy do dyskusji. Kto chce zabrać głos?". Oczywiście nikt nie miał odwagi. Każdy myślał: "Nie można dyskutować z tak uczonym człowiekiem!". Z pewnością na sali było wielu, którzy się z nim nie zgadzali, ale któż miałby odwagę wejść na podium i powiedzieć swoje zdanie w obliczu tysiąca ludzi bijących brawo mówcy! A jednak! Jedna osoba poprosiła o głos: siedząca zupełnie z tyłu staruszka, taka typowa dla Prus Wschodnich babcia w czarnym czepku; w Zagłębiu Ruhry można często spotkać takie babcie. Przewodniczący spytał: "Babciu, chcecie coś powiedzieć?". "Tak, chcę coś powiedzieć!" – mówi Babcia. "No, ale to trzeba przyjść tu do nas, na podium!" Na to babcia: "Nie bójcie się! Przyjdę!"
Dzielna kobieta!

Pomaszerowała więc babcia na podium, stanęła na mównicy i powiedziała:

"Panie mówco, przez dwie godziny mówił pan o swojej niewierze. Teraz ja chcę przez pięć minut mówić o swojej wierze. Chcę panu opowiedzieć, co zrobił dla mnie mój Pan, mój niebiański Ojciec. Byłam młodą kobietą, gdy mój mąż uległ nieszczęśliwemu wypadkowi w kopalni i przyniesiono mi go martwego do domu. Zostałam z trojgiem małych dzieci. Z pomocy socjalnej niewiele się wtedy miało. Stałam nad zwłokami męża i ogarnęła mnie rozpacz. I, widzi pan, pocieszył mnie wtedy mój Bóg. Żaden człowiek nie mógł mnie pocieszyć, to co ludzie mówili, wchodziło mi jednym uchem i wychodziło drugim. Ale On, żywy Bóg, pocieszył mnie. Powiedziałam Mu: 'Panie, teraz Ty musisz być Ojcem dla moich dzieci!' (jakież to było wzruszające, ta prosta opowieść starej kobiety!) Często wieczorem nie wiedziałam, skąd wezmę pieniądze, by na-
zajutrz nakarmić moje dzieci. I zawsze prosiłam wtedy mojego Zbawiciela: 'Panie, Ty wiesz, w jakiej jestem sytuacji. Pomóż mi!'. A potem stara kobieta zwróciła się do prelegenta i powiedziała: "On nigdy mnie nie zawiódł, nigdy! Przeżyłam bardzo ciężkie chwile, ale

On mnie nie opuścił. I powiem panu coś jeszcze – Bóg uczynił dla mnie o wiele więcej. Posłał swojego Syna, Pana Jezusa Chrystusa, który za mnie umarł i dla mnie zmartwychwstał i swoją krwią obmył mnie ze wszystkich grzechów. Jestem starą kobietą i niedługo umrę. I widzi pan, dzięki Niemu mam pewność życia wiecznego. Gdy zamknę tu oczy, to obudzę się w niebie, ponieważ należę do Jezusa. To wszystko zawdzięczam mojej wierze. A teraz pytam pana, panie mówco: co pan zawdzięcza swojej niewierze?"

Prelegent wstał, poklepał babcię po ramieniu i powiedział: "Ach, przecież ja wcale nie chcę odbierać wiary takiej starej kobiecie. Dla starych ludzi wiara jest czymś bardzo dobrym!" Trzeba było widzieć tę starą babcię! Energicznie strząsnęła rękę prelegenta ze swojego ramienia i powiedziała: "O, nie! Tym się pan nie wykręci! Postawiłam panu pytanie, panie mówco, i musi mi pan na nie odpowiedzieć! Ja panu powiedziałam, co zawdzięczam swojej wierze. A teraz niech pan mi powie, co pan zawdzięcza swojej niewierze?". Tak. Prelegent był naprawdę zakłopotany! Babcia była bardzo mądrą kobietą... A działo się to chyba w roku 1925.

Dzisiaj, gdy Ewangelia atakowana jest ze wszystkich stron i na całym świecie, – pytam: Co właściwie daje wam wasza niewiara? Naprawdę nie odnoszę wrażenia, że ludzie mają pokój w sercach i są szczęśliwi. Nie, moi przyjaciele!

Co może nam dać życie z Bogiem? Uczynię tu bardzo osobiste wyznanie: Ja w ogóle nie mógłbym znieść swojego życia, gdybym nie miał dzięki Jezusowi pokoju z Bogiem! Były takie godziny, w których serce moje krwawiło. Usłyszałem dziś, że tu, w sąsiedztwie, stało się straszne nieszczęście, które na dwie godziny pograżyło mnie w głębokiej żałobie. O ile wiem, jakieś dzieci zginęły w wypadku samochodowym. W każdej chwili może nas spotkać ciężkie nieszczęście. Zawodzą wtedy wszelkie słowa, i człowiek wyciąga tylko w ciemności ręce, pytając: "Czy nie ma nikogo, kto mógłby mi pomóc?"

Widzicie, w ciężkich godzinach życia okazuje się, kim jest dla nas Jezus. Po ślubie powiedziałem mojej żonie: "Żono, życzę sobie mieć

sześciu synów, i żeby wszyscy grali na puzonach!". Marzyło mi się, aby mieć w domu własny chór aniołków grających na puzonach! Urodziło się nam sześcioro dzieci, cztery miłe córki i dwóch synów. Ale obu moich synów już nie mam. Obu Bóg zabrał mi w straszny sposób, najpierw jednego, a potem również drugiego. Nie mogę o tym mówić. Jako duszpasterz młodzieży przez całe życie miałem do czynienia z młodymi chłopcami, a moje własne dzieci...

Pamiętam, jak po nadejściu wiadomości o śmierci drugiego syna miałem uczucie, że w sercu utkwił mi nóż. Ludzie mówili mi słowa pociechy, ale nic do mnie nie docierało. Wiedziałem tylko jedno: Jestem duszpasterzem młodzieży i dziś wieczorem muszę stu pięćdziesięciu młodym chłopcom radośnie zwiastować Słowo Boże. Zamknąłem się w pokoju, upadłem na kolana i z krwawiącym sercem zacząłem się modlić: "Panie Jezu, Ty, który żyjesz, zajmij się mną, nieszczęśliwym pastorem!". Otworzyłem potem Nowy Testament i przeczytałem Słowa Jezusa: "...mój pokój daję wam". Wiedziałem, że On dotrzymuje obietnic, zacząłem więc prosić: "Panie Jezu, nie chcę teraz zrozumieć dlaczego mi to zrobiłeś, ale daj mi swój pokój. Napełnij moje serce Twoim pokojem!". I On to uczynił. Zaświadczam wam tu dzisiaj, że to uczynił!

Wy również będziecie Go potrzebowali – w takiej chwili, w której żaden człowiek nie będzie w stanie was pocieszyć. To jest wspaniałe – znać Jezusa, który odkupił nas krwią swoją na krzyżu i zmartwychwstał, znać Go i móc Mu powiedzieć: "Panie, daj mi Twój pokój!". Pokój, który On daje, spływa w serce potężnym strumieniem. I dotyczy to również najcięższej godziny naszego życia – godziny śmierci. Co będzie z wami, gdy przyjdzie wam umierać? Wtedy również żaden człowiek nie będzie wam mógł pomóc. Będziecie musieli puścić nawet najbardziej umiłowaną dłoń. Co wtedy będzie? Czy odchodząc stąd, chcecie tam stanąć przed Obliczem Boga obciążeni wszystkimi waszymi grzechami? Ach, gdy można ująć silną dłoń Zbawiciela, wiedząc, że On mnie odkupił swoją krwią drogocenną i odpuścił mi wszystkie grzechy – umiera się szczęśliwym!

Co może nam dać życie z Bogiem? Powiem wam: pokój z Bogiem; radość w sercu; miłość do Boga i do bliźniego, która pozwala mi miłować nawet wrogów i tych, którzy działają mi na nerwy; pociechę w nieszczęściu, która sprawia, że każdego dnia słońce mi jasno świeci; pewność nadziei na życie wieczne; obecność Ducha Świętego; odpuszczenie grzechów; cierpliwość... Ach, mógłbym tak wyliczać jeszcze długo.

Zakończę słowami pieśni, którą tak lubię:

"O, jakież pokój wciąż napęlnia duszę mą,
Kiedy pomyślę, żem własnością Twą!
Z Bogiem pojednany, Twoją krwią obmyty już!
Któż mej duszy radość tu zrozumie, któż?".

Jakież pokój wciąż napęlnia duszę mą, kiedy pomyślę, żem własnością Twą! Życzę wam tego bogactwa, tego szczęścia!

NOTA BIOGRAFICZNA

Wilhelm Busch urodził się w 1897 roku, w mieście Wuppertal-Elberfeld. Młodość spędził we Frankfurcie nad Menem, gdzie zrobił maturę. W czasie I wojny światowej służył w wojsku w stopniu porucznika. W tym okresie przyszedł do wiary. Teologię studiował w Tybindze. Jako pastor działał najpierw w Bielefeld, później w dzielnicy górniczej w Essen, a następne – również w Essen – przez parę dziesięcioleci pracował z młodzieżą. Jednocześnie pełnił służbę ewangelizacyjną w kraju i za granicą. W Trzeciej Rzeszy wielokrotnie wtrącany był do więzienia za swoją wiarę i walkę w szeregach Kościoła Wyznającego. Po Drugiej Wojnie Światowej nadal wytrwale podróżował, głosząc Dobrą Nowinę o Jezusie. W 1966 roku, gdy wracał z ewangelizacji w Sassnitz (Rugia), jego Pan powołał go do siebie.

SPIS TREŚCI

Jezus naszym przeznaczeniem	3
Bóg – owszem, ale po co Jezus?	4
Po co żyję?	18
Nie mam czasu	30
Uwaga! Niebezpieczeństwo dla życia!	44
Cóż więc powinniśmy zrobić?	59
Dlaczego Bóg milczy?	73
Nasze prawo do miłości	88
Czy z Bogiem można rozmawiać?	102
Jak poradzimy sobie z życiem, jeżeli nie będziemy mogli wierzyć?	114
Jak poradzimy sobie z życiem, jeżeli wina i zaniedbanie stale nam towarzyszą?	129
Jak poradzimy sobie z życiem, jeżeli inni działają nam na nerwy?	143
Wszystko musi się zmienić – ale jak to zrobić?	155
Beze mnie!	168
Czy istnieje pewność w sprawach religii?	179
Czy chrześcijaństwo jest sprawą prywatną?	194
Kiedy nastąpi koniec świata?	209
Co może nam dać życie z Bogiem?	226
Nota biograficzna	241

Korespondencyjna Szkoła Biblijna Hosanna

Biblia to księga, która dostarcza mądrych rad i praktycznych wskazówek przez całe życie. Dlatego chciałbym cię zachęcić do dalszego jej studiowania. Jeśli chcesz, możesz rozpocząć darmowy **kurs biblijny w formie korespondencyjnej**. Kurs ten wyjaśnia w oparciu o fragmenty Pisma Świętego, kim jest Bóg, jakie jest przeznaczenie człowieka, co stanowi sens życia, a także objaśnia rolę Ducha Świętego w życiu każdego chrześcijanina, znaczenie Kościoła oraz wiele innych zagadnień, które mogą się okazać dla ciebie interesujące. Jeśli chcesz rozpocząć **bezpłatny kurs korespondencyjny**, skontaktuj się z nami:

- Telefonicznie: **(+48) 530 066 317**
- Mailowo: **hosanna@protestanci.org**
- Listownie: Fundacja Szkoła Biblijna „Hosanna”,
Świerczewskiego 42, 42-450 Rokitno Szlacheckie

Pamiętaj, że udział w kursie do niczego cię nie zobowiązuje i w każdej chwili możesz przerwać jego realizację. Szczegóły oraz opinie na jego temat znajdziesz na stronie internetowej:

www.protestanci.org/sbh